

X 1 897.526

GEORGE ORWELL

1984

INSTYTUT LITERACKI
PARYŻ **1953**

ROK TYSIĄC DZIEWIĘĆSET
OSIEMDZIESIĄTY CZWARTY

BIBLIOTEKA „KULTURY”

Tom II

GEORGE ORWELL

1984

Powieść

tłumaczył z angielskiego

Juliusz Mieroszewski

INSTYTUT LITERACKI
PARYŻ

1953



I 897.526

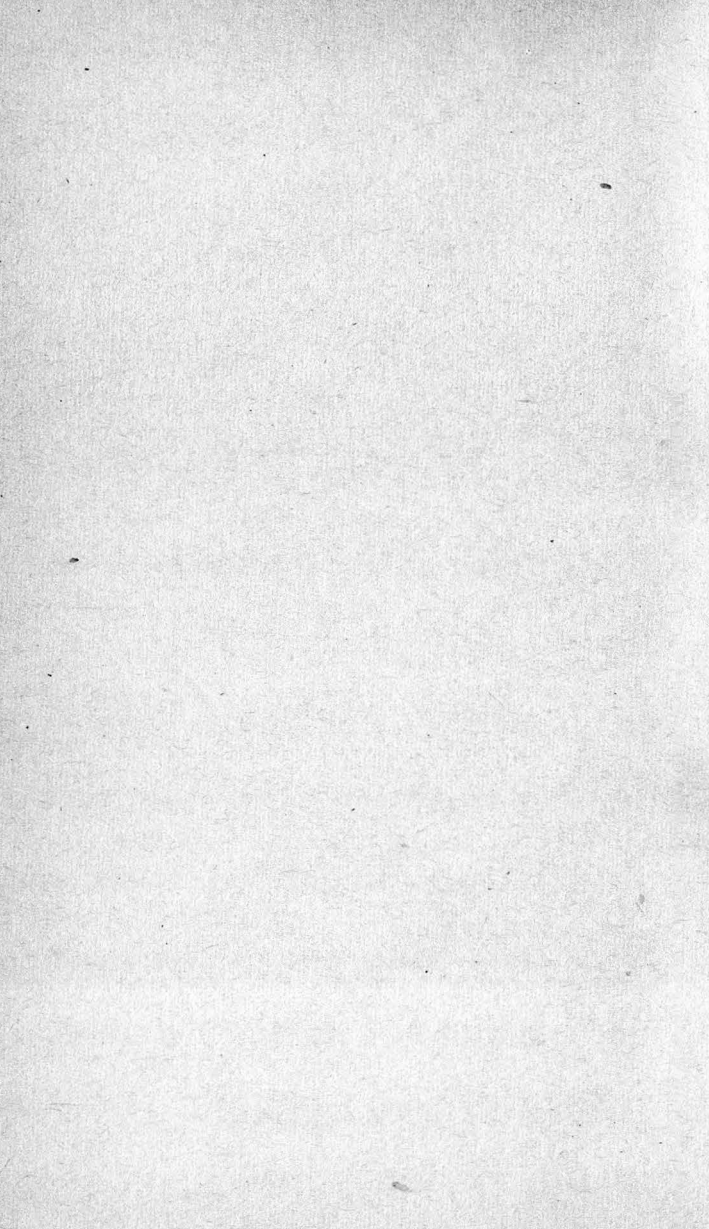
4

8.2

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca : Edition et Librairie « LIBELLA »,
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris (4^e).

CZEŚĆ PIERWSZA



CZĘŚĆ I.

I

Był pogodny, chłodny dzień kwietniowy. Biła godzina trzynasta. Winston Smith z głową pochyloną na piersi, chroniąc się przed uderzeniami dzikiej wichury wśliznął się poprzez szklane drzwi do gmachu Victoria. Nie uczynił jednak tego dość szybko i tuman piaszczystego pyłu wtargnął za nim do wnętrza.

W sieni czuć było zapach gotowanej kapusty i odór starych szmat chodnika. W jednym z rogów przybito do ściany barwny afisz, byt wielki by mógł pomieścić się wewnątrz gmachu. Widniała na nim olbrzymia, metrowej długości twarz, około 45 letniego mężczyzny z potężnym czarnym wąsem o grubych choć regularnych rysach.

Winston skierował się ku schodom. Nie było celu próbować windy. Nawet za najlepszych czasów winda rzadko kiedy działała, a obecnie, w czasie godzin dziennego światła wyłączano prąd. Było to w związku z akcją oszczędnościową w przygotowywaniu „Tygodnia nienawiści“. Mieszkanie Winstona znajdowało się na 7-ym piętrze. Smith, który miał 39 lat i żylak na prawej nodze nad kostką — szedł wolno, wielokrotnie zatrzymując się by wypocząć. Na każdym piętrze z ściany na wprost klatki windy olbrzymia twarz patrzyła z afisza. Był to jeden z tych portretów, które malowane są w taki sposób, że oczy idą za tobą gdziekolwiek się obrócisz. „WIELKI BRAT ŚLEDZI CIĘ“ — głosił napis umieszczony pod afiszem.

W mieszkaniu Winstona wysłodzony głos recytował kolumny cyfr będące w jakimś związku z produkcją surówki żelaza. Głos wydobywał się z podłużnej metalowej płyty, podobnej do zmatowanego lustra, która stanowiła część powierzchni prawej ściany pokoju. Winston przekręcił kontakt i głos zcichł nieco, choć słowa były ciągle słyszalne. Aparat, który zwano tele-ekranem można było przyciszyć lecz nie było możliwe wyłączyć go całkowicie.

Winston podszedł do okna. Był drobny, szczupły a niebieski kombinezon, który stanowił uniform partyjny — podkreślał jeszcze chudość jego postaci. Włosy miał jasne, twarz ogorzałą, skórę na policzkach szorstką od ordynarnego mydła, lichej brzytwy i mrozów, które skończyły się niedawno.

Krajobraz na zewnątrz, nawet poprzez zamknięte okno, wydawał się zimowy. W dole, na ulicy, spirale wiatru porywały w górę tumany kurzu i śmiecia i chociaż świeciło słońce a niebo jaśniało ostrym błękitem — widok jaki rozpościerał się przed nim, czynił wrażenie pozbawionego barwy, z wyjątkiem afiszów, które panoszyły się wszędzie. Twarz o czarnych wąsach spoglądała z każdego rogu. Jeden z portretów-gigantów przyklejony był na ścianie domu wprost na przeciw. WIELKI BRAT ŚLEDZI CIĘ — krzyczał napis, a czarne oczy patrzyły wprost w Winstona. W dole trzepotał się do połowy oderwany afisz odkrywając i zasłaniając pod kolejnymi uderzeniami wiatru — jedno słowo: „Anglo-Soc“.

W dali, helikopter ślizgał się pomiędzy dachami. Na chwilę zakolysał się w powietrzu jak wałka i odplłynął zygzakiem. To był patrol policji, podglądający ludzi przez okna. Patrole były bez znaczenia — ważna jedynie była „Policja Myśli“.

Za plecami Winstona, głos płynący z tele-ekranu mamrotał ciągle o surówce żelaza i nad-normach dziewiątego Planu Trzyletniego. Tele-ekrany były aparatami odbiorczo-nadawczymi. Najłżejszy głos jaki wydałby Winston, o natężeniu nieco większym niż najcichszy szept — był automatycznie przekazywany. Również jak długo znajdował się w zasięgu wizji tele-ekranu, można go było zarówno podsłuchiwać jak i obserwować. Oczywiście nikt nie wiedział czy w danym momencie jest śledzony, czy nie. Jak często Policja Myśli włącza swój aparat w celu obserwacji mogło być tylko przedmiotem domysłów. Nie można było wykluczyć, że obserwowali wszystkich i o każdym czasie. W każdym razie mogli włączyć swój podsłuch i podgląd do każdego mieszkania kiedy chcieli.

Trzeba było żyć w przeświadczeniu — z nawykiem, który stawał się instynktem — że każde słowo, czy dźwięk jest podsłuchane i każdy ruch (z wyjątkiem w ciemnościach) śledzony.

Winston stał obrócony plecami do tele-ekranu. Tak było bezpieczniej. Chociaż — jak sam dobrze to wiedział — i własne plecy mogą zdradzić. . .

W odległości kilometra wznosił się ku górze szeroki, biały budynek — „Ministerstwo Prawdy“ — miejsce jego pracy.

— To jest Londyn — pomyślał z nieokreśloną niechęcią. Główne miasto Pasa Lotniczego No 1., trzecie pod względem

zaludnienia miasto Oceanii. Usiłował z wspomnień dzieciństwa wydobyć odpowiedź na pytanie, czy Londyn zawsze był taki? Czy zawsze były tu owe perspektywy walących się dziewiętnastowiecznych domów ujętych w ramowania z bali drzewnych, z oknami pozabijanymi tekturą, z dachami pokrytymi falistą blachą i owe mury ogródków wijące się wariacko we wszystkie strony. Czy zawsze były to po-bombowiska, gdzie pył strzaskanych murów wibruje w powietrzu i wiklina rośnie dziko na zwalach gruzów? Albo miejsca, gdzie bomby wymiotły wszystko tworząc wolną przestrzeń na której wyrosły brudne, drewniane budy, jak kurniki?

Nic nie pamiętał. Z jego dzieciństwa nie pozostało nic z wyjątkiem serii jakby prześwietlonych klisz — pozbawionych perspektywy, tła i sensu.

Gmach Ministerstwa Prawdy — „PRAWDOMIN“ w nowo-mowie* — odcinał się wyraziście od wszystkich innych budowli na które patrzył. Był to drapacz chmur o kształcie olbrzymiej piramidy z połyskującego białą betonu, pnący się tarasami 300 metrów wzwyż. Z pokoju Winstona można było odczytać żłobione na białej fasadzie wytworne litery napisów trzech haseł partii:

WOJNA TO POKÓJ
WOLNOŚĆ JEST NIEWOLNICTWEM
NIEWIEDZA JEST SIŁĄ

Mówiono, że gmach Ministerstwa Prawdy liczy 3,000 pokoi i posiada ogromne rozgałęzienia podziemne. Londyn posiadał jeszcze trzy podobne drapacze. Te giganty wybijały się tak spośród reszty budowli miasta, że z tarasu gmachu Victoria można je było oglądać wszystkie równocześnie. Były to siedziby czterech ministerstw, które dzieliły między sobą całość władzy rządowej

Ministerstwo Prawdy zajmowało się prasą, widowiskami, wychowaniem i sztuką. Ministerstwo Pokoju interesowało się wojną. Ministerstwo Miłości dbało o poszanowanie prawa i porządku. Ministerstwo Obfitości zajmowało się sprawami gospodarczymi. W nowo-mowie odnośne skróty brzmiały: Prawdomin, Mirmin, Miłomin, Obfitomin.

Gmach Ministerstwa Miłości budził naprawdę grozę. Nie posiadał ani jednego okna. Winston nie był nigdy nie tylko wewnątrz Ministerstwa Miłości, ale nawet w odległości pół kilometra od tego gmachu. Można tam było wejść tylko służbowo i wówczas trzeba było przedostać się poprzez labirynt zasieków z drutu kolczastego, stalowych odrzwi i zamaskowanych stanowisk karabinów maszynowych. Ulice

* Nowo-mowa była oficjalnym językiem Oceanii. Bliższe szczegóły na ten temat znajdzie Czytelnik w przypisach na końcu książki.

wiodące do gmachu Ministerstwa przepelnione były strażnikami w czarnych mundurach o zwierzęcych twarzach. Strażnicy uzbrojeni byli w specjalne podwójne pałki.

Winston nagle się odwrócił. Twarzy nadal wyraz spokojnego optymizmu. Wskazane było przybierać tę maskę ilekroć zwracało się twarz ku tele-ekranowi. Przeszedł do swojej małej kuchenki. Wychodząc o tym czasie z Ministerstwa, musiał poświęcić obiad w stolówce, choć wiedział, że w jego kuchence nie ma nic do jedzenia oprócz kromki czarnego chleba, którą należało zachować na jutrzejsze śniadanie.

Wydobył z szafki butelkę bezbarwnego płynu z ordynarną biało-czarną nalepką i napisem: „Dżin — Zwycięstwo“. Płyn wydawał mdlący, oleisty odór przypominający zapach chińskiej wódki z ryżu. Nalał sobie niemal pełną szklanekę — zdusił w sobie odrzut wstępu i tyknął płyn jednym haustem jak lekarstwo. W sekundzie jego twarz stała się purpurowa a z oczu pociekły łzy. Dżin smakował jak kwas azotowy, a pijący odczuwał sensacje jakby go ktoś zdzielił pałką gumową po ciemieniu.

Jednak po chwili Winston odczuł ulgę. Ból w kiszki ustął a świat wydał mu się znacznie weselszy. Wyciągnął papierosa z pogniecionego pudełka z napisem „Zwycięstwo“. Uczynił to jednak nie dość zręcznie i cały tytoń z papierosa wysypał się na podłogę. Z następnym powiodło mu się lepiej.

Wrócił do pokoju i usiadł przy małym stoliku, który stał po lewej stronie tele-ekranu. Z szuflady wydobył pióro, flaszeczkę atramentu i gruby, czysty zeszyt w marmurkowych okładkach z czerwonym grzbietem.

Pod pewnym względem tele-ekran w pokoju Winstona umieszczony był w niezwyklej pozycji. Zazwyczaj umieszczano tele-ekrany na ścianie na wprost drzwi wejściowych, aby aparat swym zasięgiem kontrolował cały pokój. Natomiast w pokoju Winstona tele-ekran umieszczony był na ścianie vis à vis okna. W rogu znajdowała się mała wnęca, która — gdy budowano ten gmach — projektowana była zapewne na szafę z książkami. Winston, siedząc w tej wnęce, przyparty do ściany, znajdował się poza zasięgiem tele-ekranu. Jak długo trwał w tej pozycji, jego głos można było podsłuchać, nikt jednak nie mógł go obserwować.

W pewnej mierze to niezwykle rozplanowanie pokoju podsunęło mu ów projekt, który właśnie zamierzał wprowadzić w czyn. Również i piękny zeszyt, który przed chwilą wydobył z szuflady poddał mu tę myśl. To był istotnie szczególnie piękny kajet. Jego delikatny kremowy papier nieco już przyżółkł ze starości. Takiego gatunku papieru nie produkowano już co najmniej od 40 lat. Winston sądził, że zeszyt pochodzi z jeszcze odleglejszej epoki.

Zobaczył go w oknie małego zatęchłego sklepiku-rupieciarni w ubogiej dzielnicy miasta (adresu już dziś nie pamiętał). Natychmiast ogarnęło go przemożne pragnienie kupienia tej książki. Zgodnie z oficjalną opinią, członkowie Partii nie powinni nic kupować w zwyczajnych sklepach (opartych jeszcze o „wolny handel“). Przepisu tego nie przestrzegano zbyt rygorystycznie choćby i z tej przyczyny, że różnych artykułów jak np. sznurowadel do butów, czy ostrzy do golenia nie można było inaczej zdobyć.

Winston pamiętał, że rzucił błyskawiczne spojrzenie w lewo i w prawo — wślizgnął się szybko do sklepiku i kupił zeszyt za dwa i pół dolara. W owej chwili nie kupował go dla jakiegoś określonego celu. Wsadził go do teczki i wrócił do domu z niejasnym poczuciem winy. Zeszyt, nawet czysty, niezapisany, był kompromitującym przedmiotem.

Ów pomysł, który właśnie zamierzał urzeczywistnić — to był pamiętnik. Pisanie pamiętnika nie było rzeczą nielegalną. Nie mogło być nic bezprawiem, bo nie było w ogóle praw. Należało jednak przyjąć za pewnik, że gdyby władze wiedziały o całej sprawie, pamiętnikarza skazano by na śmierć lub co najmniej na 25 lat ciężkich robót w obozach pracy przymusowej.

Winston założył stalówkę i wytarł ją starannie. Pióro stanowiło archaiczny instrument i rzadko używano go nawet do podpisu. Winston zdobył swoje pióro potajemnie z pewnymi trudnościami. Myślał jednak, że piękny kremowy papier wart jest prawdziwego pióra (a nie skrobiącego atramentowego ołówka).

Nie był przyzwyczajony do pisania ręką. Z wyjątkiem chyba krótkich notatek w powszechnym użyciu były dyktafony. Oczywiście dyktafon nie nadawał się zupełnie do pisania pamiętnika.

Zamaczał pióro w kałamarzu i zawahał się. . . Wstrząsnął nim dreszcz. Napisać pierwszą literę na czystym papierze było decydującym aktem. Drobnym, niezgrabnym pismem napisał:

4 kwietnia 1984

Urwał. Ogarnęło go uczucie całkowitej beznadziejności. Właściwie nie wiedział z całą pewnością czy to był istotnie rok 1984. Był pewien, że ma 39 lat i urodził się w r. 1944 lub 1945 — sądził więc, że data, jaką napisał, w przybliżeniu była prawdziwa. Obecnie nie było możliwe wyznaczenie daty z wykluczeniem błędu roku lub dwóch lat.

Dla kogo właściwie zamierza pisać ten pamiętnik? — pomyślał nagle ze zdziwieniem. — Dla przyszłości? Dla kogoś czy czegoś nienarodzonego?

Jego myśl krążyła przez moment wokół wątpliwej daty na arkuszu aż skojarzyła się ze słowem nowo-mowy — „dwój-

myślenie". Po raz pierwszy zrozumiał w pełni całą doniosłość tego co zamierzał.

Jak można komunikować się z przyszłością? To jest z natury rzeczy wykluczone. Bo, albo przyszłość będzie podobna do teraźniejszości — w takim wypadku nie znajdzie w niej słuchacza — albo, będzie całkowicie różna i wówczas jego wyznaczenie będzie bez sensu.

Przez dłuższą chwilę siedział zapatrzony bezmyślnie w papier. W tele-ekranie zmieniono program na dziarskiego, wojskowego marsza.

Wydawało mu się zdumiewające, że nie tylko zatracił zdolność wypowiedzania się lecz, iż zapomniał również co właściwie pragnął powiedzieć. Całymi tygodniami przygotowywał się do tej chwili i nigdy nie przyszło mu dotąd na myśl, że będzie czegoś jeszcze więcej potrzebował niż odwagi. Przypuszczał, że samo pisanie przyjdzie mu łatwo. Bo właściwie, należało tylko przelać na papier ów niekończący się monolog, który nie milkł w jego duszy od tylu lat. Jednak w tej chwili nawet i monolog zcichł. Na dobitkę żylak zaczął go swędzić nie do zniesienia. Nie miał odwagi podrapać się bo wywoływało to zawsze jeszcze większe podrażnienie.

Czas mijał. Winston zatracił poczucie świadomości czegokolwiek poza białą pustą kartką papieru, nieznośnym swędzeniem żylaka na prawej nodze, muzyką z tele-ekranu i mgiełką w głowie, spowodowaną działaniem dżinu.

Zaczął pisać, nagle, jakby ogarnięty paniką, właściwie nie w pełni świadom słów, które padały na papier. Jego drobne dziecinne pismo pięło się w górę i zjeżdżało na dół, gubiąc po drodze najpierw duże litery a wreszcie nawet kropki:

„4 Kwietnia 1984. Wczoraj wieczorem w kinie. Same wojenne filmy. Jeden dobry, o statku pełnym uchodźców, bombardowanym gdzieś na Morzu Śródziemnym. Szczególnie zabawne zdjęcia jakiegoś grubasa, usiłującego wymknąć się pogoni helikoptera. Najpierw widać go prującego fale jak mors, potem, przez szkła lornety lotnika widać, że kule dziurawią go na wylot, woda wokół czerwienieje i człowiek idzie na dno jak gdyby gruby jego tułów nabrał wody jak dziurawa beczka. Publiczność zanosila się od śmiechu, gdy tak zniknął.

Potem na ekranie ukazała się łódź ratunkowa pełna dzieci i kołyszący się nad nią helikopter. Na dziobie siedziała starsza kobieta, podobna do Żydówki, z małym, może trzyletnim chłopcem na kolanach. Malec darł się ze strachu i pchał głowę między jej piersi, jakby usiłował znaleźć schronienie w głębi jej ciała. Kobieta, sama zzieleniała na twarzy z przerażenia, ogarniała go ramionami, zasłaniała jak mogła — może myślała, że jej ręce zdołają uchronić go od kul?

Helikopter wpakował 20-kilową bombę w sam środek łodzi. Błysnęło straszliwie i wszystko poszło w drzazgi. Aparat fotograficzny helikoptera świetnie uchwycił moment wybuchu, bo nagle ukazała się urwana rączka dziecinna, wyrzucona wysoko, wysoko w górę.

Z miejsc zajmowanych przez Partię posypały się huczne oklaski, ale w dole, w części kina przeznaczonej dla proletów, jakaś kobieta podniosła wrzask, że nie powinni tego pokazywać, nie na oczach dzieci przynajmniej! Krzyczała i darła się, dopóki policja nie wywaliła jej za drzwi. Nie przypuszczam aby coś się jej stało. Nikt się nie przejmuje gadaniem Proletów, typowa prolecka reakcja, oni nigdy.“

Winston urwał pisanie, częściowo dla tego, że zdrętwiał w przybranej pozycji. Nie wiedział co spowodowało w nim taki nagły wylew, ale uderzyło go spostrzeżenie, że w miarę pisania tych głupstw, w głowie skryształizował mu się zupełnie inny obraz tak jasno i dobitnie, że opisanie go przestało nastroczać trudności. Teraz zdał sobie sprawę, że to właśnie ten wypadek spowodował nagłą decyzję powrotu do domu i rozpoczęcia, dziś jeszcze, pisania pamiętnika.

Stało się to z rana w Ministerstwie — jeśli w ogóle, o czymś równie nieuchwytnym i mglistym można powiedzieć, że się „stało“.

Zbliżała się godzina tysiąc-setna i w Wydziale Dokumentów, miejscu pracy Winstona, zaczęto już przenosić krzesła z kabiniek na środek sali i ustawiać je frontem do wielkiego tele-ekranu, w przygotowaniu do „Dwóch Minut Nienawiści“. Winston siadał właśnie na swoim miejscu, w jednym ze środkowych rzędów, gdy niespodziewanie weszło do sali dwoje pracowników, mężczyzna i kobieta, znanych Winstonowi zaledwie z widzenia. Dziewczynę nieraz spotykał na korytarzu, ale nie wiedział nawet jak się nazywała. Pracowała w Wydziale Powieściowym, a że często widywał ją z umazanymi smarem rękami, wymachującą kluczem francuskim, domyślał się, że musiała obsługiwać jeden z automatów piszących powieści.

Wyglądała na dzielną dziewczynę, około 27 lat, z gęstymi ciemnymi włosami, piegowatą twarzą i zwinnymi, wysportowanymi ruchami. Wąska czerwona szarfa — odznaka Anty-seksu (Młodzieżowa Liga Anty-Seksualna) przepasywała jej kombinezon, uwydatniając kształtność bioder. Winston nie lubił jej od pierwszego wejrzenia, wiedział też dla czego: razila go bijąca od niej atmosfera boisk hokejowych, zimnego tuszu, młodzieżowych wycieczek i całej okrzyczanej prawomyślności ducha.

Winston w ogóle kobiet nie lubił, a w szczególności młodych i ładnych, bo z reguły właśnie kobiety były najgorętszymi, aż do bigoterii, wyznawczyniami Partii. To one

zachłystywały się najłatwiej sloganami, szpiegowały i węszyły najłżejsze odchylenie od prawowierności z oddaniem i pasją. Ale ta dziewczyna, specjalnie, robiła na nim wrażenie niebezpieczniejszej od innych. Raz, kiedy mijał ją na korytarzu, rzuciła mu spod rzęs szybkie, przenikliwe spojrzenie i na moment chwycił go blady strach.

— Agentka Policji Myśli — przemknęło mu przez głowę choć nie było to bardzo prawdopodobne. Od tej chwili, poczucie niejasnego niepokoju — mieszanina strachu i niechęci — ogarniało go zawsze na jej widok.

Drugim, który wszedł do sali był O'Brien, członek Wewnętrznej Partii, dostojnik zajmujący jakieś ważne i wysokie stanowisko, o którym Winston miał zaledwie słabe wyobrażenie.

Szmer rozmów urzędników zgrupowanych wokół krzeseł zcichł na widok czarnego kombinezonu członka Wewnętrznej Partii.

O'Brien był ogromnym mężczyzną o krótkim karku i pogodnych, choć grubych i brutalnych rysach. Mimo to, miał pewien wdzięk osobisty: ruch jakim wkładał okulary na nos, miał w sobie coś dziwnie rozbrajającego i w niewytłumaczony sposób zdradzał kulturę. Był to gest, który komuś, dostatecznie żywej wyobraźni, mógł przywoływać na myśl osiemnastowiecznego markiza częstującego tabakierą.

Winston widział O'Briena może kilkanaście razy na przestrzeni równie wielu lat, a mimo to czuł, że coś go niezmiernie pociąga do tego dobrze ułożonego człowieka o wyglądzie siłacza cyrkowego. Zdawał sobie sprawę z tego, że w równej mierze co kontrast między zachowaniem się i wyglądem, pociągało go do O'Briena potajemnie żywione przeświadczenie, (a może tylko nadzieja), że prawowierność polityczna O'Briena nie jest bez skazy. Coś w jego twarzy nasuwało to przypuszczenie nieodparcie. I znowu, może to nie odstępstwo od wiary malowało się na twarzy O'Briena, a tylko zwykła inteligencja? W każdym razie robił wrażenie człowieka z którym można by się porozumieć, gdyby tylko znaleźć się z nim sam na sam i jakoś oszukać tele-ekran.

Winston nie zdobył się jednak nigdy na wysiłek w celu sprawdzenia słuszności swych domysłów i w istocie, nie istniała po temu żadna możliwość.

W tym momencie O'Brien spojrział na zegarek, stwierdził, że dochodziła godzina tysiąc-setna i najwyraźniej zdecydował się pozostać w Wydziale Dokumentów na czas „Dwóch Minut Nienawiści“. Zajął miejsce w tym samym rzędzie co Winston, o dwa krzesła dalej. Między nimi siedziała drobna, bezbarwna blondynka, pracująca w kabinie obok Winstona. Ciemnowłosa dziewczyna usiadła tuż za nimi, z tyłu.

Nagle, z tele-ekranu wydobył się ohydny skrzypliwy zgrzyt, jakby puszczone w ruch monstrualną maszynę o nie

naoliwionych trybach. Dźwięk do tego stopnia nieznośny, że mimowoli włosy stawały na głowie i trzeba było zacinać zęby. Tak zaczynała się „Nienawiść“.

Jak zwykle twarz Emanuela Goldsteina, wroga ludu, ukazała się na ekranie. Tu i ówdzie wśród publiczności dały się słyszeć świsty. Bezbarwna blondynka wydała z siebie kwik, w którym strach zlewał się ze wstrętem.

Emanuel Goldstein był renegatem, odstępcą, który ongiś, dawno temu (jak dawno nikt właściwie nie wiedział) — był jedną z czołowych osobistości Partii, niemal na równi z Wielkim Bratem, a potem dał się wciągnąć w działalność antyrewolucyjną. Skazany na śmierć, zdołał zbiec w tajemniczy sposób i zniknął z horyzontu.

Programy „Dwóch Minut Nienawiści“ zmieniały się z dnia na dzień, ale Goldstein był zawsze ich głównym bohaterem, reprezentował bowiem pierwszą zdradę, grzech pierworodny wobec czystości Partii. Wszystkie następne zbrodnie, zdrady, sabotaże, herezje i odchylenia od linii politycznej, popłynęły jak ze źródła z jego zgubnego przykładu. Obecne miejsce pobytu Goldsteina nie było znane. Być może przebywał za Oceanem, pod opieką możliwych protektorów, a być może nawet — jak mówiły pogłoski — jego kryjówka znajdowała się na terenie samej Oceanii.

Winston odczuł przykry skurecz żołądka. Ilekroć patrzył na twarz Goldsteina odczuwał bolesne sensacje. Była to szczupła, twarz, otoczona aureolą białych, puszystych włosów, z małą kozią bródką. Twarz inteligentna a jednocześnie jakby z akcentem wrodzonej podłości. W rysunku długiego, cienkiego nosa, na którym sterczały okulary, kryła się naiwna nieporadność starca.

Głowa Goldsteina przypominała łeb owcy i nawet jego głos miał w sobie coś z owczego beku.

Wróg Ludu wygłaszał właśnie swój codzienny, jadowity monolog atakujący doktrynę Partii, w sposób, z jednej strony tak przejawskrawiony i przesadny, że nawet i dziecko przejrzało by go na wskroś, z drugiej zaś strony, atak brzmiał na tyle szczerze, aby zbudzić w przeciętnym słuchaczu uczucie niepokoju, że kto inny, mniej odeń zrównoważony i gorzej poinformowany, mógłby się dać wziąć na lep goldsteinowskiej propagandy.

Z tele-ekranu płynął potok obelg na Wielkiego Brata i oszczerczych zarzutów pod adresem Partii. Goldstein domagał się natychmiastowego zawarcia pokoju z Eurazją. Gardłował na rzecz wolności mowy, wolności prasy, wolności zgromadzeń i wolności myśli, krzyczał histerycznie o zdradzie rewolucji — a wszystko w tempie i w stylu doskonale parodiującym krasomówcze popisy dostojników partyjnych, włącznie z wstawkami z Nowo-mowy — dużo częstszymi niż normalnie u mówców partii.

Równocześnie, aby rozwiać jakiegokolwiek wątpliwości — jakiego rodzaju rzeczywistość kryje się poza potokiem słów Goldsteina — na ekranie poza jego głową, maszerowały niekończące się kolumny wojsk Eurazji. Jeden za drugim szeregi żołnierzy o tępych, azjatyckich twarzach wypływały na powierzchnię ekranu i niknęły ustępując miejsca nowym. Głuchy, rytmiczny łomot butów żołnierskich stanowił tło dla głosu Goldsteina.

Audycja „Nienawiści“ nie trwała jeszcze pełnych trzydziestu sekund, a już połowa obecnych na sali poczęła wydawać z siebie wściekłe wrzaski. Uśmiechnięta, owcza twarz Goldsteina w zestawieniu z przerażającą wizją wojsk Eurazji stwarzały obraz nie do zniesienia, a poza tym, sam widok, sama myśl o Goldsteinie — powodowały strach i gniew jako automatycznie pewną reakcję. Był on bowiem przedmiotem nienawiści dużo bardziej stałym niż Eurazja, czy Wschodnio-Azja, jako, że stan wojny z jednym z tych mocarstw równał się stanowi pokoju z drugim.

Co było istotnie zastanawiające, to fakt, że choć Goldstein był znienawidzony i pogardzany przez wszystkich, choć każdego dnia i po tysiąc razy dziennie, zwalczano go i wyśmiewano z tele-ekranów, na trybunach mówców, w gazetach i w książkach, a jego nauka była stale wystawiana na pośmiewisko publiczne — wpływ jego nie malał. Ciągłe znajdowały się nowe ofiary, gotowe mu się poddać i nie minął dzień, aby Policja Myśli nie demaskowała szpiegów i sabotażystów działających na usługach Goldsteina.

Wróg Ludu, był równocześnie wodzem wielkiej armii cieniów, podziemnej organizacji konspiracyjnej, której zadaniem miało być obalenie państwa. Organizacja miała jakoby nosić miano „Braterstwa“. Krążyły również szeptane opowieści o pewnej okropnej książce Goldsteina, będącej esencją wszystkich jego herezji. Książka ta nie miała tytułu i podobno przechodziła z rąk do rąk w najgłębszej tajemnicy pod nazwą „Księgi“, ale o tym wszystkim wiedziało się tylko z niejasnych pogłosek, bo ani „Braterstwo“ ani „Księga“ nie były tematem możliwym do poruszenia wśród członków Partii.

W drugiej minucie „Nienawiść“ przybrała formę szaleństwa. Ludzie podrywali się z miejsc, skakali na krzesłach i krzyczeli na całe gardło, starając się utopić we wrzasku irytujące pobekiwanie dochodzące z ekranu.

Mała, płowłosa kobiecina miała czerwoną twarz i usta jej zamykały się i otwierały ruchem duszącej się ryby. Nawet w twarzy O'Briena malowało się podniecenie. Siedział wyprostowany w krześle, a jego tors prężył się i napinał, jakby miał się oprzeć uderzeniu potężnej fali. Ciemnowłosa dziewczyna, za Winstonem, krzyczała: „Świnia! Świnia!“ — i nagle, zamachnęła się ciężkim słownikiem Nowo-mowy

i wyróżnęła nim w ekran. Słownik uderzył w nos Goldsteina i spadł — głos z ekranu płynął nieprzerwanie.

Winston zdał sobie nagle sprawę, że i on krzyczy wraz z innymi i wali obcasami w krzesło. Najstraszniejszą stroną „Nienawiści“ było nie to, że trzeba się było zgrywać, lecz przeciwnie, że wykluczone było wylamać się z ogólnego transu szaleństwa. Już po pierwszych trzydziestu sekundach, wszelkie udawanie było niepotrzebne. Potworna ekstaza strachu i okrucieństwa, żądzy zabijania i zadawania tortur, walenia w mordę i druzgotania kości — zdawała się porażać zgromadzonych jak prąd elektryczny, zamieniając człowieka, nawet wbrew napiętej w proteście woli, w rozwrzeszczanego, zapienionego szaleńca.

A przecież — wściekłość, w ten sposób wywołana, była sama w sobie uczuciem abstrakcyjnym i pozbawionym kierunku, siłą dającą się kierować z przedmiotu na przedmiot, jak płomień lampy acetylenowej.

Toteż w pewnym momencie, nienawiść Winstona skierowała się nie przeciwko Goldsteinowi, lecz wprost przeciwnie — przeciwko Wielkiemu Bratu, Partii i Policji Myśli; Wtedy serce jego wezbrało współczuciem dla samotnego, wyśmianego przez wszystkich heretyka, którego twarz, na ekranie, zdawała się być jedyną ostoją prawdy i zdrowych zmysłów w tym morzu kłamstwa. Ale już w sekundę potem czuł się solidarny z otaczającym go tłumem i wszystko co zarzucano Goldsteinowi przyjmował za prawdę. Głęboko tajony wstręt do Wielkiego Brata, przeistaczał się nagle w uwielbienie i oto, Wielki Brat jawił mu się jako niezwyoczony i nieustraszony opiekun, skała górująca nad zalewem hord azjatyckich — zaś Goldstein, pomimo odosobnienia i bezbronności, urastał do potęgi złowrogiego czarownika, który samą siłą swego głosu może zniszczyć strukturę cywilizacji.

Czasami było nawet możliwe, zmieniać kierunek Nienawiści aktem woli. Nagle, gwałtownym wysiłkiem, przypominającym szamotaninę się z koszmarem snu, z którego, za wszelką cenę, chcemy się obudzić — Winstonowi udało się przełączyć nienawiść z twarzy na ekranie, na osobę ciemnowłosej dziewczyny, siedzącej za nim. Jaskrawe, dzikie halucynacje płonęły mu w głowie: zakatować ją na śmierć razami gumowej pałki, przywiązać ją nagą do pała i szyc do niej z łuku aż strzały pokryją jej ciało jak Św. Sebastiana! Gwałcić ją i poderżnąć jej gardło u szczytu rozkoszy!

Teraz dopiero zrozumiiał, skąd brała się jego niechęć do dziewczyny: to za to, że była młoda i ładna i jakby świadomie odarta z powabu swojej płci, za to, że Winston płonął żądzą posiadania jej i wiedział, że pożąda na darmo, bo wiotką kibić dziewczyny, jakby stworzoną do uścisku męskiego ramienia, opasywała nienawistna, czerwona szarfa. zaczepny symbol dziewictwa.

„Nienawiść“ osiągnęła szczyt. Głos Goldsteina był już istotnie beczeniem owcy i na ułamek sekundy twarz jego zamieniła się w owczy łeb, aby w następnej chwili zlać się z postacią eurazjańskiego żołnierza, który następował groźny, i rosnący na ekranie w łoskocie tomiganów, sprawiającym, że ludzie w pierwszych rzędach cofali się do tyłu. Ale w tej samej chwili, westchnienie ulgi powitało pojawiającą się na ekranie, czarnowłosą, czarnym wąsem ozdobioną, pełną siły i tajemniczego spokoju, twarz Wielkiego Brata. Twarz tak potężnych rozmiarów, że wypełniającą niemal całą powierzchnię ekranu. Nikt nie słyszał co powiedział Wielki Brat. zapewne parę słów otuchy, takich, jakie padają z ust wodza w czasie bitwy, nie ważne same w sobie, ale zdolne przywrócić zaufanie samym brzmieniem głosu. Potem i ta twarz poczęła zanikać, a na ekran wypląły się wielkie litery trzech sloganów Partii:

WOJNA JEST POKOJEM!
WOLNOŚĆ JEST NIEWOLNICTWEM!
NIEWIEDZA JEST SIŁĄ!

Twarz Wielkiego Brata nie zniknęła jednak od razu. Zamglone rysy zdawały się utrzymywać na ekranie jak gdyby wrażenie, które uczyniły na obecnych było zbyt wielkie, by tak prędko przeminąć.

Niepozorna blondynka rzuciła się nagle w przód z wyciągniętymi ramionami, a z ust jej wydarł się szept: „Zbawco mój“! Potem ukryła twarz w dłoniach ruchem znamionującym pogrążenie w modlitwie.

Zebrani rozpoczęli skandować rytmicznie: „W — B“, „W — B“, „W — B“, raz za razem, pomału, robiąc długie przerwy między jedną a drugą literą. Stanowiło to głuchy, szumny podźwięk, w którym kryło się coś dzikiego — jakby dudniły w nim kroki bosych stóp i bębnienie tam-tamów. Skandowanie trwało przez co najmniej trzydzieści sekund. Pojawiało się ono zawsze w momentach szczytowego rozentuzjazmowania tłumów i stanowiło po części hymn na cześć mądrości i władzy Wielkiego Brata, po części zaś było aktem auto-hipnozy, rozmyślnego głuszenia świadomości rytmicznym hałasem.

Winstonowi zdawało się, że chłód przenika mu wnętrzości. Nie było sposobu oprzeć się ogólnemu delirium „Dwóch Minut Nienawiści“, ale to nieludzkie skandowanie „W — B“, „W — B“, — zawsze napawało go przerażeniem. Oczywiście skandował wraz z innymi, wykluczone było nie skandować. Umieć ukryć prawdziwe uczucie, kontrolować wyraz twarzy czynić to, co wszyscy dookoła — było już normalną reakcją instynktu, ale jeszcze czasem zdarzały się momenty, ułamki sekund, kiedy wyraz oczu mógł go

zdradzić. Właśnie w takiej niebezpiecznej chwili zaszedł ten wypadek — o ile, istotnie miało to miejsce.

W pewnym momencie Winston napotkał spojrzenie O'Briena. O'Brien wstawał, okulary miał w ręku i właśnie wkładał je z powrotem na nos, swoim charakterystycznym ruchem. Na ułamek sekundy oczy ich spotkały się i tak długo, jak trwało to spotkanie, Winston czuł pewność, niezachwianą pewność, że O'Brien myśli to samo co i on. Spojrzenie zawierało wyraźny sygnał porozumienia, zupełnie tak, jakby głębie ich świadomości otworzyły się ku sobie nawzajem, a myśli popłynęły swobodną wymową oczu.

„Jestem z tobą“ — zdawał się mówić O'Brien.

„Wiem doskonale co czujesz, znam twoją pogardę, nienawiść i obrzydzenie, ale nie trap się, ja jestem po twojej stronie!“

W następnej sekundzie błysk zrozumienia zniknął i twarz O'Briena była równie nieprzenikniona, jak czyjkolwiek inna.

To było wszystko. Już teraz Winston nie był pewien czy zdarzenie istotnie miało miejsce. Tego rodzaju wypadki nie miały z reguły następstw. Ich znaczenie polegało na podtrzymaniu w Winstonie wiary czy nadziei, że istnieją jeszcze poza nim, inni wrogowie Partii. Być może pogłoski o olbrzymiej, podziemnej organizacji, miały w sobie coś z prawdy, może Braterstwo nie było czystym wymysłem, choć pomimo niekończących się aresztowań, kajań i egzekucji, trudno było w to wierzyć. Były dni, kiedy Winston czepiał się tej wiary, a kiedy indziej całkowicie wątpił. Dowodów nie było żadnych, tylko nieuchwytne migawki, które mogły znaczyć wiele lub nic. Podsluchane urywki rozmów, wpółzatarłe gryzmoły na ścianach klozetów, kiedyś, czasem, przy jakimś spotkaniu nieznanym — drobny ruch rąk, który mógłby wyglądać na umówiony znak. To były jednak tylko domysły. Równie prawdopodobne było, że wszystko to mu się tylko zdawało.

Winston powrócił do swojej kabinki unikając widoku O'Briena. Pomysł kontynuowania ich myślowego zbliżenia, nawet nie powstał mu w głowie. Założywszy, że nawet wiedziałby jak się do tego zabrać — byłoby to niewypowiedziane niebezpiecznym przedsięwzięciem.

Wyraziste spojrzenie, trwające jedną czy dwie sekundy — i na tym koniec. Ale nawet to stanowiło ważny wypadek w tej, zabitej deskami samotności w której trzeba było żyć.

Winston podniósł się i usiadł wyprostowany. Odbiło mu się głośno — to dżin zaczął szkodzić mu na żołądek.

Skupił wzrok na leżącym przed nim zeszytcie i nagle zdał sobie sprawę, że gdy tak siedział zamyślony, ręka jego musiała automatycznie kreślić słowa na papierze. Zauważył

też, że pismo nie było już takie krzywe i niezdarne jak przedtem, lecz przeciwnie — pióro jego musiało krośnić te wielkie piękne litery z zamilowaniem i pasją:

PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM

jedno pod drugim — słowa te zapelniały pół strony.

Nagle — zatrzęsła nim trwoga. Zdawał sobie sprawę, że fakt napisania tych słów nie stanowi większego niebezpieczeństwa niż samo pisanie pamiętnika, a mimo to ogarnęła go pokusa wydarcia zniszczonych stron i zaniechania całego pomysłu. Nie uczynił tego jednak. Wiedział z góry, że byłoby to bez najmniejszego znaczenia. Czy napisał: „PRECZ Z WIELKIM BRATEM“, czy by powstrzymał się od tego — nie odgrywało, w gruncie rzeczy, żadnej roli. Czy będzie nadal pisał pamiętnik, czy zniszczy go i zaniecha pisania — pozostanie to bez wpływu na dalszy bieg rzeczy. Policja Myśli dostanie go w swoje ręce tak, czy owak.

Winston Smith popełnił bowiem zbrodnię, która by była zbrodnią również i wtedy, jeśli by w ogóle nie miał pióra w ręce, zbrodnię zasadniczą w której mieściły się wszystkie inne — Zbrodnię Myśli!

Tego nie można było ukryć na zawsze. Czasem udawało się przytącić na jakiś czas, nawet na parę lat, ale w końcu Policja Myśli nakrywała przestępcę niezawodnie.

Aresztowanie następowało z reguły w nocy: nagle przebudzenie ze snu, brutalna dłoń szarpiąca za ramię, oślepiający blask latarki w oczy i krąg wrogich twarzy otaczający łóżko.

W przytłaczającej większości wypadków nie było ani rozprawy, ani nawet wzmianki o aresztowaniu. Ludzie po prostu znikali. Zawsze podczas nocy. Imiona ich skreślano z rejestru, wszelkie istniejące dowody ich życia i działalności niszczone. Zaprzeczano, aby kiedykolwiek żyli — reszty dopełniało zapomnienie. Ludzie ci byli zniszczeni na zawsze, starci z powierzchni życia. W języku Partii używało się dla nich określenia „unicestwieni“.

Winstona ogarnął nagle histeryczny pośpiech. Począł pisać swoim nieporadnym, nerwowym stylem:

„zastrzela mnie, no to co, strzela mi w tył głowy, no to co, precz z wielkim bratem — oni zawsze strzelają w tył głowy, no to co, precz z wielkim bratem. . .“

Poprawił się w krześle i odłożył pióro — zawstydzony nieco samym sobą. Po chwili ujął je ponownie z pasją.—

Ktoś pukał do drzwi.

— Już! — przemknęło mu przez myśl. Siedział cicho jak mysz w plonnej nadziei, że ktokolwiek by to nie był — może nie zapuka powtórnie i odejdzie.

Lecz nie — pukanie powtórzyło się. Najgorszą taktyką byłoby zwlekać. Serce biło mu jak młotem — lecz jego twarz, na skutek lat nawyku, prawdopodobnie pozbawiona była wszelkiego wyrazu.

Uniósł się z krzesła i ciężko podszedł do drzwi.

II.

Gdy ujmował za klamkę uświadomił sobie, że pamiętnik zostawił otwarty na stole. Na całej stronie napisy: „Precz z Wielkim Bratem“ były tak wielkie, że niemal czytelne poprzez długość pokoju. Było to niepojętą głupotą, lecz mimo paniki, zdawał sobie sprawę, iż nie chciał po prostu zawałać kremowego papieru zamykając pamiętnik gdy atrament jeszcze nie wyszechl.

Wstrzymał oddech w piersiach i otworzył drzwi. Ogarnęło go ciepło fali nagłego odprężenia. W progu stała kobieta o wychudzonej twarzy, szara, złamana, z włosami spiętymi w węzeł.

— Towarzyszu — jęknęła suchym, żebrzącym głosem. — Słyszałam jak wracaliście do siebie. Czy nie zechcielibyście przyjść do nas i rzucić okiem na zlew w kuchni. Znów się zatkał i . . .

Była to pani Parsons, żona sąsiada z tego samego piętra. (Partia ganiła używanie słowa „pani“, i zgodnie z oficjalną opinią winno się było stosować tytuł: „towarzysz, towarzyszka“ — lecz w stosunku do pewnych kobiet, słowo „pani“ narzucało się niemal instynktownie).

P. Parsons była kobietą około lat 30, lecz wyglądała nieporównanie starszej. Patrząc na nią odnosiło się wrażenie, że bruzdy na jej twarzy wypełnione były brudem i pyłem.

Winston bez słowa ruszył za nią korytarzem. Amatorskie naprawy były tu codzienną udręką. Gmach Victoria zbudowano w r. 1930, czy w okresie zbliżonym do tej daty. Budowla szła po prostu w ruinę. Tynk spadał płatami z sufitów i ścian, rury wodociągowe pękały przy lada mrozie, dach przeciekał ilekroć leżało na nim trochę śniegu, centralne ogrzewanie działało marnie, o ile w ogóle nie było całkowicie zamknięte ze względów oszczędnościowych. Naprawy, z wyjątkiem tych, które każdy lokator potrafił sobie sam zrobić — musiały być zatwierdzane przez komitety, a na pozwolenie wstawienia nowej szyby czekało się nieraz i dwa lata.

— Ach, to wszystko dlatego, że Toma nie ma w domu — odezwała się p. Parsons z pewnym wahaniem.

Mieszkanie pp.Parsons było większe niż Winstona i chociaż równie nieporządne, to jednak, nieład utrzymany tu był w innym stylu. Wszystko wokół wyglądało jakby zdeptane i pogruchotane. Odnosiło się wrażenie, jakby tuż przed chwilą szalało tu jakieś olbrzymie zwierzę. Przybory sportowe — kije hokejowe, rękawice bokserskie, piłka nożna z której uszło powietrze, prze pocone spodeńki gimnastyczne, wyrócone na lewą stronę, wszystko to, w nieładzie kłębiło się na podłodze. Na stole piętrzyły się sterty niepomytych naczyń, a obok talerzy zeszyty szkolne z pozaginanymi oślimi uszami.

Na ścianach czerwone sztandary Ligi Młodych i Zwiadowców, a pośrodku w pełnych wymiarach portret-afisz Wielkiego Brata.

Nad wszystkim unosił się odór gotowanej kapusty, charakterystyczny dla całego gmachu. Poprzez ten odór przebijał się odór potu i choć byłoby to trudno wyjaśnić — wystarczyło pociągnąć nosem, by nabrać pewności, że był to pot kogoś nieobecnego w tej chwili w mieszkaniu.

W drugim pokoju ktoś grał na grzebieniu przez założoną bibulkę w takt wojskowej muzyki, która bez przerw płynęła z tele-ekranu.

— To dzieci — powiedziała p.Parsons z wyrozumieniem. — Nie wychodziły dziś z domu i oczywiście . . .

P.Parsons miała zwyczaj nie kończenia ostatniego zdania. Zlew w kuchni był pełny niemal po brzegi, a brudna, zielonkawa woda wydawała jeszcze gorszy odór niż kapusta. Winston ukląkł i zaczął badać połączenie rury pod zlewem. Bardzo nie lubił paprać się z tym i pochylać się, co nieodmiennie powodowało ataki kaszlu.

P.Parsons stała obok i patrzyła bezradnie.

— Oczywiście, gdyby Tom był w domu, naprawiłby to natychmiast — odezwała się po chwili. — On tak lubi wszystkie naprawy i jest taki zgrabny. Tom. . .

Parsons był kolegą Winstona w Ministerstwie Prawdy. Był to tłustawy ruchliwy typ, niesamowicie głupi — jeden z tych pewnych, oddanych robotów, którymi stała Partia w jeszcze znaczniejszym stopniu, niż Policją Myśli. Liczył 35 lat i właśnie (wbrew jego woli) skreślono go z listy członków Ligi Młodych. Nim skreślono go z Ligi Młodych, zdołał o rok dłużej niż określają to przepisy, zachować członkostwo Zwiadowców. W Ministerstwie zajmował podrzędne stanowisko, nie wymagające inteligencji — mimo to jednak, był duszą Komitetu Sportowego i wszystkich komitetów, związanych z organizowaniem wspólnych wycieczek, dobrowolnych demonstracji, kampanii oszczędnościowych, i wszystkich tzw. dobrowolnych akcji społecznych. Informował wszystkich z dumą — między jednym pyknięciem fajki, a drugim — że w czasie ostatnich czterech lat,

nie opuścił ani jednego wieczoru w miejscowym Klubie Społecznym. Potężna smuga zapachu potu — jakby niemy świadek jego wyczerpującego żywota — szła za nim wszędzie i świadczyła o nim nawet wówczas, gdy jego już nie było.

— Czy ma pani klucz francuski? — zapytał Winston manipulując koło nakrętki rury zlewu.

— Klucz . .? — powtórzyła p.Parsons bezradnie. — Pojęcia nie mam, może dzieci. . .

Wśród tupotu, wrzasku i trąbienia dzieci wpadły do pokoju. P.Parsons przyniosła wreszcie klucz. Winston odkręcił nakrętkę, wypuścił wodę i ze wstrętem wyjął kłęb ludzkich włosów, które zatkały przewód rury zlewu. Umył ręce pod kranem jak mógł najstaranniej i przeszedł do drugiego pokoju.

— Ręce do góry! — zawył dziki głos.

Ładny, doskonale zbudowany 9-cio letni chłopiec wychylił się zza rogu stołu, mierząc do niego z dziecinnego pistoletu. Jego dwuletnia siostrzyczka, powtórzyła ten sam groźny gest trzymając w ręczce patyk. Chłopiec i dziewczynka mieli na sobie niebieskie spodeńki i szare koszulki z czerwonymi krawatami. Był to służbowy strój Zwiadowców.

Winston podniósł ręce do góry z niejasnym, nieprzyjemnym uczuciem. Zachowanie się chłopca nacechowane było taką autentyczną złością, że nie była to już zabawa.

— Jesteś zdrajcą! — wrzasnął smarkacz. — Jesteś myślowym przestępcą, szpiegiem Eurazji, ja cię zastrzelę, ja cię zlikwiduję, ja wysłę cię do kopalni soli!

Zaczęli skakać koło niego wykrzykując: „zdrajca“, „myślowy przestępca“ — dziewczynka naśladowując w każdym ruchu swojego brata. Było w tym coś przerażającego. Podobnie baraszkują małe tygrysiatka, które niebawem wyrosną na pożeraczy ludzi.

W oczach chłopca czaiło się wyrachowane okrucieństwo, i nieprzeparta chęć kopnięcia czy ugodzenia Winstona. Z jego postawy biła świadomość, że już nie wiele potrzeba mu wyrósć, by te zamiary wprowadzić w czyn.

— Całe szczęście — pomyślał Winston — że chłopiec nie ma pod ręką prawdziwego pistoletu.

P.Parsons patrzyła niespokojnie, raz na Winstona, to znów na dzieci. W tym pokoju było więcej światła i Winston ustalił, ponad wszelką wątpliwość, że wśród zmarszczek na twarzy p.Parsons wrośnięty był brud.

— Dzieci są ogromnie hałaśliwe — powiedziała p.Parsons. — Są zmartwione, bo nie mogą pójść oglądać wieszania. Jestem zbyt zajęta by pójść z nimi, a Tom nie wróci z pracy na tyle wcześniej.

— Dlaczego nie możemy pójść przypatrywać się wieszaniu? — wrzasnął chłopiec.

— Chcemy widzieć wieszanie! Chcemy widzieć wieszanie!
— krzyczała na całe gardło dziewczynka, tańcząc koło stołu.

Winston przypomniał sobie, że tegoż wieczoru miano w parku powiesić kilku jeńców eurazyjskich za zbrodnie wojenne. Wieszanie odbywało się zwykle raz na miesiąc i było popularnym widowiskiem. Dzieci błagały zawsze by im to pokazać.

Winston pożegnał się z p.Parsons i wyszedł. Nie uszedł jednak nawet sześciu kroków po korytarzu, gdy nagle odczuł w karku przejmujący ból. Odniósł wrażenie jakby go ktoś ugodził rozpalonym do czerwoności drutem.

Odwrócił się nagle i jeszcze dostrzegł jak p.Parsons wciągała syna przemocą do mieszkania. Łobuz chował właśnie do kieszeni procę.

— Goldstein! — wrzeszczał chłopiec jeszcze za zamkniętymi drzwiami.

Gdy Winston znalazł się wreszcie w swoim mieszkaniu, przeszedł szybko koło tele-ekranu i usiadł przy stole masując obolały kark.

Przestano nadawać muzykę. Z tele-ekranu rozbrzmiewał ostry, wojskowy głos, który z upodobaniem podawał opis uzbrojenia nowych pływających fortec. Zostały one właśnie zakotwiczone pomiędzy Islandią a wyspami Faroe.

— Z tymi dziećmi — pomyślał Winston — żyje ta nieszczęsna kobieta w stanie ustawicznego terroru. Jeszcze rok, czy dwa, i dzieci śledzić ją będą dniem i nocą, wietrząc we wszystkim nieprawomyślność. Najgorsze było to, że organizacje tego typu co Zwiadowcy przemieniały dzieci w niezdyscyplinowanych dzikusów, z tym, że dzikość ta, nie budziła w nich zupełnie tendencji buntu przeciwko dyscyplinie Partii. Przeciwnie, dzieci uwielbiały Partię i wszystko co było z nią związane. Pieśni, pochody, wycieczki, musztry z drewnianymi karabinami, skandowanie hasel i sloganów, kult Wielkiego Brata — wszystko to było dla nich wspólnym sportem. Ich dzikość skierowywano na zewnątrz — przeciwko wrogom państwa, przeciwko cudzoziemcom, wdrajcom, sabotażystom, przestępcom myślowym. Ludzie po 30-ce bali się własnych dzieci. I mieli rację, bo niemal co tydzień „Times“ zamieszczał artykuł opisując jak to mały podsłuchiwaniec („dziecko-bohater“ — było w takich wypadkach określeniem powszechnie używanym) — podsłuchiwał jakąś kompromitującą uwagę wypowiedzianą przez ojca, lub matkę, o czym natychmiast doniósł Policji Myśli.

Kark przestał go boleć. Wziął ponownie do ręki pióro, jakby z wahaniem, zastanawiając się czy ma jeszcze coś do napisania w pamiętniku.

Nagle przyszedł mu znów na myśl O'Brien. Dawno temu — kiedyż to być mogło? Chyba z 7 lat temu, którejs nocy śniło mu się, że szedł przez ciemny jak grób pokój. I nagle, ktoś

siedzący obok, gdy Winston go mijal, powiedział: „Spotkamy się w miejscu, gdzie nie będzie ciemności“. — Zdanie to zostało wypowiedziane bardzo spokojnie — niemal od niechcienia — tonem oznajmienia, a nie rozkazu. Winston szedł nie zatrzymując się. Co dziwniejsze, w czasie tego snu, słowa te nie wywarły na nim większego wrażenia. Dopiero później, stopniowo, zaczęły nabierać sensu i znaczenia.

Nie pamiętał czy po raz pierwszy zobaczył O'Briena przed, czy po tym śnie. Nie pamiętał również kiedy uświadomił sobie, że głos, który słyszał we śnie był głosem O'Briena. Lecz niewątpliwie głos ten zidentyfikował. Ów ktoś, który mówił do niego z ciemności, to był O'Brien.

Winston właściwie nigdy nie wiedział — nawet po owym ranku, gdy ich oczy spotkały się na moment — czy O'Brien był wrogiem czy przyjacielem. Właściwie nie było to takie istotne. Między nimi istniała więź wzajemnego zrozumienia — ważniejsza niż uczucie czy koleżeństwo.

„Spotkamy się w miejscu, gdzie nie będzie ciemności“ — powiedział. Winston nie zdawał sobie sprawy co to miało oznaczać — był jednak pewien, że w taki, czy w inny sposób to musi się sprawdzić.

Głos w tele-ekranie zamilkł. Czysty metaliczny dźwięk trąbki zawibrował w martwym powietrzu pokoju.

Odezwał się zgrzytliwy głos:

— Uwaga, uwaga! W tej chwili nadeszła depesza z frontu w Malabar. Nasze wojska w Indiach południowych odniosły wspaniałe zwycięstwo. Jesteśmy upoważnieni do stwierdzenia, że zwycięstwo o którym przed chwilą donieśliśmy — może przybliżyć wymiernie koniec wojny. Oto tekst depeszy . . .

— Zaraz będą złe wiadomości — pomyślał Winston.

Istotnie, bezpośrednio po krwawych opisach zniszczenia eurazjańskich armii — przeplecionych astronomicznymi cyframi zabitych i jeńców — nastąpiła zapowiedź, że od następnego tygodnia racja czekolady zostaje obciążona z 30 gr. na 20 gr.

Winston czuł się jak balon, z którego wypuszczono powietrze. Odbijało mu się dżinem — alkohol przestawał działać.

Może w celu uczczenia zwycięstwa, lub w nadziei zatuszowania przykrego wrażenia, spowodowanego wiadomością zmniejszenia racji czekolady — nadawano przez tele-ekrany: „Oceanio, to dla ciebie. . .“

Właściwie powinno się stać na baczność. Winstona jednak, w jego obecnej pozycji, nikt nie mógł śledzić ani sprawdzić.

Wreszcie „Oceanio, to dla ciebie“ zastąpiono lekką muzyką. Winston wstał i podszedł do okna stojąc plecami do tele-ekranu. Na dworze było jeszcze jasno i zapewne zimno. Gdzieś daleko wybuchła bomba raketowa a gluche,

pełne drgań echo detonacji, uderzyło w okna. W owym czasie około 20 do 30 takich bomb tygodniowo spadało na Londyn.

W dole, na ulicy wiatr łomotał rozdartym afiszem i słowo „Anglo-Soc“ ukazywało się i ginęło z pola widzenia. „Anglo-Soc“, Święte zasady „Anglo-Soc“ (angielskiego socjalizmu). Nowo-mowa, dwój-myślenie — mutacja przeszłości. Miał wrażenie jakby wędrował po fantastycznej dżungli na dnie morza — zagubiony w potwornym świecie, sam będąc również potworem. Był sam. Przeszłość była martwa — przyszłość nieodgadła. Jakaż miał pewność, że choć jeden człowiek z żyjących był po jego stronie, za nim? I któż przewidzi, któż powie, czy władztwo Partii nie będzie trwało wiecznie?

Jakby w odpowiedzi wzrok jego natknął się na slogany Partii:

WOJNA JEST POKOJEM
WOLNOŚĆ JĘST NIEWOLNICTWEM
NIEWIEDZA JEST SIŁĄ

Wyjął z kieszeni monetę 25-cio centową. I na pieniążku, pięknie wyryte, lśniły te same słowa hasel Partii. Na odwrocie — podobizna Wielkiego Brata. Nawet z dwudziestopięćcio-centówki wierciły cię te same oczy. Były wszechobecne — patrzyły na ciebie z monet — ze znaczków pocztowych — z okładek książek — z sztandarów — z afiszów — z pudełek papierosów — zewsząd. Oczy, które cię zawsze śledzą i głos który, cię wszędzie dosięże. Czy śpisz, czy czuwasz — czy pracujesz, czy jesz — w kąpielu, czy w łóżku — w domu, czy na dworze — nie ma ucieczki.

Słońce pochyliło się ku zachodowi i tysiące okien Ministerstwa Prawdy nagle zgasło. Robiły teraz wrażenie ciemnych strzelnic jakiejś ponurej fortecy.

Patrząc na olbrzymią piramidę drapacza chmur, Winston odczuł skurcz serca. Kolos był zbyt potężny by go szturmować. Tysiąc bomb raketowych nie zrównałoby go z ziemią.

Przyszło mu znów na myśl, dla kogo on właściwie pisze ten pamiętnik? Dla przyszłości — dla przeszłości — dla jakiejś innej, fantastycznej epoki? Nie czeka go śmierć, lecz unicestwienie. Pamiętnik zostanie obrócony w popiół, a on w obłok pary. Tylko Policja Myśli odczyta, co napisał, nim słowa te zniszczą i wydrą z pamięci ludzkiej.

Jak można odwołać się do przyszłości, skoro żaden twój ślad nie przetrwa — nawet liche słowo na skrawku papieru.

Z tele-ekranu rozległo się 14 uderzeń. Powinien wyjść najdalej za 10 minut. Rozpoczął pracę o 14'30.

Uderzenia zegara w dziwny sposób napelniły go otuchą. Był samotnym duchem wyznającym prawdę, której nikt nawet nie posłyszcy. Lecz jak długo sam wyznawał ją w ten

tajemny sposób, ciągłość była zachowana. By nieść dziedzictwo ludzkości, nie jest rzeczą konieczną zdobycie posłuchu — jest jednak rzeczą nieodzowną, pozostanie samemu duchowo zdrowym i prawym.

Usiadł przy stoliku, zamaczał pióro i napisał:

„Przyszłości czy przeszłości — epoce, kiedy myśl będzie wolna, kiedy ludzie nie będą ujednoczeni i nie będą samotni — epoce, w której istnieć będzie prawda i kiedy rzeczy dokonanych nie będzie można wymazać — zasłałam pozdrowienia z epoki jednolitości — z epoki samotności — z epoki Wielkiego Brata — z epoki dwój-myślenia.“

Był już trupem — pomyślał. Było dla niego oczywiste, że właśnie teraz, w tej chwili, kiedy zaczął formułować swoje myśli — uczynił decydujący krok. Konsekwencje czynu są zawsze zawarte już w samym czynie.

Napisał:

„Zbrodnia myślowa nie powoduje śmierci.
Zbrodnia myślowa JEST śmiercią.“

Obecnie, gdy uznał się za martwego, było rzeczą ważną utrzymać się przy życiu tak długo, jak długo okaże się to możliwe.

Powalał sobie palce atramentem. To był drobiazg, który mógł go zdradzić. Jakiś ciekawski lizus w Ministerstwie (np. ktoś w rodzaju małej blondynki, lub tej czarnej dziewczyny z działu powieściowego) — nagle okaże zdziwione zainteresowanie, że Winston w czasie przerwy obiadowej coś pisał. Potem sypną się i inne pytania: dlaczego używał staroświeckiego pióra — no i zasadnicze: co pisał? W takim wypadku wystarczy mały donosik do odpowiedniego departamentu.

Winston przeszedł do łazienki i zaczął szorować palce powalane atramentem. Ordynarne ciemno-brązowe mydło które darło skórę jak pilnik, do tego celu nadawało się doskonale.

Pamiętnik schował do szuflady. Byłoby rzeczą zupełnie bezcelową próbować go ukryć. Mógł jednak zapewnić sobie wskazówkę, czy odkryto go, czy nie. Włos odpowiednio położony był zbyt oczywisty i zdradzał intencje. Na opuszkę palca wziął drobny biały pyłek i położył go delikatnie w rogu książki. Jeżeli ktoś poruszy pamiętnik — pyłku w rogu nie będzie.

III.

Winston śnił o matce.

Myślał, że musiał mieć 10 lub 11 lat, gdy matka zniknęła. Była to postawna, wysoka, raczej milkliwa pani o wspaniałych, jasnych włosach i flegmatycznych ruchach.

Ojca pamiętał mniej wyraźnie. Był szczupłym brunetem w okularach i zawsze nosił schludne, ciemne ubrania. Szczególnie wyraźnie utkwiły w pamięci Winstona niezmiernie cienkie podszwy ojcowskich trzewików. Rodzice pochłonięci zapewne zostali przez jedną z pierwszych wielkich cystek w latach 50-tych.

Śniło mu się, że matka jest gdzieś głęboko, jakby pod powierzchnią życia i trzyma w ramionach jego młodszą siostrę. Wszystko co zostało mu w pamięci to obraz małego, delikatnego dziecka — zawsze milczącego, o dużych, bystrych oczach. Teraz matka i siostra patrzyły ku niemu. Obie były gdzieś pod ziemią w jakiejś studni, czy w bardzo głębokim grobie. Grób ten — choć był tak głęboko w dole, opuszczał się coraz niżej. To znów śnił, że są w kajucie tonącego statku i patrzą ku niemu poprzez ciemniejące masy wód. W kajucie jeszcze było powietrze — jeszcze patrzyły ku niemu i on widział ich twarze, lecz statek z każdą chwilą pogrążał się głębiej w ciemniejącą zieleń wody i za sekundę, czy dwie, ocean zabierze je na zawsze.

On był na lądzie w słońcu i na powietrzu, podczas gdy one dusiły się w agonii. One były dlatego tam, w głębi, by on mógł być na powierzchni. Wiedział o tym, i one o tym wiedziały. Czytał to w ich oczach. Nie było wyrzutu, ani w ich spojrzeniu, ani w ich sercach — tylko świadomość, że muszą umrzeć, aby on mógł żyć i, że taki jest nieodwołalny porządek rzeczy.

Nie pamiętał co się potem stało, ale w tym śnie miał pełną świadomość faktu, że one w jakiś sposób poświęciły swe życie dla niego.

Był to jeden z tych snów, który, mimo sennej scenerii, jest wątkiem wewnętrznego życia. W czasie takich snów uświadamiamy sobie pewne fakty i ich sens, a po przebudzeniu, odkrycia te wydają się nam nowe i cenne.

Winstonowi przyszło na myśl, że śmierć jego matki przed 30 laty była bolesna i jakże tragiczna, a dziś, taka już by nie była. Tragedia, należała bowiem do przeszłości — do epoki, kiedy istniało życie prywatne, miłość i przyjaźń — kiedy członkowie rodziny złączeni byli serdeczną solidarnością i nikt nie pytał o genezę, czy przyczynę tej więzi.

Odczuwał ból ilekroć myślał o matce. Umierała kochając go, a on był wówczas zbyt młody i egoistyczny, by w pełni odwzajemnić to uczucie. Nie pamiętał jak to było, lecz ona poświęciła swoje życie z miłości — wierna pewnym moralnym zasadom — jej własnym i niezmiennym.

Wiedział, że w obecnych czasach nic podobnego nie mogło by się zdarzyć. Dziś istniał strach — nienawiść — złość, natomiast uczucie pozbawione było godności, a ból głębi.

Wszystko to — wydawało mu się — wyczytał z oczu matki i siostry, które patrzyły ku niemu poprzez ciemniejącą zielenią wody, pograżając się coraz głębiej i głębiej. . .

Lecz oto śni mu się znów coś innego. Stał na puszystym, krótko strzyżonym trawniku. Był letni wieczór, a ukośne promienie słońca kładły na ziemię złote refleksy. Krajobraz na który patrzył, tak często powtarzał się w jego snach, że sam już nie umiałby powiedzieć, czy widział go kiedyś w rzeczywistości, czy znał go jedynie z marzeń. Na jawie nazywał ten widok „złotym krajem“. Była to łąka z trawą powygryzaną przez dzikie króliki, z ścieżką wijącą się zygzakiem, usianą tu i ówdzie kopcami kretowisk.

W rosnącym dziko szpalerze, na przeciwnym krańcu błonia, gałęzie wiązów kołysały się lekko w podmuchach wietrzyku, a gęsta masa liści falowała jak włosy kobiece. Gdzieś blisko szemrał niewidoczny potok o kryształowej, leniwie płynącej wodzie, a ryby pluskały się w cieniu rosnących po brzegach, rosochatych wierzb.

Dziewczyna o czarnych włosach szła łąką ku niemu. W pewnej chwili, jednym ruchem zdarła swą suknię i z pogardą odrzuciła precz. Była biała i piękna, lecz jej ciało nie budziło w nim pożądania. Właściwie ledwo je dostrzegał. Ów gest, którym odrzuciła suknię oczarował go i napelił uwielbieniem. Pańskość i wdzięk tego ruchu zdawały się przekreślać ów cały system myślowy — jakby Wielkiego Brata, Partię, Policję Myśli, można było zmieścić w nicość, jednym, wspaniałym gestem ramienia.

Ten gest datował się również z pra-dawnej epoki.

Winston przebudził się z imieniem Szekspira na wargach.

Z tele-ekranu zabrzmiał wiercący, przeraźliwy gwizd, który nadawano przez 30 sekund. Była godzina 07'15 — czas pobudki dla urzędników. Winston nagi wyskoczył z łóżka. Członkowie Zewnętrznej Partii otrzymywali tylko 3.000 kuponów odzieżowych rocznie, a na pidżamę trzeba było 600 kuponów.

Winston sięgnął po brudną koszulkę i szorty przewieszane przez poręcz krzesła. Łamańce gimnastyczne zaczęły się za trzy minuty. Gwałtowny atak kaszlu zgiał go niemal w pół. Taki atak przychodził zawsze po przebudzeniu i wyczerpywał go tak straszliwie, że dopiero gdy położył się na wznak i zrobił kilka głębokich wdechów — zaczynał znów oddychać normalnie. Żyłki nabrzmiały mu na skutek kaszlu i żylak rozboleł na dobre.

— Grupa między 30 a 40 — zatrajkotał świszczący kobiecy głos.

— Grupa 30-40 — stanąć w pozycji zasadniczej!

Winston stanął na baczność przed tele-ekranem na którym ukazała się postać młodej, może niepokażnej, lecz muskularnej kobiety w kostiumie gimnastycznym.

— Wyrzut ramion ćwic! — padła komenda. — Podaję tempo: raz, dwa, trzy, cztery! Naprzód towarzysze, trochę więcej życia! Raz, dwa, trzy, cztery!

Paroksyzm kaszlu nie wymazał ze świadomości Winstona wrażenia, jakie na nim wywarł sen, a monotonne ruchy ćwiczeń przybliżyły znów to wspomnienie. Gdy machinalnie wyrzucał ramiona w górę — w dół — nadawszy twarzy wyraz ponurego upodobania (co obowiązywało w czasie porannych, gimnastycznych łamańców) — usiłował w myślach odnaleźć mroczną drogę wspomnień wczesnego dzieciństwa. Było to bardzo trudne. Wszystko przed latami 1950-ymi zamazywało się w niepamięci. Jeżeli nie istnieją w ogóle żadne zewnętrzne znaki rozpoznawcze, czy dokumenty na które można by się powołać — względnie na których można by się oprzeć — życie jednostki zatracą swój kształt i kontury. Pamięta się wielkie wydarzenia, których może nigdy nie było — jakiś szczegół odarty z atmosfery i nastroju, a potem są już same białe plamy na których niczego nie można oznaczyć.

Wówczas wszystko wyglądało inaczej. Nawet nazwy krajów brzmiały odmiennie i inne niż obecnie były ich zarysy na mapach. Na przykład Pas Lotniczy No. 1 zwano wówczas Anglią, czy Brytanią. Winston był jednak pewien, że Londyn był zawsze Londynem.

Nie pamiętał okresu w swoim życiu, aby jego kraj nie był w wojnie, lecz musiało przecież być parę lat pokoju, w czasie jego dzieciństwa, gdyż jedno z najwcześniejszych wspomnień wiązało się z atakiem lotniczym, który wszystkich zaskoczył. Być może było to wówczas gdy bomba atomowa upadła na Colchester.

Nie pamiętał samego nalotu, lecz w pamięci utkwiał mu obraz ojca ściskającego kurczowo jego rączkę, gdy zbiegali w dół, w dół — gdzieś głęboko pod ziemię, krętymi schodami, które zdawały się uciekać pod jego nóżkami w głąb. Wreszcie tak był zmęczony, że zaczął płakać i musieli się zatrzymać aby wypocząć. Matka — jak zawsze flegmatyczna i powolna została daleko w tyle. Niosła jego malutką siostrę a może było to tylko zawiniątko z koców. Nie pamiętał czy siostra była już wówczas na świecie, czy nie.

Wreszcie wylądowali w jakimś gwarnym zatłoczonym miejscu, które rozpoznał. Była to stacja kolejki podziemnej. Ludzie siedzieli ciasno na kamiennej podłodze jeden koło drugiego — inni obsiedli metalowe prycze, zawieszane jedna nad drugą. Winston pamiętał, że rodzice znaleźli trochę miejsca na podłodze w sąsiedztwie pryczy, na której siedziała para starszków. Starszy pan miał na sobie porządne ciemne ubranie, a zepchnięta do tyłu czapka odsłaniała mleczno siwą czuprynę. Jego twarz była purpurowa, a niebieskie oczy pełne łez. Zalatywało od niego dżinem. Wyda-

walo się, że jego ciało wyparowuje alkohol zamiast potu i można by przysiąc, że łzy, obficie spływające po jego policzkach, były czystym dżinem. Lecz jego ból był szczery i jakże rozpaczliwie żaloszny mimo, że on sam był trochę pijany.

Winston, w swej dziecinnej główce, pojął wówczas, że stało się coś straszego — coś, co nie może być nigdy ani przebaczone, ani naprawione. Wydawało mu się wtedy, że wie co się stało. Ktoś, kogo staruszek kochał — może jego mała wnuczka — został zabity.

Starszy pan co chwilę powtarzał:

— Nie powinniśmy byli im ufać! Czyż nie mówiłem tego? Oto co przyszło na nas wzamian za to zaufanie! Nie powinniśmy byli ufać tym łobuzom!

Lecz jakim to „łobuzom“ nie należało zaufać — Winston pamiętał.

Mniej więcej od tego czasu wojna trwała nieprzerwanie, choć nie była to zawsze ta sama wojna. Przez wiele miesięcy, w okresie jego dzieciństwa, sam Londyn był widownią zaciekłych walk ulicznych. Niektóre sceny z tych walk utkwily mu żywo w pamięci. Lecz odtworzyć całą historię — to znaczy stwierdzić, kto, w danym okresie, walczył przeciw komu, było całkowitą niemożliwością, albowiem żadna wzmianka, obojętne pisana, czy mówiona, nie odnosiła się nigdy do innej wojny jak tylko wyłącznie do obecnej. W tej chwili na przykład w r. 1984 (jeżeli to był istotnie rok 1984) Oceania była w wojnie z Eurazją a w sojuszu z Wschodnio-Azją. W żadnym publicznym, czy nawet prywatnym oświadczeniu, nikt, nigdy by nie przyznał, że stosunki pomiędzy tymi trzema potęgami układały się kiedykolwiek inaczej niż obecnie. A przecież — jak Winston wiedział doskonale — zaledwie cztery lata temu Oceania była w wojnie z Wschodnio-Azją a w sojuszu z Eurazją. Lecz cóż? Był to tylko ułamek ukradkowej wiedzy — którą posiadał przypadkowo, ponieważ jego pamięć znajdowała się pod niedostateczną kontrolą.

Oficjalnie, ta zmiana konstelacji nigdy się nie wydarzyła — nie było jej. Oceania była obecnie w wojnie z Eurazją i dlatego była z nią w wojnie zawsze. Aktualny wróg uosabiał z zasady zło absolutne i wskutek tego, jakieś porozumienie z nim — nawet w przeszłości — było niemożliwością.

Wygiął się całym ciałem boleśnie ku tyłowi. (Ćwiczyli ruch obrotowy tułowiem, co miało rozwijać mięśnie pleców).

— Najokropniejsze jest to — pomyślał po raz tysięczny — że to wszystko może być prawdą. — Jeżeli Partia może położyć swą łapę na przeszłości i zawyrokować o takim, czy innym wydarzeniu, że ono w ogóle nigdy nie istniało — to jest to rzeczą straszniejszą, niż tortury i śmierć.

Partia mówi, że Oceania nie była nigdy w przymierzu z Eurazją. On, Winston Smith, wie, że Oceania była w przymierzu z Eurazją zaledwie cztery lata temu. Lecz gdzie spoczywa źródło tej wiedzy? Tylko w jego świadomości, która niebawem, wraz z nim, zostanie zniszczona. A jeżeli inni przyjmą narzucone przez Partię kłamstwo — jeżeli wszystkie dokumenty i źródła powtarzać będą tę brednię wówczas kłamstwo przejdzie do historii i stanie się prawdą. Slogan Partii głosi: „Kto kontroluje przeszłość — kontroluje przyszłość, kto kontroluje teraźniejszość — kontroluje przeszłość.“ A jednak przeszłość — choć z natury rzeczy podatna zmianom, nigdy nie była zmieniona. Cokolwiek było prawdą dziś — było prawdą od wieków. To jest całkiem proste. Trzeba tylko niekończącej się serii zwycięstw nad własną pamięcią. Oni zwą to „kontrolą rzeczywistości“ w nowo-mowie odpowiedni termin brzmi: „dwój-myślenie“.

— Spocznijs! — szczechnął głos instruktorki z tele-ekranu. Winston opuścił z ulgą ramiona i głęboko odetchnął. Jego myśl pogrążyła się w labiryncie „dwój-myślenia“: Wiedzieć i nie wiedzieć — być świadomym prawdy, mówiąc starannie opracowane kłamstwo — hołdować równocześnie dwu opiniom, wykluczającym się nawzajem, zdawać sobie z tego sprawę, i mimo to obie uważać za słuszne — walczyć logiką przeciw logice — odrzucać wszelką moralność w imię moralności, wierzyć, że demokracja jest nieosiągalna i równocześnie uważać Partię za stróża demokracji. Lecz przede wszystkim trzeba umieć zapominać ilekroć jest to potrzebne — przypomnieć sobie, jeżeli okaże się to konieczne i znów natychmiast zapomnieć. Istotą dwój-myślenia jest stosowanie mechaniki procesu, przeciwko samemu procesowi i to jest najwyższą subtelnością. Świadomie wprowadzać w akcję nieświadomość, by stać się nieświadomym aktu świadomie dokonanej hipnozy. By móc w ogóle zrozumieć termin „dwój-myślenie“ trzeba dwój-myśleć. Myśleć podwójnie.

Instruktorka podała znów komendę:

— Bacznosc! — A teraz zobaczymy — zawołała z zapalem — ilu z was zdoła dotknąć swych palców u nóg. Pochylać się wolno, kolana prosto, raz, dwa, trzy. . .

Winston nienawidził tego ćwiczenia, które powodowało nieznośny ból od pięt po krzyże. Kończyło się przy tym zwykle nowym atakiem kaszlu.

Znikła owa połowiczna przyjemność jaką znajdował w swoich rozmyślaniach. Przeszłość — doszedł do wniosku — nie tylko została zmieniona, lecz obecnie zniweczono ją już całkowicie. Jak można bowiem ustalić wydarzenie, choćby najbardziej oczywiste, jeżeli nie istnieją żadne źródła, czy dokumenty, nic, poza własną, indywidualną pamięcią.

Staral się sobie przypomnieć, w którym roku, po raz pierwszy, uslyszal o istnieniu Wielkiego Brata. Przypuszczal,

że musiało to być w latach 60-tych — nie był jednak pewien. W historii Partii Wielki Brat figurował oczywiście jako przywódca i strażnik rewolucji od samego początku. Jego dokonania cofano stopniowo w przeszłość, tak, że obecnie obejmowały one swym zasięgiem ów bajkowy świat lat 40-tych i 30-tych — kiedy to kapitaliści w dziwacznych cylindrach jeździli jeszcze po ulicach Londynu w olbrzymich, błyszczących limuzynach, lub w oszklonych karetach zaprzężonych w konie. Lecz nikt nie wiedział ile w tej legendzie kryło się prawdy, a ile kłamstwa.

Winston nie mógł sobie przypomnieć kiedy właściwie powstała Partia? Słowa ANGLSOC nie słyszało się nigdy przed rokiem 1960, ale było możliwe, że termin ten, w jego brzmieniu staro-mownym: „Angielski Socjalizm“ — był już w użyciu i przed tą datą. Wszystko rozplywało się jak we mgle. Czasem można było przygwoździć jakieś kłamstwo. Na przykład było nieprawdą, co podawały podręczniki historii Partii, że samoloty są wynalazkiem dokonany przez Partię. Winston pamiętał samoloty od najwcześniejszego dzieciństwa. Lecz niczego nie było można udowodnić — nie istniały bowiem żadne dowody.

Raz w ciągu całego swojego życia miał w ręce niewątpliwy dokumentalny dowód fałszerstwa faktu historycznego. I właśnie wtedy. . .

— Smith! — zapiszczał zły, zrzędlivy głos z tele-ekranu. — 6079 Smith W. — tak, to wy! Proszę się pochylić. Potracicie lepiej, tylko wam się nie bardzo chce towarzyszu! No, teraz ujdzie!

— Cała grupa spocznij! Patrzyć na tele-ekran!

Winston oblał się gorącym potem. Tylko jego twarz pozostała nieprzenikniona. Nigdy nie okazuj przerażenia, czy niechęci — nakazywał instynkt, — Jeden błysk oczu może zdradzić.

Obserwował jak instruktorka podniosła w górę ramiona — może bez wdzięku, ale niewątpliwie zgrabnie i umiejętnie i zaczęła pochyłać się wolno aż dotknęła wyciągniętymi dłońmi palców u nóg.

— Ot tak, towarzysze! Chciałabym byście ćwiczyli podobnie. Przypatrzcie się jeszcze raz. Mam 39 lat i czworo dzieci. Patrzenie! — wykonała ćwiczenie powtórnie. — Jak widzicie — zawołała z nutą dumy w głosie — nie zginam nóg w kolanach! —

Wyprostowała się i dodała:

— Wszyscy poniżej lat 45 są zdolni wykonać bezbłędnie to ćwiczenie. Nie wszyscy mamy przywilej walczenia na froncie, ale wszyscy powinniśmy utrzymać naszą sprawność fizyczną. Pamiętajcie o naszych chłopcach na froncie w Malabar i o marynarzach na pływających fortecach! Pomyslcie co oni muszą dać z siebie. No, spróbujcie jeszcze raz!

— Tak, tym razem lepiej, znacznie lepiej towarzyszu! — pochwalila Winstona, który gwałtownym zamachem ciała pochylił się i nie ugiąwszy kolan, dotknął dłońmi palców u nóg, po raz pierwszy od wielu lat.

IV.

Winston swą codzienną pracę rozpoczynał głębokim, bezwiednym westchnieniem, od czego nie zdołał go nigdy powstrzymać nawet bliski tele-ekran. Przysunął bliżej dyktafon, zdmuchnął pył z siatki mikrofonu i włożył okulary. Następnie rozwinął i spiął razem cztery rolki papieru, które wypadły właśnie z tuby poczty pneumatycznej, po prawej stronie biurka.

W ścianach jego celi były trzy otwory: po prawej stronie dyktafonu, mały otwór tuby poczty pneumatycznej dla korespondencji służbowej — po lewej większy, na gazety i wreszcie, w bocznej ścianie, w zasięgu ręki, znajdował się okrągły otwór chroniony siatką z drutu. Ten ostatni spełniał rolę kosza na papiery. Istniało dziesiątki tysięcy identycznych otworów w całym gmachu i to nie tylko w każdym pokoju, lecz również na korytarzach w bardzo małych odstępach jeden od drugiego. Dla pewnych przyczyn zwano te otwory „groby pamięci“. Jeżeli ktoś wiedział, że dany dokument winien być zniszczony, względnie, gdy ktoś spostrzegł na podłodze kawałek jakiegokolwiek papieru, podnosił go, powodowany automatycznym refleksem, i wrzucał do najbliższego „grobu pamięci“. Prąd gorącego powietrza wysysał natychmiast papier i wdmuchiwał go do olbrzymiego pieca, który znajdował się gdzieś w podziemiach gmachu.

Winston studiował tekst czterech notatek, które rozprostował odwinąwszy z rolek. Każda z notatek zawierała polecenie, ujęte w dwie, lub trzy linijki tekstu, w żargonie skrótów, który nie był wprawdzie nowo-mową, lecz składał się przeważnie z terminów nowo-mowy. Żargonem tym posługiwano się w Ministerstwie dla celów służbowych.

Oto ich tekst:

- I. „times 17.3.84. WB mowa przekręcona Afryka sprostować.“
- II. „times 19.12.83. Przepowiednie 3 p 4 kwart 83 błędy sprostować — bieżące dane.“
- III. „times 14.2.84. Obfitomin źle cytowane czekolada sprostować.“
- IV. „times 3.12.83. Rozdzienny WB cytuje niesoby — napisać cał-ponownie — zatwierdzenie góra p-rejestr.“

Z uczuciem pewnego zadowolenia Winston odłożył na bok ostatnie zlecenie. Było to bowiem zawile i odpowiedzialne zadanie, które lepiej było załatwić na końcu. Trzy pozostałe

zlecenia były normalną rutyną dnia codziennego. Drugie zlecenie wymagało tylko nieco szperania w wykazach statystycznych.

Winston przekręcił tzw. zwrotne numery na tarczy teleekranu i zamówił telefonicznie odpowiednie numery wydań „Times’a”. W kilka minut żądane egzemplarze wylądowały pocztą pneumatyczną na jego biurku.

Polecenia, jakie otrzymał, dotyczyły artykułów, względnie wiadomości, które, z takich czy innych przyczyn, uważano za konieczne zmienić — względnie — jak to oficjalnie określano — „sprostować”.

Z artykułu w „Times’ie” z dn. 17 marca mogłoby się na przykład wydawać, że Wielki Brat (WB) w przemówieniu z dnia 16 marca przepowiadał, iż na froncie południowo-indyjskim będzie panował spokój, a natomiast północna Afryka stanie się celem najbliższej eurazyjskiej ofensywy. Tymczasem stało się w rzeczywistości inaczej. Armie eurazyjskie podjęły ofensywę w południowych Indiach a w Afryce panował spokój. Było zatem rzeczą konieczną przedagować odpowiedni ustęp mowy Wielkiego Brata w ten sposób, aby zawierała ona dokładną przepowiednię faktów już dokonanych.

Albo weźmy jeszcze inny wypadek. „Times” z 19 grudnia ogłosił oficjalną zapowiedź, dotyczącą wytwórczości różnych dóbr konsumcyjnych, w czwartym kwartale 1983 r., który był również szóstym kwartałem dziewiątego, Trzyletniego Planu. Dzisiejsze wydanie „Times’a” przyniosło cyfry bieżącej produkcji z których jasno wynikało, że uprzednie oficjalne zapowiedzi były całkowicie fałszywe. Zadaniem Winstona były zmienić cyfry oficjalnych przepowiedni tak, by pokrywały się one z cyframi produkcji ogłoszonymi ostatnio.

Trzecie polecenie dotyczyło prostego błędu, który można było poprawić w kilka minut. Zaledwie w lutym Ministerstwo Obfitości zapewniło solennie (w oficjalnym tekście użyto słów: „kategoryczne zapewnienie”) — że w r. 1984 nie będzie żadnych obciążeń w tygodniowym przydziale czekolady. Tymczasem — jak Winston dobrze o tym wiedział — raczej czekolady obciążono z 30 gr na 20 gr z końcem bieżącego tygodnia. Nie trzeba się było nad tym wiele głowić, tylko uprzednie zapewnienie zastąpić ostrzeżeniem, że prawdopodobnie w kwietniu okaże się rzeczą konieczną obciążyć przydział czekolady.

Gdy w ten sposób wszystko załatwił, przypiął do odpowiedniego numeru „Times’a” swoje spisane na dyktafonie poprawki i całość korespondencji odesłał pocztą pneumatyczną. Następnie, całkowicie nieświadomym, machinalnym ruchem zmiął oryginały zleceń oraz własne bruliony i wrzucił w otwór „grobu pamięci” na pożarcie płomieniom.

Nie wiedział szczegółowo, co dzieje się w niedosiężnym labiryncie, do którego wiodły rozgałęzienia poczty pneumatycznej. Orientował się jednak ogólnie w tym wszystkim. Jak tylko zmiany, które uważano za konieczne przeprowadzić w danym wydaniu „Times’a“, zostały zebrane i sprawdzone — drukowano nowe poprawione wydanie tego samego numeru „Times’a“. Oryginalne wydanie niszczone, a na jego miejsce wstawiano w archiwach, bibliotekach, czytelniach itp. nowe, poprawione wydanie. Ten proces nieustannej zmiany stosowano nie tylko w odniesieniu do dzienników lecz również zmieniano w ten sam sposób treść książek, periodyków, broszur, afiszów, ulotek, filmów, kronik dźwiękowych, ilustracji, fotografii i wszelkiego rodzaju literatury i dokumentacji — jednym słowem wszystkiego co zawierać mogło jakiś szczegół ważny pod względem politycznym, czy ideologicznym.

Dzień za dniem — niemal minutę za minutą przeszłość uzgadniano z terażniejszością. W ten sposób wszystko, co przepowiadała Partia, zgadzało się oczywiście co do joty i mogło być dokumentalnie udowodnione. Nie pozwalano aby pozostał najmniejszy ślad z jakiejś wiadomości czy opinii, która nie harmonizowała z aktualną polityką. Cała Historia była tabliczką — wycieraną do czysta i zapisywaną ponownie, ilekroć zachodziła potrzeba.

Nigdy w żadnym wypadku nie było możliwe udowodnić, że dany fakt był przedmiotem historycznego fałszerstwa. Największy dział Wydziału Dokumentów — znacznie większy od tego, w którym pracował Winston — składał się z armii urzędników, których obowiązkiem było wyszukiwać i zbierać egzemplarze książek, dzienników i wszelkich dokumentów, które miały być wycofane i zniszczone. Wydania „Times’a“, które na skutek zmian koniunkturalnych w polityce, lub błędnych przepowiedni Wielkiego Brata — zmieniono i przedrukowano choćby i 12 razy — spoczywały na półkach nosząc zawsze oryginalne daty i numery. Ponieważ nie istniały już żadne inne (pierwotne) egzemplarze — któż mógł udowodnić, że dokonano fałszerstwa?

Książki były również ustawicznie zmieniane i przedrukowywane, lecz nikt nigdy nie przyznał, że dokonano w nich jakiegokolwiek zmiany. Nawet w pisemnych poleceniach, które otrzymywał Winston (niszczył je natychmiast gdy daną sprawę załatwił), nigdy nie nazywano rzeczy po imieniu. Natomiast zawsze była w nich tylko mowa o błędach, omyłkach drukarskich, wadliwie podanych cytatach itp. — co należało poprawić w imię obiektywnej prawdy.

Lecz w tej chwili, gdy „dopasowywał“ cyfry Ministerstwa Obfitości pomyślał, że tę operację trudno by było określić mianem fałszerstwa. To nie było nawet fałszerstwo tylko zastąpienie jednego nonsensu innym nonsensem. Większość

danych cyfrowych nie miała bowiem nic wspólnego z realnym życiem. Między tymi cyframi a życiem, nie było nawet tej więzi, jaka istnieje pomiędzy zwykłym kłamstwem, a rzeczywistością. Statystyki były w równej mierze dziełem fantazji w oryginalnym, co w poprawionym brzmieniu. Trzeba było wiele się nagłować, by zaprojektować je z powietrza. Np. Ministerstwo Obfitości w swej zapowiedzi szacowało wytworczość butów na 145 milionów par kwartalnie. Obecnie podano, że produkcja kwartalna wyniosła 62 miliony par. Winston, przerabiając zapowiedź Ministerstwa Obfitości obciął oryginalną cyfrę przepowiedni z 145 milionów na 57 milionów aby umożliwić w ten sposób stwierdzenie, że norma została przekroczona o 5 milionów par.

W rzeczywistości cyfra 62 milionów nie była bliższą rzeczywistości niż 57 milionów, czy 145 milionów. Możliwe, że nie produkowano w ogóle żadnych butów. Jeszcze bardziej prawdopodobne było, że absolutnie nikt nie wiedział ile wyprodukowano i w końcu nikt się tym nie interesował. Wszyscy natomiast wiedzieli, że co kwartał produkowano na papierze astronomiczne cyfry par butów, podczas gdy polowa mieszkańców Oceanii chodziła boso. I tak wyglądały wszystkie statystyki, czy dane cyfrowe, obojętne, czy dotyczyły rzeczy ważnych, czy drobnych. Wszystko rozwiewało się i ginęło w tym świecie cieni i nie było nawet pewne czy kalendarz wskazuje właściwą datę.

Winston obrócił się i spojrział poprzez salę. W celi na przeciwko pracował gorliwie szczupły, o ciemnej cerze urzędnik — pedant. Nazywał się Tillotson. Na kolanach trzymał w tej chwili rozłożoną gazetę i szeptał coś do dyktafonu przyciskając mikrofon do samych ust. Odnosiło się wrażenie, że pragnie to co dyktuje utrzymać w ścisłej tajemnicy między sobą a tele-ekranem. Tillotson podniósł na chwilę głowę i poprzez okulary rzucił niechętny błysk w stronę Winstona.

Winston prawie go nie znał i nie miał pojęcia co on właściwie robi. Urzędnicy w Wydziale Dokumentów niechętnie mówili o swojej pracy. W tej olbrzymiej bezokiennej sali, o dwóch rzędach cel, pełnej bezustannego szmeru wertowanych papierów, szeptów i zciszonych głosów mruczących w dyktafony — pracowało z tuzin urzędników, których Winston nie znał nawet z nazwiska, choć spotykał ich codziennie biegających, to tu to tam, na korytarzach, lub gestykulujących na seansach „Dwóch Minut Nienawiści“.

Wiedział np. że w sąsiedniej celi urzęduje blondyneczka, której praca polegała na tym, że dzień za dniem wyszukiwała w prasie nazwiska unicestwionych („wyparowanych“) i wykreślała je zgodnie z opinią Partii, że ludzie unicestwieni w ogóle nigdy nie istnieli. Miała do tego zajęcia pewne

przygotowanie, gdyż przed kilku laty „wyparowano“ jej męża.

Kilka cel dalej pracował towarzysz Ampleforth — typek łagodny, nieporadny i senny z owłosionymi uszami i talentem do żonglerki rymami i rytмами. Ów pan produkował poprzekręcane teksty poetyckie, (zwane oficjalnie „tekstami ostatecznymi“) poematów, wierszy itd., które choć w oryginale niezgodne z linią partyjną z takich czy innych względów (po przeróbce) miały pozostać w wypisach i antologiach.

Cała sala z 50 urzędnikami stanowiła tylko pod-sekcję, pojedynczą komórkę w olbrzymim Wydziale Dokumentów. Gdzie spojrzeć — w dół czy w górę — pracowały roje urzędników wykonując najdziwniejsze zadania.

Były ogromne drukarnie z sztabami redaktorów — specjalistów, typografów i świetnie wyposażone pracownie do fałszowania fotografii. Studia widowisk tele-ekranowych pełne techników, reżyserów i zespołów aktorskich. Dobierano specjalnie takich aktorów, którzy posiadali talent w naśladowaniu głosów. Były wreszcie całe armie urzędników, których jedynym zadaniem było prowadzenie katalogów pism i książek, które mogą być przy danej pracy potrzebne. Istniały również olbrzymie składy, gdzie przechowywano poprawione dokumenty, specjalne archiwa — oraz gigantyczne piece, w których niszczone oryginały.

A gdzieś ponad tym wszystkim pracowały tajemnicze mózgi, które uzgadniały całość akcji, ustalając wytyczne polityki. Tam decydowano który fragment przeszłości należy zachować, który sfalszować, a który całkowicie wymazać z Historii.

Wydział Dokumentów był tylko jedną z gałęzi Ministerstwa Prawdy, którego głównym celem było nie przeredagowywanie przeszłości lecz dostarczanie obywatelom Oceanii gazet, filmów, podręczników, programów tele-ekranowych, sztuk scenicznych, powieści i wszelkich możliwych informacji, instrukcji czy widowisk, od sloganów po rzeźbę, od liryki po traktat biologiczny, od dziecinnego elementarza po słownik nowo-mowy. Trzeba dodać, że Ministerstwo Prawdy musiało nie tylko zaspokoić różnorodne potrzeby członków Partii — lecz powtórzyć jeszcze całą operację w popularnym wydaniu, na użytek proletariatu. Istniała cała sieć oddzielnych departamentów, które zajmowały się wyłącznie produkcją proletariackiej literatury, muzyki, dramatu i widowisk. W tych departamentach wydawano brukowe dzienniki, które właściwie nie przynosiły nic poza sportem, zbrodnią i astrologią. Wydawano również 5-cio centowe sensacyjne romansidła, nakręcano filmy ociekające pornografią, i komponowano sentymentalne piosenki. Przeboje produkowano na drodze czysto mechanicznej przy pomocy

aparatu kalejdoskopowego, który zwano „wersyfikatorem“.

Istniała również pod-sekcja, której nazwa w nowo-mowie brzmiała „Porn-Sek“ — poświęcona w całości produkcji najlichszej pornografii. (Wyłącznie dla proletariatu). Wytwory tej sekcji wysyłano w opieczętowanych paczkach i członkom Partii — nie związanym służbowo z produkcją tego działu — nie wolno było przeglądać tych materiałów.

Poczta pneumatyczna wyrzuciła na biurko Winstona trzy nowe zlecenia. Były to jednak banalne sprawy i zdołał je załatwić przed „Dwoma Minutami Nienawiści“.

Gdy wrócił do swej celi po seansie „nienawiści“ zdjął z półki słownik nowo-mowy, przetarł okulary, odsunął na bok dyktafon i przystąpił do głównego zadania dnia.

Największą radością w życiu Winstona była jego praca. Większość spraw to była nudna, męcząca, biurokratyczna rutyna, ale trafiały się i zagadnienia tak trudne i skomplikowane, że można było w nich utonąć, jak w zawilosciach matematycznego problemu. Były to sprawy, gdzie w grę wchodziło subtelne fałszerstwo. Jediną wskazówką jaką należało się kierować, szukając rozwiązania, był „Anglo-Soc“ oraz wycucie życzeń Partii. Winston dobrze się wywiązywał z zadań tego typu. Czasami powierzano mu nawet przeróbki wstępnych artykułów „Times’a“, które w całości pisane były w nowo-mowie.

Rozwinął rolkę papieru ze zleceniem, które uprzednio odłożył na bok. Tekst zlecenia brzmiał następująco:

„times 3.12.83. Rozdzienny W. B cytuje niesoby napisać cał-ponownie — zatwierdzenie Góra p-rejestr.“

W staro-mowie (lub w potocznej angielszczyźnie) tekst zlecenia brzmiałby następująco:

„Informacje o Rozkazie Dziennym Wielkiego Brata w „Times’ie“ z dnia 3 grudnia 1983 r., są niezadawalające i odnoszą się do nieistniejących osób. Napisać cały tekst ponownie i przedłożyć projekt wyższej władzy do zatwierdzenia przed rejestracją“.

Winston przeczytał przede wszystkim wzmiankowany artykuł w „Times’ie“. Rozkaz Dzienny Wielkiego Brata miał głównie na celu podkreślenie zasług organizacji, znanej pod nazwą P.M.P.F., która zajmowała się dostarczaniem papierosów marynarzom pływających fortec. W związku z tym wymieniono zaszczytnie nazwisko towarzysza Withers’a, wybitnego członka Wewnętrznej Partii, któremu nadano Order Zasługi 2-giej klasy.

W trzy miesiące później P.M.P.F. zostało rozwiązane i nie podano na ten temat żadnych wyjaśnień. Można się było domyślać, że Withers i jego towarzysze popadli w niełaskę, lecz prasa ani tele-ekrany nie uczyniły na ten temat najmniejszej nawet wzmianki. Należało się zresztą spodziewać

takiego przebiegu sprawy gdyż nie było w zwyczaju przestępców politycznych stawiać przed sądem czy choćby publicznie potępiać. Wielkie czystki — obejmujące tysiące ludzi z publicznymi procesami zdrajców i myślowych przestępców, których unicestwiano po upadającym akcie pokajania i przyznania się do wszelkich możliwych zbrodni — były wielkimi widowiskami, które nie trafiały się częściej jak raz na kilka lat.

Przeważnie ludzie, którzy popadli w niełaskę Partii znikali i nikt o nich więcej nie słyszał. Nikt nigdy nie zdobył najmniejszej choćby wskazówki, która posłużyć by mogła jako klucz do odszyfrowania ich losu. W niektórych wypadkach może nawet nie wszyscy z nich byli zgładzeni. Około 30 osób spośród znajomych Winstona (w tym jego rodzice) zniknęło w różnych okresach czasu.

Winston tarł nos w zamyśleniu. Na przeciwnym końcu sali towarzysz Tillotson ciągle coś tajemniczo szeptał w mikrofon swego dyktafonu. Uniósł znów głowę i błysnął nieprzyjaźnie okularami.

Winston był ciekaw czy i towarzysz Tillotson pracuje nad tą samą sprawą co i on. To było całkiem możliwe. Z reguły takiej śliskiej sprawy nie powierzano tylko jednemu urzędnikowi. Z drugiej zaś strony przekazać sprawę tego typu komitetowi, czy komisji byłoby równoznaczne z przyznaniem się do zamierzonego fałszerstwa.

Było więc bardzo prawdopodobne, że w tej chwili z dwunastu urzędników głowiło się nad tym, co Wielki Brat wypowiedział w przeszłości. Następnie ktoś z „wielkich“ w Wewnętrznej Partii wybierze to, lub inne opracowanie, poprawi tekst i puści w ruch wielką maszynę fałszerstwa. (Przede wszystkim chodziło zawsze o sprawę odnośników, o uzgodnienie cytatów i wyjątków, by uniknąć sprzeczności pomiędzy sfalszowaną mową a tekstami w których się na nią powoływano).

I wówczas, wybrane kłamstwo spocznie ostatecznie w archiwach i stanie się historyczną Prawdą.

Winston nie wiedział dlaczego Withers popadł w niełaskę. Być może brał łapówki, być może był nieodpowiednim człowiekiem na swoim stanowisku, być może Wielki Brat chciał się po prostu pozbyć zbyt już popularnego działacza. Możliwe również, że Withers'a, lub kogoś z jego bliskich, podejrzewano o nieprawomyślne tendencje.

Najprawdopodobniej jednak, sprawa Withers'a była tylko potwierdzeniem reguły, że czystki i „wyparowania“ stanowią nieodłączny element techniki rządzenia.

Jedyną realną wskazówkę zawierało określenie „Times'a“, który użył terminu „niesoby“, (w potocznej angielszczyźnie: osoby nieistniejące) z czego wynikało niezbicie, że Withers został „wyparowany“.

Nie zawsze likwidowano wszystkich aresztowanych. Bywało, że uwięzionych zwalniano na rok, lub dwa lata, po czym aresztowano ich powtórnie i zgładzano. Czasami — ktoś, kogo od lat uważano za nieboszczyka, — zjawiał się jak duch, na scenie sądowej wielkiej czystki — wsypywał dziesiątki osób i znikał tym razem już na dobre.

Withers był już jednak „niesobą“. Nie istniał, nigdy nie istniał.

Winston doszedł do wniosku, że nie wystarczy całkowicie odwrócić tendencji Rozkazu Dziennego Wielkiego Brata. Sądził, że będzie lepiej, nie tylko całe przemówienie napisać ponownie ale i poświęcić je całkiem innemu tematowi.

Mógł skomponować mowę potępiającą zdrajców i przestępców myślowych, lecz takie wyjście byłoby bardzo banalne. Nowe zwycięstwo na froncie lub nowy wyczyn nadprodukcji i rekord nad-norm 9-ego Trzy Letniego Planu, pociągnąć by znów musiały za sobą konieczność żmudnego przerabiania statystyk. Najlepszym wyjściem byłaby czysto fantastyczna opowieść.

Jak to czasem się zdarza nagle błysnął mu gotowy plan. Historia towarzysza Ogilvy, który zginął w akcji w niezwykłych i wzniosłych okolicznościach. Wielki Brat poświęcał czasem Rozkaz Dzienny upamiętnieniu zasług jakiegoś nieznanego szeregowca Partii, którego życie i śmierć stawiał za wzór godny naśladowania.

— Dziś — pomyślał Winston — Wielki Brat powinien uczcić towarzysza Ogilvy. To prawda, że towarzysz Ogilvy nigdy nie istniał na tym świecie, ale kilku wierszami druku i spreparowaną odpowiednio fotografią — powoła się go z nicności do życia.

Winston, po chwili namysłu, zdecydowanym ruchem przysunął dyktafon i zaczął dyktować w oryginalnym stylu Wielkiego Brata. Był to styl wojskowy i pedantyczny, a charakterystyczna maniera pytań i odpowiedzi ułatwiała naśladownictwo. („Jaka z tych faktów płynie dla nas nauka, towarzysze? Nauka jaka płynie z tych faktów, będąca również fundamentem „Anglo-Soc“, jest jedna a mianowicie . . . itd. itd.“)

Tow. Ogilvy gdy liczył lat 3, bawił się wyłącznie karabinem maszynowym, modelem helikoptera i bębniem. Gdy miał lat 6 — na drodze specjalnego zezwolenia — został przyjęty do Zwiadowców. W wieku lat 9 był zastępowym. Mając lat 11 zadenuncjował Policji myśli swojego wuja podsłuchawszy jego rozmowę o tendencjach nieprawomyślnych. Jako 17-letni chłopak był organizatorem „Anty-Sexu“ (Młodzieżowa Liga Anty Seksualna) w swojej dzielnicy. Mając lat 19 zaprojektował ręczny granat, który został przyjęty przez Ministerstwo Pokoju. Przy pierwszej próbie granatem tego typu zabito 31 jeńców eurazjańskich. Mając lat 23 Ogilvy zginął

w akcji. Gdy przewoził ważne wiadomości, zaatakowany został nad Oceanem Indyjskim, przez nieprzyjacielskie samoloty raketowe. Nie mając innego wyjścia, towarzysz Ogilvy, w pewnej chwili, wyskoczył ze swego helikoptera w morze wraz z karabinem maszynowym i dokumentami. „Trudno rozpamiętywać tę śmierć“ — mówił Wielki Brat (w przemówieniu dyktowanym przez Winstona) — „bez uczucia zazdrości“.

Następnie Wielki Brat wypowiedział jeszcze kilka słów na temat czystości i prostoty ducha towarzysza Ogilvy. Bohaterski chłopak był całkowitym abstynentem. Nie pił i nie palił. Nie znał innej rozrywki prócz gimnastyki. Złożył ślub dozgonnej czystości, uważał bowiem, że małżeństwo i troska o rodzinę są nie do pogodzenia z 24-ro godzinnym na dobę poświęceniem się Partii. Nie prowadził innych rozmów jak tylko wyłącznie na tematy ściśle związane z „Anglo-Soc“ i nie miał innego celu w życiu, jak tylko walkę przeciw eurazyjskiemu wrogowi, oraz tropienie szpiegów, sabotażyistów, zbrodniarzy myślowych i zdrajców.

Winston namyślał się chwilę, czy nie nadać towarzyszowi Ogilvy Oderu Zasługi. Rozmyślał się jednak, gdyż pociągnęłoby to dodatkową pracę, w postaci koniecznych zmian w rejestrach odznaczonych itp.

Rzucił okiem na swojego rywala na drugim końcu sali. Przecucie mówiło mu, że Tillotson opracowuje tę samą sprawę. Nie było można dowiedzieć się, czyja praca zostanie przyjęta — był jednak pewny zwycięstwa swojej koncepcji. Towarzysz Ogilvy, który nie istniał jeszcze godzinę temu — stał się faktem. Dziwną wydała mu się myśl, że można sztucznie stwarzać tylko zmarłe postacie — nigdy żywe. Towarzysz Ogilvy, który nigdy nie istniał w teraźniejszości, istnieje oto w przeszłości, i gdy raz zapomni się o akcie fałszerstwa — będzie istniał równie autentycznie i w oparciu o analogiczne dowody — co Karol Wielki, czy Juliusz Cezar.

V.

W niskiej kantynie, głęboko w podziemiach, kolejka czekających na obiad posunęła się nieco naprzód. Sala była natłoczona i panował w niej ogłuszający hałas. Znad bufetu rozchodził się kwaśny zapach duszonego mięsa, który jednak nie zagłuszał całkowicie oparów dżinu „Zwycięstwo“.

W głębi sali znajdował się mały bar — po prostu okienko w ścianie, gdzie było można dostać duży kieliszek dżinu za 10 centów.

— Właśnie Cię szukałem — odezwał się ktoś stojący w kolejce za Winstonem.

Winston obrócił się. Za nim, stał jego przyjaciel Syme, który pracował w Dziale Studiów. Być może słowo „przyjaciel“ nie było właściwym określeniem. W obecnych czasach

nie miewa się przyjaciół tylko towarzyszy. Lecz są towarzysze, których lubimy więcej, a innych mniej. Syme był językoznawcą, specjalistą od nowo-mowy. Należał do olbrzymiego sztabu uczonych, którzy opracowywali jedenaste wydanie słownika nowo-mowy.

Syme był delikatnej budowy — niższy od Winstona, czarnowłosy o dużych, wypukłych oczach równocześnie smutnych i drwiących, którymi zwykł patrzeć uważnie i badawczo na swego rozmówcę.

— Chciałem się dowiedzieć, czy dostałeś żyłtki? — zapytał.

— Ani jednej! — odparł Winston szybko. — Próbowałem wszędzie, ale zdaje się, że w ogóle nie ma ich już więcej.

Wszyscy ustawicznie dopytywali się o ostrza do golenia. Winston miał dwie nowe żyłtki, które chował w zapasie. Był głód ostrzy do golenia już od wielu miesięcy. W pewnych okresach sklepy partyjne nie posiadały na składzie artykułów istotnie pierwszej potrzeby. Czasem nie było guzików, innym razem włóczki do cerowania a kiedy indziej sznurówadel. Artykuły te można było tylko zdobyć — mniej lub bardziej potajemnie — na „wolnym“ rynku.

— Od szczęściu tygodni golę się tym samym ostrzem — skłamał Winston.

Kolejka czekających posunęła się nieco naprzód. Gdy znów przystanęli Winston obrócił się i spojrział na Syme'a.

Gdy z rogu lady brali metalowe talerze Syme zapytał:

— Widziałeś jak wieszali wczoraj jeńców?

— Byłem zajęty — odparł Winston obojętnie. — Mam zresztą nadzieję, że to wieszanie zobaczę w kinie.

— Kino to całkiem niewystarczająca namiastka — zauważył Syme nie spuszczać drwiących oczu z twarzy kolegi. „Znam cię!“ — mówił jego wzrok. „Znam cię na wylot! Wiem doskonale dlaczego nie przypatrywałeś się wczoraj wieszaniu.“

W dziedzinie umysłowej Syme był — jeżeli można się tak wyrazić — „jadowicie“ prawomyślnym. Z wstrętną lubieżną rozkoszą opowiadał np. o ataku helikopterów na wioskę nieprzyjacielską lub o pokajaniach myślowych zbrodniarzy i egzekucjach w kazamatach Ministerstwa Miłości.

Lepiej było, w rozmowie z nim, unikać tych tematów, a raczej skierować jego zainteresowanie na zagadnienia techniki nowo-mowy. W tej dziedzinie był on naprawdę autorytetem i miał wiele ciekawego do powiedzenia.

Winston odwrócił nieco głowę, by uniknąć przenikliwych, czarnych oczu kolegi.

— To było doskonale wieszanie! — powiedział Syme, jakby jeszcze pełen wspomnień z dnia wczorajszego. — Myślę tylko — podjął po chwili — że psują efekt wiążąc tym jeńcom nogi. Osobiście, lubię jak więźniacy wierzgają. A nade

wszystko cenię sobie scenkę końcową: język wywalony na brodę, niebieski, całkowicie niebieski!

— Następny! — zawołała usługująca proletka, (proletariuszka w staro-mowie), w białym fartuchu i z chochlą w ręce.

Winston i Syme podsunęli swe talerze. Kelnerka nałożyła na nie szybko dwa urzędnicze obiady. Chochlę duszonego mięsa, kromkę chleba, kawałek sera, kubek bezmlecznej kawy „Zwycięstwo“ i po pastylce sacharyny.

— Tam, pod tele-ekranem, jest wolny stolik — zauważył Syme. — Weźmy po drodze dwa kieliszki dżinu.

Dżin podano im w fajansowych kubkach bez uszek. Przepchali się przez zatłoczoną salę i wylądowali wreszcie przy stoliku pod tele-ekranem. Na metalowym blacie, jakiś poprzedni „biesiadnik“, pozostawił kałuże sosu i kawy. Brudnawe, wstrętne rozlewisko robiło wrażenie jakby ktoś tu zwymiotował.

Winston ujął swój garnuszek z dżinem, zebrał nerwy w garść i łyknął oleisty płyn. Gdy przetarł zażawione oczy, poczuł wilczy apetyt. Zaczął łykać — łyżka po łyżce — główne danie. Wśród sosu przypominającego pomyje, pływały różowawe, gąbczaste flaki, które prawdopodobnie reprezentować miały mięso.

Jedli w milczeniu. Od stolika z lewej strony dobiegał nieustanny, szybki monolog. Ktoś kwakał jak kaczka, a zgrzytliwy bełkot przebijał się poprzez gwar panujący na sali.

— No, jak tam z twoim słownikiem? — zapytał Winston starając się przekrzyknąć hałas.

— Wolno postępuje naprzód — odparł Syme. — Jestem przy przymiotnikach. Cóż to za fascynujące zajęcie!

Syme pojaśniał na samą wzmiankę o nowo-mowie. Odsunął talerz, ujął w jedną rękę chleb, w drugą ser (miał piękne, delikatne ręce) i pochylił się poprzez stolik, by nie musieć przekrzykiwać sąsiadów.

— Jedenaste wydanie, będzie ostateczne — podjął z ożywieniem. — Nadajemy językowi jego końcowy kształt, formę jaką będzie miał wówczas, gdy już nikt nie będzie mówił innym językiem, tylko wyłącznie nowo-mową. Gdy skończymy naszą pracę, wszyscy, włącznie z Tobą, będą musieli jeszcze raz uczyć się mówić. Ty pewnie wyobrażasz sobie, że głównym naszym zajęciem jest wynajdowanie nowych słów? Nic podobnego! Przeciwnie, niszczymy słowa, uśmiercamy setki słów dziennie. Obcinamy język aż do pnia. W jedenastym wydaniu słownika, nie będzie już ani jednego słowa, które stanie się przestarzałe przed rokiem 2050.

Przez chwilę jadł łapczywie swój chleb. Po krótkiej pauzie podjął na nowo ukochany temat z pasją i pedantyzmem fachowca. Jego szczupła, smągła twarz ożywiła się nagle, a

drwiący zwykle wyraz oczu ustąpił miejsca marzycielskiej zadumie.

— Niszczenie słów jest piękną, wspaniałą rzeczą. Oczywiście największe marnotrawstwo i rozrzutność panują wśród czasowników i przymiotników. Ale wierz mi, że nie brak również setek rzeczowników, które nadają się na ubój! Nie chodzi tylko o słowa synonimiczne, lecz również o słowa antynomiczne. Jakież może być usprawiedliwienie dla istnienia słowa, które jest tylko przeciwieństwem innego słowa? Weźmy na przykład słowo: dobry. Jeżeli istnieje słowo „dobry“, nie ma powodu, aby istniało słowo „zły“. „Niedobry“ wystarczy zupełnie i spełni swą funkcję dokładnie, ponieważ w terminie „niedobry“ mieści się treściowe zaprzeczenie słowa „dobry“. Natomiast słowo „zły“ nie zawiera w swej treści przeciwieństwa słowa „dobry“. Zupełnie podobnie, jeżeli słowo „dobry“ pragniesz użyć niejako w mocniejszym wydaniu, jakież sens może mieć w takim wypadku, cała seria bezużytecznych, mętnych określeń w rodzaju „wspaniały“, „znakomity“ itp.? Sens będzie oddany idealnie terminem „plusdobry“, a jeżeli chcesz jeszcze czegoś więcej: „dwójplusdobry“. Oczywiście już dziś używamy tych słów lecz w ostatecznym wydaniu słownika nowo-mowy, wszystkie pochodne określenia słowa „dobry“ zostaną skreślone i wymazane. W rezultacie, pojęcie dobra i zła zostanie zamknięte w sześciu słowach, a właściwie tylko w jednym słowie (i w kilku jego formach). Czy nie dostrzegasz piękna w tym wszystkim, Winstonie? Oczywiście jest to oryginalny pomysł W. B. — dodał Syme po chwili.

Na wzmiankę o Wielkim Bracie, przez twarz Winstona przebiegł refleks bezsilnej pasji.

Syme bez trudu odkrył w swym towarzyszczu brak entuzjazmu.

— Nie widzę w tobie, Winstonie, prawdziwego, szczerego uznania dla idei nowo-mowy, — odezwał się ze zmartwieniem w głosie.

— Nawet gdy piszesz w nowo-mowie, myślisz w starym języku. Czasami czytam co pisujesz w „Times’ie“. Artykuły twoje nie są złe, ale są to tłumaczenia, przekłady na nowo-mowę. W gruncie rzeczy, wolałbyś pozostać przy staro-mowie, mimo całej jej mętności i zbędnego balastu słów. Nie pojmujesz piękna, jakie kryje się w niszczeniu słów. Czy zdajesz sobie z tego sprawę, że nowo-mowa jest jedynym językiem na świecie, którego zapas słów maleje z każdym rokiem?

Winston nie wiedział tego oczywiście. Uśmiechał się uprzejmie, sądził jednak, że jest bezpieczniej nie zabierać głosu.

Syme odłamał kawałek czarnego chleba, zjadł go szybko i podjął ponownie wykład.

— Czy nie spostrzegasz, że głównym celem nowo-mowy jest zwęzić zasięg myślenia? W końcu, zbrodnia myślowa stanie się nieosiągalnym absurdem, bo nie będzie słów, którymi myśląc, można by ją popelnąć. Najkonieczniejsze pojęcia zostaną zamknięte w jednym terminie. Sens tych terminów będzie dokładnie i dogmatycznie określony, a wszystkie pochodne znaczenia danego słowa, zostaną, wykreślone i zapomniane. Już w jedenastym wydaniu nie jesteśmy daleko od tego celu. Proces ten, będzie jednak trwał jeszcze długo po naszej śmierci. Z każdym rokiem mniej słów — z każdym rokiem zakres świadomości uboższy i węższy. Oczywiście i dziś nie ma żadnego usprawiedliwienia dla przestępstwa myślowego. Jest to sprawa dyscypliny wewnętrznej i „kontrola rzeczywistości“. Lecz kiedyś, nie będzie nawet i tego potrzeba. Misja Rewolucji zostanie spełniona, gdy język stanie się doskonały. Albowiem nowo-mowa i „Anglo-Soc“ — to jedno! — w głosie Syme zadrgała nuta mistycznego niemal zachwyty.

— Czy przyszło ci kiedy na myśl, Winstonie — podjął po chwili — że najpóźniej w roku 2050, nie będzie już na świecie ani jednego człowieka, który by w ogóle mógł pojąć i zrozumieć rozmowę jaką my w tej chwili prowadzimy?

— Z wyjątkiem . . . — zaczął Winston niepewnie i urwał. Miał na końcu języka: „z wyjątkiem proletów, (proletariuszy) lecz zamilkł, bo nie był pewien, czy uwaga ta byłaby całkowicie prawomyślna.

Syme domyślał się co Winston chciał powiedzieć.

— Proleci nie są w ogóle ludźmi — wzruszył pogardliwie ramionami. — do roku 2050 — może wcześniej — znajomość staro-mowy całkowicie wygaśnie. Literatura przeszłości zostanie zniszczona. Chaucer, Szekspir, Milton, Byron — będą istnieli tylko w wydaniach nowo-mowy. Ich utwory będą nie tylko czymś różnym od oryginałów, lecz w wydaniach nowo-mowy, przemienią się we własne anty-tezy. Nawet literatura Partii ulegnie zmianom. Nie będzie mógł istnieć slogan: „wolność jest niewolnictwem“, — gdy pojęcie wolności będzie unicestwione i zapomniane. Klimat myślowy ulegnie zupełnej przemianie. Nie będzie w ogóle procesu myślenia, w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Prawomyślność, bowiem, jest równoznaczna z nie-myśleniem, z brakiem potrzeby myślenia. Prawomyślność — to beźświadość.

Winston, słuchając tych słów, uświadomił sobie nagle, że Syme, któregoś dnia, zostanie „wyparowany“. Jest on zbyt inteligentny. Rozumuje jasno i logicznie i mówi zbyt szczerze. W Partii nie są tacy lubiani. Któregoś dnia Syme zniknie — to jest wypisane na jego twarzy.

Winston zjadł swój chleb z serem i odsunął się nieco popijając kawę. Przy stoliku po lewej stronie, towarzyszył o skrzypiącym głosie wciąż mówił i mówił. Młoda dziewczyna

— być może jego sekretarka — (siedziała tyłem do Winstona) słuchała z nabożeństwem, potakując z zapalem. Od czasu do czasu, Winston słyszał jej uwagi, wypowiedane młodzieńczo i bałwochwalczo: „ach, macie całkowitą słuszność, towarzyszu, zgadzam się z wami w zupełności, towarzyszu!”

Lecz skrzypiący głos nie milkł nawet wówczas, gdy dziewczyna wtrącała swe entuzjastyczne wykrzykniki.

Winston znał tego mówcę z widzenia, ale wiedział o nim tylko, że zajmuje jakieś ważne stanowisko w Wydziale Powieściowym. Był to mężczyzna około lat 30, z uderzająco muskularną szyją i wielkimi ustami, w wiecznym ruchu. Siedział na krześle z odrzuconą w tył głową, a światło w jego okularach załamywało się w ten sposób, że Winston nie widział oczu, tylko dwie, białe tarcze. Było w tym coś niesamowitego, że z potoku dźwięków, jaki nieprzerwanie płynął z jego ust, nie można było wyodrębnić ani jednego słowa. Tylko w jednym momencie powiodło się Winstonowi wyłowić frazę: „całkowite i ostateczne wytrzebiecie Goldsteinizmu” — reszta przemowy czyniła wrażenie jednolitego bloku, jakby odlany skład tekstowy z linotypu. Było to nieartykułowane, ptasie tokowanie. Lecz choć niemożliwe było zrozumieć co on mówił, nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości, o czym mówił. Być może oskarżał Goldsteina, domagając się surowszych kar dla zbrodniarzy myślowych i sabotażystów — być może piorunował przeciw okrucieństwu eurazjańskich armii — być może piał hymny pochwalne na cześć Wielkiego Brata i bohaterów na froncie pod Malabar. Obojętne co mówił. Cokolwiek belkotał, było pewne, że każde jego słowo było szczytem prawowierności — chemicznie czystym „Anglo-Soc”.

Patrząc na tę maskę o dwóch białych szklach i o szczękach poruszających się rytmicznie, Winston odnosił wrażenie, że ma przed sobą robota, a nie żywą istotę ludzką. To nie ludzki mózg mówił — to krtka produkowała dźwięki. Belkot, który wypływał z ust robota, składał się ze słów, ale nie była to ludzka mowa, ludzki język. Było to gdakanie wydobywane z gardła bez udziału świadomości, jak u kury czy kaczki.

Syme milczał już dłuższą chwilę i trzonkiem łyżki malował esy-floresy po zaplamionym sosem stole. Skrzypiący głos przy stoliku obok, gdał bez wytchnienia, przebijając się poprzez gwar sali.

— W nowo-mowie istnieje specjalne określenie — odezwał się Syme — nie wiem czy znasz to słowo: „kaczokwak”? Kwakać jak kaczka. Jest to jedno z tych interesujących słów nowo-mowy, które mają dwa, wykluczające się wzajemnie znaczenia. Użyte pod adresem wroga, słowo „kaczokwak” jest obelgą — to samo słówko wypowiedziane pod adresem kogoś, o poglądach, które podzielamy — jest pochwałą.

Winstonowi przyszło ponownie na myśl, że Syme z całą pewnością zostanie „wyparowany”. Myślał o tym z pewnym

smutkiem choć zdawał sobie sprawę, że Syme pogardzał nim właściwie i trochę go lekceważył. Nie zawahałby się również zadenuncjować go, jako zbrodniarza myślowego do Policji Myśli — gdyby nabral przekonania, że istnieją po temu powody.

Postawa Syme'a budziła zastrzeżenia i niepokój. Brakowało mu pewnych cech charakteru. Był niedyskretny, nie umiał trzymać się na uboczu, pozbawiony był „zbawczej“ głupoty. Nie można mu było zarzucić braku prawomyślności. Wierzył w zasady „Anglo-Soc“, wielbił Wielkiego Brata, cieszył się zwycięstwami na froncie, nienawidził heretyków szczerze i z niezmordowaną pasją, był zawsze o wszystkim lepiej poinformowany, niż przeciętny członek Partii.

A jednak szedł za nim cień — nieprawomyślności. Mówił rzeczy o których byłoby lepiej zachować milczenie — czytał zbyt wiele książek — bywał w kawiarni „Pod Kasztanem“, gdzie spotykali się muzycy i malarze. Nie było ustawy czy przepisu — nawet nie było ustnego zakazu, który by zabraniał uczęszczania do kawiarni „Pod Kasztanem“. Lokal ten jednak, miał złą sławę. Dawni przywódcy Partii, — których dawno już „wyparowano“ w rezultacie czystek — tam właśnie odbywali swe zebrania. Mówiono, że nawet samego Goldsteina widywano tam przed laty.

Tak — los Syme'a był łatwy do przewidzenia. Lecz niewątpliwie, gdyby Syme — choćby przez sekundę zdał sobie sprawę z opinii i obaw Winstona w związku z jego losem — zadenuncjowałby go natychmiast do Policji Myśli. Postąpiłby tak każdy, ale szczególnie pewne to było w stosunku do Syme'a. Gorliwość nie wystarcza — myślał Winston, patrząc na kolegę — prawomyślność jest bezświadością.

Syme uniósł głowę i powiedział:

— Spójrz! Idzie Parsons. — Ton jego głosu wskazywał, że w myśli dodał: „ten dureń!“

Parsons, sąsiad Winstona w „Victorii“ — przysadkowaty mężczyzna, średniego wzrostu, o jasnych włosach i jakby żabiej twarzy — istotnie przepychał się przez zatłoczoną salę. Tył wyraźnie w karku i w pasie — ale mimo zwalów tłuszczu, których dochował się już w 35 roku życia — ruchy jego były energiczne i młodzieńcze. Robił wrażenie nad wiek wyrosniętego chłopca i patrząc na jego partyjny kombinezon trudno było powstrzymać się od zdziwienia, że nie ma na sobie szarej koszulki, niebieskich szortów i czerwonego krawata Zwiadowców. Trudno było wyobrazić go sobie inaczej jak z gołymi kolanami i z rękawami koszuli podwiniętymi powyżej łokcia. Wkładał zresztą szorty z zamilowaniem ilekroć wycieczka, czy jakikolwiek sport stwarzały po temu sposobność.

Parsons pozdrowił obu towarzyszy radosnym: „Jak się macie“ i usiadł przy stoliku w oparach potu, który wielkimi kroplami spływał po jego czerwonej twarzy. W dziedzinie

pocenia się jego możliwości były wprost niewymierne. W Klubie Społecznym można było zawsze sprawdzić, czy Parsons danego wieczoru grał w tenisa stołowego, bo jego rakieta wyglądała po każdej grze jak wydobyta prosto z wody.

Syme wyjął z kieszeni ołówek i arkusik papieru z długą kolumną słówek, które zaczął pilnie studiować.

— Spójrz jak odpracowuje swoją normę, nawet w porze obiadowej — zauważył Parsons trącając Winstona. — Jaki pilny, co? Pokaż co ty tam masz? Eh, to pewnie zbyt mądre dla mnie! — Słuchaj Smith — nagle zwrócił się do Winstona — to się świetnie składa, że cię widzę. Chodzi bowiem o tę składkę, którą zapomniałeś zapłacić.

— Cóż znowu za składka? — zapytał Winston automatycznie sięgając po pieniądze. Jedna czwarta pensji każdego urzędnika była z góry przeznaczana na składki „dobrowolne“, których było tak wiele, że nikt nie był w możności pamiętać o wszystkich.

— Na Tydzień Nienawiści — odparł Parsons. — Wiesz, zbieramy w każdym domu. Jestem skarbnikiem naszego bloku. Wkładamy najwyższy wysiłek i staranie, by zorganizować olbrzymie widowisko. I powiem ci — nie będzie to moja wina, jeżeli nasz gmach „Victoria“ nie zakwitnie bogaciej i wspanialej flagami, niż inne domy na naszej ulicy. Obiecałeś mi dwa dolary!

Winston wyjął dwa pomięte, brudne banknoty. Parsons schował pieniądze do kieszeni, a wpłatę wpisał, kaligraficznym pismem pół-inteligenta, do małego notesu.

— Przy sposobności chciałem ci powiedzieć Winstonie — podjął po chwili — że mojemu smykowi dałem porządnie w skórę za to, że wczoraj strzelił do ciebie z procy. Zapowiedziałem mu również, że procę mu odbiorę jeżeli się to powtórzy.

— Chłopak był w złym humorze, bo nie mógł pójść przypatrywać się egzekucji — powiedział Winston obojętnie.

— Eh, zarówno on jak i mała to para nieponiów i urwisów, ale mają dobry kierunek! I co za krzepę! Nie istnieje dla nich nic, poza szpiegowaniem i wojną. Wyobraź sobie co ta smarkuła dokonała w sobotę, gdy była ze swą drużyną na wycieczce w Berkhamsted. Wraz z dwiema koleżankami odłączyła się od reszty i spędziły całe popołudnie szpiegując jakiegoś obcego jegomościa. Deptały mu po piętach przez dwie godziny, poprzez lasek, a gdy dotarły do Amersham — wskazały go patrolowi policji.

— Dlaczego to zrobiły? — Winston zdziwił się nieco.

Parsons zaśmiał się z triumfem:

— Moja mała, nim go wskazała policji, wpierw się upewniła, że był agentem wroga — być może zrzuconym na spadochronie. Ale jak myślisz co jej wpadło w oko? Wyobraź sobie wypatrzyła, że ów obcy miał na nogach jakieś dziwne buty. Opowiadała mi potem, że nie widziała nigdy w życiu

takich butów. Istniało więc pewne prawdopodobieństwo, że nieznajomy, którego szpiegowali — jest cudzoziemcem. Sprytnie — jak na siedmioletnią kozo — nieprawdaż?

— Cóż się stało z tym człowiekiem? — zapytał Winston.

— Tego nie wiem — odparł Parsons. — Nie zdziwiłbym się jednak gdyby . . . uczynił ruch, jakby mierzył z karabinu i mlasnął językiem.

— Taak . . . — mruknął Syme w zamyśleniu, nie odrywając wzroku od swych notatek.

— Oczywiście, w takich wypadkach nie można być dość ostrożnym — powiedział Winston, a w głosie jego zabrzmiała urzędowo-lojalna nuta.

— Ostatecznie musimy pamiętać, że jest wojna — dodał Parsons.

Jakby na potwierdzenie tych słów, z tele-ekranu nad ich głowami rozległ się głos wojskowej trąbki. Nie było to jednak, tym razem, uczczenie nowego zwycięstwa — a tylko obwieszczenie Ministerstwa Obfitości.

— Towarzysze! — wołał z tele-ekranu młodzieńczy głos, pełen zapału. — Mamy dla was wszystkich wspaniałe wiadomości. Bitwa wytwórczości przemysłowej została wygrana! Najświeższe cyfry produkcji artykułów konsumpcyjnych wskazują, że stopa życiowa w naszym kraju w porównaniu z ubiegłymi latami podniosła się o 20 %. W całej Oceanii odbyły się dziś rano żywiołowe demonstracje robotników, którzy opuścili fabryki i biura, by defilować ulicami miast z rozwiniętymi sztandarami. Wznoszono okrzyki na cześć Wielkiego Brata, którego mądrym kierownictwu zawdzięczamy nasze nowe, szczęśliwe życie. Oto najświeższe cyfry statystyczne . . .

Określenie „nasze nowe, szczęśliwe życie“ powtarzało się wiele razy. Od dawna był to ulubiony frazes Ministerstwa Obfitości.

Trąbka początkowo przykuła uwagę Parsons'a. Teraz siedział i słuchał przemowy z miną tępą i uroczystą. Nie bardzo rozumiał co oznaczają potoki cyfr płynące z tele-ekranu, wiedział jednak, że należy się radować. Wydobył z kieszeni wielką, źle utrzymaną fajkę do połowy wypełnioną osadem zwęglonego tytoniu. Przy 100 gr tygodniowej racji tytoniu, rzadko można było napełnić fajkę do pełna.

Winston palił papierosa „Zwycięstwo“, trzymając go ostrożnie, by nie wysypać całego tytoniu na podłogę. Nowy przydział można było kupić dopiero jutro, a w kieszeni miał tylko cztery papierosy.

Skupił uwagę na przemówieniu, które płynęło nieustannie z tele-ekranu. Z wiadomości jakie podawano wynikało, że odbyły się również demonstracje w celu wyrażenia wdzięczności Wielkiemu Bratu za podwyższenie racji czekolady do 20 gr tygodniowo. A przecież zaledwie wczoraj ogłoszono, że racja czekolady została obcięta z 30 gr do 20 gr tygodniowo. Czyżby naprawdę było możliwe, że i to potrafią wszyscy

przelknąć zaledwie po 24 godzinach? A jednak przelknęli. Parsons przelknął wiadomość ze zwierzęcą tępą bezmyślnością. Towarzysz o skrzypiącym głosie przy sąsiednim stole przelknął to z pasją i fanatyzmem płonąć namiętym pragnieniem wysledzenia, zadenuncjowania i „wyparowania“ każdego, który ośmieliłby się twierdzić, iż przydział czekolady w ostatnim tygodniu wynosił 30 gr.

Syme również — może w nieco inny sposób — dwójmyśląc — przelknął tę wiadomość.

Czyż zatem tylko on jeden, Winston, posiada jeszcze pamięć?

Fala fantastycznych cyfr statystycznych płynęła wciąż jeszcze z głośników tele-ekranu. W porównaniu z rokiem ubiegłym było więcej żywności, więcej ubrań, więcej domów, mebli, naczyń, paliwa, okrętów, helikopterów, książek, dzieci — więcej wszystkiego z wyjątkiem zbrodni, chorób i obłądów. Z roku na rok — ba, z minuty na minutę wszystko i wszyscy pieli się gwałtownie wzwyż.

Jak uprzednio Syme, tak teraz Winston zaczął rysować łyżką po stole nadając krzepnącym plamom sosu formy fantastycznych esów-floresów.

Rozmyślał z goryczą o materialnej, fizycznej stronie obecnego życia. Czy zawsze tak było? Czy jedzenie zawsze tak smakowało? Rzucił okiem po sali kantyny: niski sufit — wewnątrz przepelnione ludźmi — ściany aż lepkie od niezliczonej ilości zetknięć z ludzkimi ciałami. Pogruchothane metalowe stoliki i krzesła, ustawione tak ciasno, że wszyscy ustawicznie tręcali się łokciami — pogięte łyżki, wyszczerbione talerze, obdrapane filiżanki, wszystko tłuste, zaplamione, z brudem w każdej rysie i szczelinie. A nad tym unoszący się odór złego dżinu, lichej kawy, wstrętnych sosów i przepoconych, brudnych ubrań.

Zołądek, zmysły smaku, powonienia i dotyku buntowały się przeciw temu wszystkiemu — oszukane i okradzione z czegoś, do czego miały prawo.

Winston właściwie nie pamiętał żeby kiedyś było inaczej, czy lepiej. We wszystkich okresach swego życia, które ogarniał pamięcią — żywności nie było nigdy pod dostatkiem, nigdy nie miał całych skarpetek i bielizny, meble były zawsze pogięte i koślawe, mieszkania niedostatecznie opalane, pociągi kolejki podziemnej przepelnione, domy walące się w ruinę, czarny chleb, herbata rzadkością, kawa obrzydliwa, papierosów skąpo — wszystkiego mało i drogie, z wyjątkiem sztucznego dżinu. Tego ostatniego było dość.

Oczywiście odczuwało się to boleśniej w miarę, jak się człowiek starzał. Czyż nie było to oznaką, że tak nie powinien wyglądać naturalny porządek rzeczy, skoro natura ludzka wzdragała się ustawicznie przed męką, biedą, brudem, wiecznym zimnem, stale popsutymi windami, przepoconymi

skarpetkami, lodowatą wodą, ordynarnym mydłem, rozsypującymi się papierosami, odpychającym jedzeniem?

Jeżeli człowiek nie miałby jakiejś dziedziczonej po przodkach pamięci innych czasów, terażniejszość nie wydawałaby mu się tak okropna i nie do zniesienia.

Winston powtórnie powiódł wzrokiem po wnętrzu kantyny. Wszyscy obecni na sali byli brzydcy, szpetni i nawet gdyby ich przebrano z niebieskich kombinezonów partyjnych w cywilne ubrania — byłiby równie obrzydliwi.

W rogu, na końcu sali, siedział samotnie przy stoliku, niski pająkowaty mężczyzna i pił kawę rzucając w prawo i w lewo podejrzliwe, szybkie spojrzenia.

Jeżeli ktoś nie patrzył wokół siebie — pomyślał Winston — jakże było łatwo uwierzyć, że typ fizyczny, postawiony przez Partię jako ideał, nie tylko istnieje, ale nawet przeważa. Ideał Partii, to wysocy, muskularni młodzieńcy i gibkie dziewczęta — młodzież jasnowłosa, żywotna, ogorzała, beztroska. Tymczasem, nawet w oparciu o swoje obserwacje Winston mógł stwierdzić, że większość w Pasie Lotniczym No 1. stanowili ludzie czarnowłosi, niscy i brzydcy.

Było rzeczą zdumiewającą jak ów pająkowaty typ opanował wszystkie ministerstwa. Niscy, tępi mężczyźni, ze skłonnością do tycia już w młodości, o krótkich nogach, szybkich ruchach i nalanych, tłustych twarzach z małymi oczkami. Ten gatunek ludzki kwitnął pod rządami Partii.

Kilometrowy komunikat Ministerstwa Obfitości zakończył się sygnałem trąbki. Nadawano znów lekką muzykę.

Parsons, bombardowany tak długo statystykami, wyciągnął wreszcie fajkę z ust i dał upust swemu niejasnemu entuzjazmowi.

— Ministerstwo Obfitości ma jednak olbrzymie osiągnięcia w tym roku! — powiedział z przekonaniem i potrząsnął znacząco głową. — Ach, Smith! — zwrócił się nagle do Winstona — przy sposobności chciałem się zapytać, czy nie mógłbyś pożyczyć mi ostrza do golenia?

— Niestety nie mam — odparł Winston. — Golę się sam od sześciu tygodni tą samą żyletką.

— Nic nie szkodzi, ot, tylko tak chciałem się upewnić . . .

— Przykro mi, że nie mogę ci pomóc — Winston uśmiechnął się współczująco.

Gdaczący głos przy sąsiednim stoliku, który zamilkł w czasie nadawania komunikatu Ministerstwa Obfitości — rozpoczął swój monolog ze zdwojoną energią.

Winstonowi przyszła nagle na myśl p.Parsons z włosami związanymi w supeł i z brudem wrośniętym w zmarszczki twarzy. W okresie najbliższych dwóch lat, jej własne dzieci zadenuncjują ją z całą pewnością do Policji Myśli. P.Parsons zostanie „wyparowana“. Syme zostanie „wyparowany“ i on, Winston podzieli również ten los. Zlikwidują O'Brien'a. Nie „wyparują“ natomiast Parsons'a. Nie „wyparują“ również

robotą z gdaczącym głosem, który monologuje przy stoliku obok. Nie zlikwidują nigdy pająkowatego typka, który tak zręcznie pomyka po labiryncie korytarzy ministerstwa, nie zlikwidują również czarnowłosej dziewczyny z Działu Powieściowego.

Instynktownie wyczuwał komu grozi „wyparowanie“, a komu nie — choć nie byłoby łatwo powiedzieć co stanowi istotę szansy przeżycia.

Z zadumy wyrwał go hałas gwałtownie odsuniętego krzesła. Dziewczyna przy sąsiednim stoliku, (towarzyszka roboty o gdaczącym głosie), która do tej pory siedziała tyłem do nich — odsunęła się nieco i spojrzała na Winstona. Była to czarnowłosa dziewczyna z Działu Powieściowego. Patrzyła na niego z ukosa, ale w jej spojrzeniu była dziwna natarczywość. Ich oczy spotkały się na moment. Po chwili dziewczyna wolno odwróciła głowę.

Dreszcz przerażenia wstrząsnął Winstonem. Na plecach czuł krople zimnego potu. Szok ustąpił po chwili, ale czuł się bardzo nieswojo. Dlaczego ona go śledzi? Nie mógł sobie niestety przypomnieć czy już siedziała obok, gdy zajmowali swój stolik, czy też przyszła po nich. Nie dalej jak wczoraj, w czasie seansu „Dwóch Minut Nienawiści“ — zajęła krzesło tuż za nim, choć nie miała żadnego powodu by tam właśnie usiąść. Prawdopodobnie chciała podsłuchiwać czy krzyczy dość głośno.

Dawne podejrzenia wrócily. Możliwe, że nie jest ona autentyczną agentką Policji Myśli, lecz jest natomiast zapewne „donosicielem-amatorem“ — a ci są, z wszystkich rodzajów szpiegów, najbardziej niebezpieczni.

Winston nie wiedział od jak dawna go obserwowała. Możliwe, że śledziła go przez pięć minut. Nie mógł pewien, czy przez cały ten czas panował nad wyrazem swej twarzy. Było rzeczą szalenie niebezpieczną pozwolić sobie na zadumę, czy zamyślenie w lokalu publicznym, czy w sąsiedztwie teleekranu. Najmniejszy drobiazg mógł zdradzić. Nerwowy skurcz twarzy, pół-świadomy refleks zaniepokojenia — cokolwiek, co odbiegało od normy, lub mogło wywołać wrażenie, że się coś ukrywa.

Niewłaściwy wyraz twarzy był karalnym przestępstwem. (Np. niedowierzająca mina, gdy ogłaszano wiadomość o zwycięstwie.) Przestępstwo to w nowo-mowie określano terminem: „mino-zbrodnia“.

Czarnowłosa dziewczyna powróciła do swej dawnej pozycji i siedziała znów plecami do nich.

Może nie śledziła go? Może to był tylko zbieg okoliczności, że wczoraj i dziś usiadła tak blisko niego.

W międzyczasie zgasł mu papieros. Winston ostrożnie odsunął niedopałek na róg stołu. Zamierzał wypalić go wieczorem po pracy jeżeli uda się uchronić tytoń przed rozsypaniem. Być może czarnowłosa dziewczyna jest szpiegiem

Policji Myśli — być może w ciągu trzech dni wylądaje w kazamatach Ministerstwa Miłości — lecz cokolwiek ma się stać nie wolno zmarnować niedopałka papierosa!

Syme złożył swój arkusz ze słówkami i schował go do kieszeni.

Parsons nagle się ożywił.

— Czy opowiadałem ci Winstonie — podjął puszczać kłęby dymu z fajki — jak moje urwisy podpaliły spódnicę starej przekupki, która zawijała kielbaski w afisze z portretem W. B.? Podpełznęli ku niej i podpalili babę zapalkami! Poparzyli ją porządnie. Urwisy, bo urwisy — ale mają wdech, co? Powiem ci, że teraz w Zwiadowcach szkolą znakomicie — nawet lepiej jak za moich czasów. Czy wiesz co teraz należy do rynsztunku Zwiadowcy? Słuchawka do podsłuchiwania przez dziurkę od klucza! Moja mała przyniosła przed wczoraj taką słuchawkę wypróbowała ją w dziurce od klucza drzwi stołowego pokoju i stwierdziła, że słyhać przez nią dwa razy lepiej niż gołym uchem. Oczywiście to jest zabawka, ale skierowuje uwagę malców we właściwym kierunku — ot, co!

Z tele-ekranu rozległ się przeraźliwy świst. Był to sygnał zakończenia przerwy obiadowej. Wszyscy zerwali się na równe nogi i ruszyli tłumnie zdobywać miejsca w windach. Ktoś trącił stolik i z niedopałka papierosa Winstona wysypała się reszotka tytoniu.

VI.

Winston pisał w swoim pamiętniku:

„Było to trzy lata temu, ciemnej nocy, w wąskiej, bocznej uliczce, w pobliżu jednej z wielkich stacji kolejowych. Ona stała przed bramą, pod uliczną latarnią, która prawie nie dawała światła. Miała młodą twarz, silnie umalowaną. Właściwie ta szminka podzielała tak na mnie; biel twarzy jak maska i jaskrawe czerwone usta. Członkinie Partii, nigdy się nie malują. Na ulicy nie było nikogo. Nie było również w pobliżu tele-ekranów. Ona zażądała dwa dolary. Ja . . .“

Było mu zbyt trudno w tej chwili pisać dalej. Zamknął oczy i przycisnął palcami powieki, jakby pragnął wydrzeć z pamięci natrętną wizję. Ogarnęła go przemożna chęć, by zakląć obrzydliwie podniesionym głosem. Albo stuknąć głową w ścianę, kopnąć stół i wyrzucić kałamarz przez okno. Miał ochotę zrobić coś gwałtownego, hałaśliwego, lub nawet bolesnego — by zagłuszyć dręczące go widmo.

Największym wrogiem człowieka jest jego własny system nerwowy — pomyślał. Każdej chwili, wewnętrzne napięcie nerwowe przeistoczyć się może w jakiś widoczny gest.

Przyszedł mu na myśl członek Partii, którego kilka tygodni temu spotkał na ulicy. Na pierwszy rzut oka wyglądał

zupełnie zwyczajnie — w wieku 35 do 40 lat, dość wysoki, chudy, z teczką pod pachą. W pewnej chwili — gdy szli naprzeciw siebie — Winston zauważył, że lewą połowę twarzy nieznajomego zniekształcił nagły skurcz. Gdy mijali się — skurcz powtórzył się znowu. Ten nerwowy tik, który następował jak trzaśnięcie migawki aparatu fotograficznego — był już niewątpliwie nawykiem.

— No, ten biedak przepadł — pomyślał wówczas. Najokropniejsze było to, że ów tik był zapewne nieświadomy i nie zależny od woli.

Prawdziwie śmiertelnym niebezpieczeństwem było mówić przez sen. Nie wyobrażał sobie, żeby można się było przed tym ustrzec.

Odetchnął głęboko i znów zaczął pisać:

„Wszedłem za nią do bramy. Minęliśmy podwórze i zeszliśmy do kuchni w suterynie. Pod ścianą stało łóżko. Lampa na stole tliła się ledwie. Ona . . .“

Zacisnął zęby. Miał ochotę napluć na to wszystko. Równocześnie bowiem z wspomnieniem kuchni w suterynie, przyszła mu na pamięć Katarzyna — jego żona.

Winston był żonaty. W każdym razie kiedyś był żonaty. Być może był żonaty do dziś, bo o ile wiedział, jego żona żyła.

Wydawało mu się, że znów oddycha ciężkim, ciepłym odorem kuchni w suterynie, odorem, który był mieszaniną zapachu pluskiew, brudnych łachów i podłych perfum. Mimo to, perfumy były nęcące bo żadna kobieta w Partii nigdy ich nie używała. Byłoby to nawet trudno sobie wyobrazić. Tylko proletki używały perfum.

Dla niego zapach perfum wiązał się nierozzerwalnie z cudzołóstwem. U tej kobiety, w suterynie, była to chyba jego pierwsza przygoda od dwóch lat. Stosunki z prostytutkami były oczywiście zabronione, był to jeden z tych zakazów, które czasem można było obejść. Kryło się w tym pewne niebezpieczeństwo, ale bądź co bądź, nie była to sprawa życia i śmierci. Za złapanie z prostytutką groziło 5 lat obozu przymusowej pracy, ale nic więcej, jeżeli nic innego nie miało się na sumieniu. Nie było to trudne, pod warunkiem, że uniknęło się szczęśliwie przyłapania na gorącym uczynku.

Uboższe dzielnice miasta roiły się od kobiet lekkiego prowadzenia. Niektóre można było kupić nawet za butelkę dzinu, którego proleci — jak sądzono — nie pili. Partia po cichu popierała prostytutkę, jako drogę zaspokojenia instynktów, których całkowicie nie można stłumić. Do samej rozpusty nie przywiązywano w Partii większej wagi, dopóki była potajemna, bezradna i dotyczyła wyłącznie kobiet z pogardzanej klasy społecznej. Natomiast nieprzebaczalną zbrodnią były stosunki seksualne pomiędzy członkami i

członkiniami Partii. Wprawdzie w procesach, podczas wielkich czystek i do tej zbrodni przyznawali się oskarżeni, to jednak, trudno sobie było nawet wyobrazić, by coś podobnego mogło się zdarzyć.

Celem Partii było powstrzymać mężczyzn i kobiety od wzajemnego wiązania się uczuciem i lojalnością, której Partia nie mogłaby kontrolować. Lecz głównym celem, choć nie zdeklarowanym otwarcie, było dążenie do odbarwienia stosunków seksualnych z wszelkiej rozkoszy zmysłowej. Za wroga uważano nie tyle miłość, co erotyzm, zarówno w ramach jak i poza ramami małżeństwa.

Wszystkie małżeństwa członków Partii musiały być zatwierdzone przez specjalny komitet partyjny. I chociaż zasady jakimi się kierowano, nigdy nie zostały jasno określone, odmawiano zawsze zezwolenia na zawarcie małżeństwa, ilekroć petenci czynili wrażenie zakochanej pary. Jedynym, uznanym celem małżeństwa, było rodzenie dzieci dla służby w Partii. W myśl oficjalnej doktryny, stosunek seksualny należało uważać za nieco odrażający, drobny zabieg, w rodzaju lewatywy. Tego poglądu nie wyrażano nigdy jasno i otwarcie, lecz drogą pośrednią wpajano go w każdego członka Partii, od najwcześniejszego dzieciństwa. Istniały organizacje, jak np. Młodzieżowa Liga Antyseksualna — które propagowały bezżenność jako ideał, zarówno dla kobiet jak i dla mężczyzn. Dzieci, winny się rodzić wyłącznie w następstwie sztucznego zapłodnienia („art-plód“ w nowomowie) a wychowywać się w instytucjach państwowych.

Winston zdawał sobie sprawę, że tego wszystkiego nie traktowano może poważnie, ale pogląd ten, mimo to, harmonizował całkowicie z ogólną ideologią partyjną. Partia usiłowała zabić instynkt seksualny — względnie, gdyby się to nie powiodło — spacyć go i zohydzić. Nie wiedział dlaczego tak było, ale wydawało mu się naturalne, że tak, a nie inaczej być musiało. W stosunku do kobiet, wysiłki Partii w tym kierunku były w znacznej mierze uwieńczone sukcesem.

Przyszła mu znów na myśl Katarzyna. Było już chyba dziewięć, dziesięć — niemal jedenaście lat od czasu, kiedy się rozeszli. Zdumiewająco rzadko o niej myślał. Były okresy, kiedy całymi dniami w ogóle nie pamiętał, że kiedykolwiek był żonaty. Żyli ze sobą zaledwie około 15 miesięcy. Partia zabraniała rozwodów, lecz w wypadkach, gdy nie było dzieci, zachęcała do separacji.

Katarzyna była wysoka, postawna o majestatycznych ruchach. Miała jasne włosy i dumne, orle rysy, które można by nazwać szlachetnymi, nim się odkryło, że za tą urodą nie było nic. Dosłownie nic. Już w samych początkach ich małżeńskiego pożycia, Winston stwierdził ponad wszelką wątpliwość — może dlatego, iż znał ją bliżej niż kogokolwiek innego — że Katarzyna jest najgłupszym, najordynarniejszym i najbardziej pustym człowiekiem, jakiego kiedykol-

wiek w życiu spotkał. W jej głowie nie było myśli, tylko slogany i nie było takiego nonsensu, którego by nie przelknęła na rozkaz Partii.

W myślach nazywał Katarzynę „żywym gramofonem“. Byłby jednak znosił dalej wspólne pożycie, gdyby nie zmysły. Gdy tylko się jej dotknął sztywniała i wycofywała się. Gdy brał ją w ramiona, miał wrażenie, że tuli drewniany manekin. Nawet wówczas, gdy w uścisku przygarniała go do siebie, wydawało mu się, że równocześnie odpycha go z całą siłą. Muskularność jej wyrobionych mięśni wywoływała to wrażenie. Leżała z zamkniętymi oczyma i ani się nie opierała, ani nie współdziałała. Poddawała się tylko. Było to w najwyższym stopniu żenujące, a po pewnym czasie, stało się nie do zniesienia. Lecz nawet i wówczas byłby zniósł współżycie z nią pod jednym dachem, ale w separacji seksualnej. Co najdziwniejsze, właśnie Katarzyna odrzuciła tę propozycję. Uważała, że muszą mieć dziecko. Tak więc stosunki powtarzały się z wielką regularnością raz na tydzień, o ile nic nie przeszkodziło. Zwykle rano Katarzyna przypominała mu o tym, jako o sprawie, o której nie wolno zapomnieć i którą danego wieczoru należy załatwić. Miała na to dwa określenia: „produkować dziecko“, albo wypełnić „nasz obowiązek wobec Partii“. (Tak, istotnie używała tego określenia!) Niebawem zaczął odczuwać wstręt i panikę na myśl o zbliżającym się, wyznaczonym terminie. Katarzyna na szczęście nie zaszła w ciążę i w końcu zgodziła się poniechać dalszych prób. Wkrótce potem rozeszli się.

Winston westchnął. Wziął pióro i napisał:

„Rzuciła się na łóżko i natychmiast, bez jakichkolwiek wstępów — w najordynarniejszy, jaki sobie można wyobrazić, sposób — zadarła spódnice. Ja . . .“

We wspomnieniach widział się w pośrodku kuchni w suiterynie, w świetle przyćmionej lampy, z zapachem pluskiew i tanich perfum w nozdrzach. Uczucie krzywdy i żalu, jakie odczuwał w tym momencie, zespoliło się z myślą o białym ciełe Katarzyny, zamrożonym na zawsze przez hypnotyczną moc Partii.

Dlaczego to zawsze ma tak wyglądać? Dlaczego nie może mieć swojej własnej kobiety, zamiast tych brudnych przygód w odstępkach lat?

Prawdziwa miłość była w ogóle nie do pomyślenia. Kobiety Partii były wszystkie jednakowe. Czystość seksualną wpajano w nie równie głęboko, jak lojalność wobec Partii. Celowym wychowaniem od najwcześniejszego dzieciństwa, sportem i lodowatą wodą, nonsensami, którymi tumaniono je w szkole, w Zwiadowcach, w Lidze Młodzieży, odczytami, defiladami, pieśniami, sloganami, żołdecką muzyką — wynaturzano całkowicie ich instynkty.

Rozum mówił mu, że nawet wśród kobiet Partii, muszą być wyjątki, lecz sercem — nie wierzył. Wszystkie były nieczule i zimne zgodnie z życzeniem Partii.

Bardziej jeszcze niż być kochanym, pragnął, choć raz w życiu, przełamać ten mur cnoty. Spontaniczny akt płciowy byłby buntem. Pożądanie było zbrodnią myślową. Nawet gdyby mu się było powiodło rozbudzić Katarzynę — byłby to gwałt mimo, że była jego żoną.

Lecz trzeba było opowiedzieć dalszy ciąg historii. Zaczął pisać:

„Podkręciłem lampę. Gdy zobaczyłem ją w świetle . . .“

Po półmroku, pełny płomień naftowej lampki, wydawał się bardzo jasny. Po raz pierwszy mógł się przyjrzeć kobiecie. Postąpił ku niej krok, pełen żądzy i lęku. Był w pełni świadom ryzyka, jakie było związane z tą przygodą. Możliwe, że wpadnie w ręce patrolu policji. Kto wie, może czekają na niego pod drzwiami. Wpadłby w ich ręce nawet i wówczas, gdyby poniechał tego, po co tu przyszedł.

Należało wszystko napisać — wszystko wyznać. Nagle, w świetle lampy zobaczył, że kobieta była stara! Szminkę na twarzy miała nałożoną grubą warstwą, które każdej chwili mogła odpaść jak maska. Była siwa. Lecz najokropniejsze było, że w pewnej chwili rozchyliła usta ukazując czarną czeluść. Nie miała w ogóle zębów . . .

Pospiesznie nabazgrał:

„Gdy zobaczyłem ją w świetle lampy, przekonałem się, że była stara! Miała co najmniej pięćdziesiąt lat. Lecz mimo to, nie cofnąłem się . . .“

Przesunął dłonią po przymkniętych powiekach. Napisał wreszcie wszystko, lecz nie odczuł ulgi. Kuracja nie odniosła skutku. Podobnie jak przed godziną miał ochotę zakląć na cały głos.

VII.

„Jeżeli istnieje jakaś nadzieja — pisał Winston — to związana jest z proletami.“

Nie ma nadziei poza proletami, bo tylko wśród tych pogardzanych mas, stanowiących 85 % mieszkańców Oceanii, mogłaby powstać siła zdolna obalić Partię.

Partia nie może być pokonana od wewnątrz. Jej wrogowie — jeżeli tacy istnieją — nie mają możliwości nie tylko skupić się, ale nawet rozpoznać się nawzajem. Nawet jeżeli istniało legendarne Braterstwo — możliwości takiej nie można wykluczyć — trudno by sobie wyobrazić, aby jego członkowie zbierać się mogli w większych grupach, jak po dwóch, lub trzech.

Buntem był błysk w oczach — zmieniony głos — szepnięte przypadkowo słowo. Lecz proleci, gdyby w jakiś sposób stali się świadomi swej siły, nie mieliby potrzeby konspiracji. Wystarczyło by, gdyby powstali i strząsnęli z siebie wszystko jak koń, zmiatający z zadu muchy ogonem. Gdyby chcieli, mogliby rozbić Partię w pył i proch . . . jutro rano. Kiedyś — wcześniej lub później, musi im przyjść do głowy, że jednak trzeba to zrobić. A jednak . . .

Przypomniawszy sobie, jak kiedyś, gdy był na przedmieściach, do uszu jego dobiegł nagle, z bocznej uliczki, gwar i krzyk setek głosów. W większości były to głosy kobiet. Płonął w tym krzyku gniew i rozpacz, a głęboki podźwięk niósł się i wibrował w powietrzu jak uderzenia dzwonu.

Serce Winstona zabiło gwałtownie. — Zaczęło się! — pomyślał. — Rozruchy! Proleci ruszyli się nareszcie!

Gdy przybiegł na miejsce, zobaczył tłum dwustu czy trzystu kobiet tłoczących się wokół straganów. Ich twarze wyrażały taką tragiczną boleść, jakby w tej chwili znajdowały się nie na placu targowym, lecz na pokładzie tonącego statku, skazanego na zagładę.

Po chwili rozpacz przerodziła się w zażarte klótnie. Cóż się okazało? Przy jednym ze straganów sprzedawano cynkowe patelnie. Była to wybrakowana tandeta, ale naczyń kuchennych niemal w ogóle nie było w handlu. Zapas patelní wyczerpał się niespodziewanie. Szczęśliwie, którym udało się zdobyć patelnię — poszturkiwane i popychane, usiłowały unieść w bezpieczne miejsce swoje skarby — podczas gdy dziesiątki innych, oblegało wrzaskliwie stragan, oskarżając właściciela, że protegował znajome klientki z krzywdą innych i schował, pewnie pod ladą, część zapasu.

Wybuchły nowe wrzaski, gdy dwie proletki z rozwianymi włosami usiłowały jedna drugiej wyrwać patelnię. Dopóty szamotały się i ciągnęły, aż urwały patelni rączkę.

Winston przypatrywał się tej scenie z niesmakiem. A przecież cóż za potęga i przerażająca moc zabrzmiała przez moment w tym krzyku kilkuset gardzieli! Dlaczego tak nigdy nie krzyczą o rzeczy istotne?

Napisał:

„Dopóki nie będą uświadomieni, nigdy nie podniosą buntu — lecz na to, by osiągnąć uświadomienie musieliby się wpieryw zbuntować.“

To zdanie — pomyślał — mogłoby być żywcem skopiowane z podręczników partyjnych. Partia twierdziła oczywiście, że uwolniła proletów z więzów. Przed Rewolucją byli wyzyskiwani i uciskani przez kapitalistów — przymierali głodem — byli bici, a proletki zmuszane do pracy w kopalniach. (Kobiety nadal pracowały w kopalniach). Dzieci proletów, w wieku lat 6, sprzedawano do fabryk itd.

Lecz równocześnie, zgodnie z filozofią „dwój-myślenia“ Partia uczyła, że proletci są niższą rasą, nad którą musi się panować jak nad zwierzętami, stosując kilka prostych zasad.

W rzeczywistości bardzo mało wiedziano o proletach. Nie było zresztą potrzeby wiele wiedzieć na ten temat. Jak długo pracowali i rozmnażali się, inne przejawy ich działalności były bez większego znaczenia.

Podobnie jak bydło puszczone wolno na stepie argentyńskim z czasem dziczeje, tak i oni pozostawieni sami sobie, powrócili do stylu życia, który wydawał się im naturalny i tradycyjny. Rodzili się, wychowywali w ryzostoku i na ulicy, w 12 roku życia szli do pracy. Okres rozkwitu i namiętności trwał u nich krótko. Żenili się w 20 roku życia — po 30-ce zaczynali się starzeć — umierali przeważnie około 60-tych.

Ich horyzont myślowy nie wybiegał poza pożywienie, ciężką fizyczną pracę, troskę o dom i dzieci, drobne kłótnie z sąsiadami, kino, piłkę nożną, piwo — a przede wszystkim — hazard.

Utrzymywać ich w ryzach było bardzo łatwo. Garść agentów Policji Myśli szpiegowała ich stale rozsiewając prowokacyjne fałszywe pogłoski. Tych kilku, którzy w pewnych okolicznościach, mogliby być niebezpieczni — likwidowano. I to wszystko. Nikt nie zadawał sobie trudu, aby propagować wśród nich ideologię partyjną. Przeciwnie, było niepożądane, aby proletci objawiali jakiegokolwiek zainteresowania polityczne. Wymagano od nich jedynie prymitywnego patriotyzmu — do którego można by się odwołać, ilekroć zamierzano wprowadzić dłuższe godziny pracy, lub zmniejszyć racje żywnościowe.

Jeżeli czasem — jak się to jednak trafiało — okazywali niezadowolenie, kończyło się to na niczym. Nie mieli przed oczyma ogólniejszego celu i swój gniew skupiali zwykle na jakiejś drobnej krzywdzie. Wielkiego Zła nie dostrzegali.

Większość proletów nie miała nawet tele-ekranów w swoich domach. Zwykła policja miała z nimi również nie wiele do czynienia. W Londynie kwitła zbrodnia i roiło się od złodziei, bandytów, prostytutek, handlarzy narkotyków i niebieskich ptaków wszelkiego rodzaju, ale ponieważ działo się to wszystko w ramach świata proletów — było bez znaczenia. Wolno im było żyć według ich własnego kodeksu moralnego. Proletów nie obowiązywał seksualny purytanizm Partii. Cudzołóstwo nie było karalne — rozwody dozwolone. Nawet zezwolono by im na kult religijny, gdyby okazali w tym kierunku jakiegokolwiek zainteresowanie.

Znajdowali się na poziomie, który już był poza zasięgiem podejrzeń. Slogan Partii ujmował to w zdaniu: „Proletci i zwierzęta są wolni“.

Winston nachylił się i ostrożnie podrapał żyłak, który znów zaczął go boleć.

Problem, do którego nieodmiennie powracał, to niemożność odtworzenia prawdziwego obrazu życia, przed Rewolucją. Wyciągnął z szuflady szkolny podręcznik historii, który pożyczył od p.Parsons. Otworzył na wiadomej stronie i zaczął przepisywać.

„W dawnych czasach, przed wielką Rewolucją, Londyn nie był tym pięknym miastem jakim znamy go dziś. Była to ciemna, brudna, nędzna miejscina, gdzie nikt nie był syty, a setki tysięcy biednych ludzi chodziło boso, nie mając nawet dachu, pod którym w nocy mogliby się przespać. Dzieci w waszym wieku, musiały ciężko pracować, po 12 godzin dziennie, dla okrutnych panów, którzy bili je harapami, gdy pracowały zbyt wolno. Jako pożywienie dostawały stare skórki z chleba i wodę. Wśród tej straszliwej nędzy, garść bogaczy żyła w pięknych pałacach, a każdemu z nich usługiwało po trzydziestu służących. Tych bogaczy nazywano kapitalistami. Byli oni grubi, szpetni o podłych twarzach jak ów kapitalista, którego podobiznę widzicie na stronie obok. Kapitałiści ubrani byli w długie czarne surduty, które zwano anglezami, oraz w dziwaczne lśniące kapelusze, przypominające rurę od pieca, które zwano cylindrami. To był mundur kapitalistów i nikomu innemu nie było wolno go nosić. Wszystko na świecie stanowiło własność kapitalistów, a wszyscy biedni ludzie byli ich niewolnikami. Ich własnością była cała ziemia, wszystkie domy, fabryki i pieniądze. Jeżeli ktoś był wobec nich nieposłuszny, mogli go wrzucić do więzienia, lub pozbawić pracy i skazać tym samym na śmierć głodową. Gdy zwyczajny człowiek chciał powiedzieć coś do kapitalisty musiał giąć się w pokłonach, zdjąć czapkę z głowy i tytułować go jaśnie panem. Przywódcę wszystkich kapitalistów nazywano królem . . .“

Znał doskonale resztę tej litanii. Będzie tam wzmianka o biskupach w koronkowych rękawach — o sędziach w grono-stajowych płaszczach — o pręgierzu — o kajdanach — o więźniach obracających młyńskie kamienie — o 9-ciu rze-miennych dyscyplinach, o przyjęciach u burmistrza — o zwyczaju całowania Papieża w palec u nogi itd.

Było również coś, co zwano „jus primae noctis“. Ten szczegół pominięto zapewne w podręcznikach dla dzieci. Było to prawo, na mocy którego kapitalista mógł spać z każdą kobietą, która pracowała w jego fabryce.

Jak można było sprawdzić ile w tym wszystkim było kłamstwa? Możliwe, że przeciętny człowiek miał się obecnie lepiej, niż przed Rewolucją. Jedyнным dowodem, że chyba tak nie było — był głuchy protest, wyczuwalny we własnych kościach

i instynktowne poczucie, że obecne warunki są nie do zniesienia i że kiedyś musiało jednak być lepiej.

Prawdziwie charakterystycznymi cechami współczesnego życia nie było okrucieństwo i niepewność lecz pustka — brud — apatia.

Życie na które patrzył, nie przypominało w niczym kłamstw propagandy, ani ideałów, które malowała Partia. W większości nawet i dla członków Partii — codzienność była czymś neutralnym i apolitycznym. Trzeba było po prostu wykonywać jakąś nudną pracę, walczyć o miejsce w kolejce podziemnej, cerować w nieskończoność stare skarpetki, dzielić tabletkę sacharyny i zbierać niedopałki papierosów.

Ideałem Partii, był świat ze stali i betonu, gigantyczny, straszliwy, błyszczący, świat koszmarnych maszyn i zabójczych broni, zamieszkały przez naród wojowników i fanatyków — maszerujących zgodnie, myślących identycznie, krzyżujących te same slogany — w wiecznym wyścigu pracy, walki, triumfu, nienawiści — 300 milionów ludzi o jednej twarzy.

Rzeczywistość wyglądała inaczej. Walące się w gruzy brudne miasta, niedożywieni ludzie w dziurawych butach, łatane, naprawiane dziewiętnastowieczne domy — pełne smrodu gotowanej kapusty i popsutych klozetów.

Przymknął oczy. Wydawało mu się, że widzi wizję Londynu — olbrzymie miasto ruin i milionów kosztów na śmieci, a wśród nich symbol brudu i nędzy, p.Parsons, o wychudłej twarzy i włosach spiętych w węzeł, pochylona bezradnie nad zatkanym zlewem.

Pochylił się i znów podrapał żyłak.

Dzień i noc płynęły z tele-ekranów cyfry statystyczne, które miały udowodnić, że ludzie mieli dziś więcej żywności, więcej ubrań, lepsze mieszkania, więcej rozrywek, że żyją dłużej, pracują krócej, że są zdrowsi, więksi, mocniejsi, szczęśliwsi, bardziej inteligentni i wykształceni niż 50 lat temu. Nie można by dowieść, ani że twierdzenia te są prawdą, ani że są fałszem.

Partia podawała, że 40% proletów umiało obecnie czytać i pisać, a przed Rewolucją rzekomo 85% proletów stanowili analfabeci. Podawano, że śmiertelność niemowląt wynosi zaledwie 160 zgonów na tysiąc, gdy przed Rewolucją, przekraczała 300, itd.

Wszystko wyglądało jak równanie pierwszego stopnia, ale o dwóch niewiadomych. Być może, że każde słowo w podręcznikach historii — nawet fakty, powszechnie przyjmowane bez zastrzeżeń — były całkowicie zmyślane, od początku do końca.

Z tego co wiedział, nie było pewne, czy kiedykolwiek istniało takie prawo jak „jus primae noctis“ — lub taki gatunek ludzki, jak „kapitaliści“ — względnie, tak dziwna część garderoby jak cylinder.

Wszystko rozplywało się we mgle. Przeszłość zatarto — fałszerstwo zapomniano — kłamstwo stało się prawdą!

Raz w życiu miał w ręce i to po dokonanych już fakcie — konkretne dowody aktu fałszerstwa historycznego. Dowody miał w rękach przez 30 sekund.

Musiało to być chyba w 1973 r., w każdym razie w tym czasie, kiedy rozeszli się z Katarzyną. Ale właściwie, stało się to siedem czy osiem lat wcześniej.

Historia tego epizodu rozpoczyna się w połowie lat sześćdziesiątych, w okresie wielkich czystek, w których zlikwidowano pierwszych przywódców Rewolucji. Do roku 1970 zlikwidowano wszystkich przywódców, z wyjątkiem Wielkiego Brata. Oskarżono ich o zdradę i kontr-rewolucję. Goldstein uciekł i gdzieś się ukrywał. Inni, częściowo zniknęli w ogóle bez śladu — częściowo, przyznawszy się do wszystkich zarzucanych im zbrodni, skończyli na szubienicy.

Do ostatnich ze starej gwardii należeli Jones, Rutherford i Aaronson. Tych trzech zaaresztowano chyba w r. 1965. Jak zwykle w takich wypadkach, panowie ci zniknęli z horyzontu i nikt nie wiedział jaki ich los spotkał. Nagle, po roku, wypłynęli w czasie wielkiego pokazowego procesu. Zgodnie z procedurą, pokajali się i przyznali do szpiegostwa na rzecz wroga, (wówczas wrogiem była również Eurazja) — do nadużyć i kradzieży, do skrytobójczych morderstw zaufanych członków Partii — do spiskowania, jeszcze przed Rewolucją, przeciw rządowi Wielkiego Brata — do sabotaży, które przyniosły w rezultacie śmierć setek tysięcy ludzi, itd. itd.

Po tym pokajaniu przebaczone im, przyjęto z powrotem do Partii, a nawet otrzymali stanowiska, które były wprawdzie synekurami, ale dawały prawo do szumnych tytułów. Wszyscy trzej ogłosili w „Times“ długie, upadające artykuły, w których pokajali się powtórnie, wyrazili skruchę i obiecali poprawę.

W jakiś czas po ich zwolnieniu — Winston miał sposobność przyjrzeć im się z bliska w kawiarni „Pod Kasztanem“. Do dziś pamięta, jak obserwował ich kącikami oczu — zafascynowany i przerażony.

Wszyscy trzej byli znacznie starsi od niego. Patrząc na nich wiedział, że to są dosłownie ostatni bojownicy z pierwszych, heroicznego dnia Rewolucji — pamiątki minionej epoki, cudem jeszcze zachowane. Z ich nazwiskami wiązał się romantyzm pierwszych walk podziemnych i wojny domowej. Choć wówczas datowanie nie było już łatwe, wydawało mu się jednak, że nazwiska tych trzech znane mu były na wiele lat przed tym, nim usłyszał po raz pierwszy o Wielkim Bracie.

Lecz cóż — dziś Rutherford, Jones i Aaronson — byli wyrzutkami, wrogami, parjasami — skazanymi na zagładę na przestrzeni roku czy dwóch. Gdy ktoś raz wpadł w ręce

Policji Myśli — nie było dla niego ratunku. Ci trzej, to były już tylko ciała oczekujące grabarza.

Wokół ich stolika było całkowicie pusto. Nie było bezpiecznie mieć takich sąsiadów, nawet w kawiarni. Siedzieli milcząc nad szklankami dżinu z goździkami, który był wówczas w modzie w kawiarni „Pod Kasztanem“.

Rutherford wywarł największe wrażenie na Winstonie. Kiedyś był on słynnym karykaturzystą, a jego brutalną krechą rysowane karykatury, podburzały i zapalały serca w okresie przed Rewolucją i w czasie walk. Nawet teraz — choć niezmiernie rzadko — ukazywały się jeszcze jego rysunki w „Times’ie“. Były to jednak kopie jego dawniejszych prac — dziwnie martwe i nieprzekonywujące. Stare, ograne tematy — ginące z głodu dzieci — nędza robotniczych mieszkań — walki uliczne — kapitaliści w cylindrach (nawet na barykadach nie rozstawali się z nimi) — wszystko to było beznadziejną próbą wskrzeszenia dawnej świetności, kiedy ołówek jego porywał i zapalał.

Rutherford był poczwarny — z wiechą tłustawych szarych włosów i workowatą twarzą, spiętą jakby kłamrą dużymi, murzyńskimi ustami. Kiedyś musiał to być mężczyzna o niezwykłej sile. Dziś jego olbrzymie cielsko trzęsło się jak galareta — rozlewało — rozpadało niemal. Robił wrażenie, że lada chwila rozsypie się na oczach wszystkich.

Była godzina 15 i w kawiarni było niemal pusto. Winston już dziś nie pamiętał jak to się stało, że o tak dziwnej godzinie był w kawiarni.

Trzej siedzieli przy stoliku, w milczeniu, bez ruchu. Kellner bez słowa stawiał przed nimi nowe szklanki z dżinem. Obok, na małym stolczku leżała rozłożona szachownica przygotowana do gry, lecz nikt gry nie rozpoczynał.

I wówczas w tele-ekranie stało się nagle coś dziwnego, może na przeciąg pół minuty. Zmieniła się zarówno melodia jak i program. Równocześnie wydarzyło się coś co trudno opisać. Z tele-ekranu rozległ się szczególnie ton — skrzypiący, trzeszczący z akcentem straszliwej drwiny. Winston w myślach nazywał później ten ton „żółtą nutą“.

A po chwili zabrzmiał śpiew:

Pod rozłożystym kasztanem,
Sprzedałem cię, a ty sprzedałeś mnie —
Tu leżą oni, a tu leżymy my —
Pod rozłożystym kasztanem.

Trzech przy stoliku nie drgnęło. Lecz Winston dostrzegł, że oczy Rutherford’a są pełne łez. Również dopiero teraz zauważył, i odczuł jakiś wewnętrzny dreszcz, choć nie wiedział przed czym się wzdraga — że zarówno Aaronson jak i Rutherford mają złamane nosy.

Niemal bezpośrednio wszystkich trzech zaaresztowano powtórnie. Okazało się, że rozpoczęli kontr-rewolucyjną konspirację na drugi dzień po zwolnieniu. W czasie drugiego procesu przyznali się ponownie do wszystkich zbrodni, które wyznali już w czasie pokajania, na pierwszym procesie, oraz do najświeższych zbrodni. Zgladzano ich natychmiast, a ich dzieje, odpowiednio przerobione, włączono do historii Partii jako ostrzeżenie dla innych.

W pięć lat po tych wypadkach, Winston, któregoś dnia rozwijał w swojej kabinie, w Ministerstwie, rolkę dokumentów, które wyrzuciła właśnie na biurko poczta pneumatyczna. Nagle wśród urzędowych papierów spostrzegł wycinek z gazety, który przez czyjąś nieuwagę dostał się do rolki. Rzut oka upewnił go, że wycinek jest dokumentem o wielkiej doniosłości. Było to pół strony „Times’a“ sprzed 10 laty z zachowaną w górze datą. Wycinek zawierał reprodukcję fotografii delegacji dostojników partyjnych, w czasie oficjalnej wizyty w Nowym Jorku. Na samym froncie, widoczni byli na zdjęciu Jones, Aaronson i Rutherford. Nie mógł się mylić. Poza tym, w podpisie pod fotografią wymienione były ich nazwiska.

Tymczasem w czasie obu procesów, wszyscy trzej przyznali się, że właśnie w tym dniu przebywali w Eurazji. Z zakonspirowanego lotniska w Kanadzie przelecieli samolotem na Syberię, gdzie eurazyjskim oficerom sztabowym zdradzili ważne tajemnice wojskowe. Data owego rzekomego spotkania na Syberii, którą zeznali w procesie — utkwiała Winstonowi w pamięci, by był to dzień 21 czerwca, najdłuższy dzień w roku. Oczywiście data ta była zanotowana w niezliczonej ilości dokumentów i protokołów procesowych.

Tylko jedno mogło być rozwiązanie tej sprawy, a mianowicie, że oskarżeni w zeznaniach swych kłamali, przyznając się do nie popełnionych zbrodni.

Istota faktu — oczywiście nie stanowiła odkrycia. Nawet w owym czasie Winston nie wyobrażał sobie, że ludzie likwidowani w czystkach popełnili naprawdę czyny, które im zarzucano. Lecz w tym wypadku miał w ręku konkretny dowód. Wycinek „Times’a“ był fragmentem obalonej przeszłości. Jak kopalne szczątki odnalezione nagle w niewłaściwym pokładzie geologicznym przekreślają wypracowaną teorię przeszłości — tak i ten dokument przeczył teorii, która podawała się za prawdę. Były to dostateczny materiał by rozsądzić i skompromitować partię, gdyby było możliwe dokument ten ogłosić i wagę jego przedstawić światu.

Przystąpił natychmiast do akcji. Jak tylko zorientował się w znaczeniu fotografii, przykrył ją natychmiast arkuszem papieru. Na szczęście — gdy ją odwijał z rolki, była ona odwrócona frontem do niego, a nie frontem do tele-ekranu.

Położył teczkę na kolanach i odsunął się z krzesłem do tyłu, by być możliwie najdalej od tele-ekranu. Zachować normalny wyraz twarzy nie było mu trudno. Przy pewnym wysiłku można było również regulować oddech. Nie jest jednak możliwe kontrolować bicie serca, a tele-ekran jest dostatecznie czuły by z tak niewielkiej odległości zarejestrować każdą zmianę tętna.

Odczekał jakieś 10 minut drżąc ze strachu, żeby nie zdradził go przypadek — np. przeciąg, który by zdmuchnął papiery z biurka. Po chwili — nie odkrywając już fotografii położył na nią kilka innych papierów i wszystko wrzucił w otwór „grobu pamięci“. W następnej minucie pochłonęły ją płomienie.

Działo się to dziesięć. . . jedenaście lat temu. Dziś być może byłby fotografię zachował. Przywiązywał wielką wagę do faktu, że fotografię tę miał w rękach — mimo, że zarówno sama fotografia jak i wydarzenie, które upamiętniała — były już tylko wspomnieniem. Czyż władza Partii nad przeszłością była mniej pewna dlatego, że dowód, który już nie istnieje — kiedyś jednak, niewątpliwie istniał?

Lecz dziś, gdyby nawet ową fotografię można było wskrzesić z popiołów, nie byłaby dowodem. W okresie kiedy Winston odkrył ją w rolce dokumentów Oceania nie była w wojnie z Eurazją i oczywiście zgładzeni przywódcy musieli swe tajemnice zdradzić Wschodnio-Azji. Od tego czasu, wysunięto przeciw nim nowe oskarżenia — dwa, trzy, Winston nie pamiętał już dziś, ile było wydań tych oskarżeń. Prawdopodobnie ich wyznania przerabiano i przerabiano dziesiątki razy — tak, że oryginalne daty i fakty nie mogły mieć w tej sprawie już żadnego znaczenia.

Przeszłość nie tylko zmieniano, ale zmieniano ją ustawicznie, ciągle. Najkoszmarniejsze w tym wszystkim wydawało mu się to, że nie mógł nigdy pojąć w jakim celu podejmowano tę gigantyczną operację. Bezpośrednia korzyść płynąca z fałszowania przeszłości była oczywista, ale ostateczny cel tego procesu był tajemniczy i niejasny.

Zamaczał pióro i napisał:

Rozumiem „JAK“ — nie rozumiem „DLACZEGO“.

Przyszło mu na myśl — nie po raz pierwszy — czy nie jest obłąkany? Być może obłąkany jest ten, kto sam jeden jest w mniejszości? Był czas, że było szaleństwem przypuszczać, że ziemia obraca się wokół słońca. Dziś jest oznaką obłąkania wierzyć, że przeszłość jest niezmiennalna. Być może, że tylko on jeden wierzy, że przeszłości nie można zmienić i będąc samotny w tym mniemaniu, tym samym jest obłąkany!

Myśl o szaleństwie nie przerażała go. Przerażeniem nappełniała go natomiast możliwość, że jest nie tylko szaleńcem ale, że jest i w błędzie.

Wyjął powtórnie podręcznik historii i spojrzął na portret Wielkiego Brata na okładce. Hypnotyczne oczy wbiły się w jego twarz. Odnosił wrażenie jakby był pod ciśnieniem tysięcy atmosfer — jakby jakaś żywa siła wpełzła mu pod czaszkę — walczyła przeciw mózgowi — terrorem ogólała go z jego przekonań, wymuszając na nim niemal gotowość przeczenia świadectwu zmysłów.

Partia ogłosi w końcu, że dwa plus dwa jest pięć i trzeba będzie w to uwierzyć. Wcześniej czy później będą musieli tak postąpić. Logika pozycji Partii tego wymaga. Nie tylko dowód czerpany z doświadczenia, lecz sam fakt istnienia zewnętrznego, realnego świata był milcząco zaprzeczany przez filozofię partyjną. Szczytem herezji był zdrowy rozsądek.

Lecz najstraszniejsze było nie to, że mogli zabić każdego, kto myślał inaczej, lecz to, że może mają rację . . . ?

Bo właściwie, na czym się opieramy twierdząc, że dwa plus dwa równa się cztery? Albo, że prawa ciężenia są takie a nie inne? Albo, że przeszłość jest niezmiennalna?

Jeżeli zarówno przeszłość jak i realizm zewnętrznego świata istnieją jedynie w naszym umyśle — w sferze naszych pojęć — a umysł może być poddany kontroli — co wtedy?

Lecz nie! Nagle wezbrała w nim odwaga. Twarz O'Brien'a — choć nie myślał o nim — pojawiła się przed nim jak żywa. Czuł z większą pewnością niż kiedykolwiek przedtem, że O'Brien jest za nim. Swój pamiętnik pisał dla O'Brien'a i do O'Brien'a — jak długi niekończący się list, którego nikt nigdy nie przeczyta. List ten jest zaadresowany do pewnej szczególnej osoby. To ów adresat wyciskał piętno na liście-pamiętniku Winstona.

Partia nakazywała odrzucić świadectwo oczu i uszu. To było ostateczne i kardynalne przykazanie.

Zamierało w nim serce na myśl, jak olbrzymia potęga jest zmobilizowana przeciw niemu. Z jaką łatwością partyjny intelektualista zmiażdżyłby go w dyskusji, przytaczając subtelne argumenty — których nie tylko nie umiałby odeprzeć, ale pewnie by ich nawet nie zrozumiał.

A jednak, słuszność była po jego stronie. Oni tkwili w błędzie — nie on. Bronić należało tego co było oczywiste — może naiwne, ale prawdziwe. Truizmy zawierają w sobie prawdę mimo, że są truizmami. Należało się tego trzymać! Zewnętrzny, realny świat istnieje — jego prawa nie podlegają zmianom. Kamienie są twarde — woda jest mokra — przedmiot nie podtrzymywany, spada na ziemię na mocy prawa grawitacji.

Z uczuciem, że mówi do O'Briena i z świadomością, że formułuje doniosły pewnik — napisał w pamiętniku:

„Wolność polega na tym, że wolno stwierdzić że dwa plus dwa równa się cztery. Jeżeli to wolno, wszystko inne jest już prostą konsekwencją.“

VIII.

Z bocznej uliczki nadpłynął nagle zapach palonej kawy. Prawdziwej kawy, a nie kawy „Zwycięstwo“. Winston przystanął jak urzeczony. Na kilka sekund znalazł się w na pół zapomnianym świecie swojego dzieciństwa.

Strzeliły gdzieś gwałtownie zatrzaśnięte drzwi i zapach zamilkł nagle, jakby był muzyką.

Przeszedł już kilka kilometrów i w żylaku czuł bolesne pulsowanie. — Po raz drugi w ciągu ostatnich trzech tygodni opuścił wieczór w Klubie Społecznym. Było to dość lekkomyślnie z jego strony, bo bez wątpienia obecność na wieczorach w Klubie dokładnie sprawdzano.

Powszechnie obowiązywała zasada, że członek Partii nie ma wolnego czasu i nigdy nie jest sam — chyby w nocy, w łóżku. Jeżeli członek Partii, w danej chwili nie pracował, nie jadł, czy nie spał — powinien brać czynny udział życia społecznym. Było również ryzykowne oddawanie się zajęciom, które wskazywały na samotnicze upodobania — nawet, jeżeli zajęcie było tak niewinne jak samotny spacer. Nowomowa miała specjalny termin „samo-żytnik“, którym określano indywidualistów i dziwaków.

Tego wieczoru jednak, gdy Winston wyszedł z Ministerstwa nie mógł się oprzeć pokusie. Powietrze było wiosenne, kwietniowe a niebo bardziej niebieskie niż dni poprzednich i perspektywa długiego, hałaśliwego wieczoru w Klubie Społecznym — z wykładami, z nudnymi, męczącymi gramami, ze zgrzytliwym partyjnym koleżeństwem, oliwionym dżinem — wydała mu się nie do zniesienia.

Minął przystanek autobusowy i ruszył prosto, przed siebie, w labirynt Londynu — najpierw w prawo, potem w lewo, znów w prawo aż zgubił się wśród nieznanym sobie ulic, nie interesując się właściwie tym, dokąd idzie.

„Jeżeli istnieje jakaś nadzieja, to związana jest z proletariatem“ — pisał niedawno w swoim pamiętniku. Zdanie to przyszło mu teraz na myśl. Zawierało ono zarówno jakby mistyczną prawdę, jak i oczywisty, dotykający niemal absurd.

Błądził wśród brudnawych zaułków na północo-wschód od miejsca, które kiedyś było stacją Saint Pancras.

Szedł brukowaną uliczką wśród małych, dwupiętrowych domków, których rozwalone bramy ziały czernią wejść wprost na chodnik i dziwnie ludzako przypominały nory

szczurze. W miejscach, gdzie brakowało kostek w jezdni gromadziła się brudna woda.

Przez czarne wejścia domów i po wąskich uliczkach, które rozwidlały się we wszystkie strony — spieszyły roje ludzi. Młode dziewczęta z grubo umalowanymi ustami, chłopcy, którzy się do nich zalecali, otyłe kobiety, drepcące jak kaczkki (oto obraz młodych dziewcząt za lat 10!), pochyleni starcy, człapiący wolno na płaskich, sztywnych stopach. Obdarte bose dzieci, które bawiły się w kałużach, na krzyk matek, rozbiegały się na chwilę.

Okolo jednej czwartej okien na całej ulicy nie miało szyb. Zabito je deskami.

Większość przechodniów nie zwracała na Winstona żadnej uwagi. Ten i ów przyjrzał mu się z nieufną ciekawością. Dwie stare wiedźmy, skrzyżowawszy na fartuchach ręce, koloru wypalanej cegły, plotkowały w bramie. Winston przechodząc uchwycił kilka słów z ich rozmowy:

— Ja jej powiedziałam — to wszystko bardzo ładnie, moja pani, ale gdybyś pani była na moim miejscu, zrobiłabyś to samo! Łatwo jest krytykować, ale moja sytuacja jest inna niż pani!

— Tak, tak — westchnęła druga. —

Piskliwy dialog urwał się nagle. Gdy je mijał, obie kobiety obserwowały go w wrogim milczeniu. Właściwie, nie była to wrogość, lecz pełna czujności ostrożność, jaką budzi w człowieku widok nieznanego zwierzęcia. Niebieski kombinezon partyjny nie był tu częstym widokiem. Dla członka Partii lepiej było nie błąkać się po tych uliczkach bez konkretnej przyczyny. Można było spotkać patrol policji i wówczas trzeba by odpowiedzieć na serię nieuniknionych pytań: Czy mogę zobaczyć wasze dokumenty, towarzyszu? — Co tutaj robicie? — O której godzinie opuściliście miejsce pracy? — Czy to jest droga, którą zwykle wracacie do domu? itd. itd.

Nie było zakazu powracać inną niż zazwyczaj drogą do domu. Ale taki wypadek wystarczał, aby zwrócić na siebie uwagę Policji Myśli, gdyby jej o tym doniesiono.

Nagle zakotłowało się i zawrzało na całej ulicy. Ze wszystkich stron rozległy się ostrzegawcze okrzyki. Ludzie znikali w bramach jak króliki w jamach. Tuż przed Winstonem jakaś młoda kobieta wyskoczyła z bramy, porwała malca, który chlapał się w kałuży, okręciła go fartuchem i wskoczyła z powrotem w czeluść bramy. Wszystko to był jeden migawkowy ruch. W tej samej chwili, jakiś mężczyzna w czarnych spodniach jak harmonijka, który nagle wynurzył się zza zakrętu — podbiegł do Winstona i wskazując na niebo krzyknął:

— Parowiec! Niech pan spojrzy! Huczy już nad głową, kładź się pan na ziemię, szybko!

Proleci bomby, raketowe nazywali — nie wiadomo z jakich przyczyn — „parowcami“.

Winston, bez chwili namysłu, upadł plackiem na ziemię. Proleci w roli syren alarmowych byli niezawodni. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że posiadają jakiś instynkt, który ostrzega ich na kilkanaście sekund naprzód o grożącym nalocie bombowym. Było to tym dziwniejsze, że „parowce“ podróżowały szybciej niż dźwięk.

Winston ledwo zdążył skrzyżować ramiona nad głową, gdy powietrze rozdarł huk detonacji, że aż jęknęła jezdnia ulicy. Równocześnie poczuł, że sypie mu się coś na plecy. Gdy zerwał się na nogi zobaczył, że był cały obsypany szkłem, które podmuch wyrwał z najbliższych okien.

Ruszył dalej. Bomba obróciła w ruinę kilka domów jakieś dwieście metrów przed nim. Nad pobombowiskiem, w górze, unosiła się czarna chmura dymu, a w dole wibrował gęsty tuman pyłu. Tłum zaczął się już zbierać wokół ruin.

Tuż przed nim, na chodniku leżała kupa gruzu i tynku, a w pośrodku dostrzegł jaskrawo czerwony ślad. Gdy pochylił się, zobaczył, że była to ręka odcięta w przegubie. Z wyjątkiem krwawego kikuta, dłoń była tak biała jakby odlana z gipsu.

Wkopał kikut do rynsztoka i — by wyminąć zbiegowisko — skręcił w boczną uliczkę. Po kilku minutach był już poza terenem zasięgu bomby, a wokół niego toczyło się zwyczajne swarliwe i brudne życie ulicy, jakby w ogóle nic się nie wydarzyło.

Było blisko godziny dwudziestej i sklepy alkoholowe (proleci jeszcze ciągle zwali je „barami“) roily się już od pijących. poprzez drzwi sklepów, w ustawicznym, wahadlowym ruchu wpływała na ulicę woń uryny — trocin i skwaśnialego piwa.

Obok, w kącie pod murem stało trzech mężczyzn. Jeden z nich trzymał rozłożoną gazetę, podczas gdy towarzysze pochyleni poprzez jego ramię również zatopieni byli w lekturze. Winston, zanim jeszcze zbliżył się na tyle by dostrzec wyraz ich twarzy, spostrzegł natychmiast, że dla tych trzech świat nie istnieje poza płachtą dziennika. Mówił o tym każdy szczegół i każda linia ich skupionych, pochylonych postaci. Musieli studiować jakąś wiadomość niezmiernej wagi.

Gdy podszedł ku nim bliżej wybuchła kłótnia i przez chwilę wydawało się, że dojdzie do walki.

— Słuchaj, co ci mówię — krzyszał pierwszy. — Powiedziałem ci, że w ciągu ostatnich czternastu miesięcy nie wyszedł żaden numer kończący się na siódemką!

— Wyszedł! Właśnie, że wyszedł!

— Nieprawda! Mam w domu spisane wszystkie numery jakie wygrały w ostatnich dwóch latach. Notowałem je bardzo dokładnie i mówię ci jeszcze raz, że żaden numer na siódemkę . . .

— Kłamiesz! Wyszedł numer z siódmką. Mogę ci nawet powiedzieć kiedy? W lutym, w drugim tygodniu lutego!

— W lutym? Twoja babcia wyszła na cmentarz w lutym, a nie numer z siódmką. Mam wszystkie numery zapisane czarno na białym i mówię ci . . .

— Stulcie obaj pyski! — warknął trzeci.

Dyskusja dotyczyła loterii. Winston, gdy uszedł już około trzydziestu metrów obrócił się jeszcze raz i spojrzął na graczy. Stali w tym samym miejscu, roznamiętnieni, żywo gestykulując.

Loteria i olbrzymie wygrane, to były jedyne społeczno-publiczne wydarzenia, którymi proleci się interesowali. Dla wielu milionów proletów loteria była głównym, jeżeli nie jedynym celem w życiu.

Loteria była ich przyjemnością, namiętnością, bodźcem, który pobudzał ich wyobraźnię. Nawet ci, którzy byli niedłwie analfabetami wykazywali w związku z grą zdumiewające zdolności rachunkowe i rekordową pamięć. Mnóstwo ludzi utrzymywało się wyłącznie ze sprzedaży systemów gry, horoskopów i amuletów zapewniających szczęście.

Winston nie miał żadnej styczności z Loterią, którą prowadziło Ministerstwo Obfitości, wiedział jednak, jak zresztą każdy członek Partii, że wygrane istniały tylko na papierze. Wypłacano tylko drobne kwoty. Wielkie wygrane przypadały z reguły osobom nieistniejącym. Ponieważ nie było możliwości komunikowania się z mieszkańcami innych prowincji Oceanii — nikt tego oszustwa nie mógł wykryć.

Lecz jeżeli istniała w ogóle jakaś nadzieja — związana była z proletami. Należało się tego trzymać. W teoretycznym brzmieniu była to zasada całkowicie rozsądna i logiczna. Dopiero, gdy przymierzyło się ją do żywych ludzi na ulicy — wymagała jeszcze aktu wiary.

Ulica w którą skręcił schodziła w dół. Winston miał wrażenie, że już był tutaj kiedyś i przypomniał sobie, że niedawno przebiega wielka, przepustowa arteria komunikacyjna. Skądś, z daleka, dobiegała wrzawa ludzkich głosów. Ulica, którą szedł skręcała nagle pod ostrym kątem. Za zakrętem, po kilkunastu stopniach schodziło się w małą uliczkę. Kilku straganiarzy sprzedawało tu przywiedle jarzyny.

Winston przypomniał sobie teraz dokładnie, że był tu już kiedyś. Uliczka prowadziła do głównej ulicy i nieco dalej, za najbliższą przecznicą — pięć minut drogi stąd — był ów sklepik-rupieciarnia, gdzie kupił zeszyt w którym pisze swój pamiętnik. Nieco dalej był sklepik z przyborami do pisanja, w którym kupił pióro i flaszczkę atramentu.

Na chwilę przystanął na stopniach. Naprzeciw, u wylotu uliczki był mały brudny barek, którego okna były tak zakurzone, że z daleka wyglądały jakby na szybach osiadł

mróz. Pochyłony staruszek o żywych ruchach i siwych, sterczących jak borsucza szerść wąsach — pchnął właśnie kołowrót drzwi baru i zniknął we wnętrzu.

Winstonowi przyszło nagle na myśl, że staruszek liczy sobie co najmniej 80 lat i wskutek tego, musiał być mężczyzną w średnim wieku, gdy wybuchła Rewolucja. On i kilku, czy kilkunastu może, jego rówieśników to były ostatnie istniejące ogniwa, łączące obecną epokę z zaginionym światem kapitalistycznym.

W Partii nie było już niemal ludzi, którzy dojrzeli przed Rewolucją. Starszą generację zlikwidowano prawie doszczętnie w okresie wielkich czystek w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a ci nieliczni, którzy pozostali przy życiu byli od dawna całkowicie psychicznie złamani i poddani dyktatowi Partii. Tylko prolet — jeżeli jeszcze taki istniał przy życiu, mógłby prawdziwie opowiedzieć historię pierwszych dziesięcioleci stulecia.

Przypomniał mu się ustęp z podręcznika historii, który przepisał w pamiętniku i szalona myśl zaświtała mu w głowie. Pójdzie do baru — nawiąże znajomość ze staruszką i wypyta go o wszystko. Powie mu po prostu: „Niech mi pan opowie o życiu w czasach, kiedy pan był chłopcem? Jak wtedy wszystko wyglądało? Czy było wówczas lepiej niż dziś — czy gorzej?“.

Szybko — nim strach zdołałby go odwieść od tego zamiaru — zbiegł ze schodów i przebiegł wąską uliczkę. Było to, oczywiście szaleństwo. I w tym wypadku — jak zwykle — nie było wyraźnego zakazu, który by zabraniał członkom Partii rozmawiać z proletami, względnie uczęszczać do ich barów. Było to jednak wbrew przyjętym zwyczajom i krok taki musiał rzucać się w oczy. Gdyby nadszedł patrol mógł udać, że nagle zasnął, ale było mało prawdopodobne, że mu uwierzą.

Pchnął drzwi. W twarz uderzył go odór skwaśniałego piwa. Gwar na sali wyraźnie przycichł. Czuł, że wszystkie oczy skupiły się na jego niebieskim kombinezonie. Kilku proletów, którzy na drugim końcu sali rzucali strzałkami do tarczy — przerwało grę.

Staruszek, którego szukał, stał przy ladzie i spierał się o coś z kelnerem — tęgim i młodym, o mocarnych ramionach. Wokół skupili się ciekawi przysłuchując się i popijając piwo.

— Prosiłem pana uprzejmie, prawda? — mówił staruszek do kelnera, prostując się hardo — a pan mówi mi, że w całym tym, zakichanym barze nie ma ani jednego pintowego *) kufla!

* „Pint“ jest powszechnie używaną w Anglii miarą płynów. 1 Pint— 0'568 litra.

— Cóż na miłość Boską jest pinta? — zapytał kelner bębniąc palcami po ladzie.

— Słyszycie państwo! — wybuchnął staruszek — on chce być barmanem, a nie wie nawet co to jest pint'a! Pinta jest połową kwarty, a cztery kwarty to galon. Za następną bytnością, będę pewnie musiał pana uczyć abecadła!

— Nigdy o żadnych pintach nie słyszałem — odburknął kelner krótko. — Pół litra, lub litr, to wszystko czym panu mogę służyć. Tej miary kufle stoją przed panem na półce.

— Ja chcę kufel pintowy — upierał się staruszek. — Nie odzwyczajcie mnie tak prędko od pinty. Gdy byłem młody nie było tu tych zakichanych litrów!

— Gdy pan był młody to mieszkaliśmy jeszcze wszyscy na drzewach — powiedział barman i spojrzał porozumiewawczo po zebranych wokół lady.

Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem. Sztywna atmosfera, wywołana wejściem Winstona, była przełamana.

Po nieogolonej twarzy staruszka rozlał się rumieniec wstydu i irytacji. Mrucząc coś do siebie odwrócił się i w tym momencie natknął się na Winstona, który delikatnie ujął go pod ramię.

— Napije się pan piwa?

— Gentleman z pana — staruszek wyprostował się dziarsko. Wydawało się, że nie dostrzegął niebieskiego kombinezonu Winstona.

— Pintę! — rzucił przekornie w stronę barmana — pintę piwa!

Barman napelnił ciemnym piwem dwa grube kufle półlitrowe, które uprzednio oplukał w wiadrze pod ladą.

Piwo było jedynym alkoholem, sprzedawanym w barach proletów. W zasadzie nie było im wolno pić dżinu, choć zdobycie go nie przedstawiało żadnych trudności.

Znów podjęto z zapalem rzucanie strzałkami do tarczy, a grupa proletów przy ladzie powróciła do dyskusji na temat loterii. O Winstonie zapomniano.

Pod oknem stał sosnowy stolik, przy którym Winston ze swoim gościem mógł porozmawiać bez obawy podsłuchu. Cała sprawa była niewątpliwie bardzo ryzykowna, ale przynajmniej nie było tu tele-ekranu. Winston upewnił się co do tego natychmiast po przekroczeniu progę baru.

— Mógł mi nalać pintę — zrzędził staruszek sadowiac się wygodnie przy stole. — Pół litra to za mało, nie nasycą, a znowu pełny litr to stanowczo za dużo. Na pęcherz mi szkodzi, a w dodatku cena . . .

— Musiał pan być świadkiem wielkich przemian od czasów swojej młodości — zaczął Winston niepewnie.

Staruszek wodził niebieskimi oczyma po tarczy na ścianie, po ladzie barowej i po drzwiach na których widniał napis

„dla mężczyzn“ jakby starał się dostrzec te zmiany, o których mówił Winston.

— Piwo było lepsze — powiedział w końcu — i tańsze! Kiedy byłem młody, pinta piwa kosztowała cztery pensy. Oczywiście to było jeszcze przed wojną.

— Przed którą wojną?

— Oh, przed tymi wszystkimi wojnami — zbył go starszek. Podniósł kufel w górę i rozprostował przygarbione plecy.

— Na zdrowie!

Jego chuda grdyka wykonała niezmiernie szybko kilka ruchów w dół i w górę i piwo zniknęło bez śladu.

Winston podszedł do lady i wrócił z napełnionymi kufkami. Starszek jakoś zapominał o uprzedzeniu do litrowych kufli.

— Jest pan o tyle lat starszy ode mnie — podjął Winston ponownie — że był pan pewnie dorosłym człowiekiem już wówczas, kiedy ja przychodziłem na świat. Przypuszczam, że pamięta pan dawne czasy przed Rewolucją. Ludzie mojego pokolenia nic o tym wszystkim nie wiedzą, z wyjątkiem szczegółów, które są w książkach. A w książkach, może nie wszystko jest zgodne z prawdą. I tak, według podręczników historycznych życie przed Rewolucją było czymś zupełnie różnym od obecnego. Co pan o tym sądzi? Panował podobno niesłychany ucisk, niesprawiedliwość i nędza, którą trudno sobie dziś nawet wyobrazić! Tutaj, w Londynie, tysiące ludzi głodowało od urodzenia do śmierci, a połowa nie posiadała nawet butów. Pracowali po 12 godzin dziennie, naukę w szkołach kończyli w 9-ym roku życia, spali po 10 w jednej izbie! A równocześnie garstka ludzi — parę tysięcy tzw. kapitalistów, potężnych bogaczy, dzierżyło w swoich rękach całe bogactwo kraju. Kapitałiści mieszkali we wspaniałych pałacach pełnych służby i rozbijali się samochodami, lub czwór-konnymi pojazdami zapijając się szampanem, w cylindrach . . .

— W cylindrach . . . — starszek ożywił się nagle. — To zabawne, że wspomniał pan o cylindrach, bo właśnie wczoraj cylindry chodziły mi po głowie, Bóg wie czemu? Ileż to lat, panie drogi, nie widziałem cylindra. . . Zupełnie wyszły z użycia. Wie pan, ostatni raz miałem na głowie cylinder na pogrzebie bratowej. Daty panu dziś nie powiem, ale musiało to być chyba z 50 lat temu. Oczywiście wypożyczyłem sobie wówczas cały strój no i cylinder.

— To nie jest istotne, nie o cylindry chodzi — wtrącił Winston. — Chciałbym coś dowiedzieć się od pana o tych kapitalistach, o prawnikach i o duchownych, którzy żyli z nadszatkowania kapitalistom, o tej klasie panów ziemi. Wszystko było tylko dla nich. Robotnicy, zwyczajni ludzie byli ich niewolnikami. Kapitałiści mogli zrobić z nimi co chcieli, sprzedać, wysłać do Kanady jak bydło. Mogli spać z ich

córkami, jeżeli mieli taką ochotę lub skazywać ich na chłostę rzemienną dyscypliną, która nosiła nazwę kota o dziewięciu ogonach. Gdy robotnik spotkał kapitalistę musiał zdejmować czapkę z głowy. Każdy z nich chodził otoczony zgrają lokajów, którzy . . .

— Lokajów! — wykrzyknął staruszek z ożywieniem. — To znów słowo, którego nie słyszałem od lat. O, jak zapachniało przeszłością! Pamiętam dawno, bardzo dawno temu chodziłem czasem do Hyde Parku przysłuchiwać się mówcom. Było ich wielu — z Armii Zbawienia, katolicy, Żydzi, Hindusi. Jeden z nich był naprawdę wspaniałym mówcą. Nazwiska jego dziś już nie pomnę, ale pamiętam jak grzmiał: „Lokaje burżuazji, pacholkiwie rządu“! Inne jego ulubione określenia to były: „pasożyty“, albo „hieny“. On naprawdę wymyślał im od hien — oczywiście rozumie pan, że jechał tak na Partię Pracy!

Winston czuł, że rozmowa jest jednym, wielkim nieporozumieniem.

— Chodzi mi tylko o to — podjął cierpliwie — czy może pan stwierdzić, że dziś panuje w tym kraju większa wolność niż dawniej, czy traktowanie obywateli jest bardziej ludzkie niż wówczas, kiedy w stosunku do bogaczy, ludzi znajdujących się u szczytu. . .

— W Izbie Lordów — wtrącił staruszek.

— Dobrze, jeżeli pan tak woli. Ale wracając do mojego pierwotnego pytania, czy ci bogacze traktowali istotnie was, robotników jako coś niższego, tylko dlatego, że oni byli zamożni a wy biedni? Czy to prawda — powiedzmy — że trzeba było ich tytułować „jaśnie panami“ i zdejmować czapkę na ich widok?

Staruszek zamyślił się głęboko. Po chwili ujął kufel, pociągnął tęgi łyk piwa i powiedział:

— Tak istotnie — lubili żeby im czapkować. To czapkowanie miało wyrażać poszanowanie. Osobiście nie pochwalałem tego, ale kłaniałem się im sam, jak było trzeba.

— A czy zdarzało się — jak dziś czyta się w książkach historycznych — że służba takiego bogacza-kapitalisty spychała robotnika z chodnika do rynsztoku?

— Tak . . . raz mnie taki popchnął, pamiętam jak dziś! Było to pod wieczór w dzień regat wioślarskich. Ludzie przejmowali się ogromnie zawodami i w ogólnym podnieceniu łatwo dochodziło do sprzeczek. Otóż zderzyłem się przez nieuwagę z jakimś młodym człowiekiem na Shaftesbury Avenue. Był to elegancik w czarnej zarzutce i w cylindrze. Zataczał się i zderzyliśmy się zupełnie przypadkowo.

— Czemu pan pod nogi nie patrzy — wrzasnął na mnie. A ja na niego:

— Kupił pan sobie tutaj cały chodnik, czy co?

A on:

— Nie zaczynaj, bo ci kark skręcę!

— Pijany pan jest i zaraz zawołam policjanta — zagroziłem mu. I czy pan uwierzy, elegancik pchnął mnie tak mocno, że o mały włos nie znalazłem się pod autobusem. Byłem wówczas młody i byłbym mu odplacił zdrowo, gdyby nie . . .

Winstona ogarnęło poczucie beznadziejności. Pamięć starszka była w gruncie rzeczy bezużytecznym śmietnikiem. W ten sposób można by go wypytywać przez cały dzień i w końcu niczego się nie dowiedzieć. Historia, podawana do wierzenia przez Partię, może zawierać dużo prawdy — może być nawet czystą prawdą.

Postanowił jednak jeszcze próbować.

— Być może nie wyraziłem się dostatecznie jasno — podjął ponownie. — Lecz niech pan pomyśli — połowę swego życia miał pan już za sobą gdy wybuchła Rewolucja. Żyje pan długo — na przykład w r. 1925 był pan już zupełnie dorosłym człowiekiem. Niech mi pan powie — czy na podstawie tego, co pan pamięta może pan stwierdzić, że życie w r. 1925 było lepsze niż jest obecnie? Czy — jeżeli by pan miał możliwość wyboru wolałby pan żyć w tamtej odległej epoce?

Starszek patrzył w zamyśleniu na tarczę z wbitymi strzałkami, która wisiała na wprost na ścianie. Dopił wolno piwa i odezwał się pobłaźliwie, jakby już pod działaniem alkoholu:

— Wiem jakiej pan ode mnie oczekuje odpowiedzi. Sądzi pan, że wybrałbym oczywiście młode lata. Większość ludzi pragnęłaby cofnąć się w młodość i cóż się dziwić — młodość to zdrowie i siły. Gdy się dożyje moich lat — zdrowie się kończy. Nogi i pęcherz wiecznie mi dokuczają. Muszę wstać po sześć i siedem razy każdej nocy. Ale z drugiej strony i starość ma swoje nieocenione dobre strony. Nie ma kłopotów z kobietami, a to znaczy bardzo wiele! Czy pan uwierzy, że od trzydziestu lat nie miałem do czynienia z kobietami i co ważniejsze, nie miałem na to żadnej ochoty!

Winston oparł się o parapet okna. Rozmowa stawała się zupełnie bezcelowa.

Zamierzał przynieść jeszcze jedną kolejkę piwa, gdy starszek zerwał się nagle i podreptał szybko w kierunku klozetu. Dodatkowe pół litra istotnie podziało mu na pęcherz.

Winston siedział jeszcze chwilę patrząc w zamyśleniu na puste kufle i nie zauważył nawet, kiedy wstał i wyszedł na ulicę.

Przyszło mu na myśl, że w ciągu najbliższych 20 lat kardynałne, choć proste zagadnienie jak wyglądało życie przed Rewolucją — przestanie istnieć. W praktyce nie istnieje ono i dziś gdyż nieliczni i rozproszeni weterani, pamiętający tak odległą przeszłość, nie są w stanie porównać dawnych czasów

z obecnymi. Staruszkowie zachowali w pamięci setki drobiazgów bez żadnego znaczenia — klótnie z kolegą, zgubioną pompkę rowerową, wyraz twarzy dawno zmarłej siostry, smugę kurzu w jakiś wietrzny ranek, siedemdziesiąt lat temu — ale natomiast wszystko, co posiadało jakąś istotną wagę ulotniło im się z głowy. Starcy byli jak mrówki, które spostrzegają tylko mikroskopijne przedmioty, nie są jednak w stanie objąć wzrokiem większej rzeczy. Gdy pamięć zawiodła a rzeczowe dowody sfalszowano, było jasne, że ogólne polepszenie bytu ludzkiego, które Partia przypisywała swojej działalności — musiało się stać prawdą, choćby dlatego, że nie było już innego obrazu życia, z którym stan obecny można by porównać.

Winston ocknął się nagle z zamyślenia. Zawędrował w wąską uliczkę. Po obu stronach ciągnęły się domy mieszkalne — sklepów było niewiele i wszystkie małe i ciemne. Tuż nad swoją głową dostrzegł zwisające — bezbarwne, metalowe kule — na których pozostał jeszcze mglisty ślad złocenia. Miejsce wydawało mu się dziwnie znajome. Oczywiście — stał u wejścia do antykwarni-rupieciarni gdzie niedawno kupił swój pamiętnik.

Dreszcz lęku spłynął mu po plecach. Kupno pięknego pamiętnika było dość niebezpieczną przygodą i postanowił sobie, że noga jego więcej nie postąpi nawet w okolicy antykwarni. Tymczasem, gdy tylko zwolnił kontrolę, gdy pozwolił sobie na zadumę — jego nogi same odnalazły drogę i oto jest ponownie w tym niebezpiecznym miejscu. A przecież liczył, że właśnie pisanie pamiętnika uchroni go od tego rodzaju samobójczych impulsów podświadomości.

Mimo późnej godziny sklep był jeszcze otwarty. Winston doszedł do wniosku, że bezpieczniej będzie wejść do środka, niż podejrzanie wałęsać się po ulicy. Zapytany mógłby w końcu skłamać, że usiłował kupić żyłki.

W sklepie, kupiec zapalił właśnie wiszącą naftową lampę. W zapachu jaki się z niej wydobywał było coś domowego i ciepłego.

Kupiec liczył może sześćdziesiąt lat. Był to staruszek wąty, pochylony o dobrotliwym wyglądzie. Miał długi nos i łagodne oczy nienaturalnie powiększone bardzo grubymi szklami. Był niemal siwy, ale jego krzaczaste brwi były czarne. Okulary, powolne, pedantyczne ruchy oraz stara kurtka z czarnego aksamitu, nadawały mu pozory uczonego. Wyglądał na pisarza lub muzyka. Głos miał niski o miękkim brzmieniu, a jego akcent nie przypominał gwary proletów.

— Poznałem pana, gdy pan stał na chodniku — uśmiechnął się. — To pan kupił u mnie pamiętnik — prawda? Cóż to był za wspaniały papier. Niegdyś ten gatunek nosił nazwę papieru welinowego, ale nie wyrabia się go już od co najmniej 50 lat.

Kupiec spojrział uważnie na Winstons znad szkieł okularów.

— Czy mógłbym panu czymś służyć, czy też ma pan tylko chęć rozejrzeć się po sklepie?

— Przechodząc zająrzałem do pana, ale właściwie nie mam zamiaru nic kupować — odparł Winston niepewnym głosem.

— Proszę bardzo — uśmiechnął się starszek. — Nie przypuszczam, żebym panu mógł czymś dogodzić — rozłożył bezradnie ręce — sam pan widzi, sklep pusty! Mówiąc między nami — dodał po chwili — handel antykami jest na wymarcu. — Nie ma na antyki zapotrzebowania a i towar niknie. Meble, szkło, porcelana — wszystko to uległo zniszczeniu, a przedmioty metalowe przetopiono. Doprawdy nie pamiętam kiedy ostatni raz widziałem mosiężny lichtarz!

Sklepik był zagracony, ale rzeczywiście trudno było coś znaleźć co by przedstawiało jakąkolwiek wartość. Pod ścianami stało mnóstwo zakurzonych ram od obrazów, a w oknie, wystawione na tacach, wałaly się stare zamki, zawiasy i nakrętki, tępe dłutka, scyzoryki z połamanymi ostrzami, zczerniałe zegarki, które chyba nigdy nie chodziły i inne podobnie bezużyteczne przedmioty.

W kącie sklepu, na małym stolyczku piętrzył się stos rupieci spośród których można by pewnie wyłowić coś interesującego. Wzrok Winstona spoczął na okrągłym gładkim przedmiocie, który rzucał szklące refleksy. Był to ciężki kawałek szkła, wypukły z jednej strony — płaski z drugiej, kształtem przypominający półkulę. Zarówno woda jak i szlif szkła odznaczały się dziwnie subtelną miękkością, która sprawiała, że przedmiot wywoływał wrażenie ogromnej kropli deszczu. W środku zatopiony i powiększony wypukłością szkła znajdował się różowy kwiat o sfaldowanych płatkach, przypominający różę lub wodne anemony.

— Co to jest? — zapytał Winston.

— To jest koral — odparł starszek. — Przypuszczam, że pochodzi z Oceanu Indyjskiego. Tam oprawiano korale w szkło dawno, dawno — przeszło sto lat temu.

— Cóż za cudowna rzecz! — szepnął Winston.

— Tak, to jest istotnie piękne — przytaknął starszek z uznaniem. — Nie wielu ludzi w dzisiejszych czasach umiałoby to ocenić.

Zakaszłał znacząco i dodał:

— Jeżeli chciałby pan kupić, mogę to oddać za cztery dolary. Pamiętam czasy, kiedy za taki drobiazg dostawało się osiem funtów! Osiem funtów — trudno to mi dziś przeliczyć, ale niech mi pan wierzy — to były ogromne pieniądze! Lecz dziś komu zależy na prawdziwych antykach — kto się interesuje tymi resztkami, które ocalały?

Winston zapłacił natychmiast cztery dolary i schował szklaną kulę do kieszeni. Chciał ją mieć nie tyle dla jej

piękna, ile dla uroku jaki krył się dla niego w faktie, że świecidełko pochodziło z tak odległej i różnej epoki, niż czasy obecne. Szkło przezroczyste jak woda, nie przypominało w niczym marnych gatunków szkła jakie widywał. Największym jednak wdziękiem była oczywista bezużyteczność przedmiotu. Winston domyślał się, że kiedyś półkuli używano jako przycisku do papierów.

Zdobycz ciążyła mu w kieszeni, ale na szczęście nie wypychała jej w sposób bijący w oczy. Przedmiot taki, w posiadaniu członka Partii był rzeczą co najmniej dziwną, i właściwie kompromitującą jak wszystko co było stare, lub piękne.

Staruszkowi, po otrzymaniu pieniędzy, wyraźnie poprawił się humor.

Winston pomyślał, że kupiec byłby się zgodził na trzy dolary a może nawet na dwa.

— Na górze mam jeszcze jeden pokój, który może chciałby pan obejrzeć — staruszek uśmiechnął się uprzejmie. — Nie ma tam nic szczególnego, ale kilka drobiazgów się znajdzie. Musimy zapalić lampę jeżeli mamy iść na górę.

Kupiec zapalił lampkę naftową i ruszył wolno pierwszy. Weszli po zniszczonych schodach na mały korytarzyk. W głębi były drzwi wiodące do pokoju, którego okno nie wychodziło na ulicę lecz na brukowane podwórze i las zakopcanych kominów sąsiednich kamienic.

Winston zauważył, że meble w pokoju są tak ustawione, by wywołać wrażenie, iż pokój jest jeszcze ciągle zamieszkały. No podłozde leżał dywan — na ścianach wisiały dwa czy trzy obrazki, a głęboki brudnawy fotel stał przy kominku na którym tykał staroświecki zegar z dwunasto-godzinną tarczą, w szklanym pudle. Pod oknem stało olbrzymie łóżko zajmujące jedną czwartą pokoju.

— Dopóki żyła moja żona, mieszkaliśmy w tym pokoju — odezwał się staruszek jakby pragnąc się usprawiedliwić. — Teraz wysprzedają meble sztuka po sztuce.

— To jest piękne mahoniowe łóżko — podjął po chwili milczenia kupiec. — W każdym razie to łóżko mogłoby być piękne, gdyby istniał jakiś sposób na usunięcie z niego pluskw. Myślę jednak, że panu musi się taki mebel wydawać nieco ciężki i niezgrabny.

Staruszek trzymał wysoko lampę by możliwie najlepiej oświetlić całe wnętrze. W ciepłym świetle naftowej lampy pokój wywierał bardzo miłe i przytulne wrażenie. Winstonowi, przez sekundę przemknęło przez myśl, że gdyby nie ryzyko — byłoby łatwo odnając od staruszka ten pokój, za kilka dolarów tygodniowo. Był to szalony pomysł całkowicie nierealny. Jednak, widok tego wnętrza obudził w nim nagle jakąś dziwną tęsknotę — wspomnienia, zawarte w instynkcie, odziedziczonym po pokoleniach, które żyły inaczej. Czuł, że wie doskonale jakie to musi być szczęście

mieszkać w takim pokoju jak ten, siedzieć w fotelu blisko ognia, z wygodnie wyciągniętymi nogami i słuchać jak mruczy imbryk na palenisku. Samotnie — bezpiecznie — przez nikogo nie śledzony. W ciszy, w spokoju — przerywanym jedynie tykaniem zegara na kominku i miłym pomrukiem imbryka na herbatę.

— Tutaj nie ma chyba tele-ekranu? — zapytał półgłosem.

— Ach, nigdy nie miałem niczego podobnego — odparł staruszek. — To za kosztowne i właściwie zupełnie mi nie potrzebne. Lecz niech pan popatrzy — tu stoi mały, przyjemny składany stoliczek. Gdyby pan chciał go nabyć trzeba by mu dać nowe zawiaski.

Uwagę Winstona od dłuższej chwili przykuła mała szafka z książkami w rogu pokoju. Nie zawierała jednak nic prócz śmiecia. Niszczenie książek przeprowadzono w dzielnicach zamieszkałych przez proletów z tą samą dokładnością jak wszędzie indziej. Istniałe małe prawdopodobieństwo, by w całej Oceanii zachowała się choć jedna książka, która była drukowana przed rokiem 1960.

Kupiec, trzymając lampę w ręce podszedł do obrazu w ramach z różanego drzewa, który wisiał na ścianie na wprost łóżka.

— Może interesuje się pan sztychami — podjął nieśmiało.

Winston podszedł bliżej i przyjrzał się obrazowi. Był to staloryt przedstawiający kolistą budowlę z prostokątnymi oknami i małą wieżą na pierwszym planie. Wokół biegły sztachety, a w głębi rozpoznawał kształt jakiegoś posągu.

Przez chwilę przypatrywał się w skupieniu. Budowla wydawała mu się znajoma, choć nie mógł przypomnieć sobie posągu.

— Ramy przymocowane są do ściany — zauważył kupiec — ale oczywiście mógłbym je odkręcić gdyby pan sobie tego życzył.

— Ja znam ten budynek — odezwał się Winston. — Dziś to są ruiny. Stoją one obok Pałacu Sprawiedliwości.

— Tak istotnie, obok gmachu sądu. Budowla ta została zbombardowana — ach, mnóstwo lat temu! Swego czasu był to kościół, kościół Św.Klemensa.

Staruszek uśmiechnął się z zakłopotaniem i zacytował:

— „Pomarańcze i cytryny, śpiewają dzwony Św.Klemensa“.

— Cóż to znaczy? — zapytał Winston.

— Ach, „Pomarańcze i cytryny, śpiewają dzwony Św.Klemensa“ — to był taki wierszyk czy piosenka, której uczono małe dzieci w czasach, gdy byłem małym chłopcem. Nie pamiętam już dziś całości, ale w pamięci utkwił mi wiersz końcowy: „Oto świeczka, by poświecić ci do łóżka — oto topór by odciąć ci głowę“. Zwykle tańczyliśmy w takt tej piosenki. Dwóch chłopców trzymało splecione ręce wysoko w górze a reszta przechodziła śpiewając. Gdy przyszła

zwrotka „oto topór by odciąć ci głowę“ — chłopcy opuszczali nagle splecione ręce na karki tych, którzy w danej chwili mieli przechodzić. W tej piosence wymienione były wszystkie nazwy ważniejszych kościołów londyńskich.

Winston zastanawiał się z którego wieku kościół mógł pochodzić. Było niezmiernie trudno ustalić datę pochodzenia jakiegokolwiek budowli w Londynie. Jeżeli dany gmach był duży, okazały i nie bardzo zniszczony, automatycznie zaliczano go do architektury po-rewolucyjnej; budowle starsze włączano natomiast z reguły do okresu zwanego średniowieczem. Uważano, że wieki kapitalistyczne nie stworzyły nic wartościowego. I tak, z architektury nie było można nauczyć się więcej historii, niż z książek. Posągi, napisy, tablice pamiątkowe, nazwy ulic — wszystko co mogło rzucać jakiegokolwiek światło na przeszłość — systematycznie zmieniano.

— Nie wiedziałem, że to był kościół — powiedział Winston.

— Ach, pozostało ich jeszcze bardzo wiele — odparł staruszek — choć służą obecnie innym celom. — Wie pan — uśmiechnął się — przypomniałem sobie nową zwrotkę tego wierszyka:

„Pomarańcze i cytryny — śpiewają dzwony Św.Klemensa —

Winien mi jesteś trzy farthingi* śpiewają dzwony Św. Marcina.“

— Dalej nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć. Farthing to była mała miedziana monetka, podobna do dzisiejszego centa.

— Gdzie był Św. Marcin? — spytał Winston.

— Św.Marcin stoi do dziś dnia na Placu Zwycięstwa obok Galerii Sztuki. Jest to gmach o wspaniałym portyku, wspartym na kolumnach, do którego wiodą szerokie, kamienne schody.

Winston znał doskonale Plac Zwycięstwa. W gmachu po-kościelnym było obecnie muzeum propagandowe. Wystawiano tam modele bomb raketowych, pływających fortów, figury z wosku ilustrujące okrucieństwa żołnierzy eurazjańskich itp.

— „Św.Marcin w polu“, tak niegdyś nazywano ten kościół — wtrącił staruszek — choć nie przypominam sobie, by tam były kiedykolwiek jakieś pola.

Winston nie kupił obrazu. Był to znacznie bardziej kompromitujący przedmiot, niż szklany przycisk z koralem. Poza tym, bez wyjęcia z ram, nie byłoby w ogóle możliwe zanieśenie go do domu. Pozostał jednak jeszcze parę minut w pokoju, rozmawiając ze staruszką o tym i o owym. Dowiedział się w czasie pogawędki, że kupiec nazywał się Charrington a nie Weeks, choć to ostatnie nazwisko widniało

* Farthing—najmniejsza moneta angielska wartości 1/4 peny.

na tabliczce, przybitej nad wejściem do sklepu. P.Charrington był wdowcem. Liczył 63 lat i od 30 lat prowadził ten sklepik. W czasie tych 30 lat już wiele razy zamierzał zmienić nazwisko na tabliczce nad drzwiami, ale jakoś, do tej pory, zamiaru tego nie zrealizował.

Gdy tak gawędzili, Winston powtarzał w myśli bezwiednie wierszyk: „Pomarańcze i cytryny śpiewają dzwony Św.Klemensa — winien jesteś mi trzy farthing'i śpiewają dzwony Św.Marcina“. Gdy powtarzał w myśli ten wierszyk, wydawało mu się, że słyszy naprawdę dzwony . . . dzwony zagnionego Londynu, który istniał jeszcze w zapomnianych ruinach. Zdawało mu się, że słyszy bicie kościelnych dzwonów jakby z oddali, zza grobu. A przecież, o ile mógł sięgnąć pamięcią, nie słyszał nigdy w życiu bijącego kościelnego dzwonu!

Winston pożegnał się z p.Charringtonem i zbiegł pierwszy po schodach na dół, wołał bowiem bez świadka zbadać ulicę przez okno przed opuszczeniem sklepu. Postanowił, że po upływie pewnego czasu — powiedzmy miesiąca — zaryzykuje i odwiedzi sklepik powtórnie. Być może nie było to bardziej niebezpieczne, jak opuszczenie wieczoru w Klubie Społecznym.

Prawdziwym szaleństwem było przyjść tu bezpośrednio niemal po kupieniu pamiątnika, gdy jeszcze nie wiedział czy antykwarzowi można zaufać. Winston zdecydowany był przyjść tu ponownie, postanawiając w duchu kupić jeszcze kilka innych, pięknych drobiazgów, a przede wszystkim sztuch z kościołem Św.Klemensa. Wyjęty z ram, powinien się zmieścić pod kombinezonem. Miał również nadzieję, że p.Charrington przypomni sobie dalszy ciąg staroświeckiego wierszyka. Przez ułamek sekundy mignęła mu nawet wariacka myśl wynajęcia pokoju na piętterku u p.Charringtona. Był w doskonałym nastroju i wyszedł na ulicę, ledwo rzucając okiem przez okno, czy ktoś podejrzany nie nadchodzi. Pod zaimprovizowaną na prędce melodię zanucił:

„Pomarańcze i cytryny śpiewają dzwony Św.Klemensa,
Winien mi jesteś trzy farthing'i“ . . .

Nagle, serce podeszło mu pod gardło, a nogi ugięły się jak z waty. Ktoś w niebieskim kombinezonie partyjnym szedł chodnikiem wprost na przeciw. Poznał ją. To była czarnowłosa dziewczyna z Działu Powieściowego. Mimo marnego oświetlenia ulicy, poznał ją bez trudności. Dziewczyna spojrzała mu prosto w oczy — potem nagle przyspieszyła kroku i oddaliła się szybko, jakby go w ogóle nie poznała.

Winston stał jak sparaliżowany. Wreszcie ruszył wolno w prawo, nie zdając sobie początkowo sprawy, że idzie w fałszywym kierunku.

W każdym bądź razie, jedno z zagadnień — zostało wyjaśnione. Nie mogło ulegać już żadnej wątpliwości, że dziewczyna go szpieguje. Musiała iść za nim krok w krok, byłoby bowiem szaleństwem przypuszczać, że zapalza się tego właśnie wieczoru na tej samej ciemnej uliczce, w odległości wielu kilometrów od dzielnic zamieszkiwanych przez członków Partii — po prostu z przypadku. Tego rodzaju zbieg okoliczności był zupełnie nieprawdopodobny.

Było bez znaczenia, czy dziewczyna była agentką Policji Myśli, czy też żarliwym donosicielem amatorem. Istotne było tylko jedno, że go szpiegowała. Być może widziała go również jak wychodził z baru.

Szedł z wysiłkiem. Przycisk szklany tłukł go po udzie przy każdym kroku i przez moment był już niemal zdecydowany wyrzucić go precz. Boleści skręcały mu kiszki. Wydawało mu się, że umrze jeżeli nie znajdzie natychmiast klozetu. Lecz w dzielnicach zamieszkałych przez proletów nie było publicznych ustępów. Po chwili gwałtowny kurcz minął lecz ból nie ustępował.

Szedł ślepią ulicą. Przystanął i przez kilka sekund zastanawiał się co począć dalej. Wreszcie zawrócił i ruszył z powrotem, skąd przyszedł. Nagle przyszło mu na myśl, że mógłby dziewczynę dogonić — widział ją przecież zaledwie trzy minuty temu. Dogoniwszy ją mógłby iść jej śladem, a gdzieś w pustym, dogodnym miejscu rozwalić jej głowę kamieniem. Przycisk szklany, który miał w kieszeni byłby również dobry do tego celu.

Porzucił jednak te plany, bo nawet sama myśl o jakimś wysiłku przerażała go. Nie mógł biec by ją dogonić, ani nie miał sił by zadać cios. A zresztą, dziewczyna była młoda i krzepka i z całą pewnością bronilaby się zaciekle.

Myślał również by pospieszyć się i zdążyć jeszcze przed zamknięciem do Klubu Społecznego, by zapewnić sobie przynajmniej częściowe alibi dla dzisiejszego wieczoru. Lecz i to w praktyce było zupełnie niewykonalne.

Ogarnęło go śmiertelne znużenie. Marzył tylko o jednym — aby jak najprędzej dostać się do domu i odpocząć.

Było już dobrze po 22-giej, gdy wylądował wreszcie w swym mieszkaniu. Światła wyłączano o godzinie 22'30.

Natychmiast poszedł do kuchenki i nalał sobie filiżankę dzinu „Zwycięstwo“. Następnie usiadł przy stoliku w niszy i wyciągnął z szuflady pamiętnik. Nie otworzył go jednak. Z tele-ekranu rozbrzmiewał metaliczny kobiecy głos. Nadawano pieśni patriotyczne.

Winston patrzył bezmyślnie w okładkę pamiętnika, usiłując bezskutecznie zapomnieć o śpiewie z tele-ekranu.

. . . Przychodzili w nocy, zawsze w nocy. Właściwie byłoby może rozsądnie uprzedzić ich i popelnić samobójstwo.

Było wielu co nie czekali nocy. Znaczny procent spośród tych, którzy znikali nagle z horyzontu — to byli samobójcy. Lecz trzeba było rozpaczliwej odwagi, by pozbawić się życia w kraju, gdzie nie było można zdobyć ani broń palnej, ani trucizny działającej szybko i pewnie.

Myślał z goryczą nad biologicznym bezsenssem cierpienia i lęku — nad tą dziwną zdradliwą właściwością ludzkiego ciała, które zawsze popada w bezwład w momentach, kiedy potrzebny jest najwyższy wysilek. Mógł uciszyć raz na zawsze czarnowłosą dziewczynę, gdyby był działał dostatecznie szybko. Lecz właśnie bezpośrednio niebezpieczeństwa sparaliżowała jego siły.

Gdy rozmyślał teraz nad tym wszystkim uderzyło go, że w momentach krytycznych nigdy nie walczyliśmy z zewnętrznym wrogiem, lecz zawsze z własnym ciałem. Nawet teraz — mimo dżinu — skurcz żołądka nie ustępował i było mu ciężko uporządkować myśli. Przypuszczał, że podobne reakcje towarzyszą wszystkim tragicznym, czy wzniosłym sytuacjom. Na polu bitwy, w sali tortur, czy na tonącym okręcie, zapominamy natychmiast o sprawie o którą walczymy, albowiem ciało nasze przysyłania nam wszechświat. Nawet jeżeli nie jesteśmy sparaliżowani strachem, czy złamani męką — życie sprowadza się wówczas do walki przeciw bezsenności, zimnu, głodowi, rozstrojowi kiszek, bólowi zęba.

Otworzył pamiętnik. Trzeba było coś napisać. W telekranie kobiecy głos śpiewał nową wiązanekę pieśni. Głos z odbiornika ranił mu mózg jak odłamki szkła.

Usiłował myśleć o O'Brien'ie, dla którego pisał ten pamiętnik. Lecz wbrew woli, jego myśl krążyła nad pytaniem: co się z nim stanie jak Policja Myśli zgłosi się po niego? Byłoby najlepiej żeby zabili od razu. Nikt z aresztowanych nie oczekuje przecież innego zakończenia. Ale przed śmiercią trzeba było przejść przez procedurę pokajania i jej technikę. (Wszyscy o tym wiedzieli choć był to niedopuszczalny temat rozmowy). Czołganie się po ziemi i żebranie litości — połamane kości — wybite zęby — zlepione krwią włosy. Dlaczego musiało się to wycierpieć skoro koniec był przecież zawsze ten sam i z góry wiadomy? Dlaczego nie było można skrócić życia o tych kilka dni, czy kilka tygodni?

Nikt nigdy nie zdołał się ukryć — każdy zawsze został wykryty i każdy, zawsze, do wszystkiego się przyznał. Gdy ktoś popełnił zbrodnię myśli mógł być pewien, że we właściwym czasie zostanie zgładzony. Dlaczego więc ów strach, który przecież niczego nie zmieni — musi szczerzyć do niego kły zza krawędzi Jutra?

Skupił się usiłując przypomnieć sobie twarz O'Brien'a. „Spotkamy się w miejscu, gdzie nie będzie ciemności“ — powiedział do niego O'Brien. Winston wiedział co O'Brien

miał na myśli. Miejscem, gdzie nie będzie ciemności jest przyszłość, której nikt nie ujrzy — ale którą w wizji mistycznej można z kimś dzielić.

Dokuczliwy, natrętny głos z tele-ekranu rwał wątek myśli.

Zapalił papierosa. Połowa tytoniu przy pierwszym pociągnięciu wysypała mu się na język. Czuł ohydny gorzki, a pyłu z ust trudno się było pozbyć.

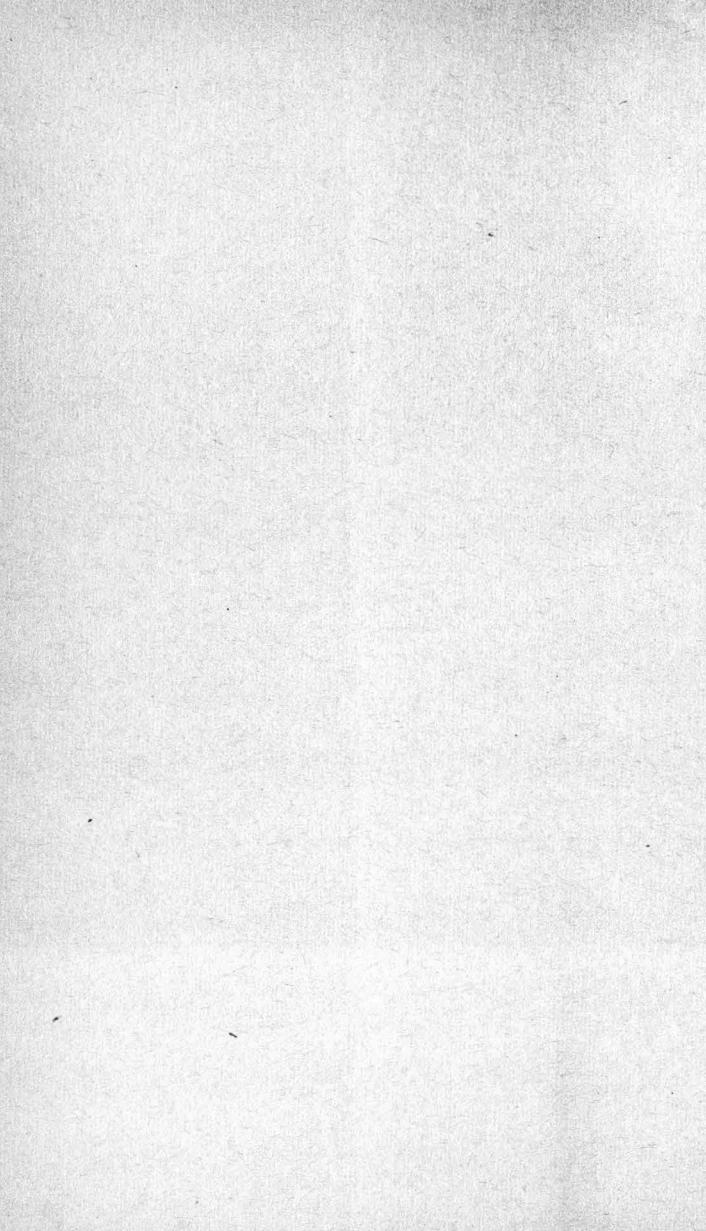
W wyobraźni ujrzał jak twarz Wielkiego Brata przysłania twarz O'Briena. Podobnie jak kilka dni temu, wydobył z kieszeni monetę. Oczy Wielkiego Brata patrzyły w niego spokojnie i władczo. Lecz cóż to był za uśmiech przysłonięty czarnym wąsem? Co mówił?

Jak pogrzebowy dzwon podpłynęły ku niemu słowa:

WOJNA JEST POKOJEM!

WOLNOŚĆ JEST NIEWOLNICTWEM!

NIEWIEDZA JEST SIŁĄ!



CZĘŚĆ II.

CZEŚĆ II.

I.

Było przed 10-tą. Winston wyszedł ze swej kabiny i zamierzał pójść do klozetu. Na długim, jasno oświetlonym korytarzu zauważył, że ktoś nadchodzi z przeciwnej strony. Była to czarnowłosa dziewczyna z Działu Powieściowego. Cztery dni minęły od tego wieczoru kiedy spotkał ją po wyjściu z antykwarni.

Gdy dziewczyna podeszła bliżej, zauważył, że jej prawa ręka była na temblaku; w pierwszej chwili nie dostrzegł tego szczegółu, albowiem temblak był tego samego koloru co jej kombinezon. Przyszło mu na myśl, że musiała sobie zwichnąć rękę kręcąc korbę jednej z wielkich maszyn kalejdoskopowych, które komponowały fabuły powieściowe. W Dziale Powieściowym o wypadek tego rodzaju nie było trudno.

Dzieliło ich najwyżej cztery metry, gdy dziewczyna potknęła się nagle i upadła jak długa na posadzkę. Krzyknęła z bólu. Musiała upaść wprost na zranioną rękę. Winston przystanął jak wryty. Dziewczyna dźwignęła się i uklękła. Była trupio blada, lecz usta jej były jeszcze czerwieniejsze niż zwykle. Wbiła w Winstona oczy, w których więcej było przerażenia niż bólu.

Winstonem targaly sprzeczne uczucia. Oto klęczał przed nim jego wróg, który planował jego śmierć. Równocześnie był to człowiek pobladły z bólu i poraniony. W momencie gdy dojrzał, że upadła na rękę na temblaku — odczuł skurcz serca jakby to on sam był raniony.

Instynktownie pochylił się by jej pomóc.

— Czy nie zraniła się pani? — zapytał.

— Ach nic. Moja ręka . . . to zaraz przejdzie — wyszeptala urywanym głosem. Była wciąż bardzo blada.

— Czy pani naprawdę nic się nie stało?

— Nic mi nie jest — zabolalo przez chwile to wszystko!

Wyciągnęła ku niemu zdrową rękę i Winston pomógł jej wstać. Zarumieniła się lekko — panowała już jednak nad sobą.

— Ach to nic, naprawdę — powtórzyła krótko. — Uraziłam się trochę w rękę. Dziękuję wam towarzyszu!

Zakręciła się i odeszła swoim sprężystym krokiem, jakby istotnie nic się nie stało.

Wszystko nie trwało dłużej niż pół minuty.

Nawyk nie okazywania żadnego wzruszenia działał w nich jak instynkt. W tym wypadku było to specjalnie ważne ponieważ stali na wprost tele-ekranu.

Winston największym wysiłkiem opanował refleks zdumienia, gdy zorientował się, że w chwili, gdy pomagał dziewczynie wstać ona wsunęła mu coś w rękę. Nie mogło być wątpliwości że zrobiła to celowo i świadomie. Było to coś małego i płaskiego.

Przechodząc koło klozetu Winston wsunął ów przedmiot do kieszeni i wyczuł palcami, że był to kilkakrotnie złożony kawałek papieru. Wszedł do klozetu i rozwinął list nie wyjmując go z kieszeni. Na kartce musiało być coś napisane. W pierwszej chwili chciał wyciągnąć karteczkę i przeczytać ją natychmiast. Byłoby to jednak czystym szaleństwem, bo wiedział doskonale, że nigdzie nie śledzono ludzi przez tele-ekrany tak pilnie, jak właśnie w klozetach.

Wrócił przeto do swojej kabiny — usiadł przy biurku i nieznacznym ruchem wsunął karteczkę między inne papiery. Włożył okulary i przysunął dyktafon.

. . . . 5 minut, najwyżej 5 minut — starał się uspokoić własne nerwy. Serce tłuło mu się przeraźliwie głośno. Za wszelką cenę musiał się opanować. Na szczęście sprawa, którą właśnie załatwiał — była zwyczajną biurokratyczną rutyną. Chodziło tylko o sprostowanie kolumny cyfr, co nie wymagało dłuższego namysłu.

Cokolwiek było napisane na karteczce — rozmyślał niecierpliwie — musiało mieć jakieś polityczne znaczenie. Widział tylko dwie możliwości. Najprawdopodobniej dziewczyna była agentką Policji Myśli (o co podejrzewał ją od samego początku). Nie rozumiał wprawdzie dlaczego Policja Myśli miałaby wybrać tak dziwną drogę by przekazać mu jakieś zlecenie, ale ostatecznie i w tym mogli mieć jakieś wyrachowanie. Treścią pisma mogło być wezwanie, groźba, rozkaz popełnienia samobójstwa lub jakiś podstęp.

Lecz była i inna, bardziej fantastyczna możliwość, która narzucała mu się tym silniej, im uparciej starał się ją wykluczyć. Mianowicie, ów tajemniczy sygnał mógł pochodzić nie od Policji Myśli, lecz od jakiejś podziemnej organizacji. Być może, że Braterstwo jednak istnieje! Być może czarnowłosa dziewczyna była członkiem tej organizacji. Było absurdem myśleć o czymś podobnym, ale idea ta przyszła mu do głowy w tym samym momencie, gdy poczuł karteczkę w rękę. Dopiero później po kilku minutach nasunęła mu się druga, znacznie bardziej prawdopodobna możliwość, że dziewczyna jest zapewne agentką Policji Myśli. Mimo to jednak, jeszcze teraz — choć rozum mówił mu, że sygnał oznacza prawdopodobnie śmierć — sercem nie wierzył i wciąż żywił nierozumną nadzieję, że może pierwsze jego wyczucie okaże się prawdziwe.

Serce waliło mu jak młotem i z największym wysiłkiem opanowywał drżenie głosu dyktując kolumny cyfr do dyktafonu.

Zrolował papiery z kolumnami cyfr i wsunął je w otwór poczty pneumatycznej. Minęło już 8 minut. Poprawił okulary na nosie — westchnął jak zwykle — i przysunął papiery następnych spraw, które czekały na załatwienie. Na wierzchu tego pliku aktów leżała złożona karteczka. Rozprostował ją. Były na niej dwa słowa napisane dużym, niewyrobnym pismem:

„Kocham cię!“

Przez kilkanaście sekund był zbyt oszołomiony by wrzucić kompromitującą kartkę w otwór „grobu pamięci“. W następnej chwili odczytał ją powtórnie — choć wiedział jak niebezpiecznie jest okazywać czemukolwiek nadmiar zainteresowania i bezpośrednio potem wrzucił ją w otwór „grobu pamięci“. Chciał się jednak jeszcze raz upewnić, że te dwa słowa były na niej istotnie napisane.

Przez całe przedpołudnie pracował z wielkim wysiłkiem. Nie tylko musiał skupić rozproszoną uwagę nad żmudną pracą biurową, lecz przede wszystkim ukryć w jakiś sposób swoje zdenerwowanie przed tele-ekranem.

Miał wrażenie, że cały płonie. Obiad w zatłoczonej, gorącej, gwarnej kantynie — był męczarnią. Łudził się, że w czasie przerwy obiadowej będzie choć przez chwilę sam, lecz na nieszczęście zjawił się Parsons a zapach jego potu zabił nawet odór duszonego mięsa, który unosił się w całej kantine. Parsons mówił bez przerwy o przygotowaniach do Tygodnia Nienawiści. Najwięcej entuzjazmu wykazywał dla olbrzymiego, dwumetrowego popiersia Wielkiego Brata, które wykonać miał z masy papierowej oddział Zwiadowców, w którym była jego córeczka. Na dobitkę, w kantynie panował taki gwar i hałas, że Winston raz po raz musiał prosić Parsonsa by powtórzył jakiś głupi szczegół, którego nie dosłyszał, czy nie zrozumiał.

Tylko raz spojrzął na czarnowłosą dziewczynę. Siedziała z dwiema koleżankami przy stoliku na drugim końcu sali. Wydawało mu się, że go nie spostrzegła. Winston nie spojrzął powtórnie w jej kierunku.

Popołudnie było bardziej znośne. Bezpośrednio po obiedzie poczta pneumatyczna wyrzuciła na jego biurko trudną i delikatną sprawę, która wymagała kilku godzin pracy. Wszystko inne trzeba było odłożyć na bok.

Zasadniczo trzeba było sfalszować kilkanaście raportów przemysłowych sprzed dwóch lat w ten sposób, by obciążyć pewnego wybitnego członka Wewnętrznej Partii, który popadł w nielaskę. To były sprawy, które Winston załatwiał

znakomicie. Przez dwie godziny tak był zajęty, że nie pomyślał nawet o dziewczynie.

Lecz gdy odłożył papiery myśl o niej opanowała go z podwójną siłą. Równocześnie ogarnęło go przemożne pragnienie samotności. Dopóki nie był sam, nie mógł dokładnie przemyśleć całej sprawy.

Tego wieczoru musiał być w Klubie Społecznym. W kantine urzędniczej zjadł szybko kolację — równie wstrętą jak obiad i poszedł do klubu. Wziął udział w zbiorowym blażństwie „grupy dyskusyjnej“, — zagrał dwie partie tenisa stołowego — wypił kilka dżinów i wreszcie usiadł by przez pół godziny zagłębić się w lekturze książki pt. „Anglo-Soc, a gra w szachy“. Nudził się śmiertelnie, lecz nie mógł wykręcić się od bytności w klubie. Gdy ujrzał słowa: kocham cię — pragnienie życia wzmogło się w nim gwałtownie i nagle wydało mu się głupotą ryzykowanie dla błahych powodów.

Dopiero o godzinie 23-ciej nadszedł moment na który czekał. Był w swoim pokoju, w łóżku, w ciemności i dopóki zachowywał się cicho — poza władzą tele-ekranu. Teraz wreszcie mógł rozmyślać bez przeszkód.

Zagadnienie, które należało rozwiązać było natury czysto technicznej. Mianowicie — jak porozumieć się z dziewczyną i jak zorganizować spotkanie? Wykluczał wszelki podstęp. Dziewczyna niewątpliwie była szczerze zmieszana i przejęta w chwili, gdy wsunęła mu w rękę karteczkę — przejęta i przerażona.

Nie przyszło mu również nawet na myśl by zrezygnować z ofiarowanego uczucia. Wprawdzie zaledwie pięć dni temu zamierzał kamieniem rozplatać jej głowę — lecz dziś było to bez znaczenia.

Myślał o jej nagim, młodym, jędrnym ciele — marzył o takiej, jaką widział w swoim śnie o „złotym kraju“.

Dawniej przypuszczał, że jest ona taka sama jak inne. Z głową pełną kłamstw, z sercem pełnym nienawiści — chłodna jak lód.

Ogarniała go panika na samą myśl, że może ją utracić — że to młode ciało może wyslizgnąć mu się z rąk. Przede wszystkim bał się jednak, że dziewczyna po prostu rozmyśli się jeżeli nie zdoła porozumieć się z nią szybko.

Techniczne trudności, które wprawdzie trzeba było zwalczyć by się z nią móc spotkać — były olbrzymie niemal nieprzewycięzalne. Jego sytuacja przypominała gracza przy szachownicy, który już dostał mata, a jeszcze zastanawiał się nad następnym ruchem — ruchem, którego już nie miał.

W którą stronę by się nie zwrócił — tele-ekrany będą wszędzie. W pierwszych pięciu minutach po przeczytaniu karteczki przemknęły mu przez głowę wszystkie możliwości zorganizowania spotkania. Teraz, gdy miał czas przemyśleć

wszystko dokładnie analizował każdą możliwość oddzielnie, jakby szukał odpowiedniego instrumentu w komplecie narzędzi chirurgicznych, rozłożonych na stole.

Oczywiście dzisiejszej rannej przygody na korytarzu nie można było powtórzyć. Gdyby dziewczyna pracowała w Dziale Dokumentów — sprawa byłaby prosta. Winston nie wiedział jednak dokładnie w której części gigantycznego gmachu Ministerstwa mieści się Dział Powieściowy i nie miał żadnego pretekstu by tam pójść. Gdyby wiedział gdzie mieszka i o której godzinie kończy pracę mogłby starać się spotkać ją gdy będzie wracała do domu. Czekać przed biurem, a następnie iść w ślad za nią byłoby ryzykowne, bo wałęsanie się w pobliżu Ministerstwa natychmiast by zauważono.

Wysłanie listu pocztą nie miało oczywiście żadnego sensu. Wszystkie listy były otwierane i cenzurowane. Nie stanowiło to dla nikogo żadnej tajemnicy. Konieczną korespondencję załatwiano się kartką pocztową z wydrukowaną serią frazesów (np. jestem zdrow — powodzi mi się dobrze) — wykreślając zdania, które w danej chwili były nie aktualne. Zresztą nie wiedział ani jak dziewczyna się nazywa, ani jak brzmi jej adres.

Po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że chyba najbezpieczniej byłoby się spotkać w kantine w Ministerstwie. Gdyby udało im się zająć pusty stolik gdzieś w pośrodku sali, nie zbyt blisko tele-ekranów, gdyby panował dostateczny gwar i hałas — to gdyby tak sprzyjające okoliczności trwały przynajmniej z pół minuty — mogłoby zamienić kilka słów.

Przez następny tydzień Winston żył jakby w chorobliwym, niespokojnym śnie. Pierwszego dnia dziewczyna nie pokazała się w ogóle w kantine mimo, że Winston czekał nawet chwilę po gwizdku oznajmającym zakończenie przerwy obiadowej. Być może przesunięto ją do innej zmiany i przychodzi na posiłki później.

Następnego dnia minęli się nie zamieniwszy nawet przelotnego spojrzenia. Tego dnia dziewczyna przyszła wprawdzie do kantyny o zwykłej porze, lecz w towarzystwie trzech koleżanek i usiadły natychmiast pod samym tele-ekranem.

Znów przez trzy długie, okropne dni — nie pokazała się w ogóle.

Winston czuł się zupełnie chory. Miał wrażenie, jakby wszystkie nerwy miał na wierzchu i każdy ruch, gest, słowo wypowiedane czy słyszane — było męczarnią. Nawet w czasie snu nie mógł się wyzwolić spod uroku czarnowłosej dziewczyny. Przez te dni nie tknął pamiętnika. Jeżeli znajdował chwilę ukojenia to tylko w swojej pracy, która pozwalała mu czasem zapomnieć o sobie na kilka minut.

Nie miał żadnych danych dotyczących jej losu. Nie mógł również zasięgnąć nigdzie informacji. Mogli ją „wyparować“,

mogła popełnić samobójstwo, mogli ją przenieść do innej prowincji Oceanii.

Najstraszniejsze i niestety najbardziej prawdopodobne było jednak, że zmieniła swoje zamiary i postanowiła go unikać.

Następnego dnia ukazała się wreszcie. Nie miała już ręki na temblaku tylko bandaż z plastra w przegubie dłoni. Ulga i odprężenie jakie odczuł na jej widok było tak wielkie, że nie mógł się opanować i patrzył w jej kierunku przez kilkanaście sekund.

Nazajutrz był już niemal pewien, że powiedzie im się zamienić kilka słów. Gdy w południe zszedł na dół do kantyny, dziewczyna siedziała samotnie przy stoliku, w głębi sali. Było wcześniej i w kantynie nie było jeszcze tłoku. Kolejka przy bufecie posuwała się naprzód, w chwili jednak, kiedy Winston stał już przy ladzie przerwano wydawanie obiadów na jakieś dwie minuty bo jeden ze stołowników zgłosił reklamację, że nie dostał przysługującej mu pastylki sacharyny.

Lecz dziewczyna, w chwili gdy Winston odchodził z tacą od bufetu jeszcze ciągle siedziała sama przy stoliku. Winston zbliżał się ku niej rozglądając się obojętnie po sali, jakby szukał wolnego miejsca. Już niemal dochodził do jej stolika, był nie dalej od niej niż trzy metry. W następnych dwóch sekundach byłiby już razem, gdy nagle ktoś krzyknął: „Smith!“ Winston udał, że nie dosłyszał. „Smith!“ — krzyknął ktoś głośniejsze. Nie mógł dłużej udawać — obrócił się.

Towarzysz Wilsher, blondyn o głupekowatej twarzy, którego niemal nie znał — zapraszał go uprzejmie do swojego stolika.

Nie byłoby bezpiecznie odmówić. Z chwilą gdy go poznał nie mógł pójść i usiąść przy stoliku dziewczyny. Byłoby to zbyt wpadające w oko.

Skorzystał więc z zaproszenia i zajął wolne miejsce. Głupekowaty Wilsher — promieniał. Winstonowi przemknęło przez myśl, że byłby w tej chwili szczęśliwy gdyby mógł rozwalić łeb blondyna kilofem.

Tymczasem wolne miejsca przy stoliku czarnowłosej dziewczyny zostały zajęte. Lecz musiała zauważyć jak szedł ku niej i zrozumieć jego intencje.

Następnego dnia zszedł wcześniej do kantyny. Dziewczyna siedziała przy tym samym stoliku i równie jak wczoraj samotna.

Winston stanął w kolejce. Bezpośrednio przed nim stał mężczyzna o pająkowatej figurze, szybkich ruchach i o podejrzliwych chytrych oczkach osadzonych w płaskiej twarzy.

Gdy Winston miał już na tacy swój obiad i odchodził od bufetu zauważył, że pająkowaty typ kieruje się wprost ku stolikowi dziewczyny. Stracił nadzieję. Wprawdzie przy

jednym z dalszych stolików było wolne miejsce, lecz Winston nie miał wątpliwości, że „pająk“ wybierze dla swej wygody stół przy którym siedzi tylko jedna osoba. Ze ściśniętym sercem szedł wolno tuż za nim. Oczywiście okazałyby się całkowicie zmarnowane, gdyby z dziewczyną nie mógł być ani przez chwilę sam na sam.

Nagle rozległ się trzask i brzęk tłuczonej porcelany. Pająkowaty towarzysz potknął się i runął jak długi w kałużę zupy i kawy. Zerwał się na nogi i rzucił zjadliwe spojrzenie podejrzewając najwyraźniej, że Winston podstawił mu nogę.

Wszystko składało się znakomicie. W pięć sekund później Winston z bijącym sercem usiadł przy stoliku czarnowłosej dziewczyny.

Nie popatrzył na nią. Przełożył na stół talerze ze swojej tacy i zaczął natychmiast jeść. Było rzeczą niezmiernej wagi natychmiast zacząć rozmowę nim ktoś przysiadzie się do nich, lecz Winstonowi słowa więzły w gardle. Sparaliżował go lęk. Minał już tydzień od dnia w którym wsunęła mu w dłoń karteczkę. Mogła zmienić swą decyzję — musiała ją zmienić! To wszystko nie mogło ułożyć się szczęśliwie — takie rzeczy nie trafiają się w realnym życiu!

Prawdopodobnie byłby się nie zdobył na rozpoczęcie rozmowy, lecz nagle dojrzał Ampleforth'a owego poetę z owłosionymi uszami. Ampleforth krążył kulejąc z tacą w ręce, rozglądał się i szukał wolnego miejsca. Poeta lubił po swojemu (mętnie i chwiejnie) Winstona i gdyby go spostrzegł, z całą pewnością przysiadłby się do nich.

Czas naglił — może mieli tylko minutę by się porozumieć.

Oboje jedli bez przerwy cienką, wodnistą zupę fasolową, która stanowiła główne danie. Winston zaczął mówić cicho matowym głosem. Nie patrzyli na siebie. Automatycznie podnosili do ust łyżki z wodnistą zupą i między jednym łykiem a drugim wymienili kilka koniecznych zdań wypowiedzianych bezbarwnym niskim szeptem:

— O której pani wychodzi z biura?

— O 18³⁰.

— Gdzie się możemy spotkać?

— Na Placu Zwycięstwa koło pomnika.

— Tam jest pełno tele-ekranów.

— To jest bez znaczenia jeżeli jest duży tłum.

— Jakiś znak?

— Nie, i niech się pan do mnie nie zbliża dopóki pan nie zobaczy że jestem w mieszana w tłum. Niech pan na mnie nie patrzy tylko stara się stanąć blisko.

— O której godzinie?

— O 19-tej.

— Doskonale!

Ampleforth nie zauważył Winstona i siadł przy innym stoliku. Nie mówili więcej ze sobą i — o ile to możliwe, gdy się siedzi vis a vis przy jednym stoliku — nie patrzyli na siebie.

Dziewczyna szybko dokończyła obiadu i wyszła. Winston został jeszcze by wypalić papierosa.

Zjawił się na Placu Zwycięstwa przed wyznaczonym terminem. Spacerował wokół cokołu olbrzymiej kolumny z której szczytu posąg Wielkiego Brata spoglądał ku południowi. Tam, zwyciężył w bitwie o Pas Lotniczy No. 1. eurazyjskie floty powietrzne, (kilka lat temu, były to siły lotnicze Wschodnio-Azji). Na przeciw pomnika W.B. stał pomnik przedstawiający jeźdźca na koniu. Był to rzekomo Oliver Cromwell.

Minęło 5 minut po 19-tej, a czarnowłosej dziewczyny nie było. Ogarnął go znów lęk. Rozmyśliła się — nie przyjdzie. . .

Ruszył wolno w północnym kierunku. Z pewnym melancholijnym sentymentem rozpoznał sylwetę kościoła Św. Marcina, którego dzwony (gdy je posiadał) śpiewały: „Jesteś mi winien trzy farthing'i“.

Zawrócił i w tym momencie dojrzał ją. Stała pod cokolem pomnika i czytała, względnie udawała, że czyta — afisz na kolumnie. Nie byłoby bezpiecznie podejść do niej nim wokół pomnika nie zbierze się więcej ludzi. Wszędzie było pełno tele-ekranów umieszczonych na frontonach gmachów.

Nagle rozległy się okrzyki i nawoływania, a gdzieś z lewej strony załomotały po bruku ciężkie samochody. Wszyscy biegli w kierunku skąd dochodziła wrzawa. Dziewczyna przemknęła zwinnie pomiędzy lwami, które zdobyły cokół pomnika i wmieszała się w tłum. Winston pospieszył za nią. Z okrzyków wywnioskował, że miano przewozić transport eurazyjskich jeńców. Południowa strona placu zappełniła się nagle ludźmi.

Winston należał do tych, którzy unikają tłumu i wolą być zawsze z dala od wszelkiego rodzaju zbiegowisk. Tym razem, torował sobie drogę łokciami w środek tłumu. Niebawem znalazł się w odległości ramienia od dziewczyny, lecz nie mógł się do niej zbliżyć, gdyż odgradzał go od niej prolet olbrzymiego wzrostu i równie olbrzymia proletka, prawdopodobnie jego żona. Tych dwoje tworzyło żywą ścianę nie do zdobycia. Winston odsunął się najpierw nieco w bok a następnie gwałtownym ruchem zdołał wcisnąć jedno ramię między parę proletów. Przez moment miał wrażenie, że go zetrą na miazgę, ale wreszcie precyzyjnie się spocony jak mysz. Stał obok dziewczyny. Oparli się ramionami i patrzyli przed siebie.

Ulicą przejeżdżał konwój ciężarówek wojskowych. Na każdym wozie jechało po czterech strażników o tępych,

drewnianych twarzach — uzbrojonych w broń automatyczną. Na platformach jechali stłoczeni jeńcy eurazjańscy — mali, żółci w zniszczonych, zielonkawych mundurach. Wyraz ich smutnych mongolskich twarzy nie zdradzał żadnego zainteresowania ani zdziwienia. Tylko, gdy któryś z wozów przyhamowano gwałtowniej — rozlegał się głuchy, metaliczny brzęk kajdanów. Wszyscy jeńcy mieli skute łańcuchami nogi.

Mijał ich wóz za wozem załadowany żółtymi ludźmi o smutnych twarzach. Lecz Winston patrzył — nie widząc . . . Czarnowłosa dziewczyna stała obok przytulona ramieniem do niego. Była blisko, że wyczuwał niemal ciepło jej policzków.

Podobnie jak w kantynie, dziewczyna przejęła natychmiast inicjatywę w swoje ręce. Zaczęła mówić nie poruszając prawie ustami tym samym matowym szeptem, który niemal zlewał się z rozgwarem tłumów i turkotem wozów.

— Czy słyszy mnie pan?

— Tak.

— Czy w niedzielę po południu jest pan wolny?

— Tak.

— Niech pan słucha uważnie. To co powiem musi pan zapamiętać dokładnie. Pójdzie pan na stację Paddington . . .

Z prawdziwie wojskową dokładnością, która Winstona wprawiła w zdumienie — nakreśliła całą drogę jaką miał przebyć. Pół godziny jazdy pociągiem — stacja. Po wyjściu ze stacji skręcić w lewo i iść drogą dwa kilometry. Brama, w której brak górnej zasuwki — ścieżka poprzez pole — trawą porośnięta aleja — znów ścieżka pomiędzy krzewami i wreszcie uschnięte drzewo porośnięte mchem.

Mówiła szybko i jasno, jakby miała przed sobą mapę.

— Czy zdoła pan zapamiętać te wszystkie szczegóły?

— Tak.

— A więc proszę zapamiętać: w lewo, później w prawo i znów w lewo. I brama w której brak górnej zasuwki.

— Dobrze. O której godzinie?

— Około 15-tej. Będzie pan musiał trochę poczekać. Przyjadę tam inną drogą. Czy jest pan pewien, że zapamiętał pan wszystko?

— Tak.

— W takim razie niech pan teraz zniknie stąd jak najprędzej.

Winstonowi nie byłoby trzeba tego powtarzać, ale w danym momencie, było niepodobieństwem wydostać się z tłumu. Samochody z jeńcami defilowały bez przerwy, a ludzie patrzyli, jakby nie mogli nasycić się tym widokiem. Na samym początku było trochę okrzyków wznoszonych wyłącznie przez członków Partii, lecz niebawem ucichły.

Przeważającym uczuciem tłumu była po prostu — ciekawość. Cudzoziemcy czy to z Eurazji, czy z Wschodnio-Azji

byli jakby okazami egzotycznych zwierząt. Nie widywało się cudzoziemców w ogóle w innym charakterze, tylko zawsze jako jeńców i to przelotnie.

Również nikt nie wiedział co się z nimi dzieje. Wiadomy był tylko los tych stosunkowo nielicznych, których wieszano w parkach jako zbrodniarzy wojennych. Reszta niktęła prawdopodobnie w obozach pracy przymusowej.

Przewożono teraz jeńców o bardziej europejskich rysach twarzy — zarośniętych, brudnych, wyczerpanych. Z zapadniętych oczodołów biły w Winstona spojrzenia — niektóre o zdumiewającej sile. Konwój się kończył. W ostatnim wozie Winston dojrzał starca z twarzą zarośniętą siwym włosem, który stał wyprostowany ze skrzyżowanymi rękami, jakby już przywykł, że w tej pozycji wiązano mu ręce.

Najwyższy czas był już się rozdzielić. Lecz w ostatniej chwili, gdy byli jeszcze otoczeni zwartym tłumem, dziewczyna chwyciła go za rękę i uścisnęła. Ten uścisk nie trwał zapewne dziesięciu sekund, lecz Winstonowi wydawał się bardzo długi. Odkrył w nim całe piękno jej ręki. Długie palce, kształtne paznokcie, stwardniała od pracy dłoń i delikatność skóry w przegubie. Wyczuł tę rękę tak dokładnie, że poznałby ją natychmiast.

Przyszło mu nagle na myśl, że właściwie nie wie jakiego koloru dziewczyna ma oczy? Prawdopodobnie brązowe, lecz ludzie o czarnych włosach miewają czasem oczy niebieskie. Obrócić się i spojrzeć w jej twarz byłoby głupio i niebezpiecznie.

I tak stali obok siebie ściskając się za ręce, niewidoczni i zgubieni w tłumie i zamiast oczu dziewczyny patrzyły w Winstona smutne, żalodne oczy starca-jeńca spod mierzwy siwych włosów.

II.

Winston szedł aleją wpośród ruchomej gry światła i cieni wybierając miejsca, gdzie poprzez gałęzie splywały ku ziemi snopy słonecznego światła. Na lewo, pod drzewami było aż gęsto od dzwonek. Powietrze całowało i pieściło. Było to 2-go maja. Gdzieś w głębi lasu gruchały dzikie gołębie.

Przyjechał trochę za wcześniej. Nie miał żadnych trudności w podróży. Dziewczyna była istotnie bardzo doświadczona w tych sprawach i Winston dzięki temu mniej był przerażony niż zazwyczaj. Zdaje się można jej było w pełni zaufać. Umiała wynaleźć bezpieczne miejsce.

Ogólnie biorąc byłoby błędem przypuszczać, że na wsi było o wiele bezpieczniej, niż w Londynie. Nie było oczywiście tele-ekranów, lecz istniało zawsze niebezpieczeństwo zamaskowanych mikrofonów, które automatycznie rejestrowały wszystkie głosy. W ten sposób można było zostać wykrytym

i zidentyfikowanym. Nie było również łatwo podróżować w ten sposób, aby nie ściągnąć na siebie uwagi. Wprawdzie, tylko w wypadku, gdy przekraczało się promień 100 km od miejsca zamieszkania, wymagane było zezwolenie, uwidocznione w paszporcie, lecz na stacjach częste były patrole, które legitymowały członków Partii zadając różne pytania.

Na szczęście tym razem Winston nie spotkał żadnych patroli. Po opuszczeniu stacji i w czasie drogi upewnił się kilkakrotnie czy nikt go nie śledzi.

Pociąg, którym przyjechał pełen był proletów w wycieczkowych nastrojach, harmonizujących z wiosenną pogodą. Przedział wagonu w którym podróżował zapchany był po granice fizycznych możliwości jedną wprawdzie, ale niezmiernie liczną rodziną w której skład wchodziła zarówno bezzębna pra-babka jak i roczne niemowlę. Rodzina pragnęła spędzić popołudnie na łonie przyrody i zdobyć trochę czarnorynkowego masła, czego bynajmniej nie ukrywali przed Winstonem.

Aleja którą szedł poszerzyła się nagie, przechodząc w ścieżkę wydeptaną przez bydło. Każdy szczegół zgadzał się z planem naszkicowanym przez czarnowłosą dziewczynę. Nicco dalej, ścieżka ginęła wśród krzewów.

Nie miał zegarka, ale nie było jeszcze chyba 15-tej. Dzwoneczki rosły tutaj tak gęsto, że wykluczone było po nich nie deptać. Ukląkł i zaczął zrywać kwiaty częściowo dla zabicia czasu, częściowo, bo przyszło mu na myśl, że byłoby mu miło ofiarować dziewczynie bukiet kwiatów przy przywitaniu.

Zebrał duży bukiet i pochylił głowę by odetchnąć miodnym słodkim zapachem, gdy nagle posłyszał szmer. Zastygł w przerażeniu. Niewątpliwie ktoś szedł — słyszał trzask suchych gałęzi pod czyimiś stopami. Zbierał dalej kwiaty — wydawało mu się, że była to najlepsza taktyka, jaką mógł obrać. Gdyby zaczął rozglądać się oznaczałoby to, że jest nastraszony, że czuje się winny. Rwał dzwonki jeden po drugim i układał w bukiet.

Ktoś delikatnie położył mu rękę na ramieniu. Była to czarnowłosa dziewczyna. Dała mu znak, by nic nie mówić i rozchyliwszy gałęzie krzewów poprowadziła go w głąb lasu. Musiała tu być wiele razy, bo omijała bagniste miejsca, jakby ten las nie miał dla niej tajemnic. Winston szedł za nią, trzymając w ręce bukiet dzwoneczków.

W pierwszej chwili, gdy zobaczył dziewczynę odczuł wielką ulgę i radość — teraz jednak, w miarę jak obserwował jej gibkie i zwinne ruchy, piękną linię sylwetki podkreśloną czerwoną szarfą, ogarniać go zaczęło poczucie własnej niższości. Nawet teraz nie uważał za wykluczone, że dziewczyna obróci się, przyjrzy mu się dokładnie — rozmyśli się i cofnie . . .

Gasił go widok świeżych zielonych liści, młodziutkiej trawy i niebieskawego, wiosennego powietrza. Jeszcze gdy szedł ze stacji, wydał się sobie samemu, w tym majowym słońcu, wyblakłym, brudnym, osmolonym mieszczuchem, z pyłem londyńskim wrosniętym w skórę.

Przyszło mu na myśl, że do tej pory dziewczyna nie widziała go nigdy w pełnym świetle dnia na wolnym powietrzu.

Przyszli do uschniętego drzewa. Dziewczyna jednym ruchem rozgarnęła gałęzie krzewów i podszycia i nagle znaleźli się w malej kotłince otoczonej zewsząd młodym gęstym lasem.

Dziewczyna przystanęła i spojrzała na Winstona.

— Jesteśmy u celu — odezwała się.

Winston patrzył na nią i nie śmiał podejść bliżej.

— Nie mówiłam nic w alei — podjęła po chwili — bo nie wiem czy nie ma tam ukrytych mikrofonów podsłuchowych. Nie sądzę by tam były, ale wykluczyć tego nie można. Trzeba być ostrożnym, bo zawsze jest możliwe, że jakaś świnka rozpozna pana głos. Tu jesteśmy zupełnie bezpieczni.

Winston wciąż nie miał odwagi zbliżyć się do niej.

— Jesteśmy tu bezpieczni — powtórzyła z naciskiem. Niech pan spojrzy na te drzewa.

Wokół rosły młode jesiony. Były to wiotkie pędy, które puściły z pni po ściętych kiedyś drzewach. Żadne z drzewek nie było grubsze niż ręka.

— Nie byłoby tu gdzie ukryć podsłuchowego aparatu. A zresztą — dodała po chwili — byłam już tu poprzednio.

Na razie prowadzili jedynie towarzyską rozmowę. Winston wreszcie przybliżył się nieco. Dziewczyna stała tuż przed nim — wyprostowana, ironicznie uśmiechnięta, jakby dziwiła się dlaczego taki jest powolny i ślamazarny.

Kwiaty wypadły z rąk Winstona i kaskadą posypały się na trawę. Ujął jej dłoń.

— Czy pani uwierzy, że do tej pory nie wiem jakiego koloru są pani oczy?

Oczy dziewczyny były brązowe, jasno brązowe, w oprawie czarnych rzęs.

— A teraz, gdy już pani zobaczyła jak ja naprawdę wyglądam, w pełnym świetle dnia, może jeszcze pani zność mój widok?

— Z łatwością.

— Mam 39 lat. Mam żonę z którą nie mogę się rozwieść. Mam żylaki i pięć sztucznych zębów.

— Nic mi to nie szkodzi — uśmiechnęła się.

Nagle, czy ona przytuliła się do niego, czy on ją przygar-
nął dość, że znalazła się w jego ramionach. Wyczuwał jej
ciało całym sobą, twarz zanurzył w chmurze jej czarnych
włosów, a gdy odwróciła głowę zaczął całować jej duże,
czerwone usta. Dziewczyna zarzuciła mu ramiona na szyję
i szeptała: ukochany, jedyny, najdroższy . . .

Powoli osunęli się na trawę. Nie bronila się zupełnie — mógł robić z nią co mu się podobało. Lecz nie odczuwał żadnej zmysłowej podniety. Był dumny i bezbrzeżnie zdziwiony. Był szczęśliwy, lecz nie odczuwał zmysłowego głodu. Wszystko szło zbyt szybko. Był oszołomiony jej urodą i świeżością — zbyt wiele lat nie miał żadnego kontaktu z kobietami — sam zresztą nie wiedział dlaczego tak dziwnie się zachowywał.

Dziewczyna poprawiła suknię i usiadła obok niego. Wyjęła z włosów dzwonek, których bukiet rozsypał się po trawie i objęła Winstona ramieniem.

— Nie martw się. Mamy przed sobą całe popołudnie, nie mamy powodu się śpieszyć. Powiedz — czy nie jest to wspaniała kryjówka? Wyszukałam ją gdy raz zgubiłam się na wycieczce. Gdyby ktokolwiek zbliżał się, usłyszymy go, gdy będzie jeszcze 100 metrów stąd.

— Jak ci na imię? — zapytał Winston.

— Julia. A ty masz na imię Winston, Winston Smith.

— Jak się tego dowiedziałas?

— Wydaje mi się, że jestem znacznie sprytniejsza niż ty. Powiedz mi mój drogi, coś o mnie myślał nim dałam ci tę karteczkę?

Winston nie odczuwał żadnej pokusy okłamywania jej. W ofierze dla nowej miłości, postanowił wyznać jej na początku rzecz najstraszniejszą.

— Nienawidziłem cię! Pragnąłem cię zgwałcić a potem zamordować. Dwa tygodnie temu rozmyślałem poważnie, by rozbić ci głowę kamieniem. Jeżeli chcesz wiedzieć prawdę — powiem ci, że podejrzewałem, że jesteś na usługach Policji Myśli.

Dziewczyna roześmiała się szczerze. Wzmiankę o Policji Myśli wzięła najwidoczniej za komplement i hold złożony jej umiejętności maskowania się.

— Policji Myśli? Nie myślałeś chyba tak naprawdę?

— Może nie Policji Myśli, ale sądząc po twoim wyglądzie jesteś młoda, zdrowa, ładna, więc . . .

— Więc myślałeś, że jestem wzorową członkinią Partii. Czystą w myśli, w słowie, w czynie. Sztandary, pochody, slogany, sporty, zbiorowe wycieczki itd. I myślałeś, że przy pierwszej okazji zadenuncjuję cię Policji Myśli jako zbrodniarza myślowego, dojrzałego do „wyparowania“?

— Przyznaję, że mniej więcej tak myślałem. Ale większość dziewcząt to właśnie takie wzorowe . . .

— Wszystkiemu winne jest to święństwo! — wybuchnęła Julia. Krótkim szarpnięciem zerwała z siebie czerwoną szarfę, odznakę Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej i przewiesiła ją przez najbliższą gałąź. I nagle, jakby sobie coś przypomniała, sięgnęła do kieszeni kombinezonu i wyciągnęła niewielką

tabliczkę czekolady. Przełamała ją na pół i podzieliła się z Winstonem.

Nim ją skosztował już aromat mu powiedział, że jest to bardzo niezwykła czekolada. Była ciemna o lśniącej powierzchni — opakowana w srebrny papier. Zwyczajna czekolada była brudnawo brązowa, kruszyła się w palcach i miała przydymiony smak, jakby palonych śmieci. Już kilka razy jadł taką czekoladę jak ta, którą w tej chwili dostał od Julii. Sam aromat tego przysmaku budził w nim wspomnienia trudne do określenia, lecz żywe i nużące.

— Gdzie zdobyłaś tę czekoladę? — zapytał.

— Na czarnym rynku — odpowiedziała obojętnie. — Na pierwszy rzut oka jestem wzorową dziewczyną. Byłam instruktorką Zwiadowców, uprawiam sporty, trzy wieczory w tygodniu pracuję ochotniczo w Młodzieżowej Lidze Antyseksualnej. Spędzam całe godziny rozlepiając po Londynie ich kretyńskie afisze. W pochodach jestem zawsze jedną z tych, które dzierżą koniec sztandaru, by był pięknie rozwinięty. Jestem zawsze ze wszystkiego zadowolona i nigdy od niczego się nie wymawiam. Zawsze wnoszę okrzyki wraz z innymi. To jest jedyna droga zapewnienia sobie bezpieczeństwa.

Winston zjadł właśnie pierwszy kawałek czekolady. Jej smak delikatny i wyborny poruszał w jego pamięci jakieś odległe wspomnienie, które żywo odczuwał, lecz nie mógł dłoń znaleźć konkretnego wyrazu — jakby to było wydarzenie, które oglądał kiedyś kącikiem oczu. Odepchnął to wspomnienie świadom jedynie, że związane jest z czynem, którego wolałby być nie popełnić.

— Ty jesteś bardzo młoda Julio — odezwał się. — Z pewnością jesteś młodsza ode mnie o 10 lub 15 lat. Powiedz mi czym właściwie cię zainteresowałem?

— Było coś w wyrazie twojej twarzy co mnie pociągało. Pomyślałam, że zaryzykuję. Mam nosa do ludzi, którzy nie przynależą. W momencie, kiedy pierwszy raz cię ujrzałam, wiedziałam, że jesteś przeciw nim.

„Nim“ oznaczało Partię, w szczególności Partię Wewnętrzną o której Julia mówiła z zajadłą nienawiścią. Winston słuchając tych słów czuł się trochę nieswojo, choć zdawał sobie sprawę, że są tu bezpieczni, jeżeli w ogóle gdziekolwiek można było być bezpiecznym. Zdumiewało go również, że dziewczyna używała ordynarnych słów. Oficjalnie uważano, że członkowie Partii nie powinni kląć. Winston klął tylko wyjątkowo, a głośno niemal nigdy. Julia natomiast była po prostu niezdolna wymówić słowo Partia, a zwłaszcza Partia Wewnętrzna, by nie okraścić tych nazw serią wyzwisk, jakie spotyka się wypisane na ścianach klozetów. Nie potępiał tego jednak. Był to bowiem jeden z objawów jej nienawiści do

Partii i jej metod. Być może, że przekleństwa te były naturalną i zdrową reakcją. Przecież i koń prychnął, gdy mu nałożył do żłobu przegniłego siana.

Wyszli z kotlinki i szli lasem wśród ruchomych plam słonecznych przytuleni do siebie, o ile szerokość ścieżki na to pozwalała. Winston, obejmując Julię ramieniem, pomyślał o ile bardziej kobieca była jej kibić, gdy nie krępowała jej szarfa młodzieżowej „Anty-Sex“.

Mówili tylko szeptem. Gdy opuścili kotlinkę Julia poruszała się w terenie z wielką ostrożnością. Na skraju lasu dziewczyna przystanąła.

— Nie wychodź na otwarte pole — ostrzegła go. — Ktoś może śledzić tę okolicę, bezpieczniej trzymać się lasu.

Stali w cieniu zagajnika leszczyny. Słońce, nawet przefiltrowane przez gąszcz młodych liści, było bardzo gorące.

Winston wychylił się ostrożnie i spojrział uważnie na okolicę. I nagle, ze zdumieniem, poznał. Poznał to miejsce. Pamiętał je. Była to łąka-pastwisko z krótką trawą z ścieżką wijącą się zygzakiem — usiana tu i ówdzie kopcami kreto-wisk. W dzikim szpalerze na przeciwnym krańcu błonia, gałęzie wiązów kołysały się lekko w podmuchach wietrzyku, a gęsta masa liści falowała jak włosy kobiece. Z całą pewnością gdzieś niedaleko musi być strumień w którym pluszczą się ryby.

— Czy jest tu gdzieś w pobliżu strumyk? — zapytał szeptem.

— Tak rzeczywiście — tam, na skraju tego pola, płynie rzeczka. Są w niej duże piękne ryby. Można obserwować jak pluskają w głębszych miejscach pod wierzbami — ot, tam!

— To jest „złoty kraj“ — powiedział Winston cicho.

— Złoty kraj?

— Ach, to nic, to tylko krajobraz, który widywałem czasem we śnie.

— Popatrz! — szepnęła Julia.

Na gałęzi — nie dalej jak 5 metrów od nich usiadł drozd. Nie dostrzegł ich — Julia i Winston byli w głębokim cieniu, ptak w pełnym słońcu. Drozd rozprostował skrzydła i pochylił główkę jakby oddawał hołd wiosennemu słońcu. Po chwili popłynęła kaskada perlistych tonów. W popołudniowej ciszy śpiew zabrzmiał potężnym mistrzowskim solo.

Winston i Julia, przytuleni do siebie, stali oczarowani. Śpiew trwał. Płynęły trele i wariacje nowe i nie powtarzające się, jakby ptak pragnął olśnić las bogactwem swej pieśni. Milkł tylko na ułamek sekundy by nabrać tchu i tym mocniej rozwibrować swą nastroszoną pierś w fortissime.

Winston obserwował drozda z podziwem i jakby z szacunkiem. Komu on śpiewał? I dlaczego śpiewał? W pobliżu nie było ani jego samiczki, ani rywala. Co skłaniało tego ptaka na samotnej gałęzi, że śpiewał nicości?

Był ciekaw, czy istotnie były tu gdzieś ukryte podsłuchowe mikrofony. On i Julia rozmawiali szeptem — mikrofon nie podchwyciłby ich rozmowy, ale przekazałby śpiew drozda. Być może gdzieś tkwi mały, pająkowany typ ze słuchawkami na uszach i uparcie słucha — słucha śpiewu drozda.

Śpiew obezwładnił myśli Winstona. Miał wrażenie, że trele drozda zmieszane ze słońcem płyną falą przez las i zatapiają wszystko. Już nic nie myślał — tylko czuł. Kibić dziewczyny w łuku jego ramienia była ciepła i prężna. Przygarnął ją bliżej tak, że piersiami opierała się o niego. Stapiali się w jedność. Jej ciało poddawało się jego rękom jak wosk. Spotkali się ustami. Był to już inny pocałunek niż pierwszy w kotlinie. Gdy wreszcie oderwali się od siebie — odetchnęli głęboko.

Drozd spłoszony zatrzepotał skrzydłami i odleciał.

Winston pochylił się i szepnął w ucho dziewczyny:

— Teraz . . .

— Nie tu! Wróćmy do kotlinki, tam będzie bezpieczniej.

Biegli wśród trzasku łamanych gałązek. Gdy znaleźli się znów w swojej zielonej kryjówce, oboje byli zdyszani. Wokół ust Julii błąkał się uśmiech. Spojrzała na Winstona. Nie spuszczać wzroku z jego twarzy ujęła uchwyt błyskawicznego zaciągacza swego kombinezonu. I stało się jak w jego śnie. Jednym gwałtownym ruchem zdjęła z siebie suknię i odrzuciła ją precz tym samym, wspaniałym gestem, który zdawał się przekreślać całą cywilizację.

Jej ciało białą zajaśniało w słońcu. Lecz Winston nie patrzył w tej chwili na jej ciało. Jego oczy przykuł dziwny, śmiały uśmiech.

Ukląkł przed nią i ujął jej rękę.

— Czy robiłaś już to kiedy?

— Oczywiście — setki razy, mnóstwo razy!

— Z członkami Partii?

— Tak, zawsze z członkami Partii.

— Z członkami Wewnętrznej Partii?

— Nie, z tymi bydlakami nie! Lecz wielu z nich chciałoby, gdyby po temu miało okazję. Oni wcale nie są tacy święci za jakich się podają.

Serce Winstona biło mocno. Robiła to już setki razy. Cieszyłby się gdyby robiła to setki tysięcy razy. Wszystko co miało jakikolwiek związek z zepsuciem, napawało go zawsze dziką nadzieją. Kto wie — może poza fasadą, Partia była zżarta zgnilizną, a jej kult wysiłku i ascezy był tylko szyldem pokrywającym rozkład? Ach, gdyby mógł ich wszystkich zarazić trądem, lub syfilisem, jakże byłby szczęśliwy! By ich podkopać — osłabić — zniszczyć!

Przyciągnął ją ku sobie. Dziewczyna uklękła na wprost niego.

— Słuchaj! Im więcej miało cię mężczyzn, tym bardziej cię kocham — rozumiesz?

— Rozumiem doskonale.

— Nienawidzę czystości, nienawidzę dobroci! Nie chcę żadnej cnoty. Pragnę by wszyscy byli zepsuci do szpiku kości!

— W takim razie powinnam ci idealnie odpowiadać, mój drogi — bo jestem zepsuta do szpiku kości!

— Czy lubisz to? Nie koniecznie ze mną — lecz rzecz samą w sobie?

— Uwielbiam!

To było więcej niż pragnął usłyszeć. Nie miłość do człowieka lecz zwierzęcy instynkt, nieodróżniczowana żądza — to były siły, które mogłyby rozłożyć Partię.

Wgniótł ją w trawę i w rozsypane kwiaty. Tym razem nie było trudności. Po chwili ich gwałtownie przyspieszone oddechy uspokoiły się i odpadli od siebie szczęśliwi i znużeni.

Słońce przypierało — obojgu kleiły się oczy. Winston sięgnął po kombinezon leżący obok i nakrył nim dziewczynę. Usnęli niemal natychmiast.

Spali około pół godziny. Winston obudził się pierwszy. Usiadł i spojrzał na delikatnie piegowatą twarz Julii porażoną w głębokim śnie. Spała z ręką podłożoną pod głowę. Piękne były właściwie tylko jej usta. Pod oczami — gdy przyjrzał się dokładnie — zauważył kilka drobniutkich zmarszczek. Jej krótko przystrzyżone, czarne włosy były miękkie i nadzwyczaj bujne.

Przypomnił sobie, że właściwie do tej chwili nie wiedział ani jak się nazywa, ani gdzie mieszka.

Obudziła się w nim opiekuńcza tkliwość gdy patrzył na jej uśpione, bezbronne ciało. Lecz nie powróciło już więcej owo upojenie, które oswlądneło nim tam, w leszczynie, gdy słuchali śpiewu drozda.

Odsłonił kombinezon, którym była przykryta i patrzył na linię jej bioder. Przyszło mu na myśl, że w dawnych czasach, młody człowiek patrząc na ciało kobiece odczuwał pożądanie i to było zazwyczaj wszystko. Dziś jednak nie było na świecie ani czystej miłości, ani nawet czystego pożądania. Żadne uczucie nie mogło być czyste ani wolne, bo wszystko zmieszane było ze strachem i nienawiścią. Pocałunki i uściski, które wymienili z Julią były walką — spełniona rozkosz zwycięstwem. Ich rozkosz była ciosem wymierzonym w Partię, była politycznym aktem.

III.

— Będziemy mogli przyjść tu jeszcze raz — powiedziała Julia — na ogół można bezpiecznie użyć dwa razy tej samej kryjówki, **lecz oczywiście nie wcześniej jak za miesiąc, lub dwa.**

Zachowanie Julii, jak tylko się przebudziła, uległo gwałtownej przemianie. Była rozważna, czujna, włożyła kombinizon, przepasała się czerwoną szarfą i planowała podróż powrotną.

Winstonowi wydawało się całkowicie naturalne, że organicyjna strona przygody spoczywała w jej rękach. Julia, w przeciwieństwie do niego, posiadała wiele praktycznego sprytu, a poza tym w czasie niezliczonych, partyjnych wycieczek, zapoznała się doskonale z okolicami Londynu.

Droga powrotna, jaką podała Winstonowi różniła się całkowicie od tej, którą tu przybył i wiodła nawet przez inną stację kolejową.

— Nigdy nie wracaj tą samą drogą! — powtórzyła Julia sentencjonalnie, jakby wygłaszała niezmiernej wagi życiową zasadę.

Dziewczyna miała wyruszyć pierwsza — on w pół godziny później. Podała mu również miejsce, gdzie mieli się spotkać za cztery dni, wieczorem. Była to uliczka w ubogiej dzielnicy miasta, gdzie zwykle odbywał się targ. Zawsze było tam rojno i hałaśliwie. Julia miała krążyć pomiędzy straganami udając, że szuka sznurowadeł względnie nici do szycia. Jeżeli nie zauważy nic podejrzanego umówionego wieczoru, w chwili, gdy Winston zbliży się do niej wyciągnie chusteczkę i wytrze nos. Jeżeli nie uczyni tego znaku, Winston nie poznawszy jej odejdzie. Jeżeli jednak będą mieli łut szczęścia, może powiedzie im się wmieścić w tłum i porozmawiać przez kwadrans, a w każdym razie choćby ustalić miejsce i datę następnego spotkania.

— A teraz muszę już iść — powiedziała upewniwszy się, że Winston zapamiętał jej wskazówki. — Muszę być w mieście o 19³⁰. Za dwie godziny, w lokalu Młodzieżowej Ligi Antyseksualnej mam rozdawać broszurki propagandowe. Nie jest to przeklęty los? Oczyść mnie z tyłu! Czy jesteś pewny, że nie mam trawy czy liści we włosach? A zatem do widzenia mój ukochany, do widzenia!

Objęła go za szyję, ucałowała gwałtownie i namiętnie, a w chwilę potem zniknęła bezszelestnie wśród drzew.

I nie dowiedział się, ani jak się nazywa, ani gdzie mieszka. Było to zresztą bez jakiegokolwiek znaczenia, bo przecież nie mogli się spotkać w jej mieszkaniu. Nie mógł też do niej napisać.

Tak się złożyło, że już nie odwiedzili zielonej kotlinki w lesie. W ciągu maja tylko raz powiodło im się w pełni. Było to w innej kryjówce, którą знаła Julia. Wówczas użyła im gościny opuszczona dzwonnica zrujnowanego kościoła. Okolica wokół była niemal wymarła. Podobno 30 lat temu, upadła w pobliżu bomba atomowa. To była doskonała kryjówka, ale dostać się do niej nie było łatwo ani bezpiecznie.

Poza tym widywać się mogli, niemal wyłącznie, tylko na ulicy. Każdego wieczoru w innym miejscu i nie dłużej jak pół godziny. Na ulicach, można było rozmawiać w pewien dziwny i swoisty sposób. Gdy szli chodnikiem — nigdy ramię w ramię, nigdy nie patrząc na siebie — prowadzili rozmowę, która rwała się jak przerywane światło latarni morskiej. Automatycznie milkli na widok partyjnego munduru, lub gdy zbliżali się do tele-ekranów — po kilku minutach kończyli rozpoczęte zdanie, by doszedłszy do omówionego miejsca przerwać w pół zdania i rozejść się bez skinienia głową. Następnego dnia podejmowali przerwany wątek, bez wstępów czy wyjaśnień. Julia była przyzwyczajona do tego typu konwersacji i nazywała ją „rozmową w odcinkach“. W wyjątkowym stopniu posiadała również umiejętność mówienia bez poruszania wargami.

Tylko raz, na przestrzeni miesiąca, pocałowali się w czasie tych wieczornych spotkań. Przechodzili właśnie boczną uliczką. Oboje milczeli, gdyż Julia rozmawiała tylko na głównych rojnych ulicach. Nagle rozległ się ogłuszający huk. Niebo pociemniało, ziemia zadrżała i Winston, rzucony podmuchem, upadł na jezdnię. Bomba raketowa upadła gdzieś, całkiem blisko. Gdy oprzytomniał, spostrzegł z przerażeniem, że tuż obok niego leżała Julia. Jej twarz była trupio biała. Nawet usta nie miały kropli krwi w sobie.

— Zabita! — przemknęło mu przez głowę.

Przygarnął dziewczynę do siebie i zaczął całować. Jej usta były gorące i żywe. Oboje jednak pokryci byli grubą warstwą pyłu i tynku, którego pełno mieli w ustach.

Bywały i takie wieczory, że gdy spotkali się w umówionym miejscu mijali się obojętnie, jak nieznajomi, bo właśnie zza rogu wyszedł patrol policyjny, lub helikopter krążył nad ulicą.

Nawet, gdyby spotkania nie były tak niebezpieczne, trudno byłoby im znaleźć więcej wolnego czasu by częściej się widywać. Tydzień roboczy Winstona wynosił 60 godzin — Julii nawet więcej. Ich wolne dni, zależne były od nasilenia pracy w danym wydziale Ministerstwa i nie zawsze przypadły w tych samych terminach.

Julia niemal wszystkie wieczory miała zajęte. Bardzo wiele czasu zajmowały jej partyjne odczyty i pokazy, rozpowszechnianie literatury propagandowej w licznych ogniskach Ligi Anty-Seksualnej, szycie chorągwi w związku z organizacją Tygodnia Nienawiści, zbiórki w kampaniach oszczędnościowych itp.

Dziewczyna mówiła, że jednak to się opłaca. Był to koszt kamuflażu. Przestrzeganie drobnych przepisów umożliwia łamanie ważniejszych.

Julia zmusiła nawet Winstona, by poświęcił jeden wieczór tygodniowo na pracę w fabryce amunicji, gdzie ohotniczo

pracowali gorliwi członkowie Partii. Tak oto, raz w tygodniu, przez cztery godziny, Winston ześrubowywał dwie metalowe płytki, które stanowiły część składową bomby. Nudził się śmiertelnie w tym źle oświetlonym warsztacie, pełnym przeciągów i stuku młotków zlewającym się z muzyką teleekranów.

Gdy spotkali się w dzwonnicy zrujnowanego kościoła mieli możliwość uzupełnić tylekroć przerywane rozmowy. Było piękne, pogodne popołudnie. W małej, kwadratowej izdebce tuż nad dzwonami było gorąco i duszno. Wszędzie unosił się odór gołębiego nawozu.

Przez wiele godzin siedzieli na zaśmieconej gałązkami podłodze, w kurzu i w brudzie i rozmawiali. Od czasu do czasu, Winston lub Julia podchodzili do małych okienek, przypominających średniowieczne strzelnice i uważnie badali okolicę, czy nikt niepożądany nie nadchodzi.

Julia miała 26 lat. Mieszkała w partyjnym domu-bursie, wraz z trzydziestoma innymi dziewczętami. („Zawsze w babskim zaduchu, ach, jak ja nienawidzę kobiet!” — to był jej stały wykrzyknik, ilekroć mówiła o swym mieszkaniu.). Jak Winston słusznie się domyślał pracowała w Dziale Powieściowym, obsługując jedną z maszyn. Julia lubiła swoją pracę, która polegała głównie na obsłudze skomplikowanego automatu elektrycznego. Nie była zainteresowana w istocie produkcji powieściowej, lubiła jednak wszelkie roboty ręczne i znała się na mechanice. Umiała dokładnie opisać cały proces komponowania powieści, zaczawszy od ogólnych wskazówek, które przygotowywał Komitet Planowania, aż po ostateczne wyglądzenie i sprawdzenie tekstu, co była zadaniem Sekcji Redakcyjnej. Nie interesowała się jednak gotowym dziełem. Mówiła, że nie pasjonuje jej zbytnio czytanie. Uważała, że książki są takim samym towarem, który musi się produkować jak marmelada, czy sznurowadła do butów.

Pamięć Julii nie sięgała poza rok 1960 a jedynym człowiekiem, który opowiadał jej o czasach przed-rewolucyjnych był jej dziadek, który zniknął, gdy Julia miała lat 8.

Była kapitanem drużyny hokejowej i dwukrotnie, rok po roku zdobyła najwyższą nagrodę sportową swojej szkoły. Była komendantką oddziału Zwiadowców i nim przyjęto ją do Ligi Anty-seksualnej, była już sekretarką Ligi Młodzieżowej.

Odznaczała się zawsze charakterem. Wyznaczono ją nawet do pracy w tzw. Porn-Sek (Sekcja Pornografii), która stanowiła pod-sekcję Działu powieściowego. Zadaniem sekcji była produkcja taniej pornografii dla proletów. Przydział do Porn-Sek. był nieomylnym znakiem zaufania Partii i doskonałej opinii. Współpracownicy tej instytucji nazywali ją między sobą chlewikiem. Julia pracowała tam przez rok, pomagając w wytwarzaniu książek, które nosiły tytuły: „Noc w

pensjonacie dla dziewcząt“ lub „Pieprzne Opowieści“. Książki te wysyłano w opieczętowanych paczkach. Młodzież prolecka rozkupywała lekliwie te wydawnictwa, wyobrażając sobie, że nabywa bibułę wydawaną „nielegalnie“.

— Co właściwie jest treścią tych książek? — wtrącił Winston z zaciekawieniem.

— Ach, są strasznie głupie i śmiertelnie nudne! Istnieje w ogóle tylko sześć wątków fabułowych, które powtarzają się w kółko. Zresztą ja pracowałam tylko przy automatach kalejdoskopowych. Nigdy nie byłam w sekcji redakcyjnej. Nie jestem, mój drogi, literatką nawet w stopniu wystarczającym dla Porn-Sek.

Winston ze zdumieniem dowiedział się, że wszyscy współpracownicy Porn-Sekcji (z wyjątkiem naczelnika), to były wyłącznie dziewczęta. W Partii panowała opinia, że ponieważ popęd seksualny u mężczyzn trudniejszy jest do opanowania niż temperament u kobiet — gdyby mężczyźni musieli wykonywać tę pracę, byłiby bardziej narażeni na zepsucie niż kobiety.

— W Porn-Sek nie zatrudniano nawet mężatek — dodała Julia. W Partii uważa się, że dziewczęta to prawdziwe lilie. Ale tu właśnie masz jedną, która lilią nie jest! — uśmiechnęła się wesoło.

Swój pierwszy romans Julia przeżyła gdy miała lat 16. Jej kochankiem był sześćdziesięcio-letni członek Partii, który popełnił samobójstwo, gdy miano go aresztować.

— Bardzo dobrze, że tak postąpił — zauważyła Julia. — W przeciwnym razie, w czasie śledztwa byłiby wydobyli z niego moje nazwisko.

Od tego czasu miała wielu kochanków. Życie przedstawiało się jej prosto i jasno. Chciała używać życia i młodości — „oni“ zabraniali jej tego — należało zatem umieć obejść zakazy tak, aby nie wpaść. Wydawało się jej niemal równie naturalne, że „oni“ chcą ją obrabować z wszystkich przyjemności — jak to, że ona pragnie uniknąć zasadzki i „wsypy“. Nienawidziła Partii i dawała temu pełny wyraz, używając mocnych i dosadnych określeń. Nie krytykowała jej jednak. Jeżeli doktryna Partii nie wkraczała w danym wypadku bezpośrednio w jej życie — była jej zupełnie obojętna.

Winston zauważył, że dziewczyna nie używała nigdy terminów „nowo-mowy“ z wyjątkiem słów, które były już w powszechnym użyciu. Julia nie słyszała nigdy o Braterstwie i nie wierzyła w jego istnienie. Jakąkolwiek formę zorganizowanego buntu przeciw Partii uważała za głupstwo, skazane na upadek i klęskę. Jedyne rozsądną filozofią życiową — jej zdaniem — było obchodzić zakazy tak umiejętnie, żeby nigdy nie wpaść.

Słuchając tych zwierzeń Winston zastanawiał się ilu młodych z pokolenia Julii, którzy wychowali się w okresie Rewolucji, myśli podobnie jak ona. Ludzie ci, przyjmują istnienie Partii jako coś niezmiennego, jak niebo nad głową — nie buntują się przeciwko dyktaturze, starając się jedynie wywieść ją w pole jak zając, który usiłuje zmylić czujność psa.

Nie omawiali nigdy możliwości małżeństwa. Było to zbyt nierealne, aby warto było nad tym się zastanawiać. Trudno by było wyobrazić sobie istnienie takiego komitetu partyjnego, który by udzielił zezwolenia na ich małżeństwo nawet, gdyby Winstonowi powiodło się uzyskać rozwód z Katarzyną. Nie było warto marzyć o czymś podobnym.

— Jakiego typu kobietą była twoja żona? — zapytała Julia.

— Nie wiem czy znasz termin „nowo-mowy“ — ślepoprawy? Oznacza on człowieka niezdolnego do żadnego odchylenia myślowego od linii doktryny.

— Nie znałam wprawdzie tego terminu „nowo-mowy“, znam natomiast doskonale tę kategorię ludzi.

Winston zaczął jej opowiadać historię swego małżeństwa i zdziwił się, że Julia jakby знаła wszystkie ważniejsze szczegóły jego pożycia z Katarzyną. Opisała mu dokładnie, jakby widziała na własne oczy, lub sama to przeżyła, ów dziwny chłód Katarzyny, który potęgował się ilekroć Winston przybliżył się do niej. Opisała mu również tę dziwną reakcję, która powodowała, że Winston ilekroć trzymał żonę w objęciach, miał wrażenie iż ona odpycha go z całej siły od siebie. Choć równocześnie przygarniała go ramieniem.

Winston nie odczuwał żadnej przykrości omawiając te sprawy z Julią. Katarzyna nie była dla niego już dawno bolesnym przeżyciem, lecz tylko wstrętnym wspomnieniem.

— Byłbym jednak to wszystko wytrzymał — powiedział — ale nie mogłem znieść pewnej rzeczy . . .

Opowiedział jej o ceremonii „produkcji dziecka“, którą obchodzili raz w tygodniu, zawsze dokładnie tego samego dnia.

— Katarzyna nie znosiła tej „ceremonii“, ale równocześnie nic nie zdołałoby jej odwieść od poddania się tej operacji. Nigdy byś nie zgadła jak nazywała tę czynność?

— Nasz obowiązek wobec Partii — odpowiedziała Julia bez namysłu.

— Skąd ty to wiesz? — Winston zdziwił się szczerze.

— Byłam również w szkole, mój drogi. Wykłady i pogadanki z dziedziny seksuologii odbywały się raz na miesiąc dla wszystkich dziewcząt powyżej lat 16. A w Lidze Młodzieżowej? Wbijali nam to w głowę całymi latami. Pewien procent ulega propagandzie. Lecz oczywiście o nikim nie można powiedzieć nic pewnego — ludzie są tak fałszywi i tak świetnie się maskują.

Dziewczyna zaczęła mówić szerzej na ten temat. Właściwie wszystko sprowadzało się u niej do tych zagadnień. W rozważaniach tych wykazywała wielką bystrość. W przeciwieństwie do Winstona, pojęła i przejrzała na wylot ukryty sens purytanizmu Partii. Nie chodziło bowiem tylko o fakt, że seksualizm jest zamkniętym światem, poza kontrolą Partii i dlatego Partia usiłowała go zniszczyć. Było natomiast ważniejsze, że niezaspakajany popęd płciowy powoduje histerię, która była pożądana z punktu widzenia Partii, ponieważ histerię łatwo było przemienić w zapal wojenny i w kult wodza.

Julia tak ujęła tę sprawę:

— Miłość fizyczna jest formą zużytkowania energii. Po akcie płciowym jesteś zadowolony i nic cię więcej nie obchodzi. To nie jest nastrój, który by „im“ odpowiadał. Przeciwnie, oni chcą byśmy kipieli energią dzień i noc. Wszystkie marsze, histerycznie skandowane slogany, sztandary, pochody itp. — to wszystko jest wydystylowany seksualizm. Jeżeli jesteś syty i zadowolony, któż wzbudzi w tobie entuzjazm dla Wielkiego Brata, Planów Trzechletnich, Dwóch Minut Nienawiści i wszystkich ich bredni?

Winston przyznawał Julii całkowitą rację. Istniał jakiś bezpośredni, intymny związek między czystością seksualną a polityczną prawomyślnością partyjną. Jak bowiem inaczej byłoby można utrzymać w członkach Partii strach, nienawiść i chorobliwą łatwowierność w odpowiednim napięciu, jeżeli nie przez stłumienie potężnego instynktu i skanalizowanie jego energii w kierunku wskazanym przez Partię. Instynkt seksualny stanowił niebezpieczeństwo dla Partii i Partia wyciągnęła z tego konsekwencje.

Tę samą taktykę zastosowano w odniesieniu do instynktu rodzinnego. W obecnej chwili instytucji rodziny nie można było jeszcze obalić. Propagowano miłość do dzieci. Równocześnie jednak, podburzano systematycznie dzieci przeciwko rodzicom i przyuczano je do szpiegostwa i donosicielstwa. W ten sposób, instytucja rodziny stała się jakby komórką Policji Myśli. Dzięki tej taktyce, ludzie posiadający rodziny otoczeni byli dniem i nocą przez szpiegów, którzy na wskroś znali warunki miejscowe.

Winstonowi przyszła na myśl Katarzyna. Nie miał wątpliwości, że ona nie zawahałaby się zadencjonować go Policji Myśli, gdyby była na tyle inteligentna by odkryć jego nieprawomyślność. Lecz myśl o Katarzynie nasunął mu wzrastający upał i pot na czole.

Zaczął opowiadać Julii o czymś co zdarzyło się (a raczej nie zdarzyło się wcale) pewnego, równie upalnego, dusznego popołudnia jedenaście lat temu. Było to w trzy, lub w cztery miesiące po ich ślubie. W czasie zbiorowej wycieczki Klubu, gdzieś w okolicach Kent — zgubili się oboje. Zostali w tyle

za innymi, zmylili drogę i nagle znaleźli się nad urwistym kamieniołomem. Przed nimi otwierała się przepaść. Dziesięć, czy dwadzieścia metrów pionowej ściany, a w dole kamienny gruz.

Wokół nie było żywej duszy. Katarzyna, jak tylko zdała sobie sprawę, że się zgubili popadła w przestkach. Oddalić się choćby na chwilę od hałasliwego stada partyjnych wycieczkowiczów, wydawało się jej czymś strasznym i napelniało ją poczuciem winy. Chciała natychmiast wracać tą samą drogą, którą tu przyszli i za wszelką cenę połączyć się z grupą. Lecz w tej chwili, Winston spostrzegł kępkę tojeści* rosnącą w rozpadlinie skalnej tuż pod nimi. Z tego samego korzenia wyrastały kwiaty o dwóch barwach: jedne jasno purpurowe, a drugie czerwono-ceglaste. Winston w życiu nie widział czegoś podobnego i zawołał na Katarzynę, by przyszła zobaczyć to dziwo.

— Popatrz, Katarzyno, czy widzisz kępkę tych kwiatów, tam w dole? One kwitną w dwóch różnych kolorach.

Katarzyna już szła z powrotem, lecz odwróciła się i nieco bojaźliwie podeszła ku przepaści. Wychyliła się i spojrzała w kierunku wskazanym przez Winstona.

On stał tuż za nią i przytrzymał ją za pasek. W tym momencie zdał sobie sprawę, że byli całkowicie samotni. Wokół nie było nikogo — nawet ptak nie zaćwierkał, ani liść nie poruszył się na drzewie. Było bardzo mało prawdopodobne, że w tym pustkowiu był gdzieś ukryty mikrofon, a jeżeli nawet to mógł on jedynie przekazać tylko dźwięk. Słońce prażyło, pot wystąpił mu na czoło. Były to najbardziej upalne i senne godziny popołudnia.

I wówczas przyszło mu na myśl . . .

— Dlaczego nie dałeś jej tego, co się jej należało — wtrąciła Julia. — Ja byłabym to zrobiła na twoim miejscu!

— Tak, moja droga, ty byłabyś to zrobiła. I ja byłbym to zrobił, gdybym był wówczas tym, kim jestem dziś. A może . . . nie jestem pewien.

— Czy żałujesz, żeś tego nie zrobił?

— Właściwie żałuję, że tego nie zrobiłem.

Siedzieli na zaśmieconej podłodze. Winston przytulił ją mocniej do siebie. Julia oparła głowę na jego ramieniu. Owionął go zapach jej włosów. Zapomniał o wstrętnym odorze gołębiego nawozu.

Jaka ona jest młoda — myślał Winston. Jeszcze oczekuje czegoś od życia i nie rozumie, że zepchnięcie ze skały niewygodnego człowieka nie rozwiązuje niczego.

— Właściwie nic by się nie zmieniło — odezwał się Winston po chwili milczenia.

* W oryginale: loosestrife. Według J. Stanisławskiego polska nazwa botaniczna brzmi: tojeść.

— W takim razie, dlaczego żalujesz, że tego nie zrobiłeś?
— zapytała Julia.

— Tylko dlatego, że wolę rozwiązania pozytywne niż negatywne. W tej grze, którą prowadzimy nie możemy wygrać. Możemy tylko wybierać między większym, lub mniejszym złem — to wszystko.

Julia wzruszyła ramionami. Odczuwała zawsze w sobie bunt, gdy Winston wygłaszał takie opinie. Nie mogła przyjąć jako prawo natury, że jednostka zawsze w końcu jest pokonana. Wprawdzie zdawała sobie sprawę, że i ona skazana jest na zagładę, że wcześniej czy później Policja Myśli dosięgnie ją i „wyparuje“; to jednak, na dnie jej duszy, jeszcze ciągle tliła się nadzieja, że może przecież istnieje możliwość stworzenia sobie tajemnego, ukrytego świata w którym można by żyć według własnej woli. Potrzeba było do tego jedynie szczęścia, sprytu i odwagi. Nie pojmowała, nie wierzyła, że nie istnieje na świecie szczęście, że zwycięstwo, jeżeli kiedyś nastąpi to w dalekiej przyszłości, gdy jej i Winstona już nie będzie. Nie pojmowała, że z chwilą gdy się raz wypowiedziało wojnę Partii, lepiej siebie samego uważać za trupa.

— My jesteście już umarli — powiedział Winston.

— Jeszcze nie! — odpowiedziała gwałtownie Julia.

— Nie jesteście umarli w sensie fizycznym. Sześć miesięcy, rok, czy pięć lat — może mamy jeszcze przed sobą. Boję się śmierci. Ty jesteś młoda i zapewne boisz się śmierci jeszcze bardziej niż ja. Oczywiście będziemy odsuwać ten moment od siebie, jak długo to będzie możliwe. Lecz w gruncie rzeczy, nic to nie zmieni. Jak długo ludzie są tylko ludźmi — życie i śmierć to są synonimy.

— Nie mów głupstw! Z kim wolałbyś spać, ze mną czy ze szkieletem? Czy nie cieszysz się życiem, czy nie widzisz go, nie wyczuwasz? Patrz, to jestem ja — to jest moja ręka, moja noga! Jestem czymś realnym, konkretnym, żywym. Nie cieszysz się tym?

Obróciła się i przyłgnęła do niego całym ciałem. Winston czuł poprzez kombinezon jej dojrzałe, prężne piersi. Miał wrażenie, że z jej ciała promieniuje w niego młodość i energia.

— Tak, cieszę się tym — odpowiedział po chwili.

— Wobec tego przestań mówić o śmierci. A teraz uważaj — musimy ustalić plan naszej następnej schadzki. Myślę, że moglibyśmy odwiedzić naszą zieloną kotlinkę w lesie. Już dawno nie byliśmy tam. Lecz będziesz musiał dostać się do lasu zupełnie inną drogą. Ja ci wszystko wytłumaczę. Wsiądziesz w pociąg . . . Lecz nie, najlepiej narysuję ci cały plan.

I z typową dla niej praktycznością, gałązką z gołębiego gniazda zaczęła rysować na zakurzonej podłodze mapkę okolicy.

IV.

Winston oglądał lichy pokój nad sklepem p.Charringtona. Koło okna stało olbrzymie łóżko zasłane postrzępionymi kocami i poduszką bez poszewki. Staroświecki zegar z dwunasto-godzinną tarczą tykał na kominku. W kącie, na składanym stolyczku połyskiwał w półmroku koralowy przycisk do papierów, który kupił w czasie swej ostatniej bytności w antykwarni. Na palenisku stała podniszczona maszynka naftowa, patelnia i dwie filiżanki dostarczone przez p.Charringtona.

Winston zapalił maszynkę i postawił na ogniu imbryk. Ze swego mieszkania przyniósł paczkę kawy „Zwycięstwo“ i kilka pastylek sacharyny.

Zegar na kominku wskazywał 7'20. W rzeczywistości była godzina 19'20. Julia miała przyjść o 19'30.

Serce szeptało mu: szaleństwo, świadome, dobrowolne, samobójcze szaleństwo! Z wszystkich możliwych zbrodni, jakich dopuścić się mógł członek Partii — tę niewątpliwie najtrudniej było ukryć.

Pewnego dnia przyszło mu na myśl jak pięknie wyglądałby kryształowy przycisk z korałem na lśniącej politurze małego stoliczka. Od tej wizji zaczęło się wszystko.

P.Charrington — jak przewidywał — nie robił żadnych trudności z wynajęciem pokoju. Był wyraźnie zadowolony z tych kilku dolarów tygodniowo, które miał otrzymywać jako czynsz tygodniowy od Winstona. Nie był też zdziwiony, czy zgorzony propozycją, nie okazywał również natarczywej ciekawości, gdy Winston wyjaśnił, że w tym pokoju chciałby spotykać się z Julią. Przeciwnie, zachował się w tej sprawie z wielką delikatnością i powściągliwością. Powiedział nawet, że jego zdaniem, zaciszne prywatnego domu jest czymś bezcennym i że każdy pragnie mieć jakiś kącik, gdzie mógłby być sam. Jeżeli ktoś trzeci wie o takiej sytuacji, to jest rzeczą dobrego wychowania zachować w tym względzie całkowitą dyskrecję.

Nim p.Charrington zniknął ze sceny, poinformował jeszcze Winstona, że dom ma dwa wejścia — jedno z nich wiodące na podwórze.

Pod oknem ktoś śpiewał. Winston ukryty za muślinową firanką wyjrzał ostrożnie. Czerwcowe słońce stało jeszcze wysoko. Na podwórzu, potężna proletka jak normandzka kolumna, z opalonymi muskularnymi rękami, przepasana fartuchem z workowego płótna — defilowała między kuchnią a sznurem do wieszania bielizny, rozwieszając białe szmatki, które — jak Winston się domyślił — służyły za pieluchy. Kobieta, gdy w danej chwili nie trzymała w ustach drewnianej zatyczki do przymocowywania pieluszek na sznurze — śpiewała potężnym altem:

Które minęło jak kwietniowy dzień . . .

Lecz jej spojrzenie, słowa i sny —
Omotały me serce na zawsze.“

„To było tylko marzenie bez nadziei,

Od kilku tygodni cały Londyn śpiewał tę piosenkę. Był to jeden z niezliczonej ilości przebojów produkowanych dla proletów przez Wydział Muzyczny Ministerstwa Prawdy. Słowa piosenki były skomponowane na drodze czysto mechanicznej, bez udziału ludzkiej pomysłowości, na aparacie, który zwano wersyfikatorem. Lecz proletka na podwórzu śpiewała tak ładnie i naturalnie, że w jej wykonaniu głupi przebój nabierał cech milej, barwnej melodii.

Winston słyszał jej śpiew i kłapanie butów po kamiennym podwórku, słyszał krzyki dzieci na ulicy i hałas wielkomiej-skiego ruchu, dochodzący jakby z oddali, a mimo to wydawało mu się, że w pokoju panuje zdumiewająca cisza. Nie było w nim bowiem tele-ekranu.

Szaleństwo, szaleństwo! — pomyślał znów z goryczą. By-łoby absurdem przypuszczać, że będą mogli spotykać się tu dłużej niż przez kilka tygodni. Po trzech, czterech tygodniach muszą wpaść. Lecz oboje nie byli w stanie oprzeć się pokusie posiadania własnej kryjówki — blisko i pod dachem.

Po ostatniej wizycie w dzwonnicy zrujnowanego kościoła, przez dłuższy czas nie mogli zorganizować spotkania. W związku z przygotowaniem do Tygodnia Nienawiści we wszystkich urzędach przedłużono godziny pracy. Wprawdzie od tych uroczystości dzielił ich jeszcze miesiąc lecz olbrzymie i wszechstronne przygotowania przydawały każdemu pracy.

Powiodło im się jednak zapewnić sobie wolne popołudnie. Postanowili wolny czas spędzić w zielonej kotlinie w lesie.

W wilię tego dnia spotkali się wieczorem na krótko na ulicy. Winston — jak zwykle, gdy w tłumie starali się przy-bliżyć do siebie — nie patrzył w stronę Julii. Ukradkowy rzut oka zdradził mu jednak, że dziewczyna była wyjątkowo błada i zmieniona.

— Nic z naszych planów — szepnęła, gdy znaleźli się w bezpiecznym miejscu. — W każdym razie nie jutro!

— Dlaczego?

— Jutro po południu nie mogę wyjechać.

— Co się stało?

— Ach, przyczyna całkiem naturalna. Tym razem tylko nieco wcześniej.

W pierwszej chwili ogarnął go gniew. Przez ostatni miesiąc jego stosunek do niej uległ wielkim przemianom. Początkowo mało w nim było prawdziwej zmysłowości. Ich pierwsze mi-łosne stosunki były więcej aktem woli, niż zmysłów. Lecz po drugim spotkaniu wszystko uległo zmianie. Zapach jej wło-sów, smak jej warg, dotyk jej skóry — weszły mu w krew,

wytworzyły jakąś swoistą aurę wokół niego. Julia stała się mu fizycznie niezbędna do życia — była czymś czego nie tylko pożądał, ale do czego uważał, że ma prawo.

Gdy powiedziała, że nie będzie mogła pojechać by spotkać się z nim w zielonej kotłince — pomyślał przez chwilę, że się wykręca. Lecz właśnie w tym momencie tłum przybliżył ich do siebie. Ich ręce spotkały się niewidocznie. Julia uściśnęła mu dłoń w sposób, który obudził w nim czułość, a nie pożądanie.

Przyszło mu na myśl, że jeżeli żyje się z kobietą, takie rozczarowania muszą się zdarzać nieuniknienie od czasu do czasu. Pomyślał jakby było dobrze, gdyby już od dawna byli małżeństwem. Np. od 10 lat. Szliby teraz sobie ulicą otwarcie i bez lęku i rozmawiając o potocznych sprawach załatwialiby drobne sprawunki dla domu. Lecz przede wszystkim marzył o tym, by mieli jakiś kawałek dachu nad głową pod którym mogliby się spotykać i być sami. Nie mieliby wówczas poczucia, że za każdym razem gdy się spotykają muszą mieć stosunek, by nie marnować cennej okazji.

Nie tego jeszcze wieczoru, ale następnego dnia, Winston powziął decyzję wynajęcia pokoju u p.Charringtona. Gdy powiedział o tym Julii, dziewczyna przyjęła ten plan z nieoczekiwaną gotowością.

Oboje zdawali sobie z tego sprawę, że czyn ten jest czystym szaleństwem. Świadomie przybliżyli się kilka kroków ku własnej mogile

Gdy teraz siedział na łóżku i czekał na nią przyszło mu nagle na myśl Ministerstwo Miłości i jego podziemne kazamaty. Uderzyło go, że ów każdemu przeznaczony koszmar — raz jawi się plastycznie w świadomości to znów niknie i zapada się w głąb. Ów koszmar można obiektywnie wyznaczyć: leży w przyszłości i poprzedza śmierć. Poprzedza śmierć równie nieodwołalnie jak 99 poprzedza 100.

Tego koszmaru nie można uniknąć, lecz można go nieco oddalić. A jednak wybrał świadomie inną drogę — drogę skrócenia czasokresu jaki dzielił go od kazamat Ministerstwa Miłości.

W tym momencie rozległ się stukot szybkich, kobiecych kroków po schodach. Do pokoju wbiegła Julia. W ręce trzymała torbę z szarego płótna na narzędzia z jaką widywał ją czasem na korytarzach w Ministerstwie.

Winston podszedł ku niej i chciał ją pocałować, lecz ona usunęła się delikatnie.

— Sekundę! Najpierw chcę ci pokazać, co przyniosłam. Ty zapewne masz tutaj tę ohydłą kawę „Zwycięstwo“. Domyślałam się, że ją tu przyniesiesz. Możesz, mój drogi, wyrzucić ją za okno, bo nie będzie nam już potrzebna. Popatrz!

Uklękła na podłodze, otworzyła torbę i wyjęła kilka dłupek i

kluczy, które leżały na samym wierzchu. Pod nimi było kilka czysto opakowanych paczek.

Pierwsza paczka, którą podała Winstonowi wydała mu się w dotknięciu dziwna, a przecież znajoma. Musiała zawierać coś drobnoziarnistego i miłkiego.

— Czyżby to był cukier? — zapytał z niedowierzaniem.

— Ależ cukier! prawdziwy cukier, nie sacharyna. A tu mamy bochenek chleba. Popatrz! biały chleb, a nie to czarne świństwo, które nam dają! I słoiczek marmelady. A tu puszka skondensowanego mleka. Lecz popatrz! Tu mam coś z czego jestem naprawdę dumna. Musiałam tę paczkę dobrze owinąć, bo . . .

Lecz Julia nie musiała już tłumaczyć dlaczego tę zdobycz musiała specjalnie opakować. Albowiem cudowny zapach napelniał już pokój — zapach, który budził w nim dalekie wspomnienia wczesnego dzieciństwa. Ów aromat uderzał czasem znienacka w nozdrza, gdzieś, w bocznej uliczce, dopóki drzwi nie zatrzaśnięto — czasem, ni stąd ni zowąd, pojawiał się na zatłoczonej ulicy i nikł jak wspomnienie.

— To jest kawa — szeptał — prawdziwa kawa!

— To jest kawa, najdroższy! Całe kilo kawy Wewnętrznej Partii.

— Gdzie ty to wszystko zdobyłaś?

— Te skarby pochodzą z zapasów Wewnętrznej Partii. Te świnię opływają we wszystko, dosłownie we wszystko! Oczywiście kelnerzy i służba coś zawsze uszczkną z zapasów. Lecz popatrz — jeszcze nie widziałeś tej paczki? Mamy również paczkę prawdziwej herbaty!

Winston usiadł obok niej na podłodze i delikatnie naddał opakowanie.

— To naprawdę jest herbata, a nie liście jeżynowe.

— Oni teraz mają mnóstwo herbaty — powiedziała Julia. — Okupowali Indie, czy jakiś inny kraj. Lecz słuchaj! Obróć się teraz tyłem na trzy minuty. Wstań i usiądź tam w rogu łóżka. Nie zbliżaj się tylko zbytnio do okna i nie obracaj się dopóki ci nie powiem.

Winston usiadł na łóżku i patrzył poprzez muślinową firankę. Na podwórzu proletka o muskularnych, opalonych rękach jeszcze wciąż krzątała się między kuchnią, a sznurem do wieszania bielizny. Wyjęła właśnie z ust dwie ostatnie zatyczki, przypięła nim do sznura pieluszkę i zaczęła śpiewać:

„Mówią, że czas leczy wszystkie rany . . .

Mówią, że w końcu zawsze się zapomni . . .

Lecz jej uśmiech i łzy — poprzez lata minione —

Do dziś burzą krew i ranią serce.“

Niewątpliwie proletka umiała na pamięć wszystkie zwrotki przeboju. Jej głos wibrował w łagodnym, czerwcowym powietrzu i żyło w nim coś szczęśliwego i smętnego. Patrząc na nią

Winston pomyślał, że kobieta byłaby zapewne idealnie szczęśliwa, gdyby ten czerwcowy wieczór trwał wiecznie, gdyby zapas pieluszek do wieszania na sznurze był niewyczerpalny, gdyby przez tysiące lat mogła w tym ciepłym słońcu suszyć bieliznę i śpiewać głupie przeboje.

Właściwie nigdy nie słyszał, by członek Partii zaśpiewał, czy zanucił coś z własnej woli. Byłoby to zapewne nieprawomyślnie i dziwacznie — podobnie jak mówić do samego siebie. Być może, że tylko ludzie bliscy głodu i nędzy nie mają w ogóle o czym śpiewać.

— Możesz się już obrócić! — zawołała Julia.

Winston obrócił się i w pierwszej chwili jej nie poznał. Oczekiwał, że zobaczy ją nagą. Lecz dziewczyna nie była naga. Przemiana jakiej uległa, zaskoczyła go jednak jeszcze więcej. Julia umalowała się.

Musiła po drodze wstąpić do jakiegoś sklepu w prolekiej dzielnicy i zaopatrzyć się w komplet kosmetyków. Jej usta były teraz ciemno wiśniowe, policzki uróżowane, nos przypudrowany. Miała nawet przyciemnione dyskretnie powieki, co powiększało jej oczy. Wszystko to nie było zrobione bardzo umiejętnie, lecz Winston nie znał się na tym. Nigdy w życiu nie widział (ani sobie nawet nie wyobrażał) członkini Partii z uróżowaną twarzą.

Efekt był zdumiewający. Tych kilka drobnych dotknięć kredki, różu i pudru, nie tylko podniosły jej urodę, lecz przede wszystkim uczyniły ją prawdziwie kobietą. Jej krótko przystrzyżone włosy i chłopięcy w swym kroju kombinezon. prawem kontrastu podkreślały to wrażenie.

Gdy ujął ją w ramiona, poczuł zapach tanich fijołkowych perfum. Jak żywa stanęła mu w pamięci mroczna kuchnia w suterynie i bezżębna proletka. Wówczas to był ten sam zapach. Ale teraz nic mu to nie szkodziło.

— Więc i perfumy — powiedział po chwili.

— I perfumy. Ale wiesz jaki będzie następny punkt programu? Kupię sobie prawdziwą suknię i będę ją tu nosić zamiast tych ohydnych spodni. I będę miała jedwabne pończochy i pantofelki na wysokich obcasach! W tym pokoju chciałabym być kobietą, a nie towarzyszem partyjnym.

Zrzucili z siebie kombinezony i położyli się na olbrzymim mahoniowym łożu. Tego wieczoru po raz pierwszy Winston obnażył się całkowicie przy niej. Do tej pory zbyt się wstydził swego chudego, bladego, anemicznego ciała, nabrzmiałych węzłów żył, żylaka i bezkrwistej plamy nad kostką.

Nie było wprawdzie prześcieradeł, lecz koc, który rozesłali był dość cienki i miękki. Oboje byli zdumieni wymiarami łoża i miękkością sprężyn jego materaca.

— Pełno w tym łożu jest zapewne pluskiew, ale któż by się tym przejmował — zauważyła Julia.

W obecnych czasach nie widywało się podwójnych łóżek,

chyba tylko w domach proletów. Winston sypiał czasem w takim łóżku, gdy był dzieckiem — Julia w życiu swoim nie leżała w takim łóżku.

Po chwili oboje usnęli. Gdy Winston się przebudził zegar na kominku wskazywał 9-tą. Nie ruszał się by nie budzić Julii, która spała z głową opartą o jego ramię. Róż starł się nieco, lecz pozostało jeszcze delikatne zaróżowienie z którym było jej ślicznie.

Ukośny promień gasnącego słońca padł na pokój i zagrał ciepłym refleksem na kominku. Woda w imbryku gotowała się od godziny.

Na podwórzu praczka przestała śpiewać, lecz krzyki bawiących się na ulicy dzieci było jeszcze słyhać, jakby płynące z dali.

Winston rozmyślał czy kiedyś w przeszłości było rzeczą zwyczajną i powszednią leżeć sobie w łóżku — powiedzmy mąż z żoną, nadzy w chłodzie letniego wieczoru. Pieścili się, gdy mieli na to ochotę, rozmawiali o tym lub o owym, lub leżeli obok siebie słuchając odgłosów zamierającego dnia, bez uczucia lęku i bez przymusu wiszącego nad głową? Chyba nigdy takie szczęście nie było czymś zwyczajnym i powszednim?

Julia obudziła się. Przetarła oczy i uniosła się na łokciu by dojrzeć imbryk na maszynie naftowej.

— Połowa wody pewnie się już wygotowała. Zaraz wstanę i zrobię kawę. Mamy jeszcze godzinę czasu. O której u ciebie wyłączają światło?

— O 23'30.

— W mojej bursie partyjnej o 23. Lepiej jednak być trochę wcześniej, bo . . .

Nagle wychyliła się z łóżka, chwyciła but z podłogi i rzuciła nim celując w kąt pokoju. Wykonała ten gest z tym samym chłopięcym rozmachem, jak wówczas gdy palnęła słownikiem w twarz Goldsteina na ekranie, w czasie seansu Dwoch Minut Nienawiści.

— Precz, ty wstrętne bestio! — krzyknęła w ślad za rzuconym butem.

— Co się stało? — zapytał Winston ze zdumieniem.

— Szczur! Szczur wysunął łeb tam, w rogu, zza tapety. Musi tam być dziura. Przynajmniej nastraszyłam go trochę.

— Szczury . . . — szepnął Winston — szczury w tym pokoju.

— Ach, one są wszędzie — odparła Julia obojętnie wyciągając się wygodnie na łóżku. — Mamy ich pełno w kuchni w naszej bursie. Pewne dzielnice Londyn roją się dosłownie od szczurów. Czy wiesz, że szczury atakują dzieci? W zaszczerzonych dzielnicach matki boją się zostawiać dziecko bez opieki nawet na dwie minuty. Tylko te wielkie, brunatne szczury napadają na dzieci. Najokropniejsze jest to, że . . .

— Przestań, przestań — powiedział Winston zmienionym głosem. Oczy miał zamknięte.

— Najdroższy, co ci się stało? — krzyknęła Julia — dlaczego jesteś taki blady? Czy masz jakiś uraz na punkcie szczurów?

— Ze wszystkich najstraszniejszych rzeczy świata — najstraszniejszy jest szczur! — wyszeptał Winston.

Wstrząsnął nim dreszcz. Julia otoczyła go ramieniem i przytuliła go mocno do siebie.

Winston nie od razu otworzył oczy. Nie mógł wydobyć się z koszmaru, który nawiedzał go od czasu do czasu. Zawsze zaczynało się tak samo. Miał wrażenie, że stoi przed ścianą nieprzeniknionych ciemności. Za tą ścianą jest coś nie do zniesienia, nie do przetrzymania, coś zbyt strasznego, by się temu można przeciwstawić. W tych snach oszukiwał samego siebie, gdyż w gruncie rzeczy wiedział doskonale co kryje się za tą ścianą nieprzeniknionych ciemności. Jakimś śmiertelnym wysiłkiem jakby pragnął wyrwać odłamek tkwiący w zranionym mózgu usiłował szamocząc się wywlec ów koszmar na światło dnia. Budził się nie spojrzawszy nigdy twarzą w twarz w ów koszmar. Wszystko to w jakiś dziwny sposób wiązało się z tym, co Julia mówiła o szczurach.

— Przepraszam cię — odezwał się po chwili. — Nie lubię szczurów, to wszystko!

— Nie martw się mój drogi — nie będziemy ich tutaj tolerowali. Nim stąd wyjdziemy zapcham dziurę workiem. Następnym razem zagisną otwór i będzie spokój.

Koszmar minął. Winston usiadł na łóżku z uczuciem pewnego zawstydzenia. Julia wstała, włożyła kombinezon i przyrządziła kawę. Aromat był tak silny, że prędko zamknęli okno, by na ulicy ktoś nie poczuł cudownego zapachu i nie zaczął się nim bliżej interesować.

Lecz jeszcze smaczniejszy niż kawa, był chyba cukier, który nadał napojowi delikatnie aksamitny posmak. Po tylu latach używania wyłącznie sacharyny, Winston całkowicie zapomniał jak smakuje cukier.

Julia trzymając jedną rękę w kieszeni spodni, w drugiej trzymając kromkę chleba z marmeladą spacerowała po pokoju, przyglądając się wszystkiemu z zainteresowaniem. Obojętnym spojrzeniem obrzuciła szafę z książkami, zatrzymała się natomiast dłuższą chwilę przy składanym stolicku wyjaśniając Winstonowi jak należało by go naprawić, następnie usiadła z rozmachem w fotelu by wypróbować czy jest wygodny i uśmiechnęła się ubawiona spojrzawszy na śmieszny dwunasto-godzinny tarczę zegara na kominku. Wreszcie wzięła ze stolicki przycisk i usiadła z nim na łóżku, by przyjrzeć się mu w lepszym świetle.

Winston wziął kryształ z jej rąk. Jak zawsze był zafascynowany jego blaskiem, który miał w sobie coś z miękkości wody.

— Jak myślisz, co to właściwie jest? — zapytała Julia.

— Myślę, że to w ogóle nic nie jest. Nie sądzę by ten przedmiot służył kiedykolwiek jakiemuś określönemu celowi. I to właśnie mnie w nim fascynuje. Ten kawał szkła to jest drobina Historii, którą zapomnieli zniszczyć. Jest wieścią z minionej epoki, wieścią sprzed 100 lat dla kogoś, kto umie ją odczytać.

— A ten obraz — Julia wskazała ręką na obraz wiszący na przeciwległej ścianie — czy też namalowano go 100 lat temu?

— Ten obraz ma chyba więcej, może 100, może 200 lat. Lecz nie jestem pewien. Dziś nie można ustalić wieku żadnego przedmiotu, żadnego dzieła rąk ludzkich.

Julia wstała i podeszła bliżej, by lepiej przyjrzeć się sztychowi.

— Popatrz! to tu właśnie pokazał się ten wstrętny szczur — powiedziała kopiąc nogą w odstający kawałek boazerii pod obrazem.

— Gdzie to właściwie jest? — podjęła po chwili — wydaje mi się, że tę budowlę kiedyś widziałam.

— To jest kościół, a raczej kiedyś był kościół, który zwano kościołem Św.Klemensa.

Winstonowi przyszedł na myśl dziecinny wierszyk, którego nauczył się od. p.Charringtona:

— „Pomarańcze i cytryny — śpiewają dzwony Św.Klemensa.“ Ku zdumieniu Winstona, Julia, zadeklamowała następną zwrotkę:

— „Jesteś mi winien trzy Farthing'i — śpiewają dzwony Św.Marcina — kiedy mi zapłacisz, śpiewają dzwony Old Bailey“. Nie pamiętam jak brzmią dalsze strofki, ale wiem, że wierszyk kończy się tak: „Oto świeca, by poświecić ci do łóżka — oto topór, by odciąć ci głowę“.

Winston przypuszczał, że końcowe zwrotki stanowią refren. Musiała być jednak jeszcze jakaś zwrotka po „dzwonach Old Bailey“. Być może brakujący fragment wierszyka można by wydobyć ze wspomnień p.Charringtona, gdyby go o to bardzo poprosić.

— Kto cię nauczył tego wierszyka? — zapytał.

— Mój dziadek. Gdy byłam małą dziewczynką często mi go deklamował. „Wyparowali“ go gdy miałam lat 8. — Ale wiesz, ciekawa jestem jak wyglądały cytryny? — dodała po chwili. — Pomarańcze widziałam. To są takie żółte okrągłe owoce z grubą skórą.

— Ach, ja pamiętam cytryny doskonale — odparł Winston — W latach pięćdziesiątych cytryny nie były jeszcze rzadkością. Cytryny są tak strasznie kwaśne, że język cierpnie na sam ich widok.

— Pewna jestem, że za tym obrazem jest mnóstwo pluskiew — powiedziała Julia. — Któregoś dnia muszę go zdjąć i

gruntownie oczyścić. Ale teraz, mój drogi, już czas na nas! Przede wszystkim muszę zmyć róż z twarzy. Co za nudziarstwo! Później wytrę kredkę również z twoich policzków.

Winston leżał jeszcze na łóżku. W pokoju ściemniło się. Obrócił się ku oknu i patrzył w zamyśleniu w kryształowy przycisk, który leżał obok. Właściwie najbardziej fascynującą rzeczą nie był koral lecz samo wnętrze szkła. Była w nim głębia połączona z absolutną przejrzystością. Wydawało mu się, że powierzchnia kryształu stanowi łuk nieba, który zamyka miniaturowy świat i jego atmosferę. Patrząc w ton szkła Winston miał wrażenie, że mógłby wejść w obręb tego świata, względnie, że już w nim jest, wraz z mahoniowym łóżkiem, składanym stolikiem, zegarem na kominku, sztychem na ścianie i z samym kryształowym przyciskiem.

Przycisk był ich pokojem — koral życiem Julii i jego własnym. Ich los zawieszony był jakby w wieczności w sercu kryształu.

V.

Syme zniknął. Któregoś dnia, po prostu nie przyszedł do pracy. Kilku bezmyślnych kolegów wymieniło na ten temat parę uwag. Następnego dnia nikt o nim nie wspomniał, ani jednym słówkiem.

Trzeciego dnia Winston spostrzegł na tablicy ogłoszeń w przedpokoju Działu Dokumentów, ogłoszenie zawierające spis członków Komitetu Szachowego. Syme należał do tego Komitetu. Wydrukowany spis nazwisk był identyczny jak poprzedni, nie zawierał tylko nazwiska Syme'a. Nie było na nim żadnych skreśleń. Spis wydrukowany był na nowo.

To był dostateczny wskaźnik. Syme przestał istnieć. Syme nigdy nie istniał.

Nastąpiła seria upalnych dni. W bezokiennym labiryncie biur Ministerstwa, panowała cały rok równa temperatura, sztucznie utrzymywana, lecz na zewnątrz bruk palił stopy a zaduch jaki panował w kolejce podziemnej — zwłaszcza w godzinach o wielkim nasileniu ruchu — był czymś nie do wytrzymania.

Przygotowania do Tygodnia Nienawiści prowadzono z ogromnym rozmachem i we wszystkich Ministerstwach pracowano również w godzinach pozabiurowych. Przygotowywano pochody, zebrania publiczne, rewie wojskowe, odczyty, pokazy modeli, przedstawienia filmowe, programy teleekranowe itp. Budowano trybuny, malowano olbrzymie portrety, ryto hasła-slogany, komponowano pieśni, fałszowano fotografie, rozpuszczano odpowiednie pogłoski.

Biuro Julii nie produkowało już powieści tylko przygotowywało broszury o okrucieństwach. Winston, niezależnie od swojej codziennej pracy musiał grzebać się w kompletach wydań „Times'a“ i odpowiednio zmieniać i upiększać wiadomości z frontów, które miały być cytowane w przemówieniach.

Późną nocą, gdy na ulicach pojawiały się grupy awanturnicznych proletów, atmosfera miasta stawała się dziwnie niespokojna i gorączkowa. Bomby raketowe spadały coraz częściej, a od czasu do czasu, z oddali dochodził huk potężnych wybuchów. Nikt nie wiedział co oznaczały te detonacje. W mieście krążyły na ten temat najfantastyczniejsze plotki.

Skomponowano nową pieśń, która miała być przebojem Tygodnia Nienawiści i nadawano ją bez przerwy przez teleekrany. Był to „Hymn Nienawiści“. Pieśń nie miała właściwie melodii tylko dziki, szcikliwy rytm, przypominający bębnie afrykańskich tam-tamów. Jednak gdy ryczał ją rozfanatyzowany tłum w takt wybijany butami po bruku — wywierała straszliwe wrażenie.

„Hymn Nienawiści“ spodobał się proletom i późną nocą słyszało się go równie często jak wciąż jeszcze popularny przebój „To było tylko marzenie bez nadziei“.

Dzieci Parsons'a grały hymn dzień i noc — ku rozpaczycy Winstona — na grzebieniu owiniętym bibułką, lub papierem klozetowym.

Wieczorami Winston był teraz niemal stale zajęty. Oddziały ochotników pod komendą Parsons'a dekorowały ulicę przy której mieszkali. Rozwieszano chorągwie, malowano plakaty, osadzano na dachach maszty sztandarowe, rozciągano nad ulicą druty na których miano zawieszać chorągiewki. Parsons utrzymywał, że na przyozdobienie samego gmachu Victoria wyjdzie ponad 400 metrów materiału flagowego.

Parsons był w swoim żywiole — szczęśliwy jak ptaszek. Był rad, że dzięki upałowi i zajęciom na dworze mógł do późnej nocy chodzić w krótkich spodeńkach i w rozpiętej koszuli. Był wszędzie, troił się po prostu w oczach. Przyciągał, popychał, szyl, klepał, kleił, improwizował zachęcając wszystkich wokół i nie szczędząc koleżeńskich napomnień. Równocześnie wszystkimi porami swego potężnego ciała wydzielal nieograniczone wprost ilości potu o drażniącym, ostrym zapachu.

Na murach Londynu pojawiły się niespodziewanie nowe afisze. Na plakacie nie było żadnego tekstu, tylko olbrzymia, czterometrowa postać eurazyjskiego żołnierza o mongolskiej, tępej twarzy. Żołnierz maszerował wprost na widza, z ręcznym karabinem maszynowym gotowym do strzału. Skądkolwiek widz spojrzal na afisz, otwór lufy broni maszynowej powiększony skrótem perspektywy — szedł za nim, jakby indywidualnie wymierzony wprost w niego.

Tym właśnie plakatem pokryto cały Londyn zalepiając każdą wolną przestrzeń, każdy kawałek muru czy ściany. Plakaty te były liczniejsze niż portrety Wielkiego Brata.

Proleci, którzy na ogół nie przejmowali się wojną — popadli w charakterystyczny okresowy szał patriotyczny.

Jakby dla harmonii z ogólnym nastrojem, bomb rakietowych spadało coraz więcej, a lista strat wydatnie rosła. Jedna z bomb upadła na przepelnione kino w dzielnicy Stepney, grzebiąc kilkuset ludzi pod zgliszczami gmachu. Ludność sąsiadujących dzielnic wzięła udział w masowym pogrzebie, który przemienił się w wielogodzinną manifestację nienawiści. Bomba raketowa upadła również na jedno z boisk sportowych zabijając kilkadziesiąt dzieci.

Demonstracji przybywało z każdym dniem. Spalono publicznie kukłę Goldsteina i zdarto setki plakatów z eurazyjskim żołnierzem i wrzucono w ogień. W ogólnym zamieszaniu i zapale, tłum obrabował kilkanaście sklepów.

Rozpuszczano pogłoski, że bomby raketowe naprowadzane są na cele przez szpiegów, którzy posługują się specjalnymi aparatami radiowymi. Na skutek tych wieści, parę starszków, których podejrzewano, że są obcego pochodzenia, tłum spalił żywcem, łącznie z domem.

Winston i Julia, jak tylko mogli, spotykali się nadal w pokoiku nad sklepem p. Charringtona. Upały trwały nieprzerwanie — kładli się nago na łóżku, otwierali okno i odpoczywali w chłodzie. Szczur nie pokazał się więcej, natomiast pluskwy mnożyły się w ciepłe w zastraszających ilościach. Lecz nie odgrywało to żadnej roli. Brudny czy czysty, z pluskwami czy bez — pokój był rajem.

Natychmiast po przyjsciu posypywali łóżko pieprzem, który po drodze kupowali na „czarnym rynku“. Rozbierali się następnie do naga — pieścili i zasypiali. Po przebudzeniu stwierdzali zawsze, że pluskwy otrząsnęły się jakoś z pieprzu i przygotowują się do nowej ofensywy. W sumie, spotkali się siedem razy w pokoiku nad sklepem p. Charringtona w ciągu czerwca.

Winston porzucił swój zwyczaj picia dżinu o każdej porze dnia i nocy. Jakoś nie było mu to już potrzebne. Przytył, a obrzmienia jego żylaka skłęśły zupełnie. Po żylaku pozostała tylko ciemno brązowa plama na skórze powyżej kostki. Życie nie było jak przedtem, czymś nie do wytrzymania. Stracił nawet ochotę by wykrzywiać się do tele-ekranu, lub przeklinać na cały głos.

Obecnie, gdy mieli bezpieczną kryjówkę — niemal dom — nie odczuwali nawet jako nieszczęścia, że mogli spotykać się rzadko i tylko na kilka godzin. Zasadniczą rzeczą było, że ów pokój nad sklepem p. Charringtona istniał! Świadomość, że pokój istniał i był niewykryty, była niemal równym szczęściem jak przebywanie w nim razem. Pokój był światem sam dla siebie — rezerwatem, gdzie żyć jeszcze mógł gatunek ludzi na wymarcie.

P. Charrington — w opinii Winstona — należał również do wymierającej rasy. Winston idąc do siebie na górę zatrzymywał się zawsze na chwilę w sklepie, by porozmawiać ze sta-

ruszkiem. P.Charrington bardzo rzadko opuszczał swój sklep i prawie zupełnie nie miał klientów. Prowadził życie duchą — między małym sklepikiem, a jeszcze mniejszą kuchenką, gdzie gotował sobie jedzenie. W kuchni — między wieloma innymi rupieciami — przechowywał również nieprawdopodobnie archaiczny gramofon z olbrzymią tubą.

Staruszek cieszył się zawsze z odwiedzin Winstona i ze sposobności zamieniania kilku słów. Gdy tak się krzątał pomiędzy swymi gratami w aksamitnej marynarce, w grubych rogowych okularach na cienkim nosie — przygarbiony i zafrasowany robił wrażenie raczej zbieracza-kolekcjonera, niż kupca.

Z przygasłym uśmiechem brał w ręce swoje antyki — porcelanowy korek od flakonu, emaliowane wieczko tabakiery, medalion z puklem włosów, dawno już nieżyjącego dziecka — nigdy nie namawiając Winstona, by kupił dany przedmiot, a jedynie by podziwiał.

Rozmawiając z nim Winston miał wrażenie, że przysłuchuje się staroświeckiej pozytywce. P.Charrington wygrzebał ze swej pamięci jeszcze kilka odwiecznych wierszyków. Był wierszyk o dwudziestu-czterech szpakach, inny o krowie ze złamanym rogiem, a jeszcze inny o śmierci ptaszka „czerwono-gardziolka“.

„Przypomniałem sobie taki fragmencik“ — uśmiechał się staruszek z zakłopotaniem — „myślałem, że pana może to zainteresuje“. Lecz w gruncie rzeczy, p.Charrington nigdy więcej nie pamiętał jak dwie, trzy linijki.

Oboje z Julią zdawali sobie doskonale sprawę, że ten raj nie może trwać długo. Czasami bliskość śmierci wydawała się im czymś równie namacalnym i realnym jak łóżko, na którym leżeli. Wówczas . . . Wówczas obejmowali się i pieścili z jakąś rozpaczliwą zmysłowością — jakby pragnęli wyrwać przeznaczeniu ostatni kęs rozkoszy na pięć minut przed wybicciem ich ostatniej godziny.

Lecz były również momenty, kiedy wydawało się im, że nie tylko są bezpieczni, ale i zabezpieczeni. Wierzyli, że jak długo są w pokoiku nad sklepikiem p.Charringtona, nic im nie może grozić. Niebezpieczeństwa czyhały na nich po drodze — ale pokoik był pewnym portem i schronieniem.

W takich chwilach, Winstonowi wydawało się jakby patrzył we wnętrze szklanego przycisku i wierzył że jeżeli raz wejdą w ów bajeczny, kryształowy świat — czas się zatrzyma.

Często głośno marzyli. Wyobrażali sobie, że obecne szczęście nigdy ich nie opuści i że do końca życia będą mogli spotykać się i kochać w tym pokoiku. Marzyli, że Katarzyna umrze, a oni sprytną intrygą zdołają uzyskać zezwolenie na małżeństwo.

Czasem postanawiali, że któregoś dnia popelnią razem samobójstwo. Planowali niekiedy, że znikną ze sceny, przemienią się w proletów, nauczą się ich akcentu, postarają się o

pracę w fabryce i nierozpoznani żyć sobie będą szczęśliwie na jakimś dalekim przedmieściu.

Oboje wiedzieli, że są to nonsensy. W rzeczywistości nie mieli żadnej możliwości ucieczki. Jedyne realne plany to było samobójstwo — ale nie mieli ochoty go popełnić. Żyć z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, żyć teraźniejszością, która nie ma przyszłości — nakazywał im nieprzewycięzalny instynkt, ten sam instynkt, który każe oddychać płucem dopóki jest jeszcze uncja powietrza, którą można wchłonąć.

Czasami mówili o przyłączeniu się do jakiegoś ruchu oporu, lecz nie wiedzieli od czego należy zacząć. Nawet jeżeli owo legendarne Braterstwo istniało naprawdę — to jak go odszukać?

Winston opowiedział Julii o swej sympatii do O'Brien'a i o ich wzajemnym porozumieniu, które być może istniało tylko w wyobraźni Winstona. Powiedział jej również, że często przychodzi mu na myśl, czy nie byłoby najlepiej pójść wprost do O'Briena, powiedzieć mu, że są wrogami Partii i prosić go o pomoc.

Julia nie uważała tego pomysłu za szaleństwo — czego Winston się spodziewał. Przywykła sądzić ludzi po wyrazie ich twarzy i wydawało się jej całkowicie naturalne, że Winston swe zaufanie do O'Briena opiera na jednym jego spojrzeniu. Poza tym uważała za pewnik, że niemal wszyscy w gruncie rzeczy nienawidzą Partii i byliby gotowi wylać się spod jej tyranii, gdyby w danym momencie było to możliwe i bezpieczne.

Lecz Julia nie wierzyła w istnienie, czy nawet w możliwość istnienia rozgałęzionej, zorganizowanej opozycji. Opowieści o Goldsteinie i jego podziemnym Braterstwie były — jej zdaniem — chwytem propagandy partyjnej. Setki razy na zebraniach partyjnych, czy w czasie „spontanicznych“ demonstracji gardłowała za powieszeniem ludzi, których nazwisk nigdy przedtem nie słyszała, a w zarzucane im zbrodnie ani przez chwilę nie wierzyła. W czasie publicznych procesów, w okresie czystek — wraz ze swoim oddziałem Ligi Młodzieżowej, który dniem i nocą „demonstrował“ w sądzie — wykrzykiwała rytmicznie: śmierć zdrajcom! W czasie codziennych seansów Dwóch Minut Nienawiści była nieprześcigniona w miotaniu obelg pod adresem Goldsteina. A przecież nie wiedziała ani o samym Goldsteinie, ani o idei, czy programie, który on rzekomo reprezentował. Wyrosła i dojrzała już w po-rewolucyjnym okresie i była zbyt młoda by pamiętać wojnę ideologiczną z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Nie była nawet w możności wyobrazić sobie istnienia niezależnego ruchu politycznego. Partię uważała zawsze i w każdych okolicznościach za — niezwycięzalną. Wierzyła też, że Partia istnieć będzie zawsze i że zawsze będzie taka sama. Jej zdaniem, bunt mógł przybrać jedynie formę ukrytego nie-

posłuszeństwa, lub poszczególnych aktów przemocy — jak morderstwo, czy wysadzenie w powietrze — jakiegoś obiektu.

Julia pod wieloma względami była znacznie bystrzejsza od Winstona i mniej podatna na argumentację propagandy partyjnej. Gdy kiedyś rozmowa zesłała na temat wojny przeciwko Eurazji — Julia wprowadziła Winstona w zdumienie swą uwagą, że według jej opinii, cała wojna jest fikcją. Bomby rakietowe, które spadają na Londyn są prawdopodobnie wystrzeliwane przez wojska Oceanii, na rozkaz ich własnego rządu — aby utrzymywać ludność w stanie wiecznego zastraszenia.

Tego rodzaju teoria Winstonowi nigdy nie przyszła do głowy. Julia wzbudziła w nim również pewną zazdrość wyznaniem, że tylko z największym trudem, w czasie seansów Dwóch Minut Nienawiści, powstrzymuje się by nie wybuchnąć śmiechem. Lecz krytykowała doktrynę Partii tylko wówczas, gdy jakiś zakaz bezpośrednio utrudniał jej życie. Była również często gotowa przyjąć oficjalną mitologię partyjną tylko dlatego, że różnica pomiędzy prawdą a fałszem nie wydawała się jej istotna. Wierzyła np. zgodnie z tym, czego uczono ją w szkole, że samoloty są wynalazkiem partyjnym. (Winston pamiętał, że w latach pięćdziesiątych, kiedy on chodził do szkoły, Partia przypisywała sobie zasługę jedynie wynalezienia helikoptera. W dwanaście lat później, gdy Julia chodziła do szkoły — uczono już, że Partia wynalazła zarówno helikopter jak i samolot. Następne pokolenie będzie wzrastać w przekonaniu, że i maszyna parowa jest wynalazkiem Partii).

Gdy jednak jej powiedział, że samoloty istniały już przed jej urodzeniem i na wiele lat przed Rewolucją — Julia uważała, że jest to fakt, bez jakiegokolwiek znaczenia. Czy kryło się coś istotnego w pytaniu: kto wynalazł samolot?

Był jeszcze bardziej zdumiony, gdy z jakiejś jej przypadkowej wypowiedzi wywnioskował, że Julia nie pamiętała, iż cztery lata temu, Oceania była w wojnie z Wschodnio-Azją, a w sojuszu z Eurazją. Julia myślała o wojnie jako o rzezi, ale nie zauważyła nawet, że wróg się zmienił. „Myślałam — powiedziała naiwnie — że byliśmy zawsze w wojnie przeciwko Eurazji“.

Ta uwaga przeraziła go nieco. Samolot został wynaleziony przed jej urodzeniem — ale zmiana na frontach wojny dokonała się cztery lata temu, w okresie, gdy była już zupełnie dorosła.

Dyskutowali na ten temat dłuższą chwilę i wreszcie Julia przypomniała sobie, że kiedyś istotnie Wschodnio-Azja, a nie Eurazja była wrogiem Oceanii.

Lecz nawet, gdy przy jego wydatnej pomocy przypomniała sobie, że istotnie tak było — nie uważała by fakt ten miał jakiegokolwiek znaczenie.

— Co to kogo obchodzi! — wybuchnęła niecierpliwie. — Jedna wojna następuje po drugiej, a wszystkie wiadomości są kłamstwem.

Czasami Winston opowiadał jej o swojej pracy w Dziale Dokumentów, Ministerstwa Prawdy i o bezwstydnym fałszerstwach, których tam dokonywał.

Nie przerażało jej to. Nie przeczuwała przepaści jaka otwiera się pod nogami, gdy kłamstwo zaczyna wypierać zewsząd prawdę.

Winston opowiedział jej również o sprawie Jonesa, Aaronsa, i Rutherforda, oraz o tym, jak owa kompromitująca fotografia przypadkowo wpadła w jego ręce. Lecz i ta historia nie wywarła na Julii większego wrażenia. Początkowo nie rozumiała w ogóle o co chodzi.

— Czy to byli twoi przyjaciele? — zapytała.

— Nie, osobiście ich w ogóle nie znałem. To byli członkowie Partii Wewnętrznej. Poza tym byli znacznie starsi ode mnie. Wszyscy trzej wywodzili się z okresu przedrewolucyjnego i wypłynęli w walkach rewolucyjnych.

— Jeżeli tak — to czym się martwisz? Przecież ludzi mordują i „wyparowują“ bez przerwy — więc cóż?

Usiłował jej wytłumaczyć:

— To był wypadek wyjątkowy. Tu nie chodzi o to tylko, że kogoś „wyparowano“. Czy zdajesz sobie sprawę, że cała przeszłość datująca się od wczoraj została obalona, zniszczona? Jeżeli z niej w ogóle coś pozostało, to chyba tylko kilka trudnych do zniszczenia i niemych przedmiotów, jak ten oto szklany przycisk z koralem. W tej chwili, nie wiemy już dosłownie nic, o dziejach Rewolucji, nie mówiąc o epoce przedrewolucyjnej. Każdy zapisek, czy dokument został zniszczony, lub sfalszowany, każda książka przepisana, każdy obraz przemalowany, każdy pomnik, czy ulica mają dziś inną nazwę, każda data została zmieniona. I ten proces trwa ustawicznie — z minuty na minutę, z dnia na dzień. Historia zatrzymała się. Nie istnieje nic poza teraźniejszością, która nie ma granic. W tej bezgranicznej teraźniejszości Partia ma zawsze rację. Ja oczywiście wiem, że przeszłość jest sfalszowana, lecz nigdy nie będę w możności udowodnić tego faktu, nawet wówczas, gdy fałszerstwo popełniłem ja sam. Po dokonaniu fałszerstwa nie pozostaje żaden ślad, ani dowód zbrodni. Jedynym dowodem jest moja własna pamięć, lecz skąd mogę mieć pewność, że ktokolwiek inny pamięta te fakty? Tylko w tym jednym wypadku, w czasie całego mojego życia, miałem w ręce konkretny dowód fałszerstwa po dokonaniu tegoż fałszerstwa . . .

— No i cóż z tego ci przyszło? — przerwała Julia.

— Nic mi z tego nie przyszło, bo w kilka minut po tym, dowód ten wrzuciłem w otwór „grobu pamięci“. Lecz gdyby taka rzecz trafiła mi się dziś — dowód bym zatrzymał.

— A ja bym nie zatrzymała. Jestem zawsze gotowa narazić się na niebezpieczeństwo, ale dla czegoś, co jest warte ryzyka, nie dla wycinka ze starej gazety. A zresztą co byś był zrobił z tą fotografią gdybyś ją zatrzymał?

— Prawdopodobnie nie wiele. Lecz mimo to, stanowiła ona dowód. Mogła poderwać zaufanie do Partii, gdybym się był odważył pokazać ją komukolwiek. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mogli coś zmienić w okresie naszego życia. Myślę jednak, że można by zorganizować małe ogniska oporu, nie liczne ugrupowania ludzi związanych ze sobą, ugrupowania, które z czasem rosłyby w siły i pozostawiły po sobie pewien dorobek, który by następnym pokoleniom umożliwił podjęcie dalszych wysiłków i walki.

— Nie interesują mnie, mój drogi, następne pokolenia. Interesuje mnie wyłącznie tylko nasz los, mój i twój.

— Tak, ty jesteś buntowniczką, ale tylko od pasa w dół! Julia wybuchnęła śmiechem i zarzuciła mu ręce na szyję. Uważała, że to było świetnie powiedziane.

Dialektyka partyjna nie interesowała jej zupełnie. Ilekroć zaczynał mówić o zasadach „Anglo-Soc“, dwój-myśleniu, zmienności przeszłości, zaprzeczeniu istnienia realnej rzeczywistości, szpikując wykład terminami „nowo-mowy“, tylekroć Julia dawała mu do poznania, że ją to wszystko śmiertelnie nudzi. W takich wypadkach mówiła zawsze: „Każdy wie, że to są bzdury — więc po co sobie tym głowę zaprzętać!“ Wiedziała dokładnie kiedy należy klaskać i krzyczeć: „niech żyje!“ a kiedy tupać i krzyczeć: „śmierć zdrajcom!“ Uważała, że to jest wszystko, co należy wiedzieć.

Gdy Winston upierał się i niezrażony mówił dalej na te tematy — Julia nieodmiennie zasypiała. Należała do typu ludzi, którzy mogą spać o każdej porze dnia czy nocy w każdej pozycji.

Na jej przykładzie Winston przekonał się jak łatwo było udawać prawomyślnego, nie mając w gruncie rzeczy pojęcia co oznacza prawomyślność. Światopogląd partyjny najłatwiej przyjmowali ci, którzy nie byli w stanie pojąć co on oznacza. Ludziom tego pokroju można było narzucić najbardziej sprzeczne z rzeczywistością opinie, ponieważ oni nigdy nie zdawali sobie sprawy z wymiaru żądań wysuwanych pod ich adresem. Ponieważ ludzie tego typu nie interesowali się wydarzeniami politycznymi, rzeczywistość uchodziła po prostu ich uwagi. Dzięki swej ignorancji byli prawomyślni. Łykali wszystko co im podawano, bez żadnej szkody dla siebie, gdyż „prawd“ doktryny nie przetrawiali — podobnie jak ptak nie trawi połkniętego kamyczka.

VI.

Wreszcie — stało się. Oczekiwany sygnał — nadszedł. Wydawało się Winstonowi, że całe swoje życie czekał na tę chwilę.

Szedł korytarzem w Ministerstwie i gdy zbliżał się do miejsca, gdzie Julia wsunęła mu karteczkę zauważył, że ktoś idzie tuż za nim. Równocześnie usłyszał znaczące kasznięcie, jakby wyraźny znak pod jego adresem.

Przystanął i obrócił się. Przed nim stał O'Brien. Serce Winstona zabiło gwałtownie. Pod wpływem pierwszego impulsu chciał uciec. Nie był w stanie wykrztusić z siebie słowa.

O'Brien śpieszył się wiadocznie i położywszy przyjacielsko rękę na ramieniu Winstona zmusił go niejako by mu towarzyszył. Szli ramię w ramię a O'Brien zaczął mówić z tą szczególną przyjaźnią i uprzejmością tak niezwykłą u członka Wewnętrznej Partii.

— Szukałem od dawna sposobności by z wami porozmawiać. Przed kilku dniami czytałem jeden z waszych artykułów w „Times'ie“. Wydaje mi się, że interesujecie się naukowo „nowo-mową“?

Winston opanował się już częściowo.

— Moje zainteresowania „nowo-mową“ są czysto amatorskie. Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, i nigdy nie miałem nic wspólnego z naukową konstrukcją języka.

— Lecz piszecie w „nowo-mowie“ bardzo poprawnie. To nie jest tylko moja opinia. Nie dawno, rozmawiałem na ten temat z waszym przyjacielem który jest niewątpliwie znawcą przedmiotu. Jego nazwisko w tej chwili wypadło mi z pamięci.

Winston odczuł bolesny skurcz. Nie mogło ulegać najmniejszej wątpliwości, że była to aluzja do Syme'a. Lecz Syme nie tylko już nie żył, ale w ogóle nigdy nie istniał. Był zgodnie z terminologią „nowo-mowy“ — „niesobą“. Uczynienie jakiegokolwiek wzmianki na jego temat było rzeczą niezmiernie niebezpieczną. O'Brien musiał tę aluzję traktować jako sygnał porozumiewawczy. W ten sposób popełnili bowiem obaj zbrodnię myślową; aluzja do „niesoby“ zbliżyła ich do siebie, jako współwinnych.

W pewnej chwili O'Brien zatrzymał się. Ruchem pełnym swoistej gracji i wdzięku poprawił na nosie okulary i odezwał się:

— Przede wszystkim chciałem wam powiedzieć, że w ostatnim artykule użyliście dwóch słów, które zostały skreślone. Lecz wykreślono je bardzo nie dawno. Czy mieliście w ręce dziesiąte wydanie słownika „nowo-mowy“?

— Dziesiątego wydania nigdy nie widziałem. W Dziale Dokumentów używamy jeszcze ciągle dziewiątego wydania.

— Dziesiąte wydanie ukaże się zapewne nie wcześniej jak za kilka miesięcy, lecz kilka próbných egzemplarzy już wy-

drukowano. Mam jeden z nich i może chcielibyście go przejrzeć?

— Z największą chęcią — odparł pospiesznie Winston, orientując się do czego zmierza O'Brien.

— Pewne nowości w tym słowniku są niezmiernie pomysłowe. Szczególnie zainteresuje was zapewne zagadnienie zmniejszania ilości słów. Mógłbym dostarczyć wam ten egzemplarz przez posłańca — niestety niemal zawsze zapominam o takich sprawach. Może moglibyście po prostu wpaść do mnie któregoś wieczoru? Zaraz dam wam mój adres.

Stali na wprost tele-ekranu. O'Brien z roztargnieniem szukał przez chwilę po kieszeniach swego kombinezonu, wreszcie wydobyl w skórę oprawny notes i złoty automatyczny ołówek. Otworzył notes i napisał adres. Stali tak blisko tele-ekranu, że jeżeli ich ktoś śledził w tej chwili mógł odczytać słowo po słowie. O'Brien wydarł kartkę i wręczył ją Winstonowi.

— Wieczorami zwykle jestem w domu. Gdyby mnie jednak przypadkiem nie było, mój służący wręczy wam słownik.

O'Brien zniknął, a Winston stał jak wryty trzymając w ręce kartkę. Tym razem nie było właściwie potrzeby niszczyć korespondencji (kto ją miał przeczytać, już ją przeczytał przez tele-ekran) mimo to jednak, Winston zapamiętał dokładnie treść i w kilka godzin później karteczkę O'Briena wraz z innymi papierami wrzucił w otwór „grobu pamięci“.

Rozmawiali ze sobą zaledwie kilka minut. Epizod mógł mieć tylko jeden cel. Stanowił podstęp, którym posłużył się O'Brien by Winstonowi podać swój adres. Było to konieczne, bo tylko w drodze bezpośredniej osobistej informacji można się było dowiedzieć gdzie kto mieszka. Nie istniały żadne spisy, czy książki adresowe. O'Brien dał mu w ten sposób do zrozumienia: „kiedykolwiek będziesz chciał mnie zobaczyć — przyjdź do mnie.“

Być może w słowniku będzie ukryta jakaś dalsza wiadomość. W każdym bądź razie jedna rzecz była pewna: Ruch podziemny oporu o którym marzył — istniał! Pierwszy kontakt został nawiązany. Wiedział, że wcześniej, czy później O'Brien powoła go. Może nastąpi to jutro, może dopiero po dłuższym czasie — tego nie mógł dziś przewidzieć.

To co się stało było konsekwencją procesu, który rozpoczął się przed laty. Pierwszym krokiem była myśl — następnym krokiem był pamiętnik. Od myśli przeszedł do słów — od słów do czynu.

Ostatni akt rozegra się niewątpliwie w Ministerstwie Miłości. Godził się z tym. Epilog był już zawarty w pierwszym kroku po tej drodze, w pierwszej, buntowniczej myśli.

Było w tym coś strasznego. Ściślej mówiąc był to nie lęk co odczuwał — lecz przedsmak śmierci. Był świadom, że nie jest już w pełni żywy.

Gdy rozmawiał z O'Brienem, równocześnie jak jego słowa zapadały w świadomość, czuł chłodny dreszcz w całym ciele. Miał wrażenie, że zszedł nieco niżej w wilgotną głębię grobu. Nie pocieszała go myśl, że przecież zawsze był świadom nieuchronności śmierci i faktu, że jego grób czeka na niego.

VII.

Winston przebudził się z oczami pełnymi łez. Julia obróciła się ku niemu i zapytała na wpeł przez sen:

— Co ci się stało?

— Śniło mi się . . . — zaczął mówić i nagle urwał.

Obraz był zbyt złożony by mógł opowiedzieć go słowami. Poza tym, w tej chwili nie był to już tylko sen, ale i łańcuch wspomnień, które w pierwszych sekundach po przebudzeniu skojarzyły się ze snem.

Leżał na wznak, z zamkniętymi oczyma, całkowicie jeszcze pogrążony w atmosferze sennego obrazu. Śniło mu się, że całe jego życie rozpostarło się przed nim na kształt krajobrazu widzianego z daleka w letni wieczór po deszczu. Wszystko działo się wewnątrz szklanego przycisku. Powierzchnia kryształu była sklepieniem nieba, które zamykało pejzaż przepojony jasnym delikatnym światłem o bajecznej przezroczystości. Widoczność była niemal nieskończona.

Sen wiązał się również z pewnym gestem jego matki. Trzydzieści lat później, powtórzyła ów gest Żydówka, którą widział na filmie. Ruchem ramienia starała się osłonić małego chłopczyka przed kulami, nim bomba zrzucona z helikoptera rozerwała ich oboje w kawalki.

— Czy wiesz, że dziś rano przypuszczałem, że zamordowałem moją matkę?

— Dlaczego ją zabiłeś? — zapytała Julia zaspanym głosem.

— Ja jej nie zamordowałem. W każdym razie, nie w sensie fizycznym.

Pamiętał jak to było we śnie, kiedy widział matkę po raz ostatni. Gdy się przebudził przypomniał sobie niemal wszystkie drobne wydarzenia, które w przeszłości towarzyszyły tej scenie. To było wspomnienie, które przez ubiegłe lata uparcie i celowo spychał poza próg świadomości.

Nie był już dziś pewien kiedy się to stało, lecz nie miał chyba mniej niż dziesięć, a może dwanaście lat. Jego ojciec zniknął znacznie wcześniej. Kiedy? — nie pamiętał.

Przypominał sobie dokładnie hałaśliwą, pełną napięcia atmosferę tego okresu. Wybuchy ogólnej paniki spowodowanej nalotami — schrony na stacjach kolejki podziemnej — rumowiska na każdym kroku — niezrozumiałe obwieszczenia i plakaty na rogach ulic — pochody młodzieży w jednokolorowych koszulach — niekończące się ogonki ludzi, wy czekujących pod piekarniami — odległe przerywane salwy z

karabinów maszynowych i przysyłający wszystko wieczny głód!

Pamiętał długie popołudnia, które spędzał wraz z innymi chłopcami na przeszukiwaniu koszów na odpadki i śmietników w pogoni za głąbem kapusty, obierzynami z ziemniaków, czy skórką suchego chleba, którą starannie czyścili z popiołu. Innym razem wyczekiwali godzinami na ciężarówkę, które szły pewnymi ulicami wioząc pokarm dla bydła. Gdy samochód zachybotał się na wyboistym odcinku jezdni, czasem wypadł z jego wnętrza makuch.

Gdy ojciec zniknął, matka nie okazała ani zdziwienia, ani nie popadła w widoczną rozpacz, lecz jej dotychczasowe zachowanie uległo zupełnej przemianie. Wydawało mu się, że opuściła ją jej cała energia.

Winston zdawał sobie sprawę, że matka oczekuje czegoś, co stać się musi nieodwołalnie. Wykonywała wszystkie domowe zajęcia tak samo jak dawniej. Gotowała, cerowała, ścierała łóżko, zamiatała podłogę, ścierała kurze na kominku, lecz była bardzo powolna i robiła wrażenie automatu, który nigdy nie uczyni jednego zbędnego, nieprzewidzianego ruchu.

Wydawało się, że jej potężny, mocny organizm popadł w jakieś odrętwienie. Godzinami siedziała na łóżku tuląc do siebie jego siostrzyczkę — wówczas dwu lub trzy letnie dziecko. Była to dziewczynka delikatna, chorowita, milcząca, a straszliwe wychudzenie nadawało jej twarzyczce wyraz małej małpki.

Matka czasami długo tuliła i jego, nie mówiąc słowa. Mimo, że sam był wówczas jeszcze dzieckiem i egoistycznie myślał tylko o sobie — zdawał sobie jednak sprawę, że te milczące uściski mają jakiś związek z tym „czymś“, co się ma stać.

Pamiętał dokładnie pokój w którym mieszkali. Ciemny, duszny do połowy zastawiony łóżkiem, nakrytym białą narzutą. W kominku stała mała kuchenka gazowa na jeden płomień a obok były półki, na których przechowywano zapasy. Na korytarzu był wodociąg i brudny ziemistego koloru zlew, z którego korzystało wielu lokatorów.

Widział we wspomnieniach matkę — tęgą i wysoką jak pochylała się nad kuchenką smażąc coś na patelni. Najżywsza jednak była pamięć nieustannego głodu i brutalnych walk jakie staczał przy każdym posiłku. Wrzaskliwie, bez przerwy domagał się jedzenia, pytał się ustawicznie dlaczego nie ma więcej, krzyczał na matkę i tupał. Do dziś pamiętał nawet ton swego głosu, który w związku z przedwczesną mutacją łamał się chrypliwie i dziwacznie. Czasami próbował sentymentalnej nuty i popłakiwał w nadziei, że wytarguje od matki więcej niż przypadało na niego z podziału.

Matka zawsze dawała mu więcej niż mu się należało. Uważała to za naturalne, że chłopiec powinien dostać największą

porcję. Lecz ile by mu nie dała, on stale domagał się więcej i więcej!

Przy każdym posiłku matka upominała go i prosiła, by nie był egoistą, by pamiętał o chorej małej siostrzyczce, która również potrzebowała pożywienia, lecz wszystko na nic! Wrzeszczał i pieniał się z wściekłości, jak tylko matka przedstawiała nakładać mu na talerz, usiłował wyszarpać jej z ręki patelnię, czy chochlę, porywał kawałki potraw z talerza siostrzyczki.

Zdawał sobie sprawę, że takim postępowaniem zagłodzi matkę i siostrę, lecz nie mógł się powstrzymać. Sądził nawet, że ma prawo tak postępować. Kiszki skręcały mu się z głodu i uważał, że fakt ten usprawiedliwia jego zachowanie. Pomiedzy posiłkami, jak tylko matka nie pilnowała ich biednej spizarki, myszkwował stale w poszukiwaniu jedzenia.

Któregoś dnia wydano przydział czekolady. Nie było czekolady od tygodni, a może nawet od miesięcy. Pamiętał doskonale tę cenną małą tabliczkę. Była to dwuuncjowa tabliczka (w owych czasach uncje * były jeszcze w powszechnym użyciu) do podziału na ich troje. Było oczywiste, że tabliczkę należało podzielić na trzy równe części.

Nagle — jakby ktoś inny wypowiedział te słowa za niego — Winston usłyszał swój własny skrzekliwy głos, domagający się całej czekolady. Matka upomniała go, że nie można być aż tak chciwym. Powstała zażarta długotrwała kłótnia — przeplatana krzykiem, płaczem, prośbami i groźbami.

Jego siostrzyczka uchwyciła się matki dwiema rączkami — identycznym ruchem jak maia malpka i wbiła w niego wielkie, żalösue oczy.

W końcu matka odłamała trzy czwarte tabliczki i dała Winstonowi, a pozostały kawałeczek jego siostrzyczce.

Dziewczynka trzymała w rączce czekoladę i przypatrywała się jej ze skupieniem. Być może nie wiedziała co to w ogóle jest.

Winston przez chwilę obserwował siostrę. Nagle, błyskawicznym ruchem wyrwał jej czekoladę i w ułamku sekundy był już przy drzwiach.

„Winstonie Winstonie!“ — matka krzyknęła rozpaczliwie — „wróć się i oddaj twojej siostrzyczce czekoladę!“

Winston zatrzymał się w drzwiach, ale nie wrócił. Matka patrzyła mu w oczy z lękiem i prośbą.

Nawet dziś, gdy myślał o tym, nie wiedział dokładnie jak to się stało i co się stało? Jego siostrzyczka zdała sobie sprawę, że coś jej zabrano i zaczęła cicho jęczeć i płakać. Matka podłożyła rękę pod jej ramionka i przyłożyła ucho do jej piersi. Ten gest matki zdradził mu, że siostrzyczka umiera.

* Ounce (uncja) — jedna szesnasta funta angielskiego.

Obrócił się na pięcie i uciekł z czekoladą topiącą się w ręce.

Już nigdy więcej nie zobaczył swojej matki. Gdy pożarł całą czekoladę ogarnął go jakby wstyd. Wałęsał się przez kilka godzin po ulicach, dopóki głód nie zapędził go z powrotem do domu.

W domu nie zastał nikogo. To były zwyczajne wypadki w owych czasach. Z pokoju nic nie zniknęło z wyjątkiem matki i siostry. Nie wzięli garderoby, niczego — nawet płaszcz matki wisiał tam gdzie zawsze.

Do dziś nie miał żadnej pewności, że jego matka umarła. Było możliwe, że wysłali ją do obozu pracy przymusowej. Siostrę mogli umieścić w jednym z tzw. „Domów Dziecka,” w których i on się wychował. Po wojnie cywilnej powstało wiele takich zakładów dla bezdomnych dzieci. Mogli wreszcie pozwolić matce zabrać siostrę do obozu pracy przymusowej, a może porzucili chore dziecko by zmarło.

Zamkniętymi oczyma widział jeszcze ten sen — żywo i plastycznie — zwłaszcza ów gest matczyny, który stanowił symboliczną treść całego obrazu. Przypomnił sobie również inny sen sprzed dwóch miesięcy. Wówczas śniło się mu, że matka siedzi nie na biało zasłanym łóżku, lecz na tonącym statku tuląc tym samym macierzyńskim ruchem małą siostrzyczkę. Matka i siostra zapadały się głębiej i głębiej patrząc wciąż ku niemu poprzez ciemniejące masy wód.

Opowiedział Julii historię zniknięcia swojej matki.

Julia nie otwierając oczu poprawiła się wygodniej na łóżku i zauważyła:

— Wydaje mi się, że w tych czasach zachowywałeś się jak świnka! Zresztą wszystkie dzieci to egoistyczne małe świnki.

— Tak — przyznał Winston — ale w tym wypadku nie chodzi przecież o to

Równy oddech Julii wskazywał, że usnęła powtórnie.

Winston chętnie porozmawiałby z nią o swojej matce. Z tego co pamiętał wnioskował, że matka nie była, ani wybitnie inteligentną ani niezwykłą kobietą. Jednak było w niej coś szlachetnego i czystego, ponieważ zasady jakimi kierowała się w życiu nie były narzucone, lecz wypływały z jej osobistych indywidualnych przekonań. Jej uczucia i opinie nie mogłyby ulec zmianie pod wpływem nacisku z zewnątrz. Jego matce nie przyszło by nigdy na myśl, że czyn czy uczucie daremne — są bez znaczenia. Matka wierzyła, że jeżeli ktoś kocha się, a nie ma się mu już nic do ofiarowania, jeszcze ciągle dać można samą miłość.

Gdy nie było już czekolady matka otoczyła malutką ramięm i przytuliła tkliwie do siebie. Ten gest był bezużyteczny, w niczym nie zmieniał sytuacji — nie zastąpił czekolady, ani jej nie stworzył i nie uchronił przed śmiercią, ani dziecka,

ani jej samej. Mimo to, uczyniła ten gest w sposób jej właściwy i naturalny.

Żydówka na łodzi rozbitków, którą widział w kinie — starała się ramieniem osłonić dziecko przed kulami, choć jej ramię nie dawało większej osłony niż kartka papieru.

Najokropniejszą rzeczą było, że Partia z jednej strony przekonywała ludzi, że uczucia i instynktowne odruchy nie mają żadnej wartości — z drugiej zaś obrabowała człowieka z wszelkiej mocy nad światem materialnym. Gdy raz wpadło się w jej ręce nie było istotnie żadnej różnicy czy się miało jakieś uczucia — czy nie, czy popełniło się jakieś czyny — czy nie. W każdym wypadku człowiek ginął i nikt więcej nie słyszał ani o nim, ani o jego czynach. „Wyparowano“ nie tylko z życia ale i z przeszłości.

Dla ludzi zaledwie sprzed dwóch pokoleń to wymazywanie z historii nie wydawało by się istotne, ponieważ dawniej ludzie nie usiłowali zmieniać Historii. Nie zależało im na tym. Dawniejsze pokolenia kierowały się własnymi, osobistymi zasadami, których nikt nie poddawał w wątpliwość. Przywiązywano wówczas wagę do osobistych stosunków, do przyjaźni i wzajemnej lojalności. I w takim świecie, daremny gest — uścisk dłoni, łza, słowo wypowiedziane do konającego — posiadało wartość samo w sobie.

Przyszło mu na myśl, że tacy są jeszcze proleci. Proleci nie odczuwali żadnej lojalności w stosunku do Partii, ideologii czy kraju — byli tylko lojalni jeden wobec drugiego. Pierwszy raz w życiu myślał o proletach bez pogardy i po raz pierwszy zauważył, że są oni czymś więcej niż tłumem nieświadomym swej siły, który może kiedyś się przebudzi i przebuduje świat.

Proleci pozostali ludzcy. Nie skamienieli, nie wyschli wewnątrznie. Zachowali w sobie ludzkie pierwotne uczucia i instynkty, które on rozbudzać w sobie musiał świadomym wysiłkiem.

Nagle — bez widocznego związku — przypomniał sobie jak przed kilku tygodniami zauważył na chodniku kikut ręki ludzkiej, odrąbany odłamkiem bomby. Wkopał go do rynsztoka, jakby to był kapuściany głąb.

— Proleci są ludźmi! — powiedział głośno — my nie!

— Dlaczego my nie? — zapytała Julia, która właśnie przebudziła się ze snu.

Winston zastanawiał się przez chwilę.

— Czy przyszło ci kiedy na myśl, że najmądrzejszą rzeczą jaką moglibyśmy zrobić, to byłoby opuścić ten pokój — póki nie jest jeszcze za późno — i przestać się widywać?

— Tak, mój drogi. Myślałem o tym wiele razy, ale mimo to nie zamierzam tak postąpić.

— Mieliśmy wielkie szczęście, ale nie można już długo na nie liczyć. Jesteś młoda. Masz wygląd niewinny i prawo-

myślny. Jeżeli trzymałabyś się z daleka od takich ludzi jak ja, mogłabyś żyć jeszcze z pięćdziesiąt lat.

— Nie, mój drogi! Już dawno przemyślałam to wszystko. Postąpię tak jak i ty postąpisz. Ale przede wszystkim nie upadaj na duchu! Ja jakoś nieźle do tej pory dawałam sobie radę z utrzymywaniem się na powierzchni.

— Może będziemy jeszcze razem przez sześć miesięcy, może przez rok — któż to wie? Lecz w końcu z całą pewnością nas rozdziela. Czy zdajesz sobie sprawę, Julio, jak będziemy wówczas straszliwie samotni? Gdy raz nas złapią, nie będziemy mogli nic, dosłownie nic pomóc sobie nawzajem. Gdy pokajam się i przyznam — zastrzelą cię, gdy nie pokajam się i nie przyznam — zastrzelą cię również. Cokolwiek mógłbym powiedzieć, czy zataić, nie przedłuży to twojego życia ani o pięć minut. Nie będę wiedział czy żyjesz, ani ty nie dowiesz się czy ja żyję jeszcze. Będziemy całkowicie bezsilni. Jedno jest tylko ważne: nie powinniśmy zdradzić siebie nawzajem — choć to nie wyrze najmniejszego wpływu na nasze losy.

— Jeżeli masz na myśli pokajanie się i przyznanie — powinniśmy oczywiście pokajać się i przyznać. Wszyscy zawsze przyznają się do wszystkiego. Nic na to nie poradzisz — od tego są tortury.

— Nie myślałem o pokajaniu — odparł Winston. — Pokajanie nie jest zdradą. Jest obojętne w takim wypadku co mówisz i co robisz. Zasadniczą rzeczą jest tylko co czujesz. Gdyby potrafili zmusić mnie do tego bym przestał cię kochać — byłaby to prawdziwa zdrada.

Julia zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

— Tego zrobić nie mogą — powiedziała po chwili. — To jest chyba jedyna rzecz, która jest poza zasięgiem ich władzy. Mogą zmusić cię byś przyznał się do wszystkiego, dosłownie do wszystkiego, ale nie mogą cię zmusić byś sam w to uwierzył. Oni nie mają władzy nad twoim wewnętrznym „ja“.

— Nie, istotnie nie! — powiedział Winston jakby z przebłyskiem nadziei. — Oni nie mogą wejść w serce człowieka. Jeżeli zdołasz obronić przed nimi uczucie, pozostaniesz człowiekiem i — choć nie przyniesie to żadnego rezultatu — zachowawszy w sobie człowieczeństwo odniesiesz nad nimi zwycięstwo!

Przyszedł mu na myśl tele-ekran z jego wiecznie czujnym okiem i uchem. Mogą śledzić dniem i nocą, lecz jeżeli ktoś potrafi zachować niezależność umysłu — może się okazać chytrzejszy od nich. Bo mimo całej swej pomysłowości nie wymyślili nic takiego, co by im umożliwiło odgadywać myśli. Zapewne gdy mieli już kogoś w swoich rękach i myśli nie było łatwo ukryć przed nimi.

Nikt właściwie nie wiedział co działo się wewnątrz Ministerstwa Miłości. Można się było tylko domyślać: tortury, narko-

tyki, czule instrumenty rejestrujące reakcje nerwowe i stopniowe ubezwładnianie ofiary bezsennością, nieustannymi przesłuchiwaniami i osamotnieniem.

Z całą pewnością faktów nie było można ukryć. Wydobęda je przesłuchiwaniami — jak trzeba — wycisną torturami. Lecz jeżeli czymś celem nie jest uratowanie życia, lecz własnego człowieczeństwa — jakież może to mieć znaczenie? Oni nie mogą zmienić czyichś uczuć, albowiem człowiek sam nie może ich zmienić, choćby tego pragnął.

Mogą obnażyć do najdrobniejszego szczegółu wszystko, co człowiek kiedykolwiek powiedział, dokonał czy pomyślał, lecz wewnątrz serca, które jest tajemnicą nawet dla tego, kto je nosi w swej piersi — pozostanie nieprzeniknione i dla nich.

VIII.

Odważyli się. Odważyli się wreszcie.

Pokój był duży, prostokątny z ukrytymi światłami. Teleekran był tak ściśszony, iż ledwo się go słyszało. Na podłodze leżał przepyszny ciemno-niebieski dywan. Odnosili wrażenie, że stąpają po aksamicie.

Daleko w rogu, przy biurku, w cieniu zielonawego abazuru stojącej lampy — siedział O'Brien. Po obu stronach jego biurka piętrzyły się stosy papierów. Nie zadał sobie nawet trudu by obrócić się i rzucić okiem, gdy służący wprowadził Julię i Winstona do jego gabinetu.

Winstonowi serce tłukło się w piersiach i nie był pewien, czy zdoła wypowiedzieć choć jedno słowo. „Odważyliśmy się — jesteśmy“ — powtarzał w myśli w kółko.

Przyjść tutaj było połączone z pewnym ryzykiem. Julia szła inną drogą — spotkali się dopiero w bramie. Lecz samo przekroczenie progu takiej rezydencji wymagało wysiłku nerwowego. Tylko w zupełnie wyjątkowych okolicznościach członek Partii miał możliwość zapuszczenia się w dzielnice przeznaczone dla członków Wewnętrznej Partii, a cóż dopiero odwiedzenia domu któregoś z dostojników. Atmosfera tych wielkich rezydencji — luksus i bogactwo na każdym kroku, niezwykajny zapach dobrej kuchni i wytwornego tytoniu, windy poruszające się bezszelestnie i z nadzwyczajną szybkością, służący w białych liberjach — wszystko to onieśmielało.

Wprawdzie miał dostateczny powód, aby tu przyjść i mógłby w danym wypadku wytłumaczyć się — mimo to, nieustannie prześladowała go myśl, że lada chwila ukaże się policjant w czarnym mundurze wylegitymuje go i każe mu iść precz.

Jednak służący O'Briena wpuścił ich bez sprzeciwu. Służący był niski, krępy, czarnowłosy, w białej liberii. Miał twarz o ostrych rysach, pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Przypominał chińską maskę.

Korytarz, którym ich poprowadził do gabinetu O'Briena — był wyłożony miękkim dywanem. Ściany pokrywała kremowa tapeta, ujęta w białe boazerie. Wszędzie panowała wzorowa czystość. Ta czystość działała również onieśmielająco. Winston po raz pierwszy w życiu widział ściany korytarza nie lepiące się od brudu.

O'Brien siedział przy biurku trzymając w ręce notatkę, której treść pochłaniała całkowicie jego uwagę. Jego olbrzymia głowa z ostro zarysowaną linią nosa miała coś w sobie zarówno mądrego, jak i potężnego. Przez kilkanaście sekund O'Brien siedział bez ruchu. Wreszcie przysunął bliżej dyktafon i zaczął dyktować w biurokratycznym żargonie ministerstwa:

„Sprawa jeden, przecinek, pięć przecinek, siedem, zatwierdzone — sugestie zawarte w sprawie szóstej śmieszne, graniczą ze zbrodnią myślową — odrzucić. — Nie postępować dalej z budową, wpierw kosztorys potrzebnych maszyn — koniec.“

Podniósł się ciężko z krzesła i podszedł ku nim po puszystym dywanie. Wydawał się trochę mniej oficjalny, gdy przestał dyktować w „nowo-mowie“, lecz wyraz jego twarzy był chmurny. Najwyraźniej niechętnie oderwał się od pracy.

Do strachu, jaki nie opuszczał Winstona, domieszało się uczucie zakłopotania. Nagle zbudziło się w nim podejrzenie czy nie popełnia wielkiego błędu? Bo jakież miał na to dowody, że O'Brien był spiskowcem i wrogiem Partii! Żadnych — z wyjątkiem jednego porozumiewawczego spojrzenia i dwuznacznej uwagi o Sym'ie. Wszystko inne to były jego fantastyczne domysły, oparte o sen. W tej chwili nie mógłby nawet wycofać się i użyć pretekstu, że przyszedł tylko po słownik, bo w takim razie jakby wytłumaczył obecność Julii?

Gdy O'Brien przechodził koło tele-ekranu — zawrócił, jakby nagle coś sobie przypomniał — podszedł do aparatu i przekręcił kontakt. Rozległ się suchy trzask i tele-ekran zamilkł.

Julia wydała okrzyk zdumienia. Winston, mimo przerażenia, był tak zaskoczony, że nie mógł powstrzymać się od zapytania:

— Możecie wyłączyć tele-ekran?

— Tak — odpowiedział O'Brien. — Mamy ten przywilej, możemy całkowicie wyłączyć tele-ekran.

Stali naprzeciwko siebie. Olbrzymia postać O'Briena górowała nad nimi, a jego twarz wciąż była nieodgadniona. O'Brien wyraźnie czekał, że Winston zacznie mówić. Mówić — o czym? Nawet teraz jeszcze, patrząc na O'Briena, można by sądzić, że jest on tylko zapracowanym urzędnikiem, który chciałby się dowiedzieć dlaczego mu przeszkadzają?

Nikt nie podejmował rozmowy. Gdy wyłączono tele-ekran w pokoju zaległa śmiertelna cisza. Sekundy mijaly. Winston z największym wysiłkiem nie spuszczał oczu utkwionych w źrenice O'Briena.

Nagle potężną twarz wykrzywił lekki grymas, który można było poczytać za wstęp do uśmiechu. Charakterystycznym ruchem O'Brien poprawił okulary i odezwał się:

— Czy ja mam to powiedzieć, czy wy to powiecie towarzyszu? — zwrócił się do Winstona.

— Ja powiem — odpowiedział Winston bez wahania. — Czy tele-ekran jest istotnie wyłączony?

— Tak wszystko jest wyłączone, jesteśmy zupełnie sami.

— Przyszliśmy tu . . . — Winston zaczął i umilkł.

Po raz pierwszy zdał sobie sprawę jak niejasne i pełne wahań były jego motywy. Ponieważ do tej pory nie wiedział o jaki rodzaj pomocy ma prosić O'Briena — nie było łatwo ująć w kilku zdaniach celu ich wizyty.

Gdy wreszcie zaczął mówić zdawał sobie sprawę, że jego słowa brzmieć muszą blado i pretensjonalnie.

— Przypuszczamy, że istnieje spisek, czy tajna organizacja pracująca przeciwko Partii i że wy należycie do tej organizacji. Pragniemy oboje przyłączyć się do tej organizacji i pracować dla realizacji jej celów. Jesteśmy wrogami Partii. Nie wierzymy w zasady „Anglo-Soc“. Jesteśmy zbrodniarzami myślowymi. Uprawiamy cudzołóstwo. Mówię wam o tym, bo pragniemy zdać się całkowicie na waszą łaskę, lub nielaskę. Jeżeli takie będzie wasze życzenie, gotowi jesteśmy oskarżyć się i o inne zbrodnie.

Winston urwał i spojrzał poprzez ramię O'Briena ku drzwiom. Miał wrażenie, że ktoś wszedł. Istotnie, wyglądający na Chińczyka służący, bez pukania wszedł do gabinetu, niosąc na tacy karafkę i kieliszki.

— Marcin jest naszym człowiekiem — powiedział O'Brien. — Postaw karafkę i kieliszki na okrągłym stolczku, Marcinie! Czy mamy dość krzesel? Myślę, że możemy usiąść i porozmawiać w wygodniejszej pozycji. Przynies i dla siebie krzesło, Marcinie. To jest organizacyjna sprawa. Przez dziesięć minut nie będziesz służącym, tylko towarzyszem.

Służący usiadł wygodnie, jednak w swojej całej postawie pozostał nadal lokajem — lokajem, który z pańskiej łaski siedzi przy stole. Winston obserwował go kącikami oczu. Przyszło mu na myśl, że ten człowiek całe życie grał rolę służącego i wydawało mu się ryzykowne wypaść z tej roli choćby na chwilę.

O'Brien ujął karafkę za szyjkę i nalał do kieliszków ciemno-czerwonego płynu.

Winston patrząc na ten napój przypomniał sobie jakby przez mgłę, że przed laty widział na ścianie kamienicy, czy na parkanie olbrzymią butelkę z elektrycznych żarówek.

Światła tej reklamy zapalały się i gasły w ten sposób, iż odnosiło się wrażenie, że butelka nachyla się, a płyn wypełnia kieliszek.

Gdy patrzył na ten dziwny płyn z góry, miał on kolor niemal szary, w karafce jednak, pod światło, grał rubinowym refleksem. Miał zapach kwaśno słodkawy.

Julia uniosła kieliszek i powąchała jego zawartość nie mogąc opanować ciekawości.

— Ten napój nosi nazwę wina — odezwał się O'Brien z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. — O winie musieliście niewątpliwie czytać w książkach. Wydaje mi się, że raczej niewiele tego napoju dostaje się Partii Zewnętrznej.

O'Brien spowaźniał nagle, przybrał uroczysty wyraz twarzy i uniół w górę swój kieliszek.

— Sądzę, że winniśmy rozpocząć od toastu. Wznoszę zdrowie naszego przywódcy Emanuela Goldsteina!

Winston skwapliwie ujął za kieliszek. O winie marzył tylko dotąd i czytał w książkach. Wino — podobnie jak szklany przycisk z koralem, jak wierszyki p. Charringtona — stanowiło rekwizyt minionej, romantycznej przeszłości — epoki starożytniej jak ów okres zwał zwykle w marzeniach.

Nie wiadomo z jakiej przyczyny przypuszczał do tej pory, że wino jest w smaku bardzo słodkie, podobnie jak marmelada z jeżyn. Sądził również, że jego działanie jest natychmiastowe.

Już pierwszy łyk niezmiernie go rozczarował. Po wielu latach picia džinu jego język nie reagował na wino. Z przyzwoitem przelknął kilka łyków i odsunął kieliszek.

— Zatem Goldstein istnieje? — zapytał.

— Tak, istnieje i żyje. Nie wiadomo natomiast gdzie się ukrywa.

— A spisek, a organizacja? Istnieje na prawdę? Czy organizacja nie jest tylko podstępny wynalazkiem Policji Myśli?

— Organizacja istnieje. Nazywamy ją Braterstwem. Nie wiele więcej dowiedzie się na ten temat. Musi wam wystarczyć, że Braterstwo istnieje i że jesteście jego członkami. Wróć zresztą jeszcze do tego tematu.

O'Brien spojrział na zegarek i po chwili namysłu odezwał się:

— Jest rzeczą ryzykowną nawet dla członków Wewnętrznej Partii wyłączyć tele-ekran na dłużej niż pół godziny. Nie powinniście byli przychodzić tu razem i opuścić ten dom musicie oddzielnie. Wy towarzyszeko — zwrócił się do Julii — wyjdziecie pierwsza. Mamy około dwudziestu minut do naszej dyspozycji. Muszę zacząć od zadania wam kilku pytań. Mówiąc ogólnie czego jesteście gotowi się podjąć?

— Wszystkiego co leży w naszej mocy — odpowiedział Winston. O'Brien przesunął się nieco z krzesłem w stronę

Winstona. Julię niemal ignorował uważając zapewne, że Winston mówi w imieniu ich dwojga.

O'Brien przymrużył oczy i zaczął im zadawać pytania niskim bezbarwnym głosem, jakby to była zwykła formalność i rutyna, rodzaj pytań katechizmowych na które odpowiedź jest z góry wiadoma.

— Czy jesteście gotowi poświęcić życie?

— Tak.

— Czy jesteście gotowi popełnić morderstwo?

— Tak.

— Czy jesteście gotowi dokonać aktów sabotażu, które pociągnąć mogą za sobą śmierć setek niewinnych ludzi?

— Tak.

— Czy jesteście gotowi zdradzić wasz kraj obcemu państwu?

— Tak.

— Czy jesteście gotowi oszukiwać, fałszować, przekupywać, deprawować dzieci, rozpowszechniać narkotyki, namawiać do prostytucji, rozsiewać choroby weneryczne — jednym słowem czy jesteście zdecydowani podjąć się każdej akcji, której celem będzie rozbicie i zdemoralizowanie Partii?

— Tak.

— Jeżeli dobro naszej sprawy wymagałoby np. oblania twarzy dziecka kwasem siarkowym, czy gotowi jesteście to uczynić?

— Tak.

— Czy jesteście gotowi popełnić samobójstwo jeżeli otrzymacie od nas taki rozkaz?

— Tak.

— Czy jesteście gotowi rozstać się i nigdy więcej się nie widzieć?

— Nie! — Julia przerwała gwałtownie.

Winstonowi wydawało się, że upłynęły wieki zanim odpowiedział na to pytanie. Nie mógł wydobyć z siebie słowa. Poruszał ustami bezdźwięcznie, nie zdając sobie sprawy do ostatniej chwili co właściwie chce powiedzieć. Wreszcie wykształcił z trudem:

— Nie!

— Słusznie postąpiliście mówiąc mi to. Jest rzeczą niezbędną, by organizacja poinformowana była o wszystkim.

O'Brien zwrócił się do Julii i dodał z pewnym ożywieniem:

— Nie wiem czy zdajecie sobie z tego sprawę, towarzyszek, że Winston może wprawdzie nie zginie, ale kto wie, czy nie będzie musiał żyć jako inny człowiek. Może powstać sytuacja, że będziemy zmuszeni niejako tchnąć w niego inną osobowość. W takim wypadku zmianie uległaby jego twarz, ruchy, kształt jego rąk, kolor włosów a nawet brzmienie głosu. I wy, towarzyszek, możecie również stać

się zupełnie inną kobietą. Nasi chirurgrzy potrafią zmieniać ludzi nie do rozpoznania. Czasami jest to konieczne. Są wypadki, że taka zmiana osobowości obejmuje nawet amputację nogi, czy ręki.

Winston nie mógł się powstrzymać i rzucił ukradkowe spojrzenie na mongolską twarz Marcina. Nie dostrzegł jednak na niej pooperacyjnych blizn.

Julia przybladła nieco i piegi silniej wystąpiły na jej twarzy, patrzyła jednak śmiało w twarz O'Briena i gdy skończył mówić skinęła głową.

— Dobrze, a zatem ta sprawa jest załatwiona.

Na stole stało srebrne pudelko z papierosami. O'Brien roztargnionym ruchem wyjął papierosa, wstał i zaczął w zamyśleniu chodzić po gabinecie.

Papierosy były doskonałe, grube, dobrze naładowane tytoniem o nadzwyczajnie cienkiej, jedwabistej bibułce.

O'Brien ponownie rzucił okiem na zegarek.

— Ty Marcinie lepiej już wróć do kuchni — zwrócił się do służącego. — Za 15 minut włączę tele-ekran. Nim jednak wyjdiesz przypatrz się dobrze tym towarzyszom. Ty ich jeszcze zobaczysz. Ja, może już nigdy.

Służący obrzucił Julię i Winstona przenikliwym spojrzeniem swych czarnych oczu. W ten sam sposób rozpoznał ich w chwili, gdy otwierał im drzwi do rezydencji O'Briena.

W jego spojrzeniu i zachowaniu nie było cienia życzliwości, czy przyjaźni. Starał się zapamiętać wygląd ich twarzy, nie odczuwał jednak dla nich żadnego zainteresowania, czy sympatii. W każdym razie tak należało wnioskować sądząc po jego zachowaniu.

Winstonowi przyszło na myśl, że może sztuczna, „syntetyczna“ twarz jest niezdolna do wyrażania jakichkolwiek uczuć.

Marcin bez słowa, nie uczyniwszy żadnego pożegnalnego gestu wyszedł i zamknął bezszelestnie drzwi za sobą.

O'Brien z ręką w kieszeni swego czarnego kombinezonu spacerował po gabinecie paląc papierosa.

— Myślę, że sami to rozumiecie — podjął po chwili — że będziecie walczyć w ciemnościach. Zawsze w ciemnościach. Będziecie wykonywali rozkazy, nie znając przyczyn, dla których zostały wydane. Wkrótce prześlę wam książkę, z której dowiedzie się całe prawdy o systemie społecznym, stworzonym przez Partię i nauczycie się strategii, która dopomoże nam w zwalczeniu tego systemu. Gdy przestudiujecie tę książkę będziecie oboje rzeczywistymi członkami Braterstwa. Znać będziecie jednak tylko ogólne cele organizacji i bezpośrednio, aktualne zadania. Nic poza tym. Zapewniam was, że Braterstwo istnieje, nie mogę wam jednak wyjawić czy liczy 100 członków czy 10 milionów. Z własnego doświadczenia i kontaktów nie będziecie mogli wywnioskować nawet tego, czy organizacja liczy ponad dwunastu członków. Będzie-

cie utrzymywać kontakt z trzema, lub czterema osobami. Gdy ludzie ci zginą, zastąpią ich inni. Ponieważ ja byłem waszym pierwszym kontaktem łączność ze mną będzie utrzymana. Rozkazy jakie będziecie otrzymywać będą pochodzić ode mnie. W wypadkach konieczności porozumienia się z wami łącznikiem będzie Marcin. Gdy was w końcu złapią — przyznacie się i pokajacie. To jest nie do uniknięcia. Lecz nie będziecie mieli nic do wyznania, poza waszymi własnymi czynami. Możecie zdradzić tylko kilku mało ważnych ludzi. Może nawet nie zdradzicie mnie. W tym czasie może zresztą nie będę już żył — względnie będę zupełnie kimś innym o zupełnie innej twarzy.

O'Brien wciąż spacerował po puszystym dywanie, który wyścielał podłogę gabinetu. Mimo ciężkiej i atletycznej budowy, jego ruchy pełne były swoistej gracji. Ów wdzięk przejawiał się nawet w sposobie palenia papierosa, czy w ruchu jakim wkładał rękę w kieszeń kombinezonu.

Promieniowało od niego budzące ufność poczucie siły i zrozumienie zabarwione ironią.

Choć mówił z powagą i przejęciem nie było w nim nic z ciasnoty fanatyka. Gdy wspominał o morderstwie, samobójstwie, chorobach wenerycznych, syntetycznych twarzach, amputowanych nogach, czy rękach — był w tym jakby odciętą satyry czy żartu. — „To jest nie do uniknięcia“ — zdawał się sugerować ton jego głosu — „nie wolno się nam przed tym cofnąć, ale tych potworności nie będziemy robili, gdy kiedyś znów życie warte będzie życia“.

Winston płonął podziwem i zachwytem. Zapomniał już o nieco mglistej postaci Goldsteina. Gdy patrzył na potężne bary O'Briena — w jego szczerą twarz, brzydką a przecież tak kulturalną — wydawało mu się absurdem przypuszczenie, że mógłby go ktoś pokonać. Nie było na świecie stratega, który mógłby mu sprostać, nie było niebezpieczeństwa, którego O'Brien by nie przewidział.

Nawet Julia była pod jego urokiem. Była tak zasłuchana, że jej papieros wypalał się na popielniczce, a ona tego nawet nie zauważyła.

Po chwili O'Brien podjął ponownie:

— Musieliście słyszeć najrozmaitsze pogłoski o Braterstwie i wytworzyć sobie własny pogląd na tę sprawę. Może wyobrażacie sobie, że istnieje wielki podziemny ruch, tajemne zebrania po piwnicach, napisy na ścianach i murach, znaki i hasła po których konspiratorzy rozpoznają się nawzajem. W rzeczywistości nic podobnego nie istnieje. Członkowie Braterstwa nie mają możliwości rozpoznawania się wzajemnie, a poszczególny bojownik zna zazwyczaj tylko kilku towarzyszy. Sam Goldstein, gdyby wpadł w ręce Policji Myśli nie mógłby wyjawić pełnej listy członków Braterstwa, ani nie mógłby udzielić informacji, która umożliwiłaby skon-

struowanie takiej listy. Lista członków Braterstwa w ogóle nie istnieje. Z tych właśnie przyczyn Braterstwa nie można zlikwidować, bo nie jest ono organizacją w dosłownym tego słowa znaczeniu. Jedyłą naszą spójnią jest idea, która jest niezniszczalna!

Nic i nikt nie będzie was wspierał w waszej pracy. Jedy-
nym waszym oparciem będzie idea, której poświęciliście ży-
cie. Nie liczcie ani na słowa zachęty, ani na pomoc koleżeńską.
Gdy kiedyś was złapią od organizacji nie otrzymacie żadnej
pomocy. Nigdy nie pomagamy naszym członkom. Czasem,
gdy jest rzeczą pożądaną by aresztowany milczał — usiłu-
jemy dostarczyć mu do celi żyłkę.

Musicie przywyknąć do życia bez nadziei i bez sukcesów.
Popracujecie dla sprawy przez pewien czas. W końcu złapią
was — przyznacie się, pokajacie i zginiecie. To są jedyne
rezultaty na jakie możecie liczyć. Nie istnieją żadne możli-
wości by za naszego życia nastąpiły jakieś widoczne zmiany.
My jesteśmy skazani na śmierć — jesteśmy umarłymi. Cała
nasza nadzieja to — przyszłość. Choć przyszłości tej docze-
kamy jako garstka popiołu.

Ile lat dzieli nas jeszcze od zwycięskiej przyszłości — tego
nikt nie wie. Być może i tysiąc lat. W chwili obecnej nie
mamy innych możliwości jak rozszerzać stopniowo, krok za
krokiem — zasięg naszej idei. Nie możemy działać zbiorowo.
Możemy tylko rozpowszechniać naszą wiedzę i światło od
jednostki do jednostki, od człowieka do człowieka. I tak
działać musimy wytrwale z pokolenia na pokolenie. W obli-
czu Policji Myśli nie mamy innej drogi przed sobą.

O'Brien zamilkł i spojrzął po raz trzeci na zegarek.

— Na was już czas, towarzyszek! — zwrócił się do Julii.
Lecz może jeszcze chwileczkę, mamy przecież pół karafki
wina.

Napelniał kieliszki i swój uniósł w górę jakby do toastu.

— Jakież zdrowie wzniesiemy na ostatku? — rzucił pyta-
nie, a w głosie jego zadrgał delikatny akcent ironii. — By
pomieszało się w głowach członków Policji Myśli? Może wy-
pijemy na pohybel Wielkiemu Bratu? Czy na zdrowie ludz-
kości? Czy za pomyślną przyszłość?

— Wypijmy zdrowie przeszłości — powiedział Winston.

— Istotnie, przeszłość jest ważniejsza — przytaknął
O'Brien z powagą.

Wypili. Julia odsunęła krzesło. O'Brien sięgnął po małe
pudełeczko, które stało na szafce obok, wyjął z niego białą
pastylkę i polecił Julii wziąć ją do ust.

— Jest rzeczą ważną, towarzyszek — dodał tonem objaśnie-
nia — żeby nikt nie poznał po zapachu, że piliście tutaj wino.
Służący obsługujący windy obserwują wszystko najdokładniej.

Gdy tylko Julia wyszła, O'Brien zapomniał natychmiast

całkowicie o jej egzystencji. Przez chwilę krążył po gabinecie wreszcie przystanął i odczwał się:

— Musimy jeszcze ustalić kilka szczegółów. Przypuszczam, że macie jakąś kryjówkę?

Winston opowiedział w kilku słowach o pokoiku nad antykwarnią p. Charringtona.

— Na razie powinno to wam wystarczyć — powiedział O'Brien. — Później urządzimy was inaczej. Jest rzeczą ważną często zmieniać kryjówki. W tych dniach pošlę wam księgę.

Winston zauważył, że nawet O'Brien słowo „księga“ wymawia z takim naciskiem jakby napisane było kursywą.

— Mam na myśli książkę Goldsteina — mówił dalej O'Brien. — Wyślę ją wam jak tylko zdołam to zorganizować. Może jednak potrwać kilka dni zanim zdobędę egzemplarz. Jak się zapewne domyślacie, nie ma ich wiele w obiegu. Policja Myśli dniem i nocą poluje na tę książkę i niszczy każdy egzemplarz jaki jej wpadnie w ręce tak, że ledwo nadążamy z drukiem nowych wydań. Lecz to jest bez znaczenia, bo treść księgi jest niezniszczalna. Choćby zniszczyli ostatni istniejący egzemplarz i tak zdołalibyśmy ją odtworzyć słowo po słowie. Ach, jeszcze jedno — dodał po krótkiej pauzie — czy do biura chodzicie z teczką?

— Zasadniczo tak.

— Jak wasza teczka wygląda?

— Czarna, bardzo zniszczona, zapina się na dwa paski.

— Czarna, zniszczona; z dwoma paskami . . . dobrze. A teraz uważajcie! Któregoś dnia w niedalekiej przyszłości — trudno mi podać dokładną datę — jedno z poleceń jakie otrzymacie rano w Ministerstwie zawierać będzie błędnie wypisane słowo. Poprosicie o wyjaśnienie tego błędu. Następnego ranka pójdziecie do biura bez teczki. Tegoż dnia uderzy was ktoś lekko w ramię na ulicy i powie: „Wydaje mi się, towarzyszu, że zgubiliście swoją teczkę“ i wręczy wam tekę, która zawierać będzie Księgę. Zwróćcie ją po dwóch tygodniach.

Przez chwilę milczeli.

— Jeszcze zostało nam parę minut. Powinniśmy się jeszcze spotkać, jeżeli w ogóle kiedykolwiek się jeszcze spotkamy — uśmiechnął się O'Brien.

Winston spojrział mu w oczy i powiedział z pewnym wahaniem:

— Spotkamy się w miejscu, gdzie nie ma ciemności . . .

O'Brien skinął głową bez jakiegokolwiek zdziwienia.

— Spotkamy się w miejscu, gdzie nie ma ciemności — powtórzył za Winstonem, jakby zrozumiał jego aluzję. — Po chwili dodał: — Może nim wyjdziecie, chcielibyście się jeszcze o coś zapytać? Jakies zlecenie? Jakies życzenie?

Winston zastanawiał się. Nie miał już właściwie ochoty o nic się pytać, ani nie chciał poruszać więcej tzw. spraw

zasadniczych. W jego wyobraźni zarysował się nagle obraz stacji jego życia — ciemny pokój, w którym spędził ostatnie dni z matką, jego kryjówka nad sklepem p.Charringtona, szklany przycisk z zatopionym koralem, staloryt oprawny w ramy z różanego drzewa.

Po chwili zapytał bez żadnego związku z poprzednią rozmową:

— Czyście kiedy słyszeli staroświecki wierszyk, który zaczyna się od słów: „pomarańcze i cytryny — śpiewają dzwony Św.Klemensa“?

O'Brien skinął głową i z powagą zadeklamował:

„Pomarańcze i cytryny — śpiewają dzwony Św.Klemensa — Jesteś mi winien trzy Farthing'i — śpiewają dzwony Św.Marcina

Kiedy mi zapłacisz? — śpiewają dzwony Old Bailey —

Kiedy będę bogaty — śpiewają dzwony Shoreditch.“

— Czy znacie również ostatnią linijkę? — zapytał Winston.

— Tak, znam ostatnią linijkę, lecz na was jest już czas. Lecz weźcie może jeszcze taką białą pastylkę.

Winston wstał. O'Brien wyciągnął do niego rękę. Wymienili mocny uścisk dłoni.

Winston obrócił się jeszcze, gdy był już w drzwiach. Lecz O'Brien nie myślał już o nim. Z ręką na kontakcie tele-ekranu czekał aż Winston zamknie za sobą drzwi. W głębi stało biurko, a na nim lampa z zielonym abażurem — dyktafon, kosze pełne papierów. Epizod dobiegł końca. Winstonowi przyszło na myśl, że w przeciągu 30 sekund O'Brien powróci do przerwanej ważnej pracy dla dobra Partii — jakby w ogóle nic nie zaszło.

IX.

Winston trząsł się ze zmęczenia jak galareta. Określenie to przyszło mu na myśl samorzutnie i uważał, że najlepiej odmalowuje jego stan. Miał wrażenie, że jego ciało nie tylko jest galaretowate, lecz również przezroczyste jak żelatyna. Czuł, że gdyby podniósł rękę światło przeświecało by przez mięśnie dłoni.

Szalony wysilek, jaki włożył w ogrom pracy, wysączył z niego resztki krwi i limfy. Pozostał szkielet kostny, skóra i nerwy. Jego wrażliwość na wszelkiego rodzaju bodźce spotęgowała się niepomierne. Kombinezon ocierał skórę na ramionach, kamienie chodnika uwierały go w stopy, a nawet otwarcie, czy zamknięcie dłoni stanowiło wysilek, od którego trzeszczały stawy.

Miał za sobą przeszło 90 godzin pracy na przestrzeni 5 dni podobnie zresztą jak i wszyscy inni urzędnicy ministerstwa. Teraz było już po wszystkim i nie miał dosłownie nic do roboty, ani żadnych zajęć partyjnych aż do jutra rana. Mógł spędzić 6 godzin w swojej kryjówce i następnych 9 godzin w swoim łóżku.

Było łagodne, wczesne popołudnie. Szedł wolno brudnawymi zaułkami, w kierunku sklepu p.Charringtona. Rozglądał się bacznie, by nie natknąć się na patrol policyjny, choć równocześnie odczuwał na niczym zresztą nie opartą pewność, że tego popołudnia nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Wypchana teczka ciążyła mu nieznośnie, objijając się o kolano przy każdym kroku. Powodowało to nerwowy skurcz od kolana w dół nogi. W teczce niósł „Księgę“, którą miał u siebie już od sześciu dni, ale której nawet nie obejrzał. Szóstego dnia Tygodnia Nienawiści — już po defiladach i mowach, po okrzykach i śpiewach, po filmach, i wystawach modeli — po udekorowaniu całego miasta sztandarami i plakatami — po biciu w bębny i odtrąbieniu wszystkich fanfar — gdy już przemaszzerowały milionowe armie demonstrujących, przewały się czołgi w szcękę gąsienic — gdy przeleciały niezliczone eskadry samolotów i przebrzmiały salwy z tysiąca dział — po sześciu dniach tych orgii, gdy napięcie uczuć, tłumów stanęło w zenicie, a nienawiść do Eurazji przemieniła się w obłęd tego rodzaju, że gdyby 2000 eurazyjskich kryminalistów wojennych oczekujących na publiczną egzekucję dostało się nagle w ręce rozfanatyzowanych tłumów rozerwano by ich na sztuki — w tym właśnie momencie ogłoszono, że Oceania nie była wcale w wojnie z Eurazją. Oceania była w wojnie z Wschodnio-Azją. Eurazja była państwem sprzymierzonym.

Nie przyznano oczywiście, że zaszła jakakolwiek zmiana. Po prostu stało się powszechnie wiadome — nagle i wszędzie równocześnie, że Wschodnio-Azja, a nie Eurazja jest wrogiem.

W chwili, gdy to się działo Winston brał udział w wielkiej demonstracji, na jednym z centralnych placów Londynu. Była noc. Blade twarze i czerwone sztandary zalane były światłem reflektorów. Plac zapełniały tysiące ludzi. Tysiąc uczniów w mundurach Zwiadowców tworzyło żywy czworobok. Na podium wybitym czerwienią stał mówca z Wewnętrznej Partii. Był mały, szczupły, o nieproporcjonalnie długich rękach a na jego łysej, wielkiej czaszce wiły się rzadkie pasemka włosów. Sprawiał wrażenie jakiejś niesamowitej marionetki o twarzy wykrzywionej w maskę nienawiści. Jedną ręką ścisnął uchwyt mikrofonu, podczas gdy drugą, jak sępią szponiastą łapę, groźnie zawiesił w powietrzu. Głośniki nadawały jego głosowi metaliczny, głuchy podźwięk. Z ust mówcy płynął nieprzerwany potok słów, jakby odczytywał potworny katalog zbrodni, tortur, deportacji, rabunków, gwałtów, znęcań się nad jeńcami, bombardowań cywilnej ludności, kłamstw propagandy, cynicznych agresji, pogwałconych umów itp.

Wydawało się, że samo przysłuchiwanie się temu rejestrowi potworności grozi obłędem. Od czasu do czasu furia tłumów

przechodziła w dziki ryk, który głuszył przemówienie. Najbardziej zwierzęcy ryk dochodził z czworoboku młodocianych Zwiadowców.

Przemówienie trwało już chyba z 20 minut, gdy nagle na trybunie pojawił się posłaniec, który wręczył mówcy zwitek papieru.

Mówca rozwinął papier i nie przerywając ani na chwilę przemówienia przebiegł oczyma treść polecenia. Mówił z furją dalej, nie zmieniawszy tonu, ani gestykulacji, ani argumentów tylko nagle nazwy krajów były inne niż dotychczas.

Tłum pojał. Choć nie padło żadne słowo, morze głów zakolysało się nagle. Oceania jest w wojnie z Wschodnio-Azją!

W następnej minucie rozpoczął się tumult. Flagi i afisze, którymi udekorowano plac nie miały w tej chwili żadnego sensu. Plakaty reprezentowały niewłaściwe twarze — te był sabotaż! Agenci Goldsteina maczali w tym palce! Zaczęto zrywać afisze i drzeć flagi na strzępy. Zwiadowcy dokonywali cudów zwinności wspinając się na dachy, by ogołocić kominy i gzymy z girland i proporczyków.

W kilka minut było po wszystkim. Przez cały czas mówca partyjny mówił nieprzerwanie, jedną ręką ściskając namiętnie nasadę mikrofonu, drugą wygrażając i wymachując w powietrzu.

Po chwili, nowy ryk wybuchł z piersi tłumu. Nienawiść wyładowywała się w ten sam sposób — jedynie jej przedmiot uległ zmianie.

Na Winstona największe wrażenie wywarł fakt, że mówca partyjny przestawił się z Eurazji na Wschodnio-Azję dokładnie w pół-zdania i nie tylko nie przerwał, ale nawet nie zmienił szybko rozpoczętego zdania. Ale w tym właśnie momencie, Winston zajęty był zupełnie czymś innym. W chwili ogólnego zamieszania wywołanego zdzieraniem afiszów i darcie flag — jakiś człowiek, którego twarzy nie dojrzał — uderzył go lekko w ramię i powiedział: „Przepraszam, wydaje mi się, że zgubiliście teczkę, towarzyszu!“ — Winston pozorując roztargnienie wziął z jego rąk teczkę nie powiedziawszy słowa. Wiedział, że minie wiele dni zanim znajdzie wolną chwilę, by móc zajrzeć do jej wnętrza.

Bezpośrednio po zakończeniu demonstracji, chociaż dochodziła już godzina 23 — Winston poszedł natychmiast do Ministerstwa. Wszyscy urzędnicy postąpili podobnie. Rozkazy wzywające wszystkich urzędników, by stawili się w miejscach pracy, które powtarzały tele-ekrany — były całkowicie zbędne.

Oceania jest w wojnie z Wschodnio-Azją. Oceania była zawsze w wojnie z Wschodnio-Azją. 90 % literatury politycznej i urzędowych pism — dorobek ostatnich pięciu lat, nagle stały się po prostu nonsensem! Sprawozdania, wszelkiego rodzaju raporty, gazety, broszury, filmy, książki, kroniki

dźwiękowe i fotografie — wszystko to należało poddać korekcie w błyskawicznym tempie.

Choć nie wydano oficjalnie takiej instrukcji, urzędnicy wiedzieli, że szefowie działów życzą sobie, by na przestrzeni tygodnia z powierzchni ziemi znikł wszelki ślad, czy wzmianka o wojnie z Eurazją, lub o przymierzu z Wschodnio-Azją.

Ogrom pracy był tym trudniejszy do pokonania, że całego procesu i czynności z nim związanych nie można było nazywać po imieniu. Wszyscy urzędnicy Działu Dokumentów pracowali po osiemnaście godzin na dobę — śpiąc dwie, lub trzy godziny. Wydobyto z piwnic materace i rozłożono na korytarzach. — Posiłki składały się z kanapek i kawy „Zwycięstwo“, którą rozwozono na wózkach.

Winston, gdy odrywał się od pracy, znużony niemal do nieprzytomności staiał się wprawdzie ukończyć bieżącą robotę. Jednak gdy obolały i zaspany wracał do swej kabiny zastawał biurko zawałone lawiną papierowych rolek, które pokrywały dyktafon i spływały obfitym strumieniem na podłogę. Pierwszą jego czynnością było porządkowanie materiału, bo inaczej nie miałby po prostu gdzie pracować.

Najgorsze było to, że praca nie była bynajmniej czysto mechaniczna. Często wystarczało zwyczajnie zamienić nazwę jednego kraju na nazwę drugiego kraju, ale w wypadkach bardziej szczegółowych sprawozdań, trzeba było wiele uwagi, a często i wyobraźni by wybrnąć z sytuacji. Trzeba było również pewnej znajomości geografii, by przenieść wojnę z jednej części świata do drugiej.

Trzeciego dnia, ból oczu był nie do zniesienia i Winston co parę minut przecierał okulary. Praca stawała się jakimś koszmarem syzyfowego wysiłku, który przerasta ludzkie siły i możliwości. Teoretycznie można się było uchylić od tego wszystkiego, ale równocześnie jakiś maniacki upór i zawziętość nakazywały podolać i sprostać zadaniu.

O ile dziś pamiętał — fakt, że każde jego słowo wyszeptane w tubę dyktafonu i każde pociągnięcie ołówka były aktem fałszerstwa — nie napelniał go niepokojem. Przeciwnie, podobnie jak wszystkim innym urzędnikom Działu Dokumentów, Winstonowi zależało na tym, aby fałszerstwo nosiło cechy doskonałości.

Wreszcie rankiem, szóstego dnia, strumień rolek płynący z otworu poczty pneumatycznej zaczął maleć. Przez pół godziny nic nie spadło na biurko — potem zjawiała się jedna rolka i znów przez dłuższy czas — nic. Wszędzie o tym samym czasie nawał pracy nagle zaczął maleć. Głębokie, choć tajone westchnienie ulgi wyrwało się z piersi dziesiątków urzędników. Wielkie zadanie o którym nikt nigdy się nie dowie — zostało dokonane. Dokumenty, które pozwoliłyby komukolwiek udowodnić, że wojna przeciw Eurazji była faktem historycznym — przestały istnieć.

O dwunastej ogłoszono niespodzianie, że urzędnicy Ministerstwa są wolni, aż do następnego ranka.

Winston powlókł się do domu z teczką. Nie rozstawał się z nią ani na chwilę — w czasie pracy trzymał ją na podłodze pod nogami — w czasie snu pod głową. W domu ogolił się i omał nie zasnął w wannie, choć woda była zaledwie letnia. Teraz, z rozkosznym uczuciem odprężenia wdrapywał się po schodach do pokoiku nad sklepem p.Charringtona. Był bardzo zmęczony, ale już nie był senny. Otworzył okno, zapalił kuchenkę naftową i postawił wodę na kawę. Julia przyjdzie za chwilę, a tymczasem — Księga!

Usiadł wygodnie w obszarpanym fotelu i wolno odpinał paski teczki. Księga to był czarny, po amatorsku oprawiony tom, bez żadnego napisu na okładkach. Druk sprawiał również wrażenie nie fachowej roboty. Kartki były wytarte na brzegach, poplamione i nosiły ślady wielu rąk.

Strona tytułowa brzmiała:

TEORIA I PRAKTYKA OLIGARCHICZNEGO KOLEKTYWIZMU

napisał:

EMANUEL GOLDSTEIN

Winston zaczął czytać:

R o z d z i a ł I. NIEWIEDZA JEST SIŁĄ

Od niepamiętnych czasów, prawdopodobnie od końca epoki neolitycznej, ludzie dzielili się na trzy grupy: klasę najwyższą (rządzącą) — średnią i proletariat. Ludzkość знаła w różnych okresach najrozmaitsze linie podziałów, podziały te nosiły różne nazwy. Zarówno siła wyżej wymienionych grup, jak i ich wzajemny ilościowy stosunek — ulegał wahaniom w różnych epokach historycznych. Mimo to jednak, istota samego podziału pozostała bez zmian. Nawet po wielkich przewrotach i kataklizmach, które — zdawać by się mogło pociągały za sobą nieodwracalne przemiany — struktura społeczna wracała nieodmiennie do ram tego samego układu, podobnie jak żyroskop wraca zawsze do linii poziomu, bez względu na to, jakim poddaje się go odchyleniom.

Cele wymienionych trzech grup społecznych są najzupełniej sprzeczne ze sobą.

Winston przerwał lekturę. Rozkoszował się samym faktem czytania w wygodzie i w bezpieczeństwie. Był sam, bez teleekranu, bez obawy, że podsłuchuje go ktoś przez dziurkę od klucza. Nie musiał nerwowo oglądać się, ani przysłaniać ręką tego co czytał. Na twarzy czuł ciepły letni powiew wiatru. Z oddali dobiegały wesole okrzyki bawiących się dzieci. W

pokoju panowała cisza, przerywana jedynie tykaniem zegara przypominającym brzęczenie owada.

Usadowił się głębiej w fotelu i oparł nogi o kratę przed kominkiem. Oto była prawdziwa rozkosz! Nagle — jak czyni się to czasem z książką co do której ma się pewność, że i tak przeczyta się ją słowo po słowie, od deski do deski — otworzył księgę w innym miejscu i zaczął czytać Rozdział III.

WOJNA JEST POKOJEM

Rozpadnięcie się świata na trzy gigantyczne państwa, było wydarzeniem, które można było przewidzieć i istotnie przewidziano, już w połowie dwudziestego wieku. Gdy Europa uległa wchłonięciu przez Rosję, a Stany Zjednoczone zagarnęły Imperium Brytyjskie, istnienie dwóch z dzisiejszych trzech mocarstw tj. Eurazji i Oceanii stało się faktem dokonanym. Trzecie mocarstwo tj. Wschodnio-Azja powstało dopiero po dziesięciu latach krwawych i zawiłanych wojen.

Granice oddzielające te mocarstwa, na niektórych odcinkach są jasno i trwale wykreślone — w wielu miejscach są płynne i zmieniają się zależnie od sytuacji wojennej — na ogół jednak są to granice naturalne, wyznaczone położeniem geograficznym.

Eurazja obejmuje całą północną część kontynentu Europy i Azji — od Portugalii po cieśninę Beringa. W skład Oceanii wchodzi obie Ameryki, wyspy na Atlantyku włącznie z wyspami Brytyjskimi, Australia i Południowa Afryka. Wschodnio-Azja jest mniejsza obszarowo i jej zachodnie granice są płynne. Obejmuje Chiny, kraje leżące na południe od Chin, wyspy Japońskie i wielką połą Mandżurii, Mongolię i Tybet.

Te trzy państwa kolosy są ustawicznie w stanie wojny choć ich wzajemne sojusze i układy ulegają zmianom. Taki stan rzeczy trwa nieprzerwanie od dwudziestupięciu lat.

Wojna obecna nie jest już jednak ową rozpaczliwą walką dążącą do całkowitego zniszczenia przeciwnika. Taki charakter miały jeszcze wojny, toczone w pierwszych dziesiątkach lat dwudziestego wieku.

Wojny obecne są wojnami o ograniczonych celach. Przeciwnicy nie są dziś w możności zniszczyć jeden drugiego — nie mają żadnych materialnych powodów czy korzyści by prowadzić wojnę i nie dzielą ich żadne istotne różnice ideologiczne.

Byłoby jednak wielkim błędem przypuszczać, że na skutek tych zmian stosunek do wojny, czy prowadzenie działań wojennych stało się mniej barbarzyńskie, a bardziej rycerskie. Wprost przeciwnie, histeria wojenna jest obecnie we wszystkich krajach zjawiskiem powszechnym, a akty tego rodzaju jak rabunek, gwałty, mordowanie dzieci, zamienianie całych prowincji w obozy koncentracyjne — są wydarzeniami

na porządku dziennym. Stosowanie odwetu i zemsty na jeńcach wojennych — włącznie z gotowaniem, lub paleniem żywcem — uważa się dziś za zjawisko normalne. Jeżeli aktów tych w danym okresie nie dopuszcza się wróg, tylko Oceania, wykonawcom nie skąpi się pochwał i uznania.

W porównaniu z dawniejszymi wojnami, w obecnych wojnach bierze udział niezmiernie mało ludzi. Wojnę prowadzą wyszkoleni specjaliści i wskutek tego ilościowe straty na frontach są znacznie mniejsze niż dawniej.

Walki toczą się wzdłuż płynnych, nieustalonych granic. O zarysach tych granic przeciętny obywatel ma tylko bardzo mgliste wyobrażenie. Na morzach boje toczą się wokół „Pływających Fortec“ które strzegą ważnych strategicznie punktów.

W wielkich skupiskach ludności wojna oznacza przede wszystkim ustawiczny brak artykułów pierwszej potrzeby i od czasu do czasu pewną ilość zabitych na skutek bomb raketowych.

W istocie wojna zmieniła całkowicie swój charakter. Uległy również przewartościowaniu przyczyny wojen. Motywy, które tylko w drobnej mierze wywierały wpływ na wojny w pierwszych dziesiątkach lat dwudziestego wieku — obecnie stały się zagadnieniami naczelnymi.

Aby zrozumieć charakter obecnej wojny (bo mimo pręgrupowań które powtarzają się co kilka lat — to jest ciągle ta sama wojna) — w pierwszym rzędzie należy stwierdzić, że wojna obecna nie może skończyć się żadnym zdecydowanym wynikiem. Żadne z trzech, istniejących obecnie, mocarstw nie może być pokonane nawet przez koalicję dwóch pozostałych. Potencjały są zbyt wyrównane, a granice naturalne zbyt potężne i trudne do zdobycia.

Eurazja jest chroniona olbrzymimi połączeniami kontynentu, Oceania bezbrzeżnymi masami wód Atlantyku i Pacyfiku. Puklerzem Wschodnio-Azji jest rozrodczość i mrówcza pracowitość jej mieszkańców.

Poza tym w sferze materialnej — nie ma już po prostu o co walczyć! Z chwilą gdy trzy państwa giganty przeszły w całości na system gospodarki samowystarczalnej, uzależniając całkowicie spożycie od wytwórczości — walka o rynki zbytu, która w poprzednich wojnach była głównym motywem — obecnie straciła na znaczeniu. Z tych samych przyczyn walka o dostęp do źródeł surowcowych przestała być sprawą życia lub śmierci. Każda z trzech obecnych potęg dysponuje tak olbrzymimi i różnorodnymi przestrzeniami, że w ramach swych granic posiada właściwie wszystkie konieczne surowce.

Jeżeli obecna wojna ma w ogóle jakiś bezpośredni cel gospodarczy, to jest nim tylko chęć zdobycia ludzkiej siły roboczej.

Pomiędzy granicami trzech potęg leży wielki „czworobok“, którego obszary przechodzą ustawicznie z rąk do rąk. Gdyby połączyć linią: Tanger — Brazzaville — Darwin — Hong Kong, to otrzymalibyśmy czworobok, zamieszkały przez jedną piątą ludności świata. Wojna toczy się stale o panowanie nad tymi gęsto zaludnionymi obszarami i o terytoria wokół bieguna północnego. W praktyce żadna z potęg nie zdołała nigdy opanować w całości tych obszarów. Połączenie „czworoboku“ przechodzą ustawicznie z rąk do rąk. Nagła zdrada umożliwiła czasem zajęcie tej czy innej prowincji „czworoboku“ i to jest przyczyną wiecznych przemian sojuszników na wrogów i odwrotnie.

Obszary bezpieczeństwa „czworoboku“, są bogate w cenne minerały, oraz w surowce pochodzenia roślinnego jak kauczuk. W chłodniejszych strefach klimatycznych kauczuk trzeba wytwarzać syntetycznie co jest procesem bardzo kosztownym.

Lecz przede wszystkim „czworobok“ jest niewyczerpanym źródłem taniej siły roboczej. Którakolwiek z potęg panuje w danym momencie nad obszarami Afryki środkowej, Środkowego Wschodu, Indii Południowych czy Indonezyjskiego Archipelagu — dysponuje setkami milionów źle płatnych, a ciężko pracujących kulisów.

Mieszkańcy tych „niczyich“ obszarów zepchnięci mniej lub więcej oficjalnie do roli niewolników — ustawicznie przechodzą z rąk jednego władcy i zdobywcy do drugiego. Uważa się ich za surowiec równie cenny jak węgiel czy nafta. Surowce te podobnie jak praca kulisów — potrzebne są do wyścigu zbrojeń — zbrojenia zaś są konieczne, by móc dokonywać nowych podbojów i zdobyć niewolnicze ręce do pracy. Nowe terytoria i nowi kulisi pozwalają powiększyć zbrojenia — zbrojenia umożliwiają znów nowe podboje i tak w nieskończoność . . .

Należy zaznaczyć, że walki nie przekraczają niemal nigdy granic bezpieczeństwa „czworoboku“. Granice Eurazji biegną olbrzymimi zakosami pomiędzy basenem Konga a północnymi brzegami Morza Śródziemnego. Wyspy na Oceanie Indyjskim i na Pacyfiku są terenem ustawicznych walk i raz panuje nad nimi Wschodnio-Azja, raz Oceania. Na obszarach Mongolii sytuacja jest płynna, a granica pomiędzy Eurazją a Wschodnio-Azją nie była tam nigdy określonym pojęciem.

Poza tym, wszystkie trzy potęgi zgłaszają pretensje do obszarów podbiegunowych. Olbrzymie te terytoria są bardzo słabo zaludnione i mało zbadane.

Równowaga sił między tymi trzema kolosami pozostaje zawsze nienaruszona, a wojny toczą się w bezpiecznym „czworoboku“, nie docierając nigdy do właściwych granic państw-gigantów.

Oczywiście wyzysk uprawiany w stosunku do ludności

zamieszkującej obszary podzwrotnikowego „czworoboku“ nie jest konieczny, nawet z punktu widzenia gospodarki światowej. Ich praca niczego nie przysparza, albowiem cokolwiek się wytworzy obracane jest na cele wojny, z drugiej zaś strony jedynym celem wojny jest zdobyć lepsze możliwości prowadzenia wojny następnej. Niewolnicza praca milionów kulisów umożliwia jedynie zwiększenie tempa procesu wiecznej wojny. Lecz gdyby brakło tej niewolniczej pracy milionów ludzi, nie miałoby to żadnego wpływu, ani na obecny ustrój świata, ani na jego gospodarkę.

Kardynalnym celem nowoczesnej wojny jest zużycie dóbr wytwarzanych masowo, dzięki produkcji maszynowej — unikając równocześnie ogólnego podniesienia stopy życiowej. Zgodnie z zasadami „dwój-myślenia“, ten cel wiecznej wojny jest równocześnie uznawany i nie uznawany przez kierownictwo Partii Wewnętrznej.

Zagadnienie co należy robić z nadwyżką dóbr konsumpcyjnych nie wybijało się na czoło nawet pod koniec XIX w. w społeczeństwach o wysoko rozwiniętym przemyśle. Dziś gdy tylko nieliczni jedzą do syta, problem ten nie jest oczywiście palący i nie istniałby w ogóle, nawet i wówczas, gdyby nie niszczone sztucznie dóbr konsumpcyjnych.

Dzisiejszy nędzny, zrujnowany i głodny świat jest pustynią w porównaniu ze światem, jaki istniał przed 1914 rokiem. Kontrast będzie pełniejszy, jeżeli uwzględnimy ówczesną wizję przyszłości do której ludzkość tego okresu tęskniła.

W początkach XX wieku, każdy wykształcony człowiek wyobrażał sobie, że w przyszłości wszyscy ludzie będą w pewnym stopniu zamożni, godziny pracy ludzkiej zostaną skrócone, a na całym świecie zapanuje ład i porządek. To była wizja naukowo-zorganizowanego świata, lśniącego szkłem, stalą i śnieżno-białym betonem.

W tym okresie postęp nauki, a specjalnie nauk technicznych, olśniewał swym wspaniałym rozwojem i perspektywami i cóż mogło być bardziej naturalne niż wiara, że postęp ten będzie trwał nadal.

Przyszłość zawiodła te nadzieje. Wizja nie ziściła się częściowo dlatego, że liczne wojny i rewolucje przyniosły ogromne ogólne zubożenie, a częściowo i z tej przyczyny, że postęp wiedzy i techniki związany jest ściśle z badawczą dyspozycją myślową jednostki. Tego typu postawa myślowa zanika w społeczeństwach totalitarnych i policyjnie rządzonych.

W wyniku ogólnym świat dzisiejszy jest niepomiernie bardziej prymitywny, niż świat sprzed pięćdziesięciu laty.

Pewne obszary, o bardzo niskim stopniu rozwoju wykazują postęp — dokonano również pewnych nowych ulepszeń w technice wojennej i szpiegowskiej — lecz wynalazczość i badania naukowe właściwie wygasły. Świat nie zdołał się już

nigdy w pełni podźwignąć z ruin i zniszczeń wojny atomowej z lat 1950-tych.

Mimo to jednak, zagadnienia związane z cywilizacją maszynową są nadal aktualne. Gdy pojawiły się pierwsze maszyny, było rzeczą oczywistą dla każdego myślącego człowieka, że została usunięta konieczność nadmiernej pracy, która stanowiła zawsze źródło społecznych nierówności. Gdyby maszyny miały służyć temu celowi — można by było na przestrzeni kilku pokoleń zlikwidować głód, nędzę, analfabetyzm, przepracowanie i większość chorób. Mimo, że cywilizacji maszynowej nie wykreślono takiego programu, to jednak maszyny przez sam fakt, że wytwarzały dobra, które musiało się rozpowszechnić — automatycznie podniosły wybitnie stopę życiową jednostki w końcowych dziesiątkach lat XIX i w pierwszych dziesiątkach lat XX wieku.

Lecz było również rzeczą oczywistą, że powszechny wzrost dobrobytu i zamożności groził zniszczeniem struktury hierarchicznego społeczeństwa. Albowiem w świecie w którym każdy człowiek pracowałby tylko kilka godzin dziennie, miałby dość pożywienia, posiadałby mieszkanie z łazienką i lodówką, miałby samochód, a może nawet i samolot — znikłaby najoczywistsza i najbardziej istotna przyczyna nierówności. Innymi słowy gdyby zamożność stała się powszechna, straciłaby tym samym właściwość wyróżniania.

Niewątpliwie jest rzeczą możliwą wyobrazić sobie społeczeństwo w którym bogactwa — w sensie osobistej zamożności — byłyby sprawiedliwie i równo rozdzielone — władza natomiast spoczywałaby w rękach nielicznej uprzywilejowanej kasty. Lecz w praktyce, równowaga takiego społeczeństwa musiałaby być bardzo chwiejna. Albowiem, gdyby wszyscy w równej mierze i w równym stopniu korzystali z wolnego czasu i zamożności — olbrzymie masy ludzkie, które w ciemnocie utrzymuje ubóstwo — zdobyłyby wykształcenie, a wraz z nim świadomość, że doskonale mogą rządzić się same. W rezultacie, wcześniej, czy później oświecone masy doszłyby do wniosku, że kasta uprzywilejowana nie spełnia żadnej funkcji społecznej i należy ją usunąć.

Na długą metę hierarchiczną strukturę społeczną można utrzymać jedynie w oparciu o nędzę i ciemnotę.

Powrót do rolniczej przeszłości — o czym marzyło kilku myślicieli na przełomie XX wieku — nie był praktycznym rozwiązaniem. Powrót do agrarnej struktury byłby sprzeczny z tendencją do mechanizacji i uprzemysłowienia. Tendencje te weszły już w krew narodów świata i pęd do uprzemysłowienia jest już niemal w połowie instynktowny. Poza tym kraj, który nie rozwijał swojego przemysłu stawał się bezbronny w sensie wojskowym i popaść w końcu musiał w taką, czy inną formę zależności od państwa bardziej uprzemysłowionego.

Nie okazało się również zadawalającym rozwiązaniem ograniczenie wytwórczości. Stosowano tę metodę w końcowej fazie epoki kapitalistycznej, która przypada mniej-więcej na okres 1920-40. Gospodarka w wielu krajach w tym czasie przeżywała okres zastoju — wielkie połacie ziemi przestano uprawiać — nie czyniono żadnych kapitałowych wkładów czy inwestycji. Masy ludności były pozbawione pracy i utrzymywano je przy życiu przy pomocy głodowych zasiłków wypłacanych z kas państwowych.

Lecz i ten system pociągał za sobą zmniejszenie możliwości obronnych, a ponieważ rosnące zubożenie było rażąco bezcelowe — system ten budzić musiał sprzeciwy i opozycje.

Zagadnienie kardynalne brzmiało: jak utrzymać pełną wytwórczość przemysłową, a równocześnie nie dopuścić do tego, by ludzie na świecie stawali się coraz zamożniejsi? Musi się wytwarzać (jeżeli przemysł ma kwitnąć) lecz nie należy rozpowszechniać wyprodukowanych dóbr. Jediną praktyczną drogą, która prowadzi do tego celu, jest nieustająca wojna.

Istotnym aktem wojny jest zniszczenie — zniszczenie nie koniecznie ludzi, lecz przede wszystkim owoców ich pracy. Wojna oznacza rozbicie w pył i proch, lub puszczenie z dymem, lub zatopienie na dnie oceanów — dóbr i materiałów, które inaczej zużytkowane, mogłyby wzmóc niepożądane dobrobyt szerokich mas. W konsekwencji masy stałyby się zbyt inteligentne i oświecone.

Nawet wówczas, gdy narzędzia wojny nie są niszczone, wytwórczość zbrojeniowa jest dogodną metodą wydatkowania energii robotników na cele bezproduktywne.

Konstrukcja „Pływającej Fortecy“ pochłania ogrom pracy robotników, którzy, tym samym wysiłkiem, mogliby zbudować kilkaset statków handlowych. Po kilku latach, fortecę rozbiera się na złom jako przestarzałą. Przez czas swego istnienia dzieło to nie przyniosło nikomu żadnej materialnej korzyści. Niemniej takim samym nakładem kosztów i pracy buduje się fortecę następną.

W zasadzie, zbrojenia planuje się w ten sposób, by ich koszt pochłoniął nadwyżkę, jaka pozostaje po zaspokojeniu najkonieczniejszych potrzeb życiowych społeczeństwa. W praktyce, te „konieczne potrzeby“ szacuje się bardzo nisko i wskutek tego mamy stały brak artykułów, które zaliczyć trzeba do kategorii pierwszej potrzeby.

Lecz taki stan rzeczy uważa się za korzystny. Celowo planowaną polityką utrzymuje się nawet uprzywilejowane grupy społeczne na krawędzi nędzy, albowiem stan powszechnego ubóstwa wzmaga wagę drobnych przywilejów, a przywileje pogłębiają przepaść dzieląca jedną grupę społeczną od drugiej.

W porównaniu ze stopą życiową z pierwszych lat XX wieku nawet członkowie Partii Wewnętrznej wiodą życie

poniekąd ciężkie i pracowite. Mimo to, luksus z jakiego korzystają — obszerne mieszkanie, lepsze gatunkowo ubrania, lepsze jedzenie, alkohole, tytoń, dwóch, lub trzech służących, samochód lub helikopter — wszystko to sprawia, że członek Partii Wewnętrznej żyje w innym świecie niż towarzysz z Partii Zewnętrznej. Ci ostatni żyją znów w lepszych warunkach w porównaniu z poniewieranymi szerokimi masami, które określamy mianem „proletów“.

Nasz obecny układ społeczny przypomina atmosferę oblężonego miasta, gdzie posiadanie kawałka koniny jest wykładnikiem różnicy pomiędzy bogactwem a nędzą.

Ponieważ Oceania jest w stanie wiecznej wojny, utwierdza to w społeczeństwie poczucie niebezpieczeństwa. Psychoza zagrożenia sprawia, że przekazanie całości władzy nielicznej grupie wydaje się nie tylko naturalne, ale wprost konieczne w imię przetrwania.

Wojna — jak to jeszcze wykażemy — nie tylko dokonuje koniecznych zniszczeń, lecz co ważniejsze, wypełnia to zadanie w sposób, który umożliwia psychologiczną aprobatę tego procesu.

W zasadzie, byłoby rzeczą zupełnie prostą wydatkować nadmiar sił roboczych w inny, równie bezproduktywny sposób. Można by budować świątynie, czy piramidy, kopać tunele i zasypywać je z powrotem lub wreszcie wytwarzać towary, a następnie je palić. Lecz tego rodzaju postępowanie stworzyłoby jedynie gospodarczą podstawę dla układu hierarchicznego społeczeństwa. Proces ten nie stwarzałby jednak koniecznych warunków emocjonalnych.

Nie jest, w tym wypadku, zagadnieniem poziom moralny szerokich mas. Co masy myślą, lub czują — jak długo konieczność zmusza je do ustawicznej pracy — jest całkowicie obojętne. Ważna jest natomiast moralność Partii.

Nawet od najzwyczajszego członka Partii oczekuje się pracowitości, zaradności, a nawet inteligencji w pewnym ograniczonym zakresie. Jest jednak również rzeczą konieczną by był on łatwowiernym fanatykiem, którego życie uczuciowe przejawia się wyłącznie w strachu, nienawiści, uwielbieniu (wodza) i w poczuciu zwycięstwa.

Innymi słowy jest rzeczą niezbędną, aby przeciętny członek Partii stanowił typ „mentalności wojennej“. Dla ludzi o tego rodzaju organizacji psychicznej nie jest rzeczą zasadniczą czy wojna już wybuchła, czy jeszcze nie. Jeżeli wojna już się toczy, nie jest rzeczą istotną jakie są jej koleje, bo osiągnięcie decydującego zwycięstwa i tak nie jest możliwe. Ważne i konieczne jest jedynie to, aby istniał stan wojenny!

Rozdwojenie myśli, którego Partia wymaga od swoich członków jest łatwiejsze do osiągnięcia w stanie wojny. Dwójmyślenie jest dziś powszechne, ale im ktoś wyższe zajmuje

stanowisko w hierarchii partyjnej, tym wyższy stopień tej umiejętności jest wymagany.

Histeria wojenna i nienawiść osiągają niewątpliwie szczyt napięcia w kołach Partii Wewnętrznej.

Członek Partii Wewnętrznej, zajmujący wysokie administracyjne stanowisko — często wie doskonale, że taka, czy inna wiadomość z frontu jest kłamstwem. Zdaje sobie również sprawę z faktu, czy dana wojna jest pozorana, a jeżeli istnieje w rzeczywistości, wie że jej istotne cele są zupełnie różne od tych, jakie podano do publicznej wiadomości. Lecz tego rodzaju sprzeczności są łatwo neutralizowane techniką „dwój-myślenia”. W sumie, każdy członek Partii Wewnętrznej wierzy niezachwianie i mistycznie, że wojna jest rzeczywistością i że zakończyć się musi zwycięstwem i opanowaniem całego globu ziemskiego przez Oceanię. Wszyscy członkowie Partii Wewnętrznej wierzą jak w dogmat i artykuł wiary, że kiedyś świat podbity zostanie przez Oceanię.

Cel ten, Partia ma nadzieje osiągnąć albo przez stopniowe podboje, co umożliwiło by zmobilizowanie przygniatającej potęgi albo przez skonstruowanie nowych broni, wobec których przeciwnik będzie bezbronny.

Badania w tym kierunku prowadzone są nieustannie i to jest dziś jedyne pole, gdzie wynalazczość ludzka znajduje jeszcze ujście. W Oceanii, nauka w dawnym sensie tego słowa — przestała istnieć. Słownik „nowo-mowy” nie zawiera w ogóle wyrazu „Nauka”.

Empiryczna metoda myślenia, która stanowiła podstawę wszystkich naukowych osiągnięć w przeszłości jest całkowicie sprzeczna z zasadami „Anglo-Soc”.

Technologiczny postęp istnieje wprawdzie, ale tolerowany jest tylko wówczas, jeżeli ma na celu pomniejszanie sfery wolności. (Np. tele-ekran). We wszystkich innych dziedzinach wiedzy panuje zastój i zacofanie. Pola orze się dzisiaj końmi — maszyny natomiast piszą powieści.

Tylko w zagadnieniach najwyższej doniosłości — przez co należy rozumieć oczywiście wojnę i technikę szpiegowsko-policijną — badania i doświadczenia są polecane, a w każdym bądź razie tolerowane.

Partia ma przed sobą tylko dwa cele: opanować i podbić cały świat oraz zdusić raz na zawsze wszelką niezależną myśl ludzką.

To są dwa olbrzymie zagadnienia, które Partia pragnie rozwiązać. Pierwsze z nich sprowadza się do pytania jak odcyfrować myśli człowieka, wbrew jego woli — drugie zagadnienie wyraża się w pytaniu: jak wymordować kilkaset milionów ludzi w paru sekundach, bez ostrzeżenia? O ile dziś w ogóle można mówić o naukowych badaniach to ich jedynym celem są usiłowania znalezienia odpowiedzi technicznych na powyższe dwa problemy.

Współczesny uczony jest albo czymś pośrednim między psychiatrą a sędzią trybunału inkwizycyjnego, który z pedanterią bada wyrazy twarzy, ruchy, ton głosu — i studiuje wpływ narkotyków, szoków, hypnozy i tortur, jako instrumentów śledztwa — albo jest fizykiem, czy biologiem, interesującym się wyłącznie jedną dziedziną tj. uśmiercaniem.

W olbrzymich laboratoriach Ministerstwa Pokoju, na stacjach doświadczalnych ukrytych w głębi puszczy brazylijskich, w pustkowiach Australii, lub na dalekich wyspach Antarktydy — ekipy specjalistów pracują dniem i nocą. Jedni opracowują plany gospodarcze przyszłych wojen, inni przeprowadzają studia nad coraz większymi pociskami raketowymi, nad coraz potężniejszymi środkami wybuchowymi, nad coraz potężniejszym opancerzeniem czołgów. Jeszcze inni, prowadzą badania w nadziei wyprodukowania zjadliwszych niż dotąd gazów trujących, lub rozpuszczalnej trucizny, którą można by wytwarzać w takich ilościach, by wytrzebić wszelkie życie na całych kontynentach. Studiuje się również możliwości hodowania chorobo-twórczych bakterii, odpornych na wszelkie szczepionki. Są specjaliści, którzy planują budowę podziemnej torpedy, która by biegła pod powierzchnią ziemi jak łódź podwodna pod lustrem oceanu, lub jak samolot poprzez powietrze i byłaby niezależna od bazy-wyrzutni.

Nie brak i bardziej jeszcze fantastycznych pomysłów jak skupianie promieni słonecznych przy pomocy soczewek zawieszonych na wysokości wielu tysięcy kilometrów — lub wywoływanie sztucznych trzęsień ziemi i gwałtownych przypływów morza na drodze dowiercenia się do płynnego jądra ziemi.

Lecz żaden z tych pomysłów nie doczekał się realizacji. Również żadne z trzech państw-gigantów nie uzyskało przewagi w dziedzinie nowych broni. Co jednak najdziwniejsze, państwa te posiadają już broń bez porównania groźniejszą niż wszystkie projektowane wynalazki. Bronią tą jest bomba atomowa.

Chociaż Partia — zgodnie ze swą tradycją — głosi, że ta broń jest wynalazkiem partyjnym — faktem jest, że bomby atomowe znane już były w latach 1940-tych. Pierwszy raz na wielką skalę użyto je mniej więcej w dziesięć lat po tej dacie. W tym okresie zrzucono kilkaset bomb atomowych głównie na obszary europejskiej Rosji, na zachodnią Europę i na Północną Amerykę. W rezultacie, klasy rządzące w tych krajach doszły do wniosku, że gdyby spadło jeszcze kilka bomb, spowodowało by to rozpad zorganizowanych społeczeństw — co w konsekwencji pozbawiłoby władzy tych, którzy władzę tą dzierżyli.

Od tego czasu choć nigdy nie zawarto ani nawet nigdy nie proponowano zawrzeć odpowiedniego układu — żadna ze stron nie użyła więcej bomby atomowej.

Trzy państwa-giganty produkują jednak bomby atomowe i magazynują je w nadziei, że wcześniej czy później nadejdzie chwila kiedy będzie je można użyć w celu osiągnięcia ostatecznego zwycięstwa.

W ostatnich trzydziestu, czy czterdziestu latach, sztuka wojenna nie postąpiła naprzód. Helikoptery są obecnie więcej używane niż dawniej, samoloty bombowe zastąpiono w znacznej mierze pociskami raketowymi, a trudne do ochrony okręty wojenne zastąpiły niezatapialne „Pływające Fortece“. Lecz poza tym trudno zanotować jakiś postęp. Czołg, łódź podwodna, karabin maszynowy, a nawet zwykły karabin i ręczny granat są jeszcze ciągle w użyciu. Wbrew prasie i tele-ekranom opisującym ustawicznie krwawe rzezie — dramatyczne bitwy, które w kilku nieraz tygodniach pochłaniały setki tysięcy, a nawet miliony ofiar — należą do przeszłości.

Żadne z trzech państw-gigantów nie podejmuje dziś operacji z którą związane byłoby niebezpieczeństwo poważniejszej klęski. Jeżeli w ogóle organizowana jest jakaś większa akcja wojenna to przybiera ona zawsze formę zdradzieckiej napści na sojusznika.

Wszystkie trzy potęgi stosują tę samą metodę strategii a w każdym razie wmawiają w swych obywateli, że są wierne tej właśnie „szkole wojowania“. Doktryna ta głosi, że przy pomocy akcji zbrojnej, targów dyplomatycznych i aktów dobrze obmyślanej zdrady, należy opanować ważne strategiczne bazy i otoczyć pierścieniem rywalizujące państwo. Następnym krokiem jest podpisanie traktatu przyjaźni z otoczonym rywalem, w celu uspienia jego czujności. Nie wyklucza się, że proces „usypiania“ może trwać wiele lat. W tym czasie, w otaczających rywala bazach należy zgromadzić wielkie zapasy atomo-bombowych rakiet. W wybranym momencie, nastąpiłby zdradziecki atomowy atak, a zniszczenie które by w konsekwencji osiągnięto, byłoby tak straszliwe, że napastnik nie musiałby obawiać się odwetu. Wówczas należało by podpisać traktat przyjaźni z pozostałą (już tylko jedną) potęgą i przygotowywać ostateczną rozgrywkę.

Jest rzeczą oczywistą, że tego rodzaju strategia jest czystą fantazją, całkowicie nierealną. W rzeczywistości nie ma żadnych walk, z wyjątkiem obszarów podzwrotnikowych i okolic bieguna północnego. Żadne z mocarstw nie zaryzykuje inwazji wrogiego kraju. Tym się tłumaczy, że na wielu odcinkach granice pomiędzy trzema państwami są stałe. Eurazja mogłaby z łatwością zagarnąć np. Wyspy Brytyjskie, które geograficznie stanowią część Europy. Oceania natomiast, mogłaby pchnąć swoje granice na linię Renu, a może nawet Wisły. Lecz akt taki byłby sprzeczny z zasadą — nigdy **wprawdzie nie sformułowaną, ale mimo to przestrzeganą**

wiernie przez wszystkie trzy potęgi. Jest to zasada jedności kulturalnej w obrębach państw.

Gdyby Oceania podbiła kraje, które zwano dawniej Niemcy i Francja — musiałaby albo całą ludność wytępić, co byłoby zadaniem nie łatwym, albo wchłonąć około 100 millionów ludzi, którzy są na tym samym poziomie cywilizacyjnym, co ludność Oceanii.

Zagadnienie to przedstawia identyczne trudności dla wszystkich trzech państw. Ich struktura ustrojowa wymaga, aby obywatele nie utrzymywali żadnych stosunków z cudzoziemcami — z wyjątkiem jeńców i kolorowych niewolniczych robotników. Nawet oficjalni (w danym momencie) sojusznicy, traktowani są w każdym państwie z największą podejrzliwością. Z wyjątkiem jeńców wojennych — mieszkańiec Oceanii nie widzi nigdy w życiu cudzoziemca, a nauka języków obcych jest zabroniona. Gdyby stosunki z cudzoziemcami były dozwolone, obywatel Oceanii mógłby się przekonać, że ludzie zamieszkujący inne kraje są bardzo podobni do niego i że większość zarzutów podnoszonych przez propagandę pod ich adresem, jest po prostu kłamstwem. Izolacja zostałaby przerwana a strach, nienawiść i stronniczość, które stanowią kamień węgielny Oceanczyka — mogłyby się zachwiać.

Z tej przyczyny rządy trzech potęg uważają, że o ile Persja, Egipt, Jawa czy Cejlon mogą przechodzić z rąk do rąk — o tyle zasadnicze granice państw przekraczać mogą tylko bomby rakietowe nigdy zaś ludzie.

Tłumaczy się to również faktem, o którym nigdy głośno się nie mówi, przyjmując go milcząco za pewnik, że warunki życiowe we wszystkich trzech państwach są niemal identyczne. W Oceanii panującą doktryną jest „Anglo-Soc” — w Eurazji neo-bolszewizm, we Wschodnio-Azji obowiązuje filozofia, której chińską nazwę tłumaczy się zwykle terminem „Kult Śmierci”. Lepiej może oddaje chiński sens słowo „samo-zagłada”.

Obywatelowi Oceanii nie wolno jest studiować doktryny politycznej Eurazji — czy Wschodnio-Azji; natomiast już od dziecka uczą go osądzać te systemy jako barbarzyńskie wymysły, sprzeczne z moralnością i zdrowym rozsądkiem.

W rzeczywistości doktryny te nie różnią się niemal od siebie, a systemy polityczne na nich oparte są całkowicie identyczne. Wszędzie istnieje ta sama struktura społeczna, przypominająca piramidę z wodzem pół-bożkiem na szczycie — ta sama gospodarka państwowa, utrzymywana z wiecznej wojny i dla wojny. I to stanowi jedną z przyczyn, że żadne z trzech mocarstw nie jest w stanie ani pobić pozostałych dwóch rywali, ani nie odniosło by żadnej korzyści, gdyby nawet taki podbój był możliwy. Przeciwnie — jak długo te trzy państwa znajdują się w ustawicznym konflikcie, podpie-

rają się tym samym nawzajem — jak trzy snopki zboża ustawione na ściernisku i nakryte wspólnym wiechciem słomy.

I jak to zwykle bywa, klasa rządząca w tych trzech państwach jest świadoma i zarazem nie świadoma swojej polityki. Idealem klas rządzących jest wprawdzie podbój świata, lecz równocześnie zdają sobie one sprawę, że jest rzeczą niezbędną, by wojna trwała wiecznie i była bez-zwycięska.

Brak niebezpieczeństwa inwazji i całkowitego podboju stwarza również możliwość „zaprzeczania rzeczywistości“ co jest jednym z charakterystycznych rysów zarówno „Anglo-Soc“ jak i pozostałych dwóch innych systemów politycznych.

W tym miejscu trzeba jeszcze raz podkreślić, co powiedziano już uprzednio — że wojna, dzięki temu, iż stała się ciągłą, wieczno-trwałą zmieniła całkowicie swój charakter. W dawniejszych czasach wojna — jak wynikało to już z samej definicji — oznaczała walkę, która kończyła się nieodmienne wcześniej czy później albo niewątpliwym zwycięstwem, albo niewątpliwą klęską. Dawne wojny stanowiły jedno z tych zjawisk, które stawiały narody twarzą w twarz z realną rzeczywistością.

Wszyscy władcy we wszystkich epokach usiłowali narzucić swym poddanym sfalszowany obraz świata, lecz żaden z nich nie mógł sobie pozwolić na propagandę jakiejś fałszywej idei, która zmierzałaby do osłabienia potencjału militarnego państwa. Jak długo klęska wojenna oznaczała utratę niepodległości, lub pociągała za sobą inne niekorzystne konsekwencje — tak długo środki zaradcze mające uchronić państwo przed tą katastrofą musiały być traktowane z całą powagą. Nie można było wówczas lekceważyć rzeczywistości i realnych faktów. W filozofii, w religii, w polityce, czy w etyce dwa plus dwa mogło być pięć — lecz jak ktoś projektował działo, lub samolot, trzeba było dodawać dwa plus dwa równa się cztery. Narody nie realnie myślące i pracujące mało wydajnie, wcześniej czy później traciły swą niepodległość. Realizm i wydajność są nie do pogodzenia z iluzjami i mrzonkami. Naród by mógł być wydajny i przedsiębiorczy, musi być zdolny do korzystania z doświadczeń przeszłości. By móc korzystać z doświadczeń przeszłości trzeba mieć jasny i rzeczowy pogląd na wydarzenia historyczne. Prasa i podręczniki historyczne były oczywiście zawsze stroniczne, lecz fałszerstwa jakie się dziś popelnia, dawniej byłyby zupełnie wykluczone.

Wojna była kiedyś stróżem zdrowia i moralności. W pierwszym rzędzie odnosiło się to do klas rządzących. Dopóki każda wojna musiała być albo wygrana, albo przegrana dopóty żadna klasa rządząca nie mogła zrzucić z siebie wszelkiej odpowiedzialności.

Lecz z chwilą, gdy wojna stała się ciągłą, wieczno-trwała

przestała tym samym, być groźna. Gdy wojna jest zjawiskiem stałym i normalnym, nie można mówić o konieczności wojennej. Postęp można zatrzymać i przeczyć najbardziej oczywistym faktom. Jak wyżej wspomniano — badania, rzekomo naukowe, są wprawdzie prowadzone, (o ile mają jakiś związek z wojną) lecz w gruncie rzeczy nie są one niczym innym, jak fantazją i fakt, że nie towarzyszą im żadne konkretne wyniki — nie jest uważany za istotny.

Sprawność i wydajność nie są już konieczne, nawet w sprawach wojskowych. Sprawność i wydajność nie istnieją w Oceanii. Wydajna jest jedynie Policja Myśli.

Ponieważ trzy państwa giganty, są w istocie nie do pokonania — każde z nich stanowi odrębny zamknięty świat. W ramach takiej absolutnej izolacji można urzeczywistnić każdą, najbardziej absurdalną koncepcję. W takich warunkach na prawdę realne są tylko fakty życia codziennego — jak potrzeba pożywienia, ubrania, mieszkania — jak konieczność skupienia uwagi, by nie spaść z piętra na ulicę, lub nie połknąć trucizny. Różnica pomiędzy życiem, a śmiercią jest tam jeszcze zachowana, jak również pomiędzy fizycznym odczuciem bólu i przyjemności — lecz to jest wszystko! Odcięty od kontaktu z zewnętrznym światem, odcięty od przeszłości — obywatel Oceanii jest jak człowiek zawieszony w przestrzeni, międzyplanetarnej, który nie ma możliwości wybadania w jakim kierunku się porusza. Dyktatorzy tych państw są absolutnymi tyranami w stopniu, który byłby nie do osiągnięcia dla Cezarów czy Faraonów. Rządcy Oceanii muszą dbać by ich poddani nie umierali z głodu w zbyt wielkich ilościach — co byłoby niewygodne — muszą również utrzymywać zbrojenia swojego państwa na tym samym niskim poziomie, co Eurazja i Wschodnio-Azja. Lecz gdy osiągną to minimum — mogą kształtować rzeczywistość dosłownie jak im się podoba.

Obecna wojna — jeżeli mierzyć ją dawnymi sprawdzianami — jest zwyczajnym oszustwem. Można by ją porównać do walki dwóch byków, których rogi osadzone byłyby pod takim kątem, że żaden nie mógłby ranić drugiego.

Lecz choć obecna wojna jest oszustwem — mimo to nie jest bez znaczenia. Pochłania bowiem nadwyżkę dóbr konsumpcyjnych i stwarza psychiczną atmosferę, która jest nieodzownym warunkiem utrzymania hierarchicznej struktury społeczeństwa.

Wojna jest dziś w całości zagadnieniem polityki wewnętrznej. W przeszłości, choć klasy rządzące w różnych krajach zdawały sobie sprawę, że łączy je wspólnota interesów stanowych i wskutek tego mogły dążyć do ograniczeń zniszczeń wojennych — to przecież walki kończyły się zawsze zwycięstwem jednych a klęską drugich i nałożeniem haraczu na pokonanego.

W dzisiejszych czasach, klasy rządzące wrogich sobie państw w ogóle nie walczą przeciw sobie. Klasy rządzące prowadzą wojnę wyłącznie przeciw własnym poddanym, a celem wojny nie jest zdobycie cudzego, czy obrona własnego obszaru, lecz wyłącznie utrzymanie obecnej struktury społecznej.

Słowo „wojna“ jest dziś terminem, który świadomie wprowadza ludzi w błąd. W imię ścisłości należało by może powiedzieć, że wojna, gdy stała się wieczno-trwała przestała tym samym być wojną. Zjawisko wojny nie wywiera już owego szczególnego wpływu na dzieje ludzkości jaki trwał nieprzerwanie od epoki neolitycznej po pierwszą połowę XX wieku. Ów wpływ zastąpiono czymś zupełnie różnym. Bo przecież osiągnięto by całkowicie ten sam skutek gdyby trzy państwa-giganty, zamiast walczyć zobowiązały się żyć w wiecznym pokoju, hermetycznie zamknięte w swych granicach. I w tym wypadku każde z nich byłoby światem samo dla siebie, światem odciętym od zewnątrz i od wszelkich niebezpieczeństw. Tego rodzaju wieczny pokój byłby tym samym, co wieczna wojna. I to właśnie — choć większość członków Partii nie pojmuje tego w pełni — stanowi istotne znaczenie partyjnego sloganu: **Wojna jest Pokojem!**

Winston podniósł wzrok znad książki. Gdzieś bardzo daleko upadła bomba raketowa. Jakże rozkoszna wydawała mu się samotność — lektura zabronionej książki — pokój bez teleekranu. Samotność i poczucie bezpieczeństwa kołysały znużenie jakie odczuwał w każdej kości. Fotel był stary, ale bardzo wygodny, a przez otwarte okno płynął strumień rozświetlonego, ciepłego powietrza.

Był oczarowany lekturą Księgi, a właściwie umocniony i upewniony w swych poglądach. Nie dowiedział się z niej nic nowego, ale to właśnie było jej urokiem. Winston myślał, że on sam tak właśnie by napisał, gdyby potrafił pisać książki. Księga była dziełem człowieka o umysłowości podobnej do jego, choć autor był oczywiście indywidualnością bez porównania potężniejszą i bardziej śmiałą. Przyszło mu również na myśl, że książki, które mówią nam to, co już wiemy — są zwykle najbardziej wartościowe.

Właśnie otworzył Księgę i zaczął czytać pierwszy Rozdział gdy usłyszał kroki Julii na schodach. Zerwał się z fotela by wybiec na jej spotkanie, Julia jednak właśnie wbiegła, rzuciła torbę z narzędziami na podłogę i objęła go ramieniem. Nie widzieli się przeszło tydzień.

— Wiesz, mam Księgę — powiedział Winston, gdy wreszcie złapał oddech po powitalnym pocałunku.

— Ach, dostałeś ją, to świetnie — ucieszyła się Julia, choć ton jej głosu wyraźnie zdradzał, że nie była szczególnie zainteresowana tą sprawą.

Uklękła koło kominka i zaczęła przygotowywać kawę.

Wrócili do tego tematu dopiero, gdy już oboje leżeli w łóżku. Wieczór był chłodny, trzeba było przykryć się kołdrą. Z podwórza dobiegały znajome odgłosy. Ktoś nucił i stąpał w ciężkich butach po kamieniach. Potężna proletka, o czerwonych opalonych rękach, którą Winston zobaczył pierwszego popołudnia jak rozwieszała bieliznę — stanowiła niezmienny element obrazu. Chyba nie było takiej chwili, od świtu do zmroku, by nie krzątała się między kuchnią a sznurem do wieszania bielizny. Śpiewała i wieszała pieluszki przez cały dzień.

Julia ułożyła się wygodnie, gotowa do drzemki.

Winston sięgnął po księgę, która leżała na podłodze, poprawił sobie poduszkę pod głową i usiadł wygodnie.

— Księgę musimy przeczytać — powiedział poważnie. — Ty musisz ją również znać. Jak wiesz, to jest obowiązkiem każdego członka Braterstwa.

— Czytaj głośno — powiedziała Julia. — Tak będzie najlepiej. Czytając głośno możesz mi wyjaśniać trudniejsze ustępy.

Zegar wskazywał szóstą. Była więc godzina 18-ta. Mieli przed sobą 3 do 4 godzin czasu.

Winston oparł Księgę o kolana i zaczął czytać:

R o z d z i a ł I.

NIEWIEDZA JEST SIŁĄ

Od niepamiętnych czasów, prawdopodobnie od końca epoki neolitycznej — ludzie dzielili się na trzy grupy: klasę najwyższą (rządzącą) — średnią i proletariat. Ludzkość w różnych okresach знаła najrozmaitsze linie podziałów, a podziały te nosiły różne nazwy. Zarówno siła wyżej wymienionych grup, jak i ich wzajemny ilościowy stosunek — ulegał wahaniom w różnych epokach historycznych. Mimo to jednak, istota samego podziału pozostała bez zmian. Nawet po wielkich przewrotach i kataklizmach, które — zdawać by się mogło — pociągały za sobą nieodwracalne przemiany — struktura społeczna wracała nieodmiennie do ram tego samego układu, podobnie jak żyroskop wraca zawsze do linii poziomu, bez względu na to, jakim poddaje się go odchyleniom.

— Julio? Ty śpisz? — zapytał Winston.

— Nie, słucham. Czytaj dalej, to wspaniała książka!

Winston czytał dalej:

Cele wymienionych trzech grup społecznych są najzupełniej sprzeczne ze sobą. Celem klasy najwyższej jest utrzymać swą pozycję. Celem klasy średniej jest zepchnąć klasę rządzącą i zająć jej miejsce. Proletariat jest zwykle zbyt zapracowany by w ogóle mieć jakiś cel poza zdobywaniem środków

do życia. Jeżeli jednak, mimo tych trosk, stawia sobie jakiś cel, to celem tym jest zniesienie wszelkich różnic stanowych i stworzenie społeczeństwa w którym wszyscy ludzie byłiby sobie równi.

Walka o realizację tych celów — która przycicha, by znów wybuchnąć — stanowi treść dziejów ludzkości.

Bywały długie okresy, kiedy wydawało się, że klasa rządząca siedziała mocno w siodle. Lecz zawsze przychodził moment, kiedy klasa najwyższa traciła wiarę w siebie i rządziła nieudolnie. Wówczas klasa średnia dokonywała przewrotu i zajmowała jej miejsce. Przywódcy klasy średniej zjednywali sobie zawsze proletariat zapewniając go, że walczą o wolność i sprawiedliwość. Jak tylko jednak przewrót był faktem dokonany — klasa średnia zajmowała miejsce klasy rządzącej spychając proletariat do jego dawnej, zależnej roli.

Gdy klasa średnia stawała się nową klasą rządzącą rozpoczynał się natychmiast proces formacji nowej klasy średniej, która powstawała z elementów pochodzących z klas najwyższej i najniższej. Z chwilą dojrzewania, nowa klasa średnia podejmowała na nowo odwieczną walkę w celu obalenia rządów klasy najwyższej i zdobycia dla siebie jej uprzywilejowanej pozycji społecznej.

Z tych trzech grup socjalnych — jedynie proletariat nigdy dotąd nie zrealizował swoich celów. Nie urzeczywistnił ich nawet na krótki czasokres przejściowy.

Byłoby przesadą twierdzić, że Historia nie notuje żadnego postępu. Nawet dziś w okresie upadku, przeciętny człowiek żyje lepiej w sensie materialnym — niż jego praojcowie, przed kilkuset laty. Lecz wzrost zamożności, złagodzenie obyczajów, reformy czy rewolucje — nie przybliżyły nawet o milimetr ideału równości między ludźmi. Z punktu widzenia proletariatu, każda z historycznych przemian sprowadza się właściwie do zmiany nazwy klasy, która w danym okresie sprawuje rządy nad proletariatem.

Wielu badaczy pod koniec XIX wieku zaobserwowało powtarzalność tych zjawisk. Wówczas również powstały szkoły naukowe, które głosiły teorie, iż historia jest serią powtarzających się cykli a nierówność między ludźmi niezmiennym prawem natury. Ta doktryna, posiadała zawsze swoich zwolenników, lecz dziś argumentuje się zupełnie inaczej niż dawniej. W przeszłości tylko klasy najwyższe głosiły doktrynę hierarchicznego ustroju społecznego. Głosili ją monarchowie i arystokracja, oraz urzędnicy i duchowni związani interesem klasowym z tego typu ustrojem społecznym. Łagodząco tę doktrynę obietnicami nagrody, w fantastycznym życiu pozagrobowym.

Klasa średnia w okresach walki o władzę odwoływała się zawsze do hasła wolności, sprawiedliwości i braterstwa. W ostatnich jednak czasach, ideę braterstwa zaczęli atakować

ludzie, którzy nie byli jeszcze sami przy władzy, a mieli tylko nadzieję, że władzę zdobędą. W dawniejszych epokach, klasy średnie wszczynały rewolucję głosząc hasło równości i natychmiast ustanawiały nową tyranię, jak tylko poprzednią tyranię udało się im obalić! Lecz obecnie, nowa klasa średnia proklamowała swą tyranię na długo przed zdobyciem władzy.

Socjalizm, który powstał w pierwszych dziesiątkach XIX wieku i był ostatnim ogniwem długiego łańcucha, który sięgał pierwszych buntów niewolników w starożytności — w dużej mierze był skażony utopijnością datującą się z przeszłości. Lecz faktem jest, że różne odmiany socjalizmu, które powstały po roku 1900 — coraz bardziej otwarcie odstępowały od ideałów wolności i równości. Najnowsze prądy, które zrodziły się w połowie bieżącego stulecia — Anglo-Soc w Oceanii, Neo-bolszewizm w Eurazji, czy „Kult Śmierci“ we Wschodnio-Azji wzięły sobie świadomie za cel rozpowszechnianie i strzeżenie „nie-wolności“ i nierówności. Ruchy te, wyrosły oczywiście z dawniejszych ideologii, co przejawia się zarówno w ich nazwach, jak w zwodniczej frazeologii. Lecz dążeniem tych ruchów jest sparaliżowanie wszelkiego postępu i w pewnym wybranym momencie zatrzymanie biegu Historii. Wahadło Historii miało tylko jeszcze raz przebyć swą drogę, a po tym znieruchomić na wieki. Jak zawsze dotąd, tak i tym razem, klasa rządząca miała ustąpić przed naporem klasy średniej, która z kolei sama miała stać się klasą rządzącą. Lecz tym razem, nowa klasa rządząca dzięki świadomie obmyślanej strategii, będzie mogła na zawsze utrzymać zdobytą władzę i pozycję społeczną.

Nowe doktryny powstały w pewnym stopniu w wyniku wiedzy i zrozumienia sensu Historii, co datuje się dopiero od XIX wieku. Cykliczny ruch rozwoju historycznego dopiero teraz stawał się zrozumiały w swojej mechanice. Z chwilą gdy był zrozumiały stawał się równocześnie podatny świadomie narzuconym zmianom.

Lecz zasadniczą rzeczą był fakt, że właśnie w początkach XX wieku stało się rzeczą możliwą zrealizować postulat równości międzyludzkiej. Istniały oczywiście nadal nierówności biorące swe źródło z przyczyn naturalnych, albowiem jeden człowiek rodzi się bardziej utalentowany niż drugi. Specjalizacja osiągnięta podziałem pracy powoduje również, że jedni ludzie zajmują bardziej uprzywilejowane stanowiska, a inni mniej. Nie było już jednak żadnej istotnej przyczyny, która usprawiedliwiałaby różnice społeczne, względnie rażące różnice w stopniu zamożności.

W dawnych epokach różnice społeczne były nie tylko konieczne, lecz nawet pożądane. Nierówność społeczna była bowiem ceną płaconą za postęp cywilizacji. Z chwilą jednak, gdy rozwój produkcji maszynowej osiągnął pewien stopień — sytuacja uległa zmianie. Nawet jeżeli na skutek podziału

pracy ludzie nadal musieli poświęcać się różnym zajęciom — nie było już dłużej konieczne by żyli na różnych, nierównych poziomach socjalnych i gospodarczych. Dlatego, dla nowych grup, walczących o władzę, równość międzyludzka nie była już tym ideałem, który pragnie się urzeczywistnić, lecz przeciwnie, niebezpieczeństwem którego należy unikać.

W dawnych, surowych epokach, kiedy zorganizowanie społeczeństwa na zasadach pokoju i sprawiedliwości było rzeczą niemożliwą — ludzie z tym większą wiarą tęsknili do ideału sprawiedliwego pokoju społecznego. Od tysiącleci ludzie marzyli o raj na ziemi — o społeczeństwie w którym wszyscy żyliby bez praw, bez ciężkiej pracy — w miłości i braterstwie. Ta wizja wywierała pewien wpływ nawet na przedstawicieli tych grup społecznych, które ciągnęły korzyści z każdej przemiany historycznej. Spadkobiercy francuskiej, angielskiej i amerykańskiej rewolucji częściowo wierzyli w głoszone hasła o prawach człowieka i obywatela, wolności słowa, równości wobec prawa itp. Hasła te wywierały nawet pewien wpływ na ich polityczną działalność.

Lecz już w czwartym dziesięcioleciu XX wieku wszystkie ważniejsze szkoły myśli politycznej reprezentowały w istocie ideologie totalistyczne. I tak, idea „ziemskiego raju“ została zdyskredytowana w momencie, kiedy jej urzeczywistnienie stało się rzeczą osiągalną.

Każda nowa teoria czy doktryna polityczna, bez względu na nazwę — była krokiem wstecz, nawrotem do hierarchicznych form społecznych i ograniczeń gospodarczych.

Na skutek ogólnego zbarbaryzowania poglądów, które datuje się mniej-więcej od roku 1930 — powrócono do dawno zapomnianych praktyk ciemnego średniowiecza jak pozbawianie obywatela wolności bez rozprawy i wyroku sądowego, traktowanie jeńców wojennych jak niewolników, publiczne egzekucje, stosowanie tortur w celu wydobycia zeznań, pobieranie zakładników, zsyłki i deportacje ludności itp. Praktyki te nie tylko odżyły w całej pełni lecz, co dziwniejsze, tolerują je i usprawiedliwiają ludzie, którzy uważają siebie samych za oświeconych i postępowych.

Dopiero po dziesięciu latach wojen, rewolucji, kontrrewolucji, walk domowych, których widownią był cały świat — Anglo-Soc i dwie rywalizujące doktryny wydobyły się na powierzchnię, jako wypracowane systemy polityczne. Zwiastunami tych systemów były liczne doktryny polityczne, zwane ogólnie totalitarnymi — które pojawiły się znacznie wcześniej. Od dawna też było wiadomo jaki typ świata wynurzy się z tego chaosu. Było również wiadomo jacy ludzie będą tym światem rządzący.

Nowa arystokracja powstała w głównej mierze z urzędników, techników, naukowców, przywódców związków zawodowych, propagandystów wszelkiego rodzaju, socjologów,

profesorów, dziennikarzy i zawodowych polityków. Ludzie ci, którzy wywodzą się ze sfer urzędniczych i zamożniejszej sfery klasy robotniczej — zostali wychowani i ukształtowani w jałowym świecie monopolistycznych przemysłów i scentralizowanej władzy rządów.

Jeżeli by szukać analogii historycznych, to nowa arystokracja w porównaniu z dawniejszymi — była mniej chciwa, mniej łasa na zbytek i luksus, bardziej głodna rzeczywistej władzy, a przede wszystkim bardziej świadoma swoich celów i całkowicie zdecydowana zmiażdżyć wszelką opozycję.

Ostatni punkt tej charakterystyki jest najważniejszy. W porównaniu z dzisiejszymi systemami rządów wszystkie tyranie przeszłości były połowiczne i nieudolne. W dawniejszych epokach klasy rządzące były zawsze w pewnej mierze pod wpływem hasel liberalnych — były skłonne popuszczać cugli, dbały przede wszystkim o zewnętrzny pozór i nie interesowały się zupełnie tym, co myśleli ich poddani.

W porównaniu z tym, co dzieje się dzisiaj, nawet średnio-wieczny Kościół Katolicki był tolerancyjny. Częściowo tłumaczy się to faktem, że dawniej żaden rząd nie miał po prostu możliwości rozciąganie ustawicznej i stałej kontroli nad obywatelami. Wynalazek druku ułatwił w wielkim stopniu „nakręcanie“ opinii publicznej, a film i radio ukoronowały ten proces. Udoskonalenie telewizji i budowa radio-telewizyjnego aparatu nadawczo-odbiorczego (tele-ekran) — przyniosła w rezultacie całkowity zanik życia prywatnego. Każdy obywatel — a w każdym razie obywatel wart szpiegowania — jest dziś śledzony przez policję 24 godzin na dobę. Przez 24 godzin jest w zasięgu oficjalnej propagandy i równocześnie odcięty od wszelkich innych źródeł informacji. Pierwszy raz w dziejach ludzkich istnieje dziś możliwość nie tylko wymuszenia zupełnego posłuchu dla rozkazów państwa, lecz również uformowania całkowicie jednolitej opinii publicznej.

Po rewolucyjnym okresie w latach 1950/60 społeczeństwo powróciło jak zawsze do klasycznego układu: klasa najwyższa, średnia — proletariat. Lecz nowa klasa rządząca w przeciwieństwie do swych poprzedniczek nie działała impulsywnie, lecz zgodnie z przemyślaną strategią, której celem było zabezpieczenie zdobytej pozycji na stałe, na zawsze!

Od dawna wydawało się jasne, że jedyną podstawą do utrwalenia dyktatury grupy, dyktatury oligarchicznej — jest kolektywizm. Najskuteczniej bronić można dobrobytu, bogactw i przywilejów jeżeli te dobra są posiadane wspólnie. Tzw. „zniesienie prywatnej własności“ — którego dokonano w połowie bieżącego stulecia — w praktyce oznaczało skupienie bogactw w rękach znacznie mniej licznych właścicieli, niż poprzednio. Różnica polegała tylko na tym, że dziś wła-

ścicielem tych dóbr jest nieliczna grupa, dawniej zaś indywidualnych posiadaczy było miliony.

Członek Partii nic nie posiada z wyjątkiem kilku osobistych drobiazgów. Partia natomiast, jako kolektyw jest właścicielką wszystkiego, albowiem nad wszystkim rozciąga kontrolę i dysponuje całą wytwórczością przemysłową. W latach bezpośrednio po Rewolucji Partia zapewniła sobie dyktaturę przemysłową, nie napotykając niemal sprzeciwów, proces ten bowiem przedstawiano jako kolektywizację. Powszechnie sądzono, że skoro tylko kapitaliści zostaną wywłaszczeni — socjalizm zstąpi na ziemi niejako automatycznie. Kapitalistów istotnie wywłaszczono. Odebrano im fabryki, kopalnie, ziemię uprawną, domy, środki transportowe — wszystko. Skoro dobra te nie były już prywatną własnością — wydawało się że muszą być dobrem publicznym.

„Anglo-Soc“, który wyrósł z dawniejszych ruchów socjalistycznych i odziedziczył po nich frazeologię — zrealizował istotnie ten ważny punkt programu socjalistycznego. Z tym jednak, że nierówność majątkowa w wyniku wywłaszczeń i kolektywizacji była nie tylko zamierzona, lecz planowana jako zjawisko stałe.

Lecz zagadnienia związane z utrwaleniem hierarchicznego ustroju społecznego sięgają znacznie głębiej. Zasadniczo każda klasa rządząca liczyć się musi z czterema niebezpieczeństwami, które oznaczają utratę władzy: 1. Podbój, czy interwencja zbrojna z zewnątrz — 2. Nieudolne rządy, które mogą spowodować i umożliwić masowy bunt, czy rewoltę. — 3. Powstanie silnej, niezadowolonej klasy średniej. — 4. Utrata zaufania we własne siły i paraliż woli rządu.

Pierwsza z wyżej wymienionych groźb odpadła na skutek politycznych przemian, które dokonały się w drugiej połowie bieżącego stulecia. Świat bowiem rozpadł się na trzy państwa-giganty. Mocarstwa te są nie do zdobycia, chyba na skutek powsolnych przemian w strukturze ludnościowej. Lecz rząd, dysponujący władzą absolutną może łatwo uniknąć tego typu niebezpieczeństw.

Druga groźba jest również czysto teoretyczna. Masy nigdy nie podnoszą buntu z własnej inicjatywy i nigdy tylko dlatego, że są uciskane. W rzeczywistości, jeżeli uniemożliwi się im porównanie ich losu z dołą mas na wyższym poziomie — nie będą nawet świadome faktu, że są ciemiężone.

Powtarzające się często w przeszłości kryzysy gospodarcze, były całkowicie zbędne i można ich było uniknąć. Przesilenia i kryzysy gospodarcze dzisiaj, nie pociągają za sobą żadnych politycznych konsekwencji, (w odróżnieniu od kryzysów w przeszłości) albowiem nie istnieją już możliwości wyrażania niezadowolnienia.

Zagadnienie nad-produkcji, które istnieje w świecie od początku ery maszynowej i masowej wytwórczości — jest roz-

wiązane wieczną nieustanną wojną. Wojna służy również do strojenia „morale“ społeczeństwa.

Z punktu widzenia obecnych naszych władców prawdziwym niebezpieczeństwem byłoby powstanie grupy skupiającej ludzi zdolnych, niewyżytych, żądnych władzy. Drugą groźbę stanowi ewentualny wzrost liberalizmu i sceptycyzmu w ich własnych szeregach.

Lecz oba te niebezpieczeństwa są — jeżeli można tak powiedzieć — zagadnieniami wychowawczymi. W praktyce jest to problem nieustannego kształtowania świadomości zarówno kierowniczych kół partyjnych, jak również grupy stojącej o szczebel niżej, która jest ramieniem wykonawczym Partii. Jeżeli chodzi o świadomość tzw. szerokich mas — wystarczy zupełnie oddziaływanie negatywne (wszelkie formy terroru).

Znając powyższe szczegóły i ich tło każdy może wywnioskować samodzielnie jak wygląda struktura oceanicznego społeczeństwa.

Na szczycie piramidy stoi Wielki Brat. Jest nieomylny i wszechmocny. Każde osiągnięcie, postęp czy zwycięstwo, każde odkrycie naukowe, cała wiedza i wszelka mądrość, szczęście i cnota — wypływają bezpośrednio z jego natchnionego przywództwa. Jego twarz istnieje tylko na plakatach — jego głos tylko w tele-ekranach. Możemy być pewni, że nigdy nie umrze tym bardziej, że nie wiadomo czy i kiedy się urodził? Pod postacią tego symbolu Partia występuje wobec świata. Zadaniem Wielkiego Brata jest zogniskować miłość — kult i strach. Łatwiej jest bowiem kochać i czcić półboskiego Wodza, niż polityczną organizację.

Bezpośrednio po Wielkim Bracie idzie Partia Wewnętrzna, której liczba członków ograniczona jest do 6 milionów. Stanowi to około 2% ogółu mieszkańców Oceanii. Na następnym szczeblu znajduje się Partia Zewnętrzna. O ile Partię Wewnętrzną przyrównać można do mózgu Partii, o tyle Partia Zewnętrzna stanowi organ wykonawczy — jej ręce.

Potem, idą już tylko głuchonieme szerokie masy czyli tzw. „proleci“ którzy stanowią 85% ogółu mieszkańców Oceanii.

W sensie naszej poprzedniej klasyfikacji proleci, czyli proletariatu stanowią klasę najniższą. Niewolnicza ludność bezpieczeństwa „czworoboku“ podzwrotnikowego przechodzi ustawicznie z rąk do rąk i nie należy do społecznego obrazu Oceanii.

W zasadzie, przynależność do jednej z tych trzech klas, czy grup społecznych nie jest dziedziczna. Dziecko rodziców członków Partii Wewnętrznej nie należy z urodzenia do Partii Wewnętrznej. O przyjęciu do Partii (tak Wewnętrznej jak i Zewnętrznej) decyduje egzamin, który składa się po ukończeniu lat 16.

Nie istnieją dówniej żadne uprzedzenia rasowe, czy uprzy-

wilejowanie jednych prowincji na niekorzyść drugich. Na najwyższych stanowiskach partyjnych spotyka się Żydów, Murzynów, południowych Amerykanów o krwi indiańskiej, a administratorami danej prowincji są zawsze członkowie Partii miejscowego pochodzenia. W żadnym zakątku Oceanii mieszkańcy nie odnoszą wrażenia, że są ludnością kolonialną rządzoną z dalekiej stolicy. Oceania nie ma w ogóle stolicy, a o jej oficjalnej głowie państwa, tj. o Wielkim Bracie, nikt nic nie wie. Zarząd Oceanii jest całkowicie zdecentralizowany. Jedynym chyba wyjątkiem od tej reguły jest fakt, że językiem panującym jest język angielski, a językiem oficjalnym „nowo-mowa“. Klasa rządząca Oceanii nie jest scementowana węzłami krwi, lecz wyznawstwem jednej doktryny politycznej.

Nasze społeczeństwo jest podzielone na zamknięte warstwy — tak, że można by odnieść wrażenie, że podział ten opiera się na dziedziczności. Obecnie istnieje daleko mniejszy ruch „międzyklasowy“, a przejścia z jednej warstwy społecznej do drugiej były częstsze i liczniejsze w epoce kapitalistycznej, a nawet w okresie przed rewolucją przemysłową.

Istnieje pewien ruch między dwoma odgałęzieniami Partii, który ma wyłącznie na celu pozbycie się nieudolnych członków z Partii Wewnętrznej, oraz unieszkodliwienie ambitnych członków Partii Zewnętrznej drogą awansu na członka Partii Wewnętrznej. Dla proletów członkostwo Partii jest w praktyce niedostępne. Najzdolniejsi z nich, którzy mogliby w przyszłości stanowić pewne niebezpieczeństwo — są rejestrowani przez Policję Myśli i likwidowani.

Lecz taki stan rzeczy nie jest konsekwencją jakiejś zasady i nie musi być trwały. Partia nie jest klasą społeczną w dawnym sensie tego słowa. Nie zamierza również przekazywać władzy dzieciom członków Partii Wewnętrznej. Gdyby nie było innego sposobu zdobycia dla kierownictwa najzdolniejszych ludzi, Partia nie zawahałaby się powołać pokolenia nowych kierowników z proletariatu.

W początkowym, decydującym okresie fakt, że Partia nie stanowiła elity dziedzicznej, w znacznym stopniu neutralizował opozycję. Socjaliści starej szkoły, którzy przywykli przez całe życie zwalczać tzw. „przywileje klasowe“ — wnioskowali, że jeżeli przywilej czy władza nie jest dziedziczna, nie może być trwała. Socjaliści nie rozumieli, że ciągłość dyktatury oligarchii tj. grupy-elity, nie musi opierać się na ciągłości dziedziczenia. Nie przyszło im również na myśl, że dziedziczne rządy arystokracji bywały krótkotrwałe, podczas gdy instytucje oparte o wybór i nominacje — jak np. Kościół Katolicki — trwały setki, a nawet tysiące lat.

Istotą rządów oligarchicznych nie jest dziedziczenie władzy z ojca na syna, lecz kontynuacja pewnego światopoglądu i doktryny, którą umarli narzucają żywym. Klasa rządząca tak

długo jest klasą rządzącą, jak długo jest w możności miaować swych następców. Partia nie jest zainteresowana w ciągłości krwi swych członków, (dziedziczenie) a jedynie w utrzymaniu ciągłości Partii jako instytucji. Nie jest istotne kto dzierży władzę, istotne jest natomiast, by hierarchiczny ustrój społeczeństwa utrzymany był bez zmian.

Wszystkie opinie, zwyczaje, emocje itp. — tak charakterystyczne dla dzisiejszych czasów zmierzają do utrwalenia mistyki partyjnej. Owa mistyka zaś wyklucza z góry możliwość wyrobienia sobie obiektywnego sądu o społeczeństwie w którym żyjemy. Bunt czy nawet jakiś ruch, który zmierzałby w tym kierunku nie leży dziś w sferze rzeczy realnych. Proleci, nie przedstawiają żadnego niebezpieczeństwa i z ich strony Partii nic nie zagraża. Pozostawieni sami sobie, będą z pokolenia na pokolenie poprzez stulecia pracować, rozmnażać się, umierać — nie tylko nie podejmując żadnego buntu, ale i nie pojmując, że świat mógłby inaczej wyglądać.

Proleci mogliby stać się niebezpieczni, ale tylko wówczas, gdyby postęp techniczny narzucił konieczność podniesienia stopnia ich wykształcenia. Ponieważ jednak rywalizacja zarówno wojskowa jak i handlowa przestała odgrywać jakąkolwiek rolę — poziom wykształcenia szerokich mas stale się obniża.

Opinia proletów, czy brak opinii — jest rzeczą bez znaczenia. Proletom można przyznać wszystkie swobody intelektualne ponieważ w ogóle nie mają intelektu. U członka Partii nie toleruje się natomiast najmniejszych odchyłeń myślowych, nawet w odniesieniu do spraw drugorzędnych.

Członek Partii od urodzenia do śmierci żyje pod kontrolą Policji Myśli. Nawet wówczas gdy jest sam, nigdy nie ma pewności że naprawdę jest sam. Cokolwiek by robił — spał czy czuwał, pracował czy odpoczywał, przebywał w kąpieli, czy w łóżku może być śledzony bez ostrzeżenia nie wiedząc, że właśnie go śledzą. Żaden jego czyn nie jest obojętny. Śledzi się i bada jego sympatie i przyjaźnie, rozrywki, stosunek do dzieci i żony, wyrazy twarzy kiedy jest samotny, słowa, które czasem szepcze przez sen, a nawet jego charakterystyczne gesty i ruchy. Każde odchylenie od normalnego zachowania, dziwactwo choćby najdrobniejsze, zmiana przyzwyczajęń, zdenerwowanie, które może wskazywać na jakąś walkę wewnętrzną — wszystko jest natychmiast zauważone i wysłędzone.

Członek Partii nigdy i w niczym nie ma swobodnego prawa wyboru. Z drugiej strony jego czynów i zachowania nie reguluje ani prawo, ani żaden jasno określony kodeks towarzysko-kulturalny. W Oceanii nie ma w ogóle żadnych praw. Myśli i czyny za które grozi śmierć — jeżeli zostaną wykryte — nie są objęte formalnymi zakazami. Niekończące się czystki, aresztowania, tortury „wyparowywania“ itp. — nie są sto-

sowane jako kary za popełnione zbrodnie. Ich celem jest tylko unieszkodliwienie potencjalnych przestępców, którzy być może w przyszłości dopuściliby się zbrodni. Od członka Partii wymaga się, by miał nie tylko prawomyślne opinie lecz również prawomyślny instykt.

Liczne sądy i opinie, których Partia oczekuje od członków — nigdy nie zostały jasno sformułowane i nie można by ich umotywić bez równoczesnego wykazania sprzeczności tkwiących w samych założeniach „Anglo-Soc“. Jeżeli dany członek jest z natury (z instyktu) prawomyślny („dobromyśleć“ w nowo-mowie) wówczas bez zastanawiania się będzie wiedział co należy o danej sprawie myśleć i jak w danej sytuacji zachować się. Będzie również wiedział jakie uczucia w danym momencie są pożądane.

Odpowiednie szkolenie od dzieciństwa i przyswajanie takich symbolów nowo-mowy jak: „zbrodniostop“, „czarnobiel“, „dwójmyślenie“ — czynią członka Partii zarówno niechętnym jak i niezdolnym do głębszego zastanawiania się nad czymkolwiek.

Partia wymaga od swego członka by nie miał w ogóle żadnych prywatnych opinii i nie ustawał nigdy w swym entuzjazmie. Oczekuje się, że jego życie będzie nieustanną ekstazą na którą składa się nienawiść do aktualnych wrogów państwa tudzież zdrajców i heretyków, rozkosz triumfu zwycięstw i poczucie kornej nicości w obliczu wszechpotężnej mądrości Partii.

Niezadowolone związane z nędznym i ciężkim życiem jakie prowadzi członek Partii — skierowywane jest na zewnątrz i rozładowywane w manifestacjach typu seansów „Dwóch Minut Nienawiści“. Rozważania, które w konsekwencji mogłyby członka Partii sprowadzić na manowce i nasunąć mu jakieś buntownicze pomysły — są z góry uniemożliwione wewnętrzną dyscypliną, nabytą w młodości.

Pierwsze, najprostsze stadium partyjnej dyscypliny wewnętrznej w którym zaprawia się nawet dzieci — nosi w nowo-mowie nazwę „zbrodniostop“. Przez „zbrodniostop“ określa się umiejętność instyktownego zatrzymania się jakby na progu każdej niebezpiecznej myśli. Pojęcie to zawiera również kunszt nie dostrzegania analogii, znieczulenie na logiczne błędy w rozumowaniu, głuchotę duchową na wszelkie argumenty, jeżeli są wrogie zasadom „Anglo-Soc“, odczuwanie nudy i odrazy w stosunku do każdego cyklu myślowego, który prowadzić może do herezji. „Zbrodniostop“ oznacza zatem ochronną głupotę.

Lecz sama głupota nie wystarcza. Przeciwnie, by osiągnąć doskonałość w cnocie prawomyślności trzeba panować nad własną psychiką równie pewnie i bezwzględnie jak linoskoczek panuje nad grą swych mięśni.

Ustrój oceanicznego społeczeństwa oparty jest u swych

podstaw na dogmatycznej wierze w wszechmoc Wielkiego Brata i w nieomyślność Partii. Ponieważ jednak w rzeczywistości Wielki Brat nie jest wszechmocny, a Partia nie jest nieomyślna — trzeba mieć niewyczerpalną giętkość i przystosowalność w ocenianiu zjawisk. Kluczowym słowem w tej dziedzinie doskonałości jest termin „czarnobiel”. Jak wiele terminów nowo-mowy słowo to zawiera w sobie dwa sprzeczne pojęcia. Użyty pod adresem wroga oznacza zwyczaj przedstawiania z całą bezczelnością białego jako czarne, wbrew oczywistym faktom. To samo słowo użyte w odniesieniu do członka Partii oznacza lojalną gotowość stwierdzenia, że czarne jest białe jeżeli dyscyplina Partii wymaga aby tak było. Lecz termin „czarnobiel” zawiera w sobie również pojęcie umiejętności wierzenia, że czarne jest białe, a nawet więcej, kunsztu ugruntowania w sobie przekonania że czarne jest białe z czym łączy się sztuka zapomnienia faktu, że kiedyś sądziło się, iż tak nie jest.

To wymaga nieustannej zmiany przeszłości — co z kolei możliwe jest do realizowania dzięki systemowi myślenia, który w nowo-mowie określa się terminem „dwójmyślenie”.

Zmienianie przeszłości jest konieczne z dwóch przyczyn. Pierwsza z tych przyczyn ma charakter dodatkowy i niejako zapobiegawczy. Członek Partii — podobnie jak proleci — znosi obecne warunki życiowe w znacznym stopniu dlatego, że nie ma żadnej skali porównawczej. I to jest ta pierwsza przyczyna. Członek Partii musi być odcięty od przeszłości, podobnie jak jest odcięty od zagranicy — by mógł wierzyć, że powodzi mu się lepiej niż jego przodkom, a poziom ogólny stopy życiowej wzrasta.

Lecz niepomiernie ważniejszą przyczyną zmieniania przeszłości, jest konieczność ochrony dogmatu nieomyślności Partii. W tym wypadku nie chodzi tylko o ciągłe uzgadnianie i poprawianie przemówień, statystyk i raportów by wykazać, że przewidywania Partii były zawsze bezbłędne. Istotniejsze jest, że Partia nie może nigdy przyznać, że odstąpiono od doktryny, względnie, że orientacja polityczna uległa zmianie. Albowiem odstąpienie od przekonań, czy tylko zmiana kierunku politycznego jest równoznaczne z przyznaniem się do błędu i słabości. Jeżeli dziś wrogiem jest Eurazja, względnie Wschodnio-Azja — to wróg dzisiejszy jest wrogiem odwiecznym. I jeżeli fakty historyczne temu przeczą — należy je zmienić. Dlatego też historię ustawicznie zmienia się i przepisuje. To fałszowanie, dzień po dniu, przeszłości przez Ministerstwo Prawdy jest w równej mierze niezbędnym warunkiem trwania dyktatury Partii — jak policyjny terror, stosowany przez Ministerstwo Miłości.

Zmienność przeszłości jest podstawową tezą „Anglo-Soc”. Teoretycy „Anglo-Soc” twierdzą, że wydarzenia przeszłe nie istnieją obiektywnie. Istnieją tylko w spisanych dokumen-

tach i w pamięci ludzkiej. Innymi słowy, przeszłość jest funkcyjnie zależna od zapisków i od pamięci. Ponieważ Partia kontroluje w pełni zarówno wszelkie dokumenty i zapiski jak i umysły swoich członków — przeszłość będzie zawsze zgodna z aktualnym życzeniem Partii.

W myśl tych zasad, choć przeszłość jest zasadniczo zmienialna nigdy nie stwierdza się, że została w jakiejś formie zmieniona. Albowiem, ilekroć się ją zmienia zgodnie z wymogami chwili obowiązuje zawsze ostatnie wydanie, które reprezentuje autentyczną oficjalną przeszłość z domniemaniem, że żadna inna przeszłość nigdy nie istniała. Ta zasada obowiązuje nawet wówczas — gdy, jak się to często dzieje — jednemu wydarzeniu, na przestrzeni roku, nadaje się kilkanaście sprzecznych wykładni historycznych. I wówczas również, wydanie ostatnie reprezentuje oficjalną przeszłość z domniemaniem, że przeszłość ta nigdy nie była inna. Pamiętajmy, że Partia jest w posiadaniu absolutnej prawdy, a absolutna prawda nigdy nie mogła być inna, niż jest dziś.

Kontrola nad przeszłością jest przede wszystkim zagadnieniem odpowiedniego szkolenia pamięci. Uzgodnienie wszystkich zapisków i dokumentów z oficjalną polityczną tezą dnia, jest problemem czysto technicznym. Ale przecież jest rzeczą niemniej konieczną pamiętać, że wydarzenia w przeszłości odbyły się tak, a nie inaczej. Jeżeli trzeba zmienić własną pamięć, lub sfałszować dokumenty, to jest rzeczą konieczną umieć zapomnieć, że się dokonało aktów fałszerstwa. Tej umiejętności, jak każdej innej dyscypliny duchowej, można się nauczyć. Większość członków Partii zdobywa ten kunszt, a celują w nim zwłaszcza ci, którzy są w równym stopniu inteligentni i prawomyślni. W staro-mowie, czyli w potocznej angielszczyźnie, umiejętność ta nosi nazwę „kontroli rzeczywistości“. W nowo-mowie, istnieje termin „dwójmyślenie“ którego zakres pojęciowy jest nieco szerszy.

Przez dwójmyślenie rozumiemy umiejętność wyznawania dwóch sprzecznych poglądów i równoczesne akceptowanie tak jednego jak drugiego. Intelktualiści partyjni zdają sobie sprawę w jakim kierunku musi być zmieniona ich pamięć. Tym samym są świadomi, że igrają z rzeczywistością. Lecz stosując kunszt dwójmyślenia przekonują siebie samych, że rzeczywistość nie została pogwałcona. Proces dwójmyślenia musi być świadomy, inaczej bowiem nie mógłby być dokładnie przeprowadzony, lecz równocześnie musi być i podświadomy, w przeciwnym bowiem wypadku, niósłby z sobą poczucie fałszerstwa i winy.

Dwójmyślenie jest istotą „Anglo-Soc“, ponieważ głównym aktem Partii jest oszustwo myślowe, przy równoczesnym prowadzeniu twardo określonej, docelowej polityki, która apeluje do uczciwych i oddanych wykonawców. Kunszt dwójmyślenia wymaga, by mówiąc rozmyślnie kłamstwo, szczerze

w nie wierzyć, umieć zapomnieć o każdym niewygodnym wydarzeniu i równocześnie umieć przypomnieć je sobie z powrotem, na tak długo jak długo jest to potrzebne, przeczyć istnieniu obiektywnej rzeczywistości i równocześnie brać tę rzeczywistość pod uwagę w planowaniu jakiegokolwiek akcji.

Nawet wymawiając słowo „dwójmyślenie“ jest rzeczą konieczną dwójmyśleć. Kto bowiem wymawia to słowo, przyznaje tym samym, że fałszuje rzeczywistość. Następnym aktem dwójmyślenia pozbywamy się świadomości fałszerstwa i tak dalej, w nieskończoność — z kłamstwem zawsze pół-kroku przed prawdą.

Ostatecznie, tylko dzięki systemowi dwójmyślenia Partia zdołała zatrzymać bieg Historii i na podstawie tego co dziś wiemy, możemy wnioskować, że zapewne przez tysiące lat zdolna będzie proces ten kontynuować.

Wszystkie oligarchie w przeszłości — upadały, bo albo kostniały albo przeciwnie, miękły i porastały tłuszczem. Albo z biegiem czasu stawały się aroganckie, traciły zdolność przystosowania się do zmienionych warunków i upadały — albo przeciwnie, stawały się liberalne, tchórzliwie ulegały tam, gdzie trzeba było użyć siły i upadały również. Upadały, jeżeli można tak powiedzieć — na skutek przyczyn związanych z świadomością i nieświadomością. Jest wielkim osiągnięciem Partii, że stworzyła system myślowy, który łączy w jedną całość świadomość i nieświadomość. Tylko w oparciu o tę filozofię można było zapewnić wieczystą trwałość dyktaturze Partii. Jeżeli ktoś rządzi i pragnie rządzić stale, musi być władnym przekształcać rzeczywistość. Albowiem tajemnica rządzenia polega na tym, że władca musi łączyć wiarę w swoją nieomyślność z umiejętnością wyciągania wniosków z błędów przeszłości.

Nie trzeba chyba dodawać, że najsubtelniejszymi dyalektykami dwójmyślenia byli sami twórcy tego systemu intelektualnego fałszerstwa.

W naszym społeczeństwie, ludzie najlepiej poinformowani są równocześnie najdalsi od obiektywnego obrazu świata. Ogólnie biorąc, im większe zrozumienie i poinformowanie, tym fałszywszy obraz — im więcej inteligencji, tym mniej duchowego zdrowia. Wymowną ilustracją tego stanu rzeczy jest fakt, że napięcie hysterii wojennej rośnie proporcjonalnie do szczybla hierarchii społecznej.

Najbliżsi rozumowego, obiektywnego poglądu na wojnę są kulisi w bezpańskim „czworoboku“ podzwrotnikowym. Dla nich, wojna oznacza niekończącą się klęskę, która zalewa ich jak fala potopu. Jest im całkowicie obojętne, która strona zwycięża, albowiem wiedzą, że zmiana władców oznacza tylko, iż tę samą pracę wykonywać będą dla nowych panów. Nowi panowie traktować ich będą zupełnie tak samo, jak dawni.

Nieco bardziej uprzywilejowani robotnicy, których określamy mianem „proletów“ — myślą o wojnie tylko okresowo. Jeżeli zachodzi potrzeba można ich wprawdzie wprowadzić w stan historycznej nienawiści, lub paniki, lecz pozostawieni sami sobie zapominają o tym, że wojna się toczy.

Prawdziwych entuzjastów wojny znaleźć można tylko wśród członków Partii, a w szczególności wśród członków Partii Wewnętrznej. W zdobycie świata najmocniej wierzą ci, którzy najlepiej wiedzą, że jest to niemożliwe.

To szczególne łączenie sprzeczności — wiedzy z ignorancją cynizmu z fanatyzmem — jest jednym z najbardziej charakterystycznych rysów ustroju społecznego Oceanii.

Oficjalna ideologia obfituje w sprzeczności, choć nie zawsze są one dyktowane koniecznością. I tak, Partia odrzuciła i zozydziła wszystkie zasady, na których opierał się dawny, prawdziwy socjalizm, lecz mimo to, przyjęła nazwę „Anglo-Soc“ (angielski socjalizm). Partia głosi, na skalę nieznaną w dziejach, pogardę dla klasy robotniczej i równocześnie odziała swych członków w strój, który swego czasu używany był powszechnie przez pracowników fizycznych i stanowił niejako symbol robotniczy. Właśnie dlatego, kombinon robotniczy przyjęto za oficjalny strój partyjny. Partia systematycznie walczy z instytucją rodziny, mimo to jednak, swemu wodzowi nadała tytuł, który przywodzi na pamięć poczucie solidarności rodzinnej.

Nawet nazwy czterech ministerstw, które stanowią rząd Oceanii — w cyniczny sposób przeczą zdrowemu sensowi. Ministerstwo Pokoju zajmuje się wyłącznie wojną, Ministerstwo Prawdy — kłamstwami, Ministerstwo Miłości — torturami, Ministerstwo Obfitości — głodem. Te sprzeczności nie są ani przypadkowe, ani nie wynikają ze zwykłej hipokryzji. Nazwy te są natomiast typowymi przykładami dwójmyślenia. Albowiem tylko na drodze łączenia sprzeczności można na stałe utrzymać się przy władzy. Odwieczne prawo cykli historycznych — o którym wspominaliśmy powyżej — nie może być przełamane inaczej.

Jeżeli ideał równości ludzi nie ma być nigdy urzeczywistniony — jeżeli klasa rządząca ma po wieczne czasy utrzymać władzę i swe przywileje — w takim wypadku, obowiązującym „morale“ społeczeństwa musi być kontrolowany obłąd.

Lecz jest jeszcze jedno zagadnienie, któremu do tej pory nie poświęciliśmy należytej uwagi. Mianowicie odpowiedź na pytanie DLACZEGO nie należy dopuścić do urzeczywistnienia ideału równości międzyludzkiej?

Nawet jeżeli opisałem dokładnie mechanikę tego procesu, to trzeba jeszcze wyjaśnić co leży u podstaw tego olbrzymiego wysiłku, planowanego z niebywałą precyzją, a który ma za cel zamrożenie strumienia Historii ludzkiej w pewnym, wybranym punkcie?

Oto jesteśmy wreszcie u sedna sprawy. Mistyka Partii, a w szczególności mistyka Partii Wewnętrznej oparta jest o filozofię dwójmyślenia. Lecz niewątpliwie istniał głębszy motyw, który dyktował zagarnięcie władzy i w rezultacie stał się źródłem zarówno dwójmyślenia, Policji Myśli, wieczystej wojny i całego koszmaru doktryny „Anglo-Soc“. Motywem tym była . . .

Winstona zaniepokoiła głęboka cisza. Wydawało mu się, że Julia usnęła już dość dawno. Leżała naga od pasa w górę z głową opartą o zgięte ramie. Czarne loki zsunęły się jej z czoła na oczy. Jej pierś unosiła się wolno i regularnie.

— Julia?

Milczenie.

— Czy już śpisz?

Milczenie. Julia spała głęboko. Winston zamknął księgę i ostrożnie położył ją na podłodze. Wyprostował się wygodnie i naciągnął kołdrę.

Pomyślał, że do tej pory nie dowiedział się jeszcze ostatecznej tajemnicy.

Wiedział już JAK? Nie wiedział DLACZEGO?

Z Rozdziału I, podobnie jak z Rozdziału III nie dowiedział się niczego nowego. Lektura Księgi ułatwiła mu jednak uporządkowanie własnych myśli i refleksji. Po przeczytaniu tych rozdziałów umocniło się w nim przekonanie, że przecież nie jest szaleńcem. Fakt, że się jest w mniejszości, nawet w jedno-osobowej mniejszości nie jest równoznaczny z szaleństwem. Istnieje prawda i istnieje kłamstwo i nie koniecznie musi się być szalonym, gdy dąży się ku prawdzie, nawet wbrew całemu światu.

Ukośny, złoty promień zachodzącego słońca upadł na poduszkę. Winston zamknął oczy. Ciepło słonecznego promienia i ciepło młodego, kobiecego ciała kołysały go do snu. Było mu dobrze, bezpiecznie. Nic im nie groziło.

Usypiając szepnął jakby kończąc urwaną myśl: „Zdrowie nie jest pojęciem statystycznym“. Wydawało mu się, że ta uwaga zawiera w sobie głęboką mądrość.

X.

Gdy się przebudził miał wrażenie, że spał bardzo długo. Jednak rzut oka na staroświecki zegar na kominku, uspokoił go natychmiast. Była dopiero 20'30.

Drzemał jeszcze przez kilka minut. Nagle, na podwórzu zabrzmiał znajomy, niski głos:

„To było tylko marzenie bez nadziei,
Które minęło jak kwietniowy dzień . . .
Lecz jej spojrzenie, słowa i sny —
Omotwały me serce na zawsze.“

Głupi przebój, ciągle był jeszcze w modzie. Słyszało się go w całym Londynie. Był znacznie bardziej popularny niż „Pieśń Nienawiści“.

Julia obudziła się również. Przeciągnęła się z zadowoleniem i wyskoczyła z łóżka.

— Jestem głodna — odezwała się. — Zrobię trochę kawy, dobrze? — Ach, maszynka zgasła, woda jest całkiem zimna!

Uniosła maszynkę w górę i potrząsnęła nią kilka razy.

— Nie ma w niej kropli nafty — powiedziała po chwili.

— Może trochę nafty pożyczyci nam p.Charrington?

— Najdziwniejsze jest to, że jestem całkiem pewna, iż w maszynie było pełno nafty. Zrobiło się tu zimno, br. . .

Winston wstał również i zaczął się ubierać. Na podwórzu nieznużona proletka śpiewała dalej:

„Mówią, że czas leczy wszystkie rany. . .

Mówią, że w końcu zawsze się zapomni . . .

Lecz jej uśmiech i łzy — poprzez lata minione —

Do dziś burzą krew i ranią serce . . .“

Winston zapiął pas swego kombinezonu i podszedł do okna. Słońce skryło się już za dachy domów. W głębi podwórza leżał mroczny cień. Płyty kamienne bruku lśniły, jakby przemyte deszczem. Płat nieba ponad kominami był tak świeży w błędnącym błękiecie, jakby również przemył go deszcz.

Nieznużona proletka krzątała się wciąż między kuchnią i sznurem do wieszania bielizny. W momentach, gdy nie trzymała w ustach zatyczki do przypinania pieluszek do sznura — śpiewała, potem znów milkła bez przerwy rozwieszając niekończące się ilości pieluch.

Winston zastanawiał się — czy była praczką z zawodu, czy też po prostu opierała 20, czy 30 swoich wnucząt.

Julia podeszła również do okna i oboje patrzyli z pewnym podziwem na potężną proletkę. Gdy obserwował jej charakterystyczne ruchy, jak podnosiła mocne ramiona, by rozwiesić pieluszkę na sznurze — gdy patrzył na jej wydatne pośladki, jak u klaczy — przyszło mu nagle po raz pierwszy na myśl — że ona jest piękna.

Nigdy by nie uwierzył, że pięćdziesięcioletnia kobieta — zniekształcona i tęga na skutek wielu porodów, zniszczona ciężką pracą, o skórze szorstkiej, zgrubiałej jak przejrzała rzepa — mimo to może być piękna.

Proletka istotnie była piękna. I zresztą dlaczegoż by nie miała mieć prawa do urody? Między jej mocnym, jak bryła granitu, ciałem, a wiotką świeżością dziewczyny istniał ten sam związek, co między kwiatem dzikiej róży a jagodą głogu. Dlaczego owoc należało by niżej cenić niż kwiat?

— Ona jest naprawdę piękna — mruknął Winston.

— Ma półtora metra obwodu w biodrach, a może więcej — uśmiechnęła się Julia.

— Taki jest styl jej urody — odparł Winston.

Obejmował ramieniem delikatną kibić Julii. Stali przytuleni blisko do siebie.

Z ich ciał nie narodzi się nowe życie. To jest jedyna rzecz, której nigdy nie będą mogli uczynić. Tajemnicę swej miłości przekazywać mogą tylko słowami — z ust do ust, z mózgu do mózgu.

Proletka na podwórzu nie ma mózgu — tylko mocne ręce, gorące serce i płodne ciało. Ile dzieci ona urodziła? Może piętnaścioro? — Musiała mieć krótki okres rozkwitu, może rok urody dzikiej róży, potem stała się pulchna, jak zasiana gleba — aż w końcu ciało jej zjędrniało i stwardniało szorstką, dojrzałą czerwienią. Jej życie wypełniło pranie, sprzątanie, szorowanie, cerowanie, gotowanie, zamiatanie, czyszczenie i znów pranie, cerowanie — najpierw dla dzieci, a potem dla wnuków — bez przerw, przez 30 lat. I po tych 30 latach, jeszcze ciągle śpiewała. Pewien sentyment i szacunek, jaki Winston dla niej odczuwał — wiązał się dziwną asocjacją z widokiem jasnego, bezchmurnego nieba, które ciągnęło się ponad lasem kominów w niewymierną dal.

Dziwnie było pomyśleć, że to samo niebo rozpościera się nad Eurazją czy Wschodnio-Azją. Pod tym samym niebem mieszkają ludzie tacy sami. Na całym świecie żyją setki tysięcy milionów ludzi nie wiedząc o sobie nawzajem, poodgradzani murami kłamstw i nienawiści, a mimo to, tacy do siebie podobni. Ludzie ci, których wprowadzicie nigdy nie uczono myśleć — gromadzą w swych sercach i mięśniach moc, która pewnego dnia obali świat.

Jeżeli istniała jakaś nadzieja — nadzieją tą byli proleci. Choć Winston nie doczytał do końca książki Goldsteina, wiedział, że tak musiał brzmieć jej końcowy wniosek. Przyszłość należy do proletów. I był pewien, że gdy nadejdzie ich czas, świat, który zbudują proleci nie będzie tak obcy dla niego, Winstona Smitha — jak świat Partii. Albowiem w każdym razie będzie to świat zdrowy. Tam, gdzie istnieje równość istnieć może i zdrowie. Wcześniej czy później nadejdzie ta chwila i wówczas siła przemieni się w świadomość.

Proleci są nieśmiertelni — nie można w to wątpić, patrząc na wspaniałą proletkę na podwórzu. Kiedyś nadejdzie czas ich przebudzenia. Może to potrwa i tysiąc lat. A nim się to stanie proleci trwać będą wbrew wszelkim przeciwnościom, jak ptaki, przenosząc z pokolenia na pokolenie swą żywotność, której Partia nie może w nich zniszczyć, a sama jej nie ma.

— Czy pamiętasz drozda, który pierwszego dnia śpiewał dla nas na skraju lasu? — zapytał Winston.

— On nie śpiewał dla nas — odpowiedziała Julia. — Śpie-

wał dla własnej przyjemności, a może nawet nie dla przyjemności, tylko po prostu śpiewał!

Ptaki śpiewają, proleci śpiewają — członkowie Partii nie śpiewają nigdy.

Wszędzie, na całym świecie — w Londynie w Nowym Jorku, w Afryce, w Brazylii, w tajemniczych, zakazanych, zagranicznych krajach — na ulicach Paryża i Berlina, we wsiach, na bezkresnych rosyjskich równinach, w bazarach Chin i Japonii — wszędzie spotkasz tę samą niecznużoną, dzielną postać zniekształconą porodami i ciężką pracą, zaharowaną od urodzenia po śmierć, która wciąż jeszcze śpiewa. Z tych potężnych bioder narodzi się kiedyś świadoma siebie rasa.

My już jesteśmy umarli — myślał Winston. Przyszłość należy do proletów. Lecz możemy dzielić z nimi ich przyszłość, gdy zachowamy żywotność myśli, jak oni zachowują żywotność ciała — przekazując pokoleniom tajemniczą naukę, że dwa plus dwa równa się cztery.

— My już jesteśmy umarli — powiedział Winston.

— My już jesteśmy umarli — powtórzyła Julia jak echo.

— Wy już jesteście umarli — odezwał się tuż za nimi spizowy głos.

Odskoczyli od siebie. Winston poczuł jakby lód w żołądku. Patrzył w rozszerzone przerażeniem źrenice Julii. Jej twarz stała się biało-żółta. Róż na policzkach odcinał się ostro, jakby za chwilę miał odpaść.

— Wy już jesteście umarli — powtórzył spizowy głos.

— To za obrazem — szepnęła Julia.

— To za obrazem — powtórzył spizowy głos. — Stójcie w miejscu, bez ruchu, dopóki nie otrzymacie rozkazów.

Zaczął się w końcu! Stali patrząc sobie w oczy. Cóż innego mogli robić? Nie przyszło im nawet na myśl ratować życie, uciec z tego domu, póki nie było za późno. Ale było nie do pomyślenia oprzeć się spizowemu głosowi zza obrazu.

Rozległ się trzask jakby odsuwanego rygla i brzęk tłuczonego szkła. Obraz spadł ze ściany na podłogę odsłaniając tele-ekran.

— Teraz mogą nas śledzić — powiedziała Julia.

— Teraz możemy was śledzić — powtórzył spizowy głos. — Stańcie w środku pokoju, tyłem do siebie. Ręce złożone na głowach. Nie wolno wam wzajemnie dotykać się!

Nie dotykali się. Winstonowi wydawało się jednak, że czuje, jak dreszcze wstrząsają ciałem Julii. Być może, że to tylko on trząsał się sam. Zaciął mocno zęby, by nie szczekać, nie mógł jednak opanować drżenia kolan.

Rozległ się tupot ciężkich butów na dole, i na zewnątrz domu. Coś wleczono po bruku podwórza. Śpiew proletki zamilkł nagle. Rozległ się łomot, jakby wyrzuconej na podwórze balii do prania, wściekle wrzaski, a na końcu przeźwiły krzyk bólu.

— Dom jest otoczony — powiedział Winston.

— Dom jest otoczony — powiedział głos w tele-ekranie. Winston posłyszał, jak Julia zacięła zęby. Po chwili odezwała się:

— Myślę, że możemy właściwie pożegnać się . . .

— Możecie właściwie pożegnać się — powtórzył spiżowy głos.

I nagle, w tele-ekran włączył się delikatny, kulturalny głos, który Winstonowi wydał się znajomy:

— Kiedy o tym jeszcze mowa to: „Tu jest świeczka, by poświecić wam do łóżka, a tu jest topór by odciąć wam głowę!“

Coś upadło na łóżko, tuż za Winstonem. Przystawiona do okna drabina wypchnęła ramę, która z trzaskiem upadła na łóżko. Ktoś wchodził przez okno. Na schodach rozległy się liczne stapania ciężkich butów. Pokój napelnił się w jednej chwili policjantami w czarnych mundurach i w podkutych butach. Każdy z nich dzierzył w ręce pałkę.

Winston już nie dygotał. Nie śmiał nawet poruszyć gałkami oczu. Jedno było ważne — nie drgnąć, nie drgnąć, by nie prowokować ich do bicia! Policjant, o twarzy premiowanego boksera z wąską szparką ust — stanął na wprost niego. Bawił się, jakby od niechcienia, pałką. Spotkali się oczami. Uczucie nagiej, absolutnej bezbronności — z rękami złożonymi na głowie, z odsłoniętą twarzą i całym ciałem — było czymś nie do zniesienia.

Policjant końcem języka polizal wąskie wargi i odszedł.

Rozległ się ponowny trzask. Ktoś wziął ze stołu kryształowy przycisk i rozbił go o kamień paleniska kominka.

Kawałek koralu, mała różowa kruszyna, jakby cukrowa różyczka z tortu — potoczyła się po podłodze. Ach, jakież to było maleńkie — pomyślał Winston — jakie maleńkie!

Nagle posłyszał tuż za sobą jęk i cios i równocześnie kopnął go ktoś w kostkę tak, że się zachwiał. To jeden z policjantów uderzył Julię pięścią w dołek. Dziewczyna zgięła się w pół i runęła na ziemię bez tchu. Winston nie śmiał obrócić głowy nawet o milimetr, lecz chwilami kącikami oczu chwycił widok jej pobladłej twarzy i ust walczących o oddech. Mimo, że sam był półżywy ze strachu, czuł ból, jakby ten cios jemu wymierzono. Śmiertelny ból, który jednak nie był tak straszny, jak walka o oddech. Znał dobrze to uczucie: potworny ból, który nie opuszcza ani na chwilę — nie można jednak skupić się na nim, albowiem wszystkie siły pochłania walka o złapanie tchu.

Dwóch policjantów podniosło Julię. Jeden wziął ją za nogi, drugi za ramiona i wynieśli ją z pokoju jak worek.

Winston dostrzegł jej zwisającą głowę i twarz żółtą, wykrzywioną z bólu z przykniętymi oczyma. Na jej policzkach

był jeszcze widoczny ślad różu. I taką widział ją po raz ostatni.

Stał nieruchomo jak martwy. Nikt go do tej pory nie uderzył. Myśli, które pojawiały się samorzutnie przelatowały przez świadomość jak błyskawice nie budząc w nim żadnego oddźwięku.

Był ciekaw, czy aresztowali p. Charringtona? Co zrobili proleccie na podwórzu?

Odczuwał gwałtowną potrzebą oddania moczu, co wydawało mu się tym dziwniejsze, że oddawał mocz dwie, czy trzy podziny temu. Zauważył, że zegar na kominku wskazywał 9-tą. Była więc godzina 21-sza. Wydawało mu się jednak, że było zbyt jasno. Powinno chyba być ciemniej, w sierpniu, o godzinie 21-szej wieczorem? Zastanawiał się czy przypadkiem nie pomylili się z Julią w ocenie czasu. Może przespali noc i myśleli, że jest godzina 23, podczas, gdy w rzeczywistości była godzina 08'30 następnego ranka? Nie myślał na ten temat dłużej — było to przecież całkowicie bez znaczenia.

Na korytarzu rozległy się lekkie, sprężyste kroki. Do pokoju wszedł p.Charrington. Czarno umundurowani policjanci przybrali natychmiast bardziej służbową postawę.

P.Charrington wyglądał nieco inaczej niż zwykle. Jego wzrok padł na roztrzaskany przycisk kryształowy na podłodze.

— Pozbierać natychmiast te kawałki — rozkazał ostro. Jeden z policjantów pochylił się by wykonać polecenie.

Z głosu p.Charringtona znikł bez śladu akcent gwary londyńskiej. Winston zrozumiał teraz czyj to głos słyszał w tele-ekranie kilkanaście minut temu. P.Charrington miał na sobie wprawdzie swoją starą aksamitną kurtkę, lecz jego siwizna całkowicie znikła. Był czarnowłosy i nie nosił już okularów.

Spojrzał raz na Winstona — jakby chciał się upewnić co do jego tożsamości i więcej się nim nie interesował.

Można było niewątpliwie dopatrzeć się w nim podobieństwa do dawnego p.Charringtona, ale był to już zupełnie inny człowiek. Trzymał się prosto i dzięki temu robił wrażenie jakby wyrósł. W jego twarzy uległo przemianie tylko kilka szczegółów — mimo to przeobrażenie było całkowite. Czarne brwi nie były już tak krzaczaste — zmarszczki wygładziły się — rysy twarzy straciły ostrość konturów, a nawet nos nie wydawał się już taki długi. Była to twarz trzydziesto-pięcioletniego mężczyzny — opanowana i bystra.

Winston pomyślał, że po raz pierwszy w życiu widzi przed sobą człowieka o którym wie na pewno, że jest agentem Policji Myśli.



CZEŚĆ III.

CZĘŚĆ III.

I.

Winston przebywał w wysoko sklepionej, pozbawionej okien celi. Prawdopodobnie, sama cela mieściła się wewnątrz gmachu Ministerstwa Miłości, ale nie był tego pewien. Ściany pokryte były błyszczącymi porcelanowymi kaflami, ukryte lampy zalewały wnętrze zimnym światłem. Skądś dołatywał monotony dźwięk jakiegoś aparatu, który — jak Winston przypuszczał — regulował dopływ powietrza.

Wzdłuż ścian biegła ławka, a raczej półka na tyle szeroka, że można było na niej usiąść. Na jednym końcu celi były drzwi, a w przeciwnym rogu muszla klozetowa bez drewnianego sedesu. Na wszystkich czterech ścianach znajdowały się tele-ekrany.

Winston odczuwał tępy ból w kiszkiach. Ból ten nie opuszczał go od chwili, gdy wsadzono go do zamkniętej karetki więziennej, którą rozpoczął swoją podróż. Ale oprócz tego był głodny, a pustka w żołądku potęgowała uczucie bólu. Nie wiedział ile czasu minęło od jego ostatniego posiłku — mogło to być 24 godziny, i równie dobrze 36. Do tej pory nie wiedział i prawdopodobnie nigdy się już nie dowie, czy aresztowali go rano, czy wieczorem, a od tego czasu nie miał nic w ustach.

Winston siedział nieruchomo na wąskiej ławce z rękami złożonymi na kolanach. Zdążył już wywnioskować, że najlepiej było siedzieć bez ruchu. Najmniejszy gest wywoływał potok wrzasków z tele-ekranu. Uczucie głodu — rosło. Najbardziej tęsknił do kawałka chleba. Zdawało mu się, że w kieszeni jego kombinezonu powinny być jakieś okruszki, a nawet — sądząc po tym, że od czasu do czasu uwierało go coś w nogę, w miejscu, gdzie była kieszeń — nie było wykluczone, iż tkwił w niej spory kawałek skórki od chleba. Ciekawość i głód przemogły strach i wsunął rękę do kieszeni.

— Smith! — rozległ się wrzask z tele-ekranu — No 6079 Smith W. ręce z kieszeni! W celach nie wolno trzymać rąk w kieszeni!

Winston automatycznie powrócił do poprzedniej pozycji z rękami skrzyżowanymi na kolanach.

Zanim znalazł się tutaj, przeszedł przez inną celę, która musiała być w zwykłym więzieniu, lub była po prostu tymczasowym aresztem, używanym przez patrol policyjny. Spędził tam co najmniej kilka godzin — jeżeli jego ocena czasu bez zegarka i bez widoku dziennego światła była poprawna. Była

to ohydna, wrzaskliwa i śmierzcząca dziura. Kształtem przypominała obecną celę, ale była niesamowicie brudna i zatłoczona. Większość współwięźniów stanowili zwykli kryminaliści, ale było i kilku przestępców politycznych. Winston oszołomiony strachem i bólem siedział milcząco pod ścianą, zbyt zajęty sobą, aby poświęcać wiele uwagi otoczeniu. Nie mógł nie zauważyć jednak zastanawiającej różnicy w zachowaniu się politycznych więźniów w odróżnieniu od pospolitych przestępców. Aresztowani członkowie Partii byli przerażeni i milczący. Natomiast zwyczajni kryminaliści nic sobie z niczego nie robili. Wymyślali strażnikom, staczali zaciekle bójki o swoje rzeczy, wypisywali nieprzyzwoite wyrazy na podłodze, opychali się szmuglowanym jedzeniem, które wydobywali z tajemniczych schowków w swych ubraniach, a nawet — co było szczytem bezczelności — chóralnym wrzaskiem zagłuszali tele-ekran, którego głos na próżno usiłował przywrócić jakiś porządek.

Wielu z nich było w doskonałych stosunkach ze strażnikami. Wołali na nich po imieniu i starali się przepychać papierosy przez otwór judasza w drzwiach. Strażnicy również przyjmowali wybryki kryminalistów z dużą wyrozumiałością, choć traktowali ich brutalnie. Rozmowy toczyły się w kółko na temat obozów pracy. Większość więźniów oczekiwała zesłania do tych obozów. Winston dowiedział się, że w obozach nie było źle pod warunkiem, że miało się kontakty ze światem zewnętrznym i nie było się głupim nowicjuszem. W obozach kwitło przekupstwo, lizusostwo i oszustwa wszelkiego rodzaju. Zarówno homoseksualizm, jak i prostytutka były na porządku dziennym, a źródłem pijaństwa był alkohol, pędzony nielegalnie z ziemniaków. Wszystkie ważniejsze stanowiska zajmowali gangsterzy i mordercy, którzy stanowili obozową arystokrację. Do czarnej roboty i do wszystkich podlejszych zajęć pędzono więźniów politycznych.

Był stały ruch więźniów wszelkich kategorii: handlarzy narkotyków, złodziei, bandytów, alkoholików, czarno-giełdziarzy, prostytutek. Pijacy zachowywali się czasem tak gwałtownie, że inni więźniowie wspólnymi siłami musieli ich ubezwładniać.

Czterech policjantów wniosło do celi olbrzymią kobietę około lat 60-ciu — z wielkim zwisającym biustem i z rozsypanymi w nieładzie siwymi włosami. Kobieta kopała i wykrzykiwała na policjantów. Policjanci zdarli jej z nóg buty, którymi usiłowała ich kopać i złożyli ją wprost na kolana Winstona, niemal miażdżąc mu kości udowe. Kobieta uniosła się, usiadła i krzyknęła za znikającymi w drzwiach policjantami: „Za. . . . bękarty!“ W tym momencie zauważyła, że siedzi na czymś nierównym i zsunęła się z kolan Winstona na ławkę.

— Przepraszam cię — zwróciła się do Winstona — nie usiadłabym ci na kolanach, to te żebraki mnie posadzili! Oni nie wiedzą jak należy traktować damy!

Zamilkła. Uderzyła się w piersi i odbiło się jej głośno.

— Przepraszam, ale nie czuję się całkiem dobrze. Pochyliła się i zwymiotowała obficie na podłogę.

— Już mi lepiej — westchnęła i oparła się o ścianę przymknawszy oczy.

— Zawsze powtarzam, nie należy trzymać tego we wnętrznościach. Im prędzej się zwymiotuje, tym lepiej!

Nagle, z ożywieniem obróciła się i spojrzała z upodobaniem na Winstona. Objęła go swym potężnym ramieniem i przyciągnęła nieco ku sobie. Winston czuł na twarzy jej oddech, przepojony zapachem piwa i wymiotów.

— Jak się nazywasz, mój drogi? — zapytała.

— Smith — odpowiedział Winston.

— Smith? To śmieszne. Moje nazwisko brzmi również Smith. Mogłabym być twoją matką — dodała po chwili z westchnieniem.

Istotnie, mogłaby być moją matką — pomyślał Winston. Była tej samej budowy, co jego matka i wiek zgadzałby się również. Jest również wysoce prawdopodobne, że ludzie bardzo się zmieniają po 20 latach pobytu w obozach przymusowej pracy.

Nikt, poza pijaczką, nie przemówił do niego słowa. Zdumiewające jest, do jakiego stopnia pospolici kryminaliści-żulicy, lekceważą więźniów partyjnych. Nazwa „Polityczni“ jaką im nadają jest odpychająco pogardliwa. Polityczni są sterroryzowani i boją się z kimkolwiek rozmawiać, a w szczególności z innymi politycznymi. Tylko raz udało mu się podsłuchać dwie kobiety partyjne, które siedziały blisko siebie na ławce. Wśród pośpiesznie wyszeptanych kilku słów dosłyszał zwrot, dotyczący czegoś, co zwano „stojeden“. Nie zrozumiał znaczenia tych słów.

Upłynęło może dwie, lub trzy godziny od czasu, gdy go tu wepchnięto. Ból w kiszkiach nie opuszczał go ani na chwilę, lecz czasem cichł nieco, to znów się wzmagał. Zasięg jego myśli zwężał się, lub rozszerzał rytmicznie z bólem żołądka. Gdy ból potężniał, myślał tylko o obolałych kiszkiach i o tym, że był głodny. Gdy ból cichł, panika ogarniała całe jego jestestwo. Były chwile, że przewidywał z taką wyrazistością wszystko, co go czeka, że dostawał bicia serca i zamierał w nim oddech. Czuł uderzenia palki na lokciach i żelazem kute buty na swych łydkach. Widział siebie czołgającego się po podłodze, jęczącego i żebrzącego o łaskę ustami o wybitych zębach.

Prawie nie myślał o Julii. Nie mógł skupić myśli na jej osobie. Kochał ją, nie zdradzi jej — to były fakty, które znał, podobnie jak zna się zasady arytmetyki. Nie odczuwał

jednak miłości do niej i nawet nie był bardzo ciekaw co się z nią stało. Częściej myślał o O'Brienie z przeblyskami nadziei. O'Brien musiał wiedzieć, że został aresztowany. Braterstwo nigdy nie próbuje ratować swoich członków. Lecz O'Brien mówił o żyletce. Przyślą mu żyletkę, jeżeli będą mogli. Będzie może miał przed sobą 5 sekund nim strażnicy wpadną do celi. Ostrze żyletki zatopi się w jego ciele i przejmie go piekącym mrozem. Nawet palce dłoni, którą będzie trzymał ostrze przecięte będą do kości.

Lecz wszystko sprowadzało się do faktu, że czuł się chory, a jego ciało wzdragało się przed najmniejszym bólem. Nie był pewien czy użyje żyletki nawet jeżeli będzie to możliwe. Wydawało mu się bardziej naturalne żyć od momentu do momentu — przyjmując następne dziesięć minut istnienia, choćby się wiedziało na pewno, że życie to skończy się w męce.

Czasami próbował obliczyć ilość porcelanowych kafli na ścianach celi. Nie było to zadanie trudne, mimo to gubił się zawsze w pewnym punkcie. Często zadawał sobie pytanie, gdzie właściwie się znajduje i jaka może być pora dnia? Raz wydawało mu się, że na zewnątrz jest biały dzień — po chwili, był niemal pewien, że na dworze panować musi głęboka noc. Przeczuwał, że w miejscu w którym się obecnie znajdował, nie gasi się nigdy światła. To było miejsce, w którym nigdy nie ma ciemności. Teraz pojął dlaczego O'Brien rozumiał jego aluzję.

W gmachu Ministerstwa Miłości nie było okien. Jego cela mogła być w samym środku budynku, albo w jednym z najdalszych jego skrzydeł. Mogła być 10 pięter pod ziemią, lub na 30 piętrze powyżej poziomu. Winston krążył w wyobraźni po wnętrzu gmachu starając się instynktem wybadać czy jest zawieszony wysoko w powietrzu, czy też przeciwnie pogrzebany głęboko pod ziemią.

Na korytarzu rozległy się ciężkie kroki. Stalowe drzwi celi otworzyły się ze zgrzytem. Młody, postawny oficer w czarnym mundurze, lśniący polerowaną skórą pasów, o bladej, banalnej twarzy woskowej lalki, wszedł sprężysto do wnętrza. Ruchem ręki nakazał strażnikom wprowadzić więźnia. Poeta Ampleforth wtoczył się ciężko do celi. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Ampleforth postąpił niepewnie krok w lewo, krok w prawo — jakby wydawało mu się, że muszą być gdzieś drugie drzwi, którymi można wyjść na zewnątrz. Krążył po celi od ściany do ściany. Początkowo nie zauważył Winstona. Jego znużony wzrok błakał się po ścianie, tuż nad głową Winstona. Ampleforth był bez butów. Brudne, wielkie palce nóg wystawały mu z dziurawych skarpetek. Od wielu dni był nieogolony. Szorstki zarost pokrywał jego policzki, nadając mu wiejski,

chłopski pozór, który dziwacznie kontrastował z jego otyłym, choć słabym ciałem i nerwowymi ruchami.

Winston przebudził się ze swego letargu. Musi zaryzykować rozmowę z Ampleforth'em i ewentualny wrzask z teleekranu. Było nawet możliwe, że właśnie Ampleforth ma dla niego zyletkę.

— Ampleforth!

Tele-ekran nie reagował. Ampleforth przystanął nieco zdziwiony. Powoli, jakby z wysiłkiem skupił wzrok na twarzy Winstona.

— Ach, Smith, wy też tutaj . . .

— Za co was zamknięto? — spytał Winston.

Ampleforth usiadł bojaźliwie na ławce, na przeciw Winstona.

— Mówiąc prawdę, istnieje tylko jedna zbrodnia — czyż nie tak?

— I popełniliście ją?

— Najwidoczniej — tak.

Ampleforth przesunął dłońmi po skroniach, jakby usiłował coś sobie przypomnieć.

— Takie rzeczy zdarzają się — podjął po chwili niepewnym głosem. — Mogę sobie przypomnieć tylko jeden wypadek, jedną możliwość. To była niewątpliwie głupota. Przygotowujemy ostateczne wydanie poezji Kiplinga. Pozwoliłem pozostawić na końcu jednej zwrotki słowo: Bóg. Nie miałem innej możliwości!

Uniósł nieco głowę i dodał niemal z oburzeniem:

— Było niepodobieństwem zmienić strofę. Słowo „Bóg“ (God) rymowało się ze słowem „różga“ (rod). Czy zdajecie sobie sprawę, że w języku angielskim istnieje tylko dwanaście rymów do słowa „różga“? Całymi dniami łamałem sobie nad tym głowę lecz nie ma innego rymu!

Wyraz twarzy Ampleforth'a uległ przemianie. Cień zmartwienia i troski zniknął — przez chwilę robił wrażenie człowieka zadowolonego z siebie. Drgnął w nim naukowy entuzjazm, a poprzez brud i szpecinowaty zarost twarzy, błysnęła radość pedanta z odkrycia bezużytecznego faktu.

— Czy przyszło wam kiedy na myśl — podjął powtórnie — że cała historia angielskiej poezji była z góry określona faktem, braku rymów w języku angielskim?

Nie — ta dziwna myśl nigdy nie zaświtała w głowie Winstona. Myśl ta nie wydawała mu się również, w obecnych okolicznościach, ani interesująca, ani ważna.

— Jaka może być teraz pora dnia? — zapytał.

Ampleforth zdumiał się.

— Właściwie nie myślałem o tym. Aresztowali mnie dwa, a może trzy dni temu.

Rozejrzał się po ścianach, jakby w połowicznej nadziei odszukania okna. Po chwili dodał:

— Tutaj nie istnieje różnica pomiędzy dniem i nocą. Nie widzę możliwości zorientowania się w czasie.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut o tym i o owym, gdy nagle, bez widocznego powodu, głos z tele-ekranu nakazał im milczenie.

Winston siedział nieruchomo ze skrzyżowanymi rękami.

Ampleforth zbyt tęgi, by mógł pomieścić się wygodnie na wąskiej ławce kręcił się niespokojnie, krzyżując swe chude ręce raz na jednym kolanie to znów na drugim. Głos z tele-ekranu wrzasnął na niego by siedział spokojnie.

Czas mijał. Dwadzieścia minut, godzina — trudno by było zgadnąć.

Znów na korytarzu rozległy się ciężkie kroki. Winston odczuł bolesny skurcz w kiszkiach. Niedługo, bardzo niedługo, może za 5 minut, może zaraz — kroki na korytarzu będą oznaką, że przyszła kolej i na niego.

Drzwi się otwały. Młody oficer o chłodnym spojrzeniu wszedł do celi. Ruchem ręki wskazał Ampleforth'a i rozkazał:

— Pokój Nr.101.

Ampleforth wyszedł niezdarnie, prowadzony przez strażników. Jego twarz wyrażała zatroskanie, ale nie pojmował co go czeka.

Winstonowi wydawało się, że upłynął dłuższy czas. Ból w kiszkiach wzmógł się. Jego umysł kołował wokół tych samych tematów, jak kulka wpadająca zawsze w tę samą serię otworów w automacie. Kołował wokół sześciu wątków myślowych: ból żołądka — kawałek chleba — krew i krzyk — O'Brien — Julia — żyletka.

Znów zbliżały się ciężkie kroki. Winston odczuł ponownie bolesny skurcz kiszki. Gdy drzwi się otwały z powietrzem z korytarza buchnął do celi odór zimnego potu. Parsons wszedł do wnętrza. Miał na sobie krótkie zielone spodeńki i sportową koszulę.

Tym razem Winston skamieniał niemal ze zdumienia.

— Wy tutaj?

Parsons spojrzął na Winstona wzrokiem, w którym nie było ani ciekawości, ani zdumienia tylko żałość. Zaczął chodzić niespokojnie po celi. Nie mógł sobie najwidoczniej znaleźć miejsca. Za każdym razem jak wyprostowywał swe krępe nogi widać było, że kolana mu drżą. Jego szeroko rozwarte oczy miały wyraz zapatrzania jakby nie mógł oderwać wzroku od czegoś w przestrzeni.

— Za co was tu zamknęli? — spytał Winston.

— Zbrodnia myślowa — odparł Parsons niemal łkając.

Ton jego głosu ujawnił natychmiast, że całkowicie przyznaje się do winy i jest również niewiarygodnie przerażony, że taki termin jak „zbrodnia myślowa“ może odnosić się do jego osoby.

Przystanął na wprost Winstona i zaczął gorliwie odwoływać się do jego współczucia:

— Nie sądzicie, stary towarzyszu, że mnie zastrzela, prawda? Przecież nie rozstrzelują jeżeli nic się nie popełniło w rzeczywistości, a tylko w myślach. Na myśli nie można nic poradzić. Wiem, że oni każdego uczciwie przesłuchują. Ach, ja im ufam w tym względzie! Przecież oni znają całą moją ewidencję — prawda? Wy wiecie, Winstonie, kim byłem, jakiego rodzaju towarzyszem. Nie byłem złym towarzyszem, na moje możliwości. Nie byłem oczywiście tęgą głową partyjną, ale byłem gorliwy. Staralem się pracować dla Partii jak najlepiej. Czyż nie mam racji? Wybrnę z tej sprawy z wyrokiem 5 lat, nie sądzicie, towarzyszu? A choćbym dostał i 10 lat. Taki człowiek jak ja, może się stać bardzo pożyteczny w obozie pracy przymusowej. Chyba mnie nie zastrzela za to, że wykoleiłem się jedyny raz w życiu?

— Czy jesteście winni? — spytał Winston.

— Oczywiście, że jestem winien! — wrzasnął Parsons rzucając korne spojrzenie w stronę tele-ekranu. — Nie sądzicie chyba, że Partia aresztowałaby niewinnego człowieka.

Jego żabia twarz uspokoila się i przyobkleła w świętoszkowaty wyraz.

— Zbrodnia myślowa jest straszną rzeczą, towarzyszu! — powiedział sentencjonalnie — Jest zdradliwa — może was opętać sami nawet nie będziecie wiedzieć kiedy. Czy wiecie jak mnie opętała? W czasie snu! Tak, to fakt! Pracowałem, starając się wykonać co do mnie należało i nigdy nie przypuszczałem nawet, że zło tkwi w moim mózgu. I nagle zacząłem mówić przez sen. Czy wiecie co podsłuchano?

Parsons zniżył głos, jak ktoś kto powodowany lekarską koniecznością, decyduje się wypowiedzieć nieprzyzwoite słowo.

— Na pohybel Wielkiemu Bratu! To powiedziałem. Zdaje się, że powtórzyłem to nawet kilka razy. Między nami mówiąc jestem zadowolony, że aresztowano mnie, póki nie posunąłem się dalej na tej drodze. Czy wiecie co powiem, gdy stanę przed sądem? Powiem im: dziękuję wam, żeście mnie ocalili zanim było już za późno.

— Kto was zadenuncjował? — zapytał Winston.

— Moja córeczka — powiedział Parsons z żalospną dumą. — Podsłuchiwała przez dziurkę od klucza. Następnego dnia zameldowała patrolowi policji. Niezłe — jak na siedmioletniego smarkacza — prawda? Nie mam do niej o to żalu. W gruncie rzeczy jestem z niej dumny. W każdym razie fakt ten świadczy, że wychowałem ją we właściwej atmosferze.

Poruszył się znów niespokojnie, rzucając wymowne spojrzenia w stronę klozetu.

— Wybaczcie towarzyszu — podjął nerwowo — zbyt długo czekałem i nie mogę już wytrzymać.

Z widoczną ulgą usadowił się na muszli klozetu. Winston przysłonił twarz dłońmi.

— Smith! — ryknął głos z tele-ekranu. — 6079 Smith W. odślonić twarz! W celach nie wolno zasłaniać twarzy.

Winston odślonił twarz. Parsons załatwiał się głośno i obficie. Okazało się, że klozet był popsuty i w celi, przez szereg godzin panował ohydny smród.

Parsonsa usunięto. Przybyło więcej więźniów, wielu zniknęło tajemniczo.

Jedna z kobiet została wezwana do pokoju Nr 101 i Winston zauważył, że gdy usłyszała tę nazwę zbladła i zaczęła się trząść. Jeżeli było rano, gdy go tu zamknęli — myślał Winston — teraz zapewne było po południu — jeżeli zamknięto go po południu, teraz winna być północ.

Było ich w celi kobiet i mężczyzn — sześcioro. Wszyscy siedzieli bardzo cicho. Na przeciwko Winstona siedział mężczyzna o krótkiej, cofniętej brodzie i o wystających zębach. Jego twarz przypominała pysk wielkiego, niegroźnego gryzonia. Jego tłuste o plamistej cerze policzki, były tak rozepchane, że budziły podejrzenie, iż w ich wnętrzu przechowuje zapasy jedzenia. Błado szarymi oczyma przeskakiwał z twarzy na twarz, unikając lekliwie spojrzeń współwięźniów.

Otwarto drzwi. Wprowadzono nowego więźnia, którego widok przejął Winstona lodowatym dreszczem. Był to mężczyzna o przeciętnej, pospolitej fizjognomii. Mógł być technikiem, inżynierem, lub kimś w tym rodzaju. Stopień wychudzenia jego twarzy był czymś zdumiewającym. To była po prostu czaszka kościotrupa. W konsekwencji tej chudości oczy i usta wydawały się nieproporcjonalnie wielkie. Oczy nowo przybyłego płonęły morderczą nieprzejednaną nienawiścią do kogoś, czy do czegoś.

Więzień usiadł na ławce niedaleko Winstona. Winston nie patrzył na niego, lecz umęczona kościotrupia twarz stała mu wciąż przed oczyma, jakby głodomór siedział na wprost niego. Nagle pojął: ten człowiek umierał z głodu.

Wszyscy w celi musieli odnieść to samo wrażenie, bo zapamiętało ogólne — choć ledwo widoczne — poruszenie.

Więzień o twarzy gryzonia wpatrywał się w czaszkę głodomora — to cofał zawstydzony wzrok i znów patrzył jakby przyciągany nieodpartą siłą. Wreszcie „gryzoń“ zaczął się kręcić niespokojnie na ławce, wstał zrobił kilka chwiejnych, niezgrabnych kroków, poszperał w kieszeniach kombinezону i z zakłopotaniem podał głodomorowi przybrudzony kawałek chleba.

Z tele-ekranu zabrzmiał wściekły ogłuszający ryk. Więzień o twarzy gryzonia zaczął się cofać. Głodomór szybko schował ręce do tyłu jakby demonstrując przed całym światem, że odmówił przyjęcia daru.

— Bumstead — ryczał tele-ekran — 2713 Bumstead J. rzuć natychmiast ten chleb na podłogę!

„Gryzoń“ rzucił na podłogę.

— Stój! — rozkazał głos z tele-ekranu — Zwróć się twarzą ku drzwiom, nie ruszaj się!

„Gryzoń“ wykonał rozkaz. Nie mógł jednak opanować nerwowego drgania obwisłych policzków.

Drzwi otwarły się ze zgrzytem. Do wnętrza wszedł młody oficer i stanął z boku. Z głębi wejścia wynurzyła się postać przysadkowatego, jak pniak, strażnika o potężnych barach. Strażnik stanął na przeciw „gryzonia“ i na znak oficera wymierzył mu straszliwy cios w same usta. Siła ciosu zmiotła „gryzonia“ z ziemi. Przeleciał poprzez celę i zatrzymał się na muszli klozetu. Dłuższą chwilę leżał ogłuszony. Ciemno-czerwona krew sączyła się mu z ust i z nosa. Jęczał cicho na wpół przytomnie. Po chwili obrócił się i uniósł niepewnie, opierając się na kolanach i na rękach. Wraz ze strumieniem krwi i śluzu wypadła z jego ust sztuczna szczęka przełamana na pół.

Wszyscy siedzieli cicho, z rękami splecionymi na kolanach.

„Gryzoń“ przywłókł się na swoje miejsce. Dolna część jego twarzy z jednej strony była fioletowo-czarna. Jego usta napuchły w czerwoną bezkształtną masę, z czarnym otworem pośrodku. Krew wciąż sączyła się i kapłała kroplami na jego kombinezon. Szare oczy „gryzonia“ biegały po twarzach współwięźniów z pogłębionym wyrazem winy — jakby odkryć pragnął w jakim stopniu pogardzano nim na skutek upokorzenia, którego doznał.

Drzwi znów się otwarły. Oficer ruchem ręki wskazał głodomora:

— Pokój No. 101 — rozkazał.

Uwagę Winstona zwrócił jęk i nagłe poruszenie. W tej samej chwili, głodomór rzucił się na kolana i złożył ręce jak do modlitwy:

— Towarzyszu poruczniku — jęknął — nie zabierajcie mnie tam — czyż nie powiedziałem wam już wszystkiego? Czego jeszcze ode mnie chcecie? Nie ma rzeczy do której bym się nie przyznał. Tylko mi powiedzcie do czego mam się przyznać, a przyznam się natychmiast! Napiszcie a ja w tej chwili to podpiszę, każdą rzecz, cokolwiek by to nie było. Byleście jednak nie brali mnie do pokoju 101!

— Pokój Nr 101 — rozkazał ponownie oficer.

Twarz głodomora była już biała jak kreda, teraz przybrała barwę wręcz niewiarygodną. Winston nigdy by nie uwierzył, że przemiana taka jest możliwa. Twarz więźnia stała się zdecydowanie i niewątpliwie zielonkawa.

— Zróbcie ze mną co chcecie — krzyczał głodomór — głodziliście mnie tygodniami. Skończcie to i pozwólcie mi umrzeć. Zastrzelcie mnie! Powieście mnie! Skażcie mnie na

25 lat więzienia! Czy jest jeszcze ktoś kogo byście chcieli bym wydał? Po prostu powiedzcie kto on jest, a ja go oskarżę o co chcecie. Nie dbam o to kim on jest, i co z nim zrobicie. Mam żonę i troje dzieci. Najstarsze z nich nie ma jeszcze 6 lat. Możecie je wszystkie zabrać i poprzeryznąć im gardła w mojej obecności byleście tylko nie brali mnie do pokoju 101!

— Pokój Nr 101 — powtórzył oficer.

Głodomór obrzucił szaleńczym spojrzeniem współwięźniów jakby mu przyszło do głowy, że mógłby kogoś innego podstawić strażnikom w miejsce siebie. Jego wzrok zatrzymał się na skrwawionej twarzy „gryzonia“. Wskazał chudą ręką w jego kierunku i krzyknął:

— Oto tego powinniście wziąć — nie mnie! Nie słyszeliście co on mówił, gdy zmasakrowali mu twarz. Dajcie mi okazję a ja wam powtórzę słowo po słowie co on mówił. To on jest wrogiem Partii, a nie ja!

Strażnicy podeszli bliżej. Głos głodomora przemienił się w wycie:

— Nie słyszeliście co on mówił — coś popsulo się wówczas w tele-ekranie. On jest tym, którego szukacie, bierzcie jego, a nie mnie!

W chwili, gdy dwóch mocnych strażników zamierzało go wziąć pod pachy, głodomór rzucił się na podłogę i uczepił się jednej z żelaznych podpórek, na których wspierała się ławka. Z jego piersi wydobywał się zwierzęcy skowyt. Strażnicy usiłowali oderwać go od podpórki, ale głodomór trzymał się jej ze zdumiewającą siłą. Przez jakieś 20 sekund mocowali się z nim. Więźniowie w celi siedzieli nieruchomo, patrząc prosto przed siebie, z rękami splecionymi na kolanach.

Skowyt ucichł. Głodomór zaciął widocznie zęby i skupił całą energię na tym jednym — by nie dać oderwać się od podpórki.

Nagle rozległ się inny krzyk. Jeden ze strażników kopnięciem podkutego buta zmiażdżył palce ręki głodomora. Siłą postawili go na nogi.

— Pokój Nr 101 — powtórzył oficer.

Głodomora wyprowadzono. Szedł niepewnie, z głową wciśniętą w ramiona, podtrzymując zranioną rękę. Był całkowicie zrezygnowany.

Minęło sporo czasu. Jeżeli była północ, gdy zabrali głodomora, musiał być teraz poranek — jeżeli zabrano go rano, musiało obecnie być popołudnie.

Winston czuł się samotny, samotny od wielu godzin. Od siedzenia na wąskiej ławce bolały go wszystkie kości. Często wstawał i chodził po celi. Tele-ekran nie reagował. Kawalek chleba, który upuścił „Gryzoń“ wciąż jeszcze leżał na podłozie w tym samym miejscu. Początkowo Winston potrzebował wielkiego wysiłku, by nie patrzeć w tamtą stronę, lecz obecnie nie odczuwał już głodu. W miejsce głodu obudziło

się pragnienie. W ustach czuł lepką gorycz. Bezustanne bzy-
czenie wentylatora i nie zmieniające się ani na chwilę osle-
piające białe światło wywoływało w nim uczucie pustki, gra-
niczące z omdleniem.

Wstawał, gdy ból w kościach był już nie do wytrzymania
i natychmiast siadał z powrotem, odczuwał bowiem zbyt
wielki zawrót głowy, by mógł utrzymać się na nogach.

W chwilach, gdy był w możności opanować sensacje fizy-
czne — powracała panika i terror. Z gasnącą nadzieją myślał
o O'Brienie i o żyletce. Przypuszczał, że żyletka może będzie
ukryta w jedzeniu, jeżeli w ogóle otrzyma tu coś do jedzenia.
Myśli o Julii były niejasne i ponure. Gdzieś cierpi — może
bardziej niż on. Może w tym momencie jęczy z bólu. Zada-
wał sobie w myśli pytanie: „Czy gdybym mógł uratować Julię
biorąc na siebie podwójną mękę — czy uczyniłbym to?“ Od-
powiadał: „Tak — uczyniłbym to!“ Lecz to była czysto wyro-
zumowana decyzja, którą wypowiedział, bo wiedział, że tak
należy. Nie czuł jej jednak. W miejscu w którym się znajdował,
nie można odczuwać niczego oprócz bólu i przeczucia
większych jeszcze męczarni. Poza tym — czy było możliwe
jeżeli już cierpiał — życzyć sobie, obojętne dla jakiego celu
— by jego własna męka stać się miała jeszcze większa?

Lecz na to pytanie nie było jeszcze odpowiedzi.

Ciężkie kroki zadudniły na korytarzu. Drzwi się otwarły.
Do celi wszedł O'Brien.

Winston zerwał się na równe nogi. Wrażenie było tak silne,
że nie dbał o zachowanie pozorów i po raz pierwszy od lat
zapomniał o obecności tele-ekranu.

— Was też wzięli!? — wykrzyknął zdumiony.

— Wzięli mnie przed wielu laty — powiedział O'Brien z
uśmiechem łagodnej, niemal współczującej ironii.

O'Brien usunął się nieco na bok. Z wnętrza wejścia wynu-
rzyła się barczysta postać strażnika, z długą, czarną pałką w
ręce.

— Tyś to wiedział, Winstonie, — powiedział O'Brien. —
Nie oszukuj samego siebie. Ty to wiedziałeś, ty to zawsze
wiedziałeś!

Tak, teraz dopiero Winston przekonał się, że istotnie, zaw-
sze o tym wiedział. Lecz nie było już czasu o tym myśleć.
Całą jego uwagę pochłonęła pałka w rękach strażnika. Cios
może spaść wszędzie: w ciemność, w ucho, w ramię, w łokieć . . .

. . . Ach! łokieć! Upadł na kolana pod nagłym ciosem,
sparaliżowany niemal z bólu, uchwyciwszy zdrową ręką zra-
nione miejsce. W oczach zrobiło mu się jasno jak od wybuchu.
Nie do pojęcia, nie do pojęcia, że jeden cios spowodować
może tak straszliwy ból! Gdy odzyskał wzrok zauważył, że
O'Brien i strażnik stoją nad nim. Strażnik zanosił się od
śmiechu, gdy on wił się z bólu.

Jedna sprawa w każdym razie została wyjaśniona. Nie istnieją na świecie powody, dla których można by życzyć sobie zwiększenia własnego bólu. W stosunku do bólu można pragnąć tylko jednego, a mianowicie by ustał! Nie ma na świecie nic gorszego, niż ból fizyczny. W obliczu bólu — nie ma bohaterów, nie ma bohaterów — powtarzał w myśli wijąc się na podłodze chroniąc zdrową ręką zmasakrowany łokieć.

II.

Leżał na czymś co przypominało polowe łóżko. Leżał jednak znacznie wyżej niż na łóżku i był przywiązany tak, że nie mógł wykonać żadnego ruchu. Światło niezwyklej mocy padało wprost na jego twarz. O'Brien stał obok i przypatrywał mu się z uwagą. Po drugiej stronie łóżka stał jakiś mężczyzna w białym płaszczu ze strzykawką w ręce.

Nawet teraz, gdy oczy miał otwarte tylko stopniowo wracał mu wzrok i wizja otaczających go przedmiotów. Miał wrażenie jakby wpłynął do tego pokoju z innego świata, podwodnego świata, który leżał głęboko w dole. Jak długo tam przebywał, tego nie pamiętał. Od chwili, gdy go aresztowano nie widział ani światła dnia, ani mroku nocy.

Nie było ciągłości w jego wspomnieniach. Były momenty, gdy jego świadomość — nawet owa pół-swiadomość jaką zachowujemy w śnie — zamierała i odzyskiwał ją powtórnie po dłuższych przerwach całkowitej pustki. Nie wiedział czy okresy przerw w przytomności obejmowały dni, tygodnie, czy tylko sekundy.

Koszmar rozpoczął się pierwszym ciosem pałki w łokieć. Później dopiero zdał sobie sprawę, że wszystko co przeszedł w tym pierwszym okresie, to było wstępne, zwyczajne śledztwo, przez które przechodzili wszyscy aresztowani. Istniała długa lista zbrodni — szpiegostwo, sabotaż itp. — do których każdy musiał się przyznać. Uważano to za rzecz oczywistą i zwyczajną. Przyznanie się było zwykłą formalnością — tortury jednak były rzeczywiste. Ile razy go bito, jak długo trwały te bicia — nie pamiętał. Zawsze w takich okazjach było przy nim sześciu, czy pięciu oprawców w czarnych uniformach. Czasami bito go pięściami, czasami pałkami, prętem stalowym, lub kopano podkutymi butami. Były momenty, że tarzał się po ziemi jak bezduszne zwierzę, wijąc się we wszystkie strony w beznadziejnym niekończącym się wysiłku uniknięcia kopniaków. W rzeczywistości, odsłaniał się tylko prowokując nowe i nowe kopnięcia w zębra, w brzuch, w ręce, w uda, w pachwinę, w jądra, w krzyżę. Czasami gdy go bili i bili, nieprzebaczalnym, wstrętnym okrucieństwem wydawało mu się nie to, że strażnicy katowali go bez przerwy lecz to, iż nie mógł przymusić się do stracenia przytomności.

Były chwile, że nerwy go tak zawodziły, iż błagał o litość nim zaczynano go bić. Wówczas widok pięści gotowej do ciosu

wystarczał, by wyznawał głośno wszystkie popełnione i nie-popełnione zbrodnie. Innym razem, postanawiał nie przyzna-
wać się do niczego. Wtedy każde słowo wydobywano z niego
w mękach tortury. Bywało, że zawierał z sobą kompromis i
postanawiał: Wyznam, ale jeszcze nie teraz. Muszę wytrzy-
mać do chwili, gdy męka będzie nie do zniesienia. Jeszcze
dwa, trzy kopniaki i powiem im co chcą, ale jeszcze nie teraz!

Były dni, że bito go, dopóki nie zwałił się na ziemię. Wów-
czas rzucali go jak worek ziemniaków na kamienną podłogę
celi, a gdy po kilku godzinach przyszedł nieco do siebie —
bito go znowu.

Miał też okresy dłuższych przerw. Nie pamiętał ich dokład-
nie, gdyż wówczas, albo spał, albo znajdował się w stanie od-
rętwienia. Przypominał sobie celę z drewnianą pryczą (rodzaj
półki wystającej ze ściany) i lichą miednicę do mycia. Poży-
wienie jego składało się wówczas z ciepłej zupy i chleba.
Czasem dawali trochę kawy. Pamiętał mrukliwego fryzjera,
który przychodził golić go i strzyć, sztywnego niesympatycz-
nego lekarza w białym płaszczu, który badał jego puls, ner-
wowe odruchy, odwracał powieki, twardymi palcami szukał
połamanych kości i zastrzykiwał w mu w ramię środek
nasenny.

Bicia stały się z czasem rzadsze i stanowiły raczej groźbę.
Grożono mu biciem ilekroć jego odpowiedzi w śledztwie
były niezadawalające. Śledztwo nie było już w rękach pry-
mitywnych, chamowatych strażników w czarnych mundu-
rach. Badali go teraz partyjni intelektualisci — przysadko-
waci, tędzy sędziowie o szybkich ruchach, błyskający
szklami okularów. Badali go na zmianę. Śledztwa trwały —
nie wiedział na pewno, lecz przypuszczał — nie mniej niż
po 10 lub 12 godzin, bez przerw. Nowi sędziowie dręczyli go
również, lecz w śledztwie nie opierali się głównie na tortu-
rach. Bili go po twarzy, wykręcali mu uszy, ciągnęli za włosy,
zmuszali do stania na jednej nodze, nie pozwalali iść do klo-
zetu, puszczały mu w twarz snop światła reflektora, dopóki
oczy jego nie zachodziły łzami. Lecz w pierwszym rzędzie
celem tych tortur była chęć upokorzenia go i przełamania
jego zdolności rozumowania i logicznego formułowania
myśli. Jednak ich prawdziwą metodą torturowania było prze-
słuchiwanie nieustanne i bezlitosne — które trwało godzi-
nami.

Tumanili go podstępными pytaniami — przekręcali wszy-
stko co powiedział przekonując go na każdym kroku, że
kłamie i przeczy sam sobie — aż wreszcie złamany, zaczynał
plakać zarówno z poczucia bezsilności jak i z nerwowego
wyczerpania. Czasami wybuchał płaczem sześć razy w ciągu
jednego przesłuchania. Ilekroć się zawahał miotali na niego
przekleństwa i grozili, że odesłają go ponownie strażnikom.

Czasami zmieniali nagle ton. Tytułowali go towarzyszem, powoływali się na „Anglo-Soc“ i na Wielkiego Brata. Z tragicznym patosem pytali go, czy nie pozostało w nim jednak na tyle wierności dla Partii, by pragnął odrobić zło, które wyrządził. Gdy po wielu godzinach śledztwa jego nerwy były w strzępach nawet taki apel wywoływał tylko płaczącą reakcję.

W rezultacie dręczące przesłuchiwania i śledztwo złamały go w znacznie większym stopniu, niż buty strażników. Stał się po prostu automatem, który powtarzał co mu kazano, podpisywał, co przed nim do podpisu kładziono. Interesował się tylko jednym, a mianowicie by jak najszybciej zorientować się w tym — co sędziowie śledczy życzą sobie, by w danej chwili zeznał. Następnie trzeba przyznać się prędko, by uniknąć ponownej udręki.

Przyznał się do zamordowania wielu wybitnych członków Partii, do rozpowszechniania buntowniczych broszur, do nadużyć z publicznych pieniędzy, do sprzedawania wojskowych tajemnic, do wszelkiego rodzaju sabotaży.

Przyznał się, że był szpiegiem na żołdzie Wschodnio-Azji już od roku 1968. Przyznał się, że wierzył w Boga, że był wielbicielem kapitalizmu i seksualnym zбочeńcem. Przyznał się, że zamordował własną żonę — chociaż wiedział, o czym musieli również wiedzieć i sędziowie, iż jego żona żyje. Przyznał się, że przez całe lata był w osobistym kontakcie z Goldsteinem. Przyznał się, że był członkiem podziemnej wywrotowej organizacji, do której przynależeli również wszyscy jego znajomi.

Było łatwiej przyznać się do wszystkiego i sypać dosłownie wszystkich.

W pewnym sensie wszystko to było zresztą prawdą. Było bowiem prawdą, że był wrogiem Partii, a w oczach Partii nie istniała różnica pomiędzy myślą a czynem.

Miał i inne wspomnienia. Były to niepowiązane ze sobą obrazy — otoczone wokół ciemnością.

Oto był w celi, w której mogło być zarówno ciemno jak jasno, albowiem nie widział nic, prócz pary oczu. Gdzieś blisko tykał jakiś aparat — wolno i regularnie. Oczy stawały się coraz większe i coraz bardziej błyszczące. Nagle wypłynął ze swego krzesła i zanurkował w świecące źrenice. Ślepia pochłonęły go.

Był przywiązany do krzesła i otoczony zewsząd jakimiś aparatami, w powodzi jaskrawego światła. Mężczyzna w białym płaszczu odczytywał cyfry na tablicy rozdzielczej. Na zewnątrz rozległy się ciężkie kroki. Otwarto drzwi. Oficer o twarzy woskowej lalki wszedł do wnętrza w towarzystwie dwóch strażników. „Pokój Nr 101“ — powiedział oficer. Człowiek w białym płaszczu nie odwrócił nawet głowy. Nie patrzył również na Winstona. Nie odrywał wzroku od licznika na tablicy rozdzielczej.

Toczył się olbrzymi — korytarzem szerokim na kilometr wśród powodzi złotych światel zanosząc się od śmiechu i krzycząc na całe gardło swoje wyznania. Wyznawał wszystko, nawet rzeczy, których nie wydobyto z niego torturami. Opowiadał całą historię swojego życia publiczności, która już ją znała. Wraz z nim toczyli się strażnicy, sędziowie, ludzie w białych płaszczach, O'Brien, Julia, p.Charrington — wszyscy toczyli się korytarzem i zanosili się od śmiechu. Pewną straszną rzecz, która zagrażała mu, ukryta w przyszłości — zdołał przeskoczyć i ominęła go! Było dobrze, nie było już cierpień — ostatni rozdział swego życia wyznał i obnażył — wszystko zrozumiano i przebaczone.

Uniósł się na swej drewnianej pryczy, niemal pewien, że słyszy głos O'Briena. Poprzez całe śledztwo nie opuszczało go uczucie, że O'Brien był tuż koło niego, mimo, że w tym okresie nie widział go ani razu. To O'Brien kierował wszystkim. To on oddał go strażnikom i on nie dopuścił, by go zabili. To on decydował kiedy miał skowytać z bólu, kiedy miał odpoczywać, kiedy miał jeść, kiedy miał spać, kiedy miano zastrzykiwać mu narkotyki. To on stawiał pytania i podpowiadał odpowiedzi. To on był jego dręczycielem i opiekunem — inkwizytorem i przyjacielem.

Kiedyś — nie pamiętał czy było to w czasie narkotycznego, czy zwykłego snu, lub na jawie — posłyszał głos szepczący mu do ucha: „Nie martw się Winstonie! Opiekuję się tobą. 7 lat śledziłem cię. Teraz nadszedł punkt przełomu. Ocalał cię, uczynię cię doskonałym.“ Nie był pewien czy to był głos O'Briena, lecz to był ten sam głos, który 7 lat temu powiedział kiedyś do niego w śnie: „Spotkamy się w miejscu w którym nie będzie ciemności“.

Nie pamiętał zakończenia śledztwa. Była ciemność i pustka a następnie cela, czy pokój w którym znajdował się obecnie. Pokój ten stopniowo materializował się w jego oczach.

Leżał na wznak i nie mógł się poruszać. Był bardzo dokładnie przywiązany. Nawet tył głowy był unieruchomiony specjalnym uchwytem.

O'Brien przypatrywał mu się z powagą i raczej ze smutkiem. Jego twarz, oglądana z pozycji leżącej, robiła wrażenie zużytej, szorstkiej, z workami pod oczami o głębokich rysach koło ust, znamionujących znużenie. Musiał być starszy niż Winston przypuszczał. Miał zapewne 48, a może nawet 50 lat.

Ręka O'Briena spoczywała na rączce przymocowanej do tablicy rozdzielczej, na której znajdował się licznik z cyframi.

— Mówilem ci — odezwał się O'Brien — że jeżeli się spotkamy, to spotkamy się tutaj.

— Tak — przytaknął Winston.

O'Brien uczynił mały ruch ręką i bez żadnego ostrzeżenia fala bólu wstrząsnęła ciałem Winstona. Ból był straszliwy, a Winston nie zdawał sobie sprawy co się stało. Odnosił wra-

żenie że jest śmiertelnie zraniony. Nie wiedział czy ból powstał na skutek prawdziwego zranienia, czy też wywołany został prądem elektrycznym. Ciało jego wykręciło się potwornie, a stawy rozstępowały się powoli. Pot wystąpił mu na czoło. Najokropniejsze w tym wszystkim było uczucie, że jego kręgosłup za chwilę pęknie. Zaciął zęby i oddychał przez nos, starając się nie jęknąć dopóki było to możliwe.

— Boisz się, że w następnej sekundzie coś w tobie pęknie — powiedział O'Brien obserwując twarz Winstona. — Boisz się, przede wszystkim, o los twojego kręgosłupa. Wyobrażasz sobie plastycznie, że lada chwila kręgi trzasną i rdzeń pachyżowy wyleje się na zewnątrz. Czy o tym myślałeś, Winstonie. Winston milczał.

O'Brien przesunął dźwignię na tarczy rozdzielczej aparatu. Ból ustąpił natychmiast, równie nagle jak przyszedł.

— To było 40 — powiedział O'Brien. — Możesz stwierdzić, że cyfry na skali licznika dochodzą do 100. W czasie trwania naszej rozmowy, proszę byś pamiętał, że mogę ci każdej chwili zadać ból o dowolnym napięciu. Jeżeli będziesz kłamał, próbował wykrętów, lub nawet gdy okażesz się mniej inteligentny niż normalnie — będziesz krzyczał z bólu. Zrozumiałeś?

— Tak — odpowiedział Winston.

O'Brien rozchmurzył się nieco. Poprawił okulary i przeszedł kilka kroków w zamyśleniu. Gdy zaczął mówić, głos jego był łagodny i cierpliwy. W tej chwili przypominał lekarza, nauczyciela, czy księdza, który raczej pragnie wyjaśnić i przekonać, niż karać.

— Zadaję sobie wiele trudu dla ciebie, Winstonie — podjął po chwili — ponieważ jesteś tego wart. Ty sam wiesz doskonale, co ci dolega. Wiedziałeś to od lat, mimo, że broniłeś się przed uświadomieniem sobie tej prawdy. Jesteś umyślowo wykolejony. Cierpisz na skutek wadliwej pamięci. Nie pamiętasz prawdziwych wydarzeń — natomiast wmawiasz w siebie, iż pamiętasz fakty, których w rzeczywistości nigdy nie było. Na szczęście można to wyleczyć! Nigdy nie usiłowałeś wyleczyć się z tego, bo nie pragnąłeś wyleczenia. By to osiągnąć konieczny jest mały wysiłek woli, którego jednak nie chciałeś podjąć. Zdaję sobie sprawę, że nawet obecnie trwasz w twych błędach, wyobrażając sobie, iż reprezentują one cnotę. Lecz weźmy jakiś przykład. Z jakim państwem, w chwili obecnej Oceania jest w wojnie?

— W chwili gdy byłem aresztowany, Oceania była w wojnie z Wschodnio-Azją — powiedział Winston.

— Dobrze. Z Wschodnio-Azją. Oceania była zawsze w wojnie z Wschodnio-Azją — tak, czy nie?

Winston wstrzymał oddech. Otworzył usta, ale słowa się nie kleiły. Nie mógł oderwać oczu od licznika aparatu.

— Powiedz prawdę, powiedz swoją prawdę, Winstonie!

Powiedz mi, co pamiętasz, względnie to, co ty sądzisz, iż pamiętasz.

— Pamiętam — zaczął Winston — że jeszcze na tydzień przed moim aresztowaniem nie byliśmy w wojnie z Wschodnio-Azją. Byliśmy w wojnie z Eurazją. Wojna ta ciągnęła się przez cztery lata. Przedtem . . .

O'Brien ruchem ręki nakazał mu milczenie.

— Weźmy inny przykład — podjął ponownie. — Przed laty, uległeś raz poważnemu złudzeniu. Uwierzyłeś mianowicie, że trzech członków Partii — Jones, Aaronson i Rutherford, którzy po możliwie najpełniejszym przyznaniu się do winy zostali zgładzeni za zdradę i sabotaż — w gruncie rzeczy nie byli winni zbrodni o które ich oskarżono. Uwierzyłeś, że widziałeś niewątpliwe dowody, stwierdzające, iż ich zeznania były fałszywe. Uległeś halucynacjom w związku z pewną fotografią. Wierzyłeś święcie, że fotografię tę miałeś w rękach. Ta fotografia wyglądała tak:

Mniej więcej przez pięć sekund Winston patrzył na fotografię wyciętą z gazety, którą O'Brien trzymał w palcach. To była ta sama fotografia i nie mogło być żadnych wątpliwości co do jej tożsamości. Była to identyczna fotografia, wycięta z innego egzemplarza gazety, przedstawiająca Jonesa, Aaronsona i Rutherforda w czasie partyjnej, oficjalnej wizyty w Nowym Jorku. Na tę właśnie fotografię Winston natknął się przypadkowo, 11 lat temu. Wówczas zniszczył ją natychmiast.

O'Brien pokazał mu to zdjęcie tylko na kilka sekund. Lecz widział je, niewątpliwie widział je na własne oczy! Winston uczynił rozpaczliwy wysiłek, by się uwolnić z pasów, przynajmniej na tyle, by się trochę unieść — lecz na próżno. W żadnym kierunku nie mógł się poruszyć nawet o centymetr. Na chwilę zapomniał o liczniku aparatu — za wszelką cenę pragnął jeszcze raz mieć tę fotografię w rękach, a przynajmniej jeszcze raz na nią spojrzeć.

— Ona istnieje! — wykrzyknął.

— Nie! — odparł O'Brien.

Na przeciwnej ścianie był otwór „grobu pamięci“. O'Brien podszedł i podniósł kratkę. Strumień gorącego powietrza uniósł delikatny wycinek z gazety. Fotografia zginęła w płomieniach.

O'Brien odwrócił się i powiedział:

— Popiół — nierozpoznawalny popiół. Pył. Fotografia nie istnieje, nigdy nie istniała.

— Lecz istniała! — wybuchnął Winston — Istnieje, istnieje w pamięci. Ja ją pamiętam i wy ją pamiętacie!

— Ja nie pamiętam — powiedział O'Brien.

Winston załamał się. To było dwójmyślenie. Ogarnęła go śmiertelna beznadziejność. Gdyby był pewien, że O'Brien kłamie, wówczas nie byłoby czym się przejmować. Lecz było

całkowicie możliwe, że O'Brien naprawdę zapomniał. A jeżeli zapomniał o istnieniu fotografii, to tym samym zapomniał, że przeczył jej istnieniu i nie pamiętał również samego procesu zapomnienia. Czy mógł mieć pewność, że wszystko to było po prostu szarlataneria? Być może to szaleńcze roz-dwojenie jaźni jest faktem? Ta ostatnia refleksja zgnębiła go.

O'Brien przypatrywał mu się z namysłem. Jeszcze bardziej niż poprzednio, przypominał nauczyciela, który trzusi się z kapryśnym, ale uzdolnionym dzieckiem.

— Mamy slogan partyjny, który mówi o kontroli przeszłości. Może zechcesz powtórzyć go, Winstonie!

— Kto kontroluje przeszłość — kontroluje i przyszłość. Kto kontroluje terażniejszość — kontroluje i przeszłość — wyrecytował posłusznie Winston.

— Kto kontroluje terażniejszość — kontroluje i przeszłość — powtórzył O'Brien potakując skinieniem głowy. — Czy według twojej opinii, Winstonie, przeszłość posiada w ogóle jakąś egzystencję?

Winstona ogarnęła ponownie fala beznadziejności. Nie spuszczał oczu z tarczy licznika aparatu. Nie tylko nie wiedział czy odpowiedź „tak“ czy też „nie“ uratuje go od bólu, ale nawet nie wiedział, którą z tych dwóch odpowiedzi sam uważa za prawdziwą.

O'Brien uśmiechnął się.

— Nie jesteś metafizykiem, Winstonie! Do tej pory nie zastanawiałeś się nawet nad treścią słowa „istnienie“. Zdefiniuję ci moje pytanie dokładniej: Czy przeszłość istnieje realnie w przestrzeni? Czy jest gdzieś inny, wymierny świat, gdzie istniałaby przeszłość?

— Nie.

— Więc gdzie istnieje przeszłość, jeżeli w ogóle istnieje?

— W dokumentach, w zapiskach.

— W zapiskach i . . .

— W świadomości, w pamięci ludzkiej.

— W pamięci — dobrze. My, to jest Partia, kontrolujemy wszystkie dokumenty i wszelkie zapiski, kontrolujemy również pamięć wszystkich ludzi. A więc tym samym kontrolujemy przeszłość — tak, czy nie?

— Lecz jak możecie zatrzymać ludzką pamięć? — wykrzyknął Winston, zapominając o aparacie elektrycznym. — Pamięć jest niezależna od woli. Jej bodźce są zewnętrzne. Jak możecie kontrolować pamięć. Nie kontrolowaliście mojej pamięci!

O'Brien spoważniał i położył rękę na rączce aparatu.

— Przeciwnie, Winstonie! To ty powinien byłeś ją kontrolować a nie kontrolowałeś. I dlatego właśnie tutaj się znalazłeś. Jesteś tutaj, bo nie zdobyłeś się na pokorę i dyscyplinę wewnętrzną. Nie chciałeś uczynić aktu poddania się, który jest ceną płaconą za moralne zdrowie. Wolałeś być

szaleńcem, wolałeś być w jednoosobowej mniejszości. Tylko zdyscyplinowany umysł zdolny jest widzieć rzeczywistość, Winstonie! Tobie się wydaje, że rzeczywistość ma być obiektywny i niezależny. Wydaje ci się również, że prawa, które rządzą rzeczywistością są oczywiste i bezsporne. Jeżeli ludzisz samego siebie, że coś dostrzegasz, przypuszczasz, iż wszyscy widzą dany przedmiot identycznie jak ty. Lecz ja ci mówię, Winstonie — rzeczywistość nie jest zjawiskiem zewnętrznym. Rzeczywistość istnieje wyłącznie w umyśle ludzkim i nigdzie poza tym. Lecz nie w umyśle jednostki, która może mylić i krótko żyje, lecz w umyśle Partii — w umyśle, który jest kolektywny i nieśmiertelny. Cokolwiek Partia podaje za prawdę, jest prawdą. Niepodobieństwem jest widzieć rzeczywistość inaczej, niż patrząc na świat oczami Partii. To są fakty, które musisz sobie na nowo przyswoić, Winstonie! Konieczny jest do tego akt samo-zniszczenia, wysiłek woli. Musisz się upokorzyć zanim ozdrowiejesz.

O'Brien zamilkł na chwilę jakby pragnął, by słowa jego miały czas zapaść w śmiadomość Winstona.

— Czy pamiętasz — podjął po chwili — jak pisałeś w twoim pamiętniku, że „wolność polega na tym, że wolno głosić, iż dwa plus dwa, równa się cztery?“

— Tak, pamiętam — powiedział Winston.

O'Brien wyciągnął w stronę Winstona lewą rękę z kciukiem cofniętym, tak, że widoczne były tylko cztery palce.

— Ile palców widzisz w tej chwili, Winstonie?

— Cztery.

— A jeżeli Partia postanowi, że nie cztery, tylko pięć — co wówczas?

— Cztery.

Słowo Winstona zlało się z okrzykiem bólu. Igła na tarczy licznika aparatu wskazywała 55. Winston oblał się cały potem. Powietrze wchłaniane gwałtownie przez płuca wydobywało się jęklwym wydechem, którego nie mógł opanować nawet mocnym zaciśnięciem zębów.

O'Brien obserwował go trzymając wyciągniętą lewą dłoń z czterema wyprostowanymi palcami i kciukiem schowanym do tyłu.

— Ile palców widzisz, Winstonie?

— Cztery!

Igła na tarczy licznika skoczyła na 60.

— Ile palców, Winstonie?

— Cztery, cztery, nie mogę powiedzieć nic innego, cztery! Igła na tarczy licznika musiała skoczyć wyżej, lecz Winston nie patrzył na tarczę aparatu. Pochylona nad nim surowa twarz O'Briena i cztery palce jego dłoni, przysłoniły mu wszystko. Palce O'Briena widział tuż przed oczyma — jak olbrzymie kolumny, wibrujące i przymglone — lecz niewątpliwie było ich cztery.

— Ile widzisz palców, Winstonie?

— Cztery! Wyłącz aparat, wyłącz! Jak możecie mnie tak katować! Cztery, cztery!

— Ile widzisz palców, Winstonie?

— Pieć, pięć, pięć!

— Nie, Winstonie, to do niczego nie prowadzi! Kłamiesz i jeszcze ciągle myślisz, że jest ich cztery. Ile widzisz palców, mów!

— Cztery, pięć, cztery, ile wam się podoba, tylko wyłączcie aparat!

Nagle spostrzegł, że siedzi na łóżku, O'Brien podtrzymuje go swym ramieniem. Musiał prawdopodobnie stracić przytomność na kilka sekund. Pasy, którymi był przywiązany — rozluźniono. Było mu zimno, trzęsły nim dreszcze, po policzkach ciekły łzy.

Przez chwilę uczeplił się O'Briena jak małe dziecko i — choć dziwnym mu się to wydawało — odczuł wielką pociechę w oparciu o to potężne ramię, które go podtrzymywało. Miał wrażenie, że O'Brien jest jego opiekunem, że ból płynie skądś z zewnątrz — z jakiegoś niezależnego źródła, a O'Brien jest tym, który go z tego bólu wybawi.

— Jesteś tępym uczniem, Winstonie! — odezwał się O'Brien łagodnie.

— — Cóż na to poradzę — wymamrotał Winston — Cóż mogę zrobić jeżeli widzę to, co widzę. Dwa plus dwa równa się cztery!

— Czasami, Winstonie! Ale czasem, dwa plus dwa jest pięć. Czasem trzy. A czasem równocześnie i trzy i cztery i pięć! Musisz bardziej wysilić twój umysł. Do zdrowia nie jest łatwo powrócić, Winstonie!

Położono go znów na łóżku. Zaciśnięto ponownie pasy, którymi był skrępowany. Ból ucichł, nie trzęsły nim już dreszcze, czuł się tylko słaby i było mu zimno.

O'Brien skinieniem głowy przywołał lekarza w białym płaszczu, który w czasie przesłuchania stał obok bez ruchu. Lekarz pochylił się nad Winstonem, spojrział mu w oczy, zbadał puls, przyłożył ucho do piersi, popukał tu i tam i skinął potakująco głową.

— Zaczynamy ponownie — powiedział O'Brien.

Ból wstrząsnął ciałem Winstona. Igła na tarczy licznika musiała wskazywać 70, a może 75. Winston zamknął oczy. Wiedział, że O'Brien wyciągnął ku niemu dłoń z wyprostowanymi palcami i że palców było cztery. Lecz przede wszystkim, należało przetrwać — doczekać chwili, gdy ból ustąpi. Nie zdawał sobie sprawy — czy krzyczał, czy nie.

Ból zmniejszył się. Winston otworzył oczy. O'Brien cofnął rączkę na tarczy licznika aparatu.

— Ile palców widzisz, Winstonie?

— Cztery, wydaje mi się, że cztery. Powiedziałbym, że widzę pięć gdybym mógł. Usiłuję widzieć pięć!

— Co ty zamierzasz? — czy przekonać mnie, że widzisz pięć, czy istotnie dojrzeć pięć palców?

— Istotnie dojrzeć pięć.

— Zaczynamy ponownie — powiedział O'Brien.

Igła na tarczy licznika, tym razem osiągnęła chyba 80, a może 90. Winston nie mógł przypomnieć sobie, która odpowiedź wywołała ponowną falę bólu. Poprzez zdrętwiałe powieki widział kołyszący się las palców. Palce te wykonywały jakiś dziwny taniec — pojawiając się, to niknąc jeden za drugim. Usiłował je zliczyć — choć sam nie pamiętał dlaczego? Wiedział tylko, że niepodobieństwem jest je zliczyć, a trudność ta, w jakiś sposób związana była z tajemniczą tożsamością cyfr 4 i 5.

Ból znów ustał. Gdy szerzej otworzył oczy przekonał się, że widzi wciąż to samo. Niezliczone palce jak poruszające się drzewa przepływały przed jego oczyma, we wszystkich kierunkach krzyżując się i mijając.

— Ile palców widzisz, Winstonie?

— Nie wiem, nie wiem, jeżeli jeszcze raz włączycie aparat zabijecie mnie! Cztery, pięć, sześć — uczciwie mówię — nie wiem!

— To już lepiej! — powiedział O'Brien.

Winston poczuł ukłucie igły strzykawki. W tej samej sekundzie kojące, uzdrawiające ciepło rozlało się po całym ciele. Już niemal zapomniał o bólu. Podniósł wdzięczny wzrok na O'Briena. Na widok tej wielkiej, pooranej twarzy, tak brzydkiej i tak inteligentnej — serce Winstona uderzało mocniej. Gdyby mógł się poruszać, wyciągnąłby rękę i położył na ramieniu O'Briena. Nigdy nie kochał go tak głęboko jak w tej chwili, i nie tylko dlatego, że wybawił go z męki. Owładnęła nim dawna myśl, że właściwie było bez znaczenia, czy O'Brien był wrogiem czy przyjacielem. O'Brien był człowiekiem z którym mógł mówić. Być może, że są ludzie, którzy wyżej cenią zrozumienie niż miłość. O'Brien torturował go po granice szaleństwa i pewne było, że w niedługim czasie wyśle go na śmierć. Lecz to było obojętne. W pewnym sensie intymność, która łączyła go z O'Brienem sięgała głębiej niż przyjaźń. Choć może nigdy między nimi na ten temat nie padnie słowo, musiało gdzieś przecież istnieć miejsce, gdzie mogliby się spotkać i mówić jak przyjaciele. O'Brien patrzył na niego, a wyraz jego twarzy wskazywał, że podobne refleksje może i jemu przyszły na myśl.

O'Brien odezwał się tonem, jakby podejmował przyjacielską rozmowę:

— Czy zdajesz sobie sprawę Winstonie, gdzie się w tej chwili znajdujesz?

— Nie wiem — odparł Winston — domyślam się tylko, że w Ministerstwie Miłości.

— Czy wiesz jak długo już tutaj jesteś?

— Nie wiem. Dnie, tygodnie, miesiące. Sądzę, że chyba miesiące.

— Jak myślisz — w jakim celu sprowadzamy tutaj ludzi?

— By wydobyć z nich zeznania.

— Nie, to nie jest przyczyna! Zastanów się!

— By ich ukarać!

— Nie! — wykrzyknął O'Brien. Jego głos zmienił się nagle nie do poznania, a twarz przybrała wyraz surowy i równocześnie pełen przejęcia.

— Nie po to sprowadziliśmy cię tutaj, by wydobyć z ciebie zeznania, lub cię ukarać. Mam ci powiedzieć jaki jest cel twojej wizyty? Sprowadziliśmy cię tutaj po to, by cię uleczyć! By uczynić cię zdrowym! Zechciej zrozumieć Winstonie, że nikt sprowadzony tutaj, nie wychodzi z naszych rąk nieuleczony. My nie jesteśmy zainteresowani w tych głupich zbrodniach, których się dopuściłeś. Partia nie interesuje się jawnymi czynami. Interesuje nas wyłącznie myśl! My nie tylko niszczymy naszych wrogów, ale ich przekształcamy. Czy rozumiesz co pragnę przez to wyrazić?

O'Brien pochylił się nad Winstonem. Jego twarz wydawała się Winstonowi olbrzymia i straszliwie brzydka, bo patrzył na nią z dołu, z pozycji leżącej. A jednak, twarz tę rozświetlało jakieś szalenie uniesienie i wewnętrzne skupienie. Winston znów poczuł skurcz serca. Gdyby to było możliwe, chętnie zapadłby się głębiej w łóżko na którym leżał. Wydawało mu się niemal pewne, że O'Brien włączy lada chwila elektryczny aparat, na skutek szalonego podniecenia, które go nie opuszczało. W tym jednak momencie O'Brien odwrócił się — pospacerował chwilę po pokoju i podjął już znacznie mniej gwałtownym tonem:

— Przede wszystkim musisz zrozumieć, Winstonie, że tutaj nie ma męczenników. Czytałeś zapewne o prześladowaniach religijnych w przeszłości i o inkwizycji w średniowieczu. Inkwizycja chybiła celu. Powołano ją bowiem, by wytępić herezję, tymczasem inkwizycja powiększyła tylko zastępy heretyków. Każdy heretyk, który spłonął na stosie, znajdował tysiące zwolenników swej herezji. Czym to wytłumaczyć? Inkwizycja walczyła otwarcie ze swymi wrogami i zabijała ich w chwili, gdy nie byli jeszcze nawróceni. Zabijano ich właśnie dlatego, że nie chcieli się nawrócić. Ludzie umierali, bo nie chcieli zaprzeczyć się wierzeń, które uważali za prawdziwe. Oczywiście cała chwała przypadła męczennikom a inkwizycję, która posyłała ich na stos — potępiono. W XX wieku istniały tzw. państwa totalistyczne. Mam na myśli hitlerowskie Niemcy i komunistyczną Rosję. Rosjanie prześladowali heretyków z większym okrucieństwem niż inkwizy-

cja. Wyobrażali sobie równocześnie, że wykorzystali naukę płynącą z błędów przeszłości. Wiedzieli przynajmniej jedno, że nie należy tworzyć zastępów męczenników. Toteż nim Rosjanie decydowali się na publiczny proces, przygotowywali najpierw odpowiednio swe ofiary, niszcząc w nich wszelką godność ludzką. Załamywali tych ludzi torturami i osamotnieniem, przemieniając ich w nędznych płaszczących się nikiemników — zeznających cokolwiek im kazano, miotających na siebie samych obelgi i potwarze, oskarżających swych towarzyszy, żebrzących o łaskę. A jednak, zaledwie w kilka lat później — historia inkwizycji powtórzyła się. Ofiary rosyjskich czystek uznano za męczenników — zapominając o ich poniżeniu. Dlaczegoż tak się stało? Przede wszystkim dlatego, że zeznania ofiar rosyjskiego totalizmu były w sposób najbardziej oczywisty wymuszone i nieprawdziwe. My, Winstonie, nie popełniamy takich błędów! Wszystkie zeznania tutaj dokonywane, są prawdziwe. My czynimy je prawdziwymi. Ale przede wszystkim, nie pozwalamy aby umarli zmartwychwstawali przeciwko nam! Musisz, Winstonie, pożegnać się z myślą, że przyszłe pokolenia upomną się kiedyś o ciebie. Następne pokolenia nigdy słowa o tobie nie usłyszą. Zostaniesz wymazany na czysto ze strumienia wydarzeń historycznych. Przemienimy cię w gaz, który rozplynie się w stratosferze. Nic z ciebie nie zostanie. Nie pozostanie po tobie ani nazwisko w spisach czy rejestrach, ani nie przetrwasz jako wspomnienie w żyjącym ludzkim mózgu. Zostaniesz unicestwiony, zarówno w przeszłości jak i w przyszłości — tak, jakbyś w ogóle nigdy nie istniał!

W takim razie, po co oni zadają sobie trud, by mnie torturować — pomyślał Winston z goryczą.

O'Brien, który do tej pory chodził po pokoju, przystanął nagle, jakby Winston głośno wypowiedział swą myśl.

O'Brien przybliżył się i Winston ujrzał z bliska jego wielką, brzydką twarz i przymrużone nieco oczy.

— Myślisz teraz Winstonie, że skoro zamierzamy unicestwić cię — jest rzeczą doskonale obojętną co ty w międzyczasie powiesz, lub zrobisz. W takim jednak razie, jaki ma cel podejmowanie żmudnych przesłuchiwań? Oto pytanie, jakie sobie zadajesz w myśli — nieprawdaż?

— Tak.

O'Brien uśmiechnął się.

— Ty Winstonie jesteś skazą na modelu. Jesteś plamą, która musi być usunięta. Czyż nie powiedziałem ci przed chwilą, że my różnimy się zasadniczo od prześladowców w przeszłości? Nas nie zadawała negatywne posłuszeństwo, ani nawet najbardziej upokorzenia pełne poddanie. Kiedy w końcu poddasz się nam, będzie to musiał być akt twojej wolnej i nieprzymuszonej woli. My nie niszczymy heretyka dlatego, że się nam opiera. Jak długo się nam opiera, nie niszczy-

my go nigdy. Nawracamy go, zdobywamy jego duszę, przekształcamy go. Wypalamy w nim wszelkie zło i złudzenia. Sprawiamy, że przechodzi na naszą stronę ale nie pozornie tylko duszą i ciałem. Nim go zabijemy, czynimy go wpierym jednym z nas. Jest czymś nie do zniesienia dla nas świadomość, że może gdzieś na świecie istnieć błędząca myśl — choćby była najtajniejsza i bezsilna. Nawet w chwili śmierci nie pozwalamy na najmniejsze ideologiczne odchylenie. W dawnych czasach, heretyk wstępował na stos jako heretyk, głosząc triumfująco swoją herezję. Nawet skazaniec rosyjskich czystek mógł w swej głowie nieść buntowniczą myśl, gdy szedł korytarzem, oczekując kuli w tył głowy. Lecz my mózg skazańca wpierym czynimy doskonałym, nim go przewiercimy kulą. Przykazanie dawnego despotyzmu brzmiało: „Ty nie będziesz“ — przykazaniem totalistów było: „Ty będziesz“ — nasze przykazanie brzmi: „Ty jesteś“. Każdy zostaje wybielony do czysta. Nawet tych trzech nędznych zdrajców — Jonesa, Aaronsona, i Rutherforda — w których niewinność kiedyś wierzyłeś — załamaliśmy w końcu. Brałem sam udział w przesłuchiowaniach. Widziałem jak stopniowo opór ich malał, jak płaszczyli się i płakali. Pod koniec nie płakali z bólu, czy ze strachu, lecz ze skruchy. W chwili, gdy przesłuchania były ukończone byli już oni tylko ludzkimi łupinami. Nie było już w nich nic, prócz żalu za popełnione w przeszłości zbrodnie i miłości do Wielkiego Brata. Było wzruszające patrzeć na ich miłość do W.B. Błagali o szybką egzekucję, by mogli umrzeć, gdy dusze ich były wciąż jeszcze czyste.

Głos O'Briena stał się niemal marzycielski, a na jego twarzy malowało się uniesienie i jakiś szaleńczy entuzjazm.

On nie udaje — myślał Winston — O'Brien nie jest hipokrytą — on wierzy w każde słowo, które wypowiedział. Najbardziej przygnębiało go poczucie umysłowej niższości. Wodził oczami za ciężką i wielką, a przecież pełną wdzięku sylwetką O'Briena, który przechadzał się po pokoju i raz ukazywał się, to znów ginął z zasięgu wzroku Winstona. O'Brien był człowiekiem większym od niego — większym pod każdym względem. O'Brien dawno znał, zbadał i odrzucił wszystkie idee, które kiedykolwiek mogły przejść przez głowę Winstona. Umysł O'Briena mieścił w sobie i jego umysł. Lecz w takim razie czyżby O'Brien mógł być szalony? Nie, to on, Winston był szaleńcem.

O'Brien zatrzymał się i spojrzał na Winstona. Jego głos zabrzmiał znów surowo:

— Nie wyobrażaj sobie Winstonie, że uratujesz się jeżeli całkowicie poddasz się nam. Nigdy nie oszczędzamy tych, którzy chociażby raz zeszli na manowce. A nawet gdybyśmy zdecydowali pozwolić ci żyć aż do czasu twej naturalnej śmierci — i wówczas nie wyrwiesz się z naszych rąk. To co

się tutaj z tobą stanie będzie wiecznotrwale. Pojmij to już obecnie! Skruszymy cię i zmiądzymy wewnętrznie do granicy od której nie ma już powrotu. Przeżyjesz tu rzeczy z których się nie podźwigniesz, choćbyś żył tysiąc lat. Już nigdy w życiu nie będziesz zdolny do żadnego ludzkiego uczucia. Wszystko w tobie będzie martwe. Nigdy nie odczujesz miłości, ani przyjaźni, nigdy więcej nie odczujesz radości życia, ani nie będziesz się śmiał — stracisz wszelkie zainteresowania, odwagę i własną osobowość. Staniesz się pusty. Wyciśniemy z ciebie wszystko, a powstałą próżnię wypełnimy nami, Partią!

O'Brien zamilkł i skinął ręką na człowieka w białym płaszczu. Po chwili Winston zdał sobie sprawę, że tuż za jego głowę ustawiono jakiś ciężki aparat. O'Brien usiadł obok, koło łóżka, tak że jego głowa była niemal na tym samym poziomie co Winstona.

— Trzy tysiące — powiedział O'Brien do lekarza w białym płaszczu.

Dwa uchwyty, jak dwie klamry, miękko wyścielane i nieco wilgotne zamknęły się na skroniach Winstona. Wzdrygnął się. Czeką go ból, nowa męka. O'Brien jakby pragnąc go uspokoić położył rękę na jego dłoni.

— Tym razem nic cię nie będzie bolało. Patrz mi w oczy Winstonie!

W tej chwili, coś straszliwie wybuchło, choć Winston nie był pewien, czy eksplozji tej towarzyszył jakikolwiek hałas. W tej samej sekundzie ujrzał oślepiającą błyskawicę. Nie był ranny, tylko jakby powalony i ogłuszony. Choć w czasie zabiegu leżał na łóżku, miał dziwne wrażenie, że został powalony eksplozją. Straszliwy, bezbolesny cios zmiotł go i rozplaszczył. Stało się coś również wewnątrz jego głowy.

Gdy odzyskał wzrok, pamiętał kim był, gdzie się znajdował i rozpoznał oczy O'Briena utkwione w jego twarzy. Lecz poza tym odczuwał wielką pustkę, jakby kawał mózgu wyjęto mu z głowy.

— To nie trwa długo — powiedział O'Brien. — Patrz mi w oczy. Powiedz z jakim krajem Oceania jest w tej chwili w wojnie?

Winston zastanawiał się. Zdawał sobie sprawę ze znaczenia terminu „Oceania“ i nawet wiedział, że on sam był obywatelem Oceanii. Lecz nie wiedział — kto z kim i przeciw komu wojował. Nie zdawał sobie w ogóle sprawy z faktu, że toczyła się wojna.

— Nie pamiętam — odpowiedział po chwili.

— Oceania jest w wojnie z Wschodnio-Azją. Czy zapamiętasz to?

— Tak.

— Oceania była zawsze w wojnie z Wschodnio-Azją. Od chwili kiedy się urodziłeś, od chwili powstania Partii, odkąd datuje się historia, Oceania zawsze i bez przerwy była w

wojnie z Wschodnio-Azją. Zapamiętasz to?

— Tak.

— Jedenaście lat temu stworzyłeś legendę w związku z trzema zdrajcami, skazanymi na śmierć. Wmawiałeś w siebie, że widziałeś wycinek z gazety, który miał udawadniać ich niewinność. Nigdy w ogóle taki wycinek nie istniał. Wynalazłeś całą tę historię a następnie uwierzyłeś w nią. Czy pamiętasz ów moment kiedy wynalazłeś tę historię?

— Tak.

— Teraz wyciągam ku tobie dłoń. Widzisz pięć palców? Zapamiętasz sobie?

— Tak.

O'Brien wyciągnął lewą dłoń z kciukiem schowanym do tyłu.

— Oto pięć palców, czy widzisz pięć palców?

— Tak.

Winston istotnie przez krótką chwilę widział pięć palców, dopóki atmosfera w jego mózgu nie uległa zmianie. Widział pięć palców i całą nie zdeformowaną dłoń. Po pewnym czasie wszystko zaczęło wracać do normy i dawny strach, nie-nawiść i przerażenie wypełzać zaczęły z głębin na ekran świadomości. Lecz przeżył moment — może nie trwał dłużej niż 30 sekund — olśniewającej pewności. Wówczas każda sugestia O'Briena wypełniała próżnię powstałą w jego mózgu i stawała się absolutną prawdą. Dwa więcej dwa, mogło równie łatwo dawać w wyniku trzy, jak pięć — zależnie od wymagań! Moment ten minął nim O'Brien cofnął swą rękę z jego dłoni i choć Winston nie zdołał już powtórnie wprowadzić się w ten trans — pamiętał tę chwilę, jak pamięta się wyraziście odległą przygodę, która przeżyło się, jakby będąc kimś innym.

— W każdym razie — powiedział O'Brien — widzisz teraz sam, że są to rzeczy możliwe.

— Tak — potwierdził Winston.

O'Brien wstał. Na jego twarzy malowało się zadowolenie. Winston zauważył że lekarz w białym płaszczu, który stał obok, po lewej stronie — odłamał szyjkę ampulki i cofnął tłok strzykawki.

O'Brien zwrócił się z uśmiechem do Winstona. Tym samym, dawnym ruchem poprawił okulary na nosie i powiedział:

— Czy pamiętasz jak pisałeś w twoim pamiętniku, że właściwie nie odgrywa roli, czy jestem twoim przyjacielem, czy wrogiem, ponieważ tak czy inaczej, jestem człowiekiem, który cię rozumie i z którym możesz się porozumieć. Miałeś rację. Twoja psychika bardzo mi odpowiada. Jesteś psychicznie podobny do mnie, z tą różnicą, że ty jesteś obłąkany. Nim zakończymy to przesłuchanie możesz — jeżeli masz ochotę — zadać mi kilka pytań.

— Mogę zapytać o cokolwiek bym chciał?

— Tak.

O'Brien zauważył, że oczy Winstona spoezęły na liczniku aparatu elektrycznego.

— Aparat jest wyłączony. Jakie jest twoje pierwsze zapytanie?

— Coście zrobili z Julią?

O'Brien ponownie się uśmiechnął.

— Julia zdradziła cię i wydała, Winstonie! Uczyniła to natychmiast i bez jakichkolwiek skrupułów. Rzadkie są wypadki, by ktoś tak szybko przeszedł na naszą stronę. Z trudnością byś ją poznał, gdybyś ją teraz zobaczył. Wypaliliśmy w niej do dna, całą jej buntowniczość, nieuczciwość, brud moralny. To był wypadek doskonałego nawrócenia, jak z podręcznika.

— Torturowaliście ją?

O'Brien nie odpowiedział.

— Jakie jest twoje następne pytanie?

— Czy Wielki Brat rzeczywiście istnieje?

— Naturalnie, że istnieje. Partia istnieje, a Wielki Brat jest wcieleniem Partii.

— Czy Wielki Brat istnieje tak samo, jak ja istnieję?

— Ty w ogóle nie istniejesz — powiedział O'Brien.

Winstona ogarnęło ponownie uczucie beznadziejności. Znał a w każdym razie umiał sobie wyobrazić argumenty, które miałyby udowodnić jego nieistnienie. Lecz argumenty takie, były czystą grą słów, niedorzecznością. Czyż stwierdzenie: ty nie istniejesz — nie zawiera samo w sobie logicznego absurdu? Jaki był cel wygłaszania takich tez? Wzdrygnął się na samą myśl jakimi obłąkanymi, nie nadającymi się do dyskusji argumentami zmiążdżyłby go O'Brien.

— Myślę, że istnieję — odezwał się po chwili Winston znużonym głosem. — Jestem świadom mojej osobowości. Urodziłem się i kiedyś umrę. Mam ręce i nogi. Zajmuję pewne określone miejsce w przestrzeni. Żadne inne ciało stałe nie może równocześnie zająć tego miejsca. Czy Wielki Brat istnieje, w tym samym sensie, jak ja istnieję?

— To wszystko co powiedziałaś nie jest istotne. Wielki Brat istnieje.

— Czy Wielki Brat kiedyś umrze?

— Oczywiście, że nie umrze. Jak mógłby umrzeć? Następne pytanie!

— Czy Braterstwo istnieje naprawdę?

— Tego nigdy się nie dowiesz, Winstonie. Gdybyśmy po ukończeniu śledztwa zdecydowali się puścić cię wolno i gdybyś żył do 90 lat — nie dowiedziałbyś się i wtedy czy odpowiedź na to pytanie brzmi „tak“, czy „nie“. Do śmierci pytanie to będzie dla ciebie nierozwiązalną zagadką.

Winston zamilkł. Oddech miał nieco przyspieszony. Do tej pory nie miał odwagi zadać pytania, które pierwsze przy-

szło mu na myśl. Chciał je zadać, ale jakby język nie chciał uformować tych słów.

O'Brien patrzył na niego z błyskiem rozbawienia w oczach a jego okulary rzucały jakby ironiczne refleksy. On wie — myślał Winston — on wie o co chce się zapytać. Nagle wybuchnął:

— Co jest w pokoju Nr 101??

Wyraz twarzy O'Briena nie uległ zmianie. Odpowiedział sucho i sztywno:

— Ty sam wiesz, co jest w pokoju 101. Każdy wie co jest w pokoju 101.

Ruchem ręki przywołał lekarza w białym płaszczu. Przesłuchanie było skończone. Igła zanurzyła się w ramię Winstona. Usnął głęboko — niemal natychmiast.

III.

— Twoja wewnętrzna odbudowa — powiedział O'Brien — jest procesem trójstopniowym. Po pierwsze, musisz się nauczyć — po drugie zrozumieć — po trzecie przyjąć, zaakceptować. Jest już czas, byś zaczął rozumieć.

Winston — jak zawsze leżał wyprostowany na łóżku. Lecz ostatnio, nie był już tak mocno krępowany pasami. Więzy trzymały go wprawdzie w pozycji horyzontalnej na łóżku, lecz mógł nieco poruszać nogami — mógł odwracać głowę i zgiąć rękę w łokciu. Aparat elektryczny również nie terroryzował go już w tym stopniu co dawniej. Mógł uniknąć bólu, gdy dostatecznie szybko orientował się w pytaniach O'Briena. Tylko, gdy wykazywał brak inteligencji, O'Brien włączał aparat. Bywało, że całe posiedzenie śledcze minęło i nie włączył ani razu aparatu. Winston nie pamiętał — ile było już tych przesłuchań? Cały ten proces ciągnął się przez długi, nieokreślony bliżej przeciąg czasu. Trwał zapewne tygodnie, a przerwy między przesłuchaniami wynosiły czasem parę dni, a czasem godzinę, lub dwie.

— Często, leżąc tutaj, dziwiłeś się — podjął O'Brien — a nawet zapytywałeś się o to dlaczego Ministerstwo Miłości poświęca twojej osobie tyle czasu i trudu? Gdy byłeś na wolności zastanawiałeś się nad tym samym zagadnieniem. Znałeś bowiem mechanizm ustroju społecznego w którym żyjesz, lecz nie pojmowałeś motywu, który kryje się za tym mechanizmem. Przypominasz sobie jak pisałeś w twoim pamiętniku — wiem JAK? — nie wiem DLACZEGO? Wówczas, gdy zastanawiałeś się nad tym „dlaczego“ przyszło ci pierwszy raz na myśl, że być może jesteś szaleńcem. Czytałeś książkę napisaną przez Goldsteina, a w każdym razie czytałeś zapewne pewne jej rozdziały. Czy z książki tej dowiedziałeś się czegoś nowego?

— Czy wyście ją czytali? — zapytał Winston.

— Ja ją napisałem. W każdym razie współpracowałem w napisaniu jej. bo jak wiesz, żadna książka nie może być napisana indywidualnie przez jednego autora.

— Czy to co w niej napisano jest prawdą?

— Część opisowa jest prawdziwa — program, jaki propaguje jest niedorzecznością. Potajemne gromadzenie i przechowywanie wiedzy, stopniowe oświecanie ludzi, wreszcie proletariacka rewolucja, czy powstanie w celu obalenia Partii — to są oczywiście absurdy! Przewidywałeś zapewne, że takie będą wnioski końcowe Księgi. Proleci nigdy się nie zbuntują — ani za tysiąc lat, ani za milion. Nie mogą, nie są w stanie. Nie mam potrzeby tłumaczyć przyczyn ich niemocy, bo sam je znasz. Jeżeli kiedykolwiek żywiłeś w sobie nadzieje związane z buntem, czy zbrojnym powstaniem — musisz je porzucić. Nie istnieje sposób ani metoda, którą można by obalić Partię. Dyktatura Partii trwać będzie wiecznie. Na tym pewniku oprzyj wszystkie twoje rozważania!

O'Brien podszedł bliżej do łóżka Winstona i powtórzył:

— Trwać będzie wiecznie, na wieki! — A teraz — podjął po chwili — powróćmy do zagadnienia „jak“ i „dlaczego“. Zdajesz sobie dobrze sprawę jak Partia utrzymuje się przy władzy. Teraz, powiedz mi jednak, dlaczego, w jakim celu dźierzymy władzę? Dla jakich przyczyn? Dlaczego pragniemy władzy? No, śmiało, mów co myślisz!

Winston milczał dłuższą chwilę. Był już znużony tym wszystkim. Błyski obłąkańczego uniesienia płonęły w oczach O'Briena. Winston wiedział z góry co powie „mistrz“. Że Partia nie szuka władzy dla swych własnych celów, tylko dla dobra większości . . . że szuka władzy ponieważ ludzie w masie są słabymi tchórzliwymi stworzeniami, które nie mogą ani znieść wolności, ani sprostać prawdzie. Stworzenia te muszą być rządzone i systematycznie oszukiwane przez silniejszych . . . że ludzkość ma do wyboru: szczęście, albo wolność i że dla większości szczęście lepsze jest niż wolność. Spodziewał się, że usłyszy, iż Partia jest wieczystym opiekunem słabych, oddaną sektą, która czyni rzeczy bolesne dla jutrzejszego dobra i szczęścia, poświęcając własne korzyści dla dobra innych. Najokropniejszą rzeczą w tym wszystkim było to — myślał Winston — że jeżeli O'Brien wygłosi takie poglądy, będzie w nie wierzył. Czytał to w jego twarzy. O'Brien wie wszystko. Tysiąc razy lepiej wie, niż on, jak wygląda rzeczywisty obraz świata, w jakim poniżeniu żyły szerokie masy i jakimi barbarzyńskimi metodami i oszustwem Partia trzymała je w tym upodleniu. O'Brien rozumiał to, rozważył, zbadał i cóż stąd? Wszystko było usprawiedliwione ostatecznym celem. Cóż można począć, gdy ma się do czynienia z szaleńcem — myślał Winston — z szaleńcem, który jest inteligentniejszy od nas, który wysłucha wpraw-

dzie spokojnie kontrargumentów, lecz mimo to, nadal uporczywie trwa w swym szaleństwie?

— Rządźcie nami dla naszego dobra — powiedział Winston bez przekonania — uważacie, że ludzie są niezdolni rządzić się sami i dlatego . . .

Winston urwał nagle i krzyknął przeraźliwie. Fala bólu objęła jego ciało. O'Brien pchnął rączkę na liczniku aparatu na 35.

— Pleciesz głupstwa, Winstonie! Powinieneś wiedzieć, że to są brednie!

O'Brien wyłączył aparat i podjął po chwili namysłu:

— Teraz, ja sam odpowiem na pytanie, które ci zadałem. Partia pragnie władzy dla samej władzy. Nie jesteśmy zainteresowani w czymkolwiek dobrobycie. Interesuje nas jedynie władza i moc. Nie bogactwo, nie luksus, nie długowieczność, nie szczęście tylko władza, czysta władza! Co jest istotą władzy niebawem zrozumiesz. Od oligarchii w przeszłości różnimy się przede wszystkim tym, że zdajemy sobie dokładnie sprawę z naszych czynów. Jesteśmy świadomi tego, co czynimy. Wszystkie oligarchie poprzednie, nawet te, które w pewnym stopniu podobne były do naszej — cechowało tchórzostwo i hipokryzja. Niemieccy hitlerowcy i rosyjscy komuniści używali wprawdzie podobnych metod co i my — lecz tak jedni, jak i drudzy nie mieli dość odwagi, by uświadomić sobie motywy własnego działania. Udawali przed światem, a może w pewnej mierze i sami w to wierzyli — że władza niejako sama do nich przyszła, że nie będzie wiecznotrwała i że tuż, za najbliższym zakrętem Historii czeka raj wszechludzkiej wolności i równości. My jesteśmy inni. Wiemy dobrze, że nikt nie zdobywa władzy z intencją zrzeczenia się tej władzy. Władza, nie jest środkiem do celu, lecz jest celem sama w sobie. Nikt nie ustanawia dyktatury, by zabezpieczyć rewolucję — przeciwnie, robi się rewolucję by ustanowić i zabezpieczyć dyktaturę. Celem prześladowań — jest prześladowanie. Celem torturowania jest tortura. Celem władzy jest władza. Czy zaczynasz rozumieć o co mi chodzi?

Winstona, gdy słuchał — uderzył, nie po raz pierwszy zresztą — wyraz znużenia i zużycia na twarzy O'Briena. W tej ogromnej twarzy, była brutalna siła, potężna inteligencja i opanowana pasja, wobec której Winston czuł się bezradny. Lecz worki pod oczyma, obwisła skóra na policzkach, mówiły o znużeniu i zużyciu.

O'Brien pochylił się nad Winstonem, przybliżając ku niemu celowo swą zniszczoną twarz.

— Myślisz Winstonie — odezwał się O'Brien — że jestem zużyty i stary. Myślisz, że mówię o władzy, a nie jestem w możności powstrzymać procesu własnego, fizycznego upadku. Ale czyż nie pojmujesz, że jednostka jest tylko komórką.

Właśnie zużycie komórek zapewnia organizmowi młodość i prężność. Nie umrzesz jeżeli obetniesz sobie paznogie!

Odwrócił się i zaczął spacerować po pokoju, z ręką w kieszeni kombinezonu.

— My, Winstonie, jesteśmy kapłanami władzy. Władza jest Bogiem. Lecz dla ciebie, władza jest jeszcze pustym słowem. Jest już czas żebyś zaczął pojmować treść tego wyrazu. Przede wszystkim, musisz zdać sobie sprawę, że władza jest kolektywna. Jednostka ma władzę dopiero wówczas, gdy przestaje być jednostką. Znasz slogan Partii: „Wolność jest niewolnictwem“. Czy przyszło ci kiedy na myśl, że slogan ten można odwrócić? Niewolnictwo jest wolnością. Samotny i wolny człowiek jest zawsze ofiarą, zawsze jest pokonany! Musi tak być, bo każdy człowiek skazany jest z góry na śmierć, a to z wszystkich jego klęsk stanowi klęskę największą. Lecz jeżeli człowiek potrafi dokonać aktu całkowitego poddania się, jeżeli w ten sposób zdoła uciec od własnej indywidualnej osobowości — jeżeli potrafi roztopić się w Partii tak, że sam jest Partią — wówczas staje się wszechpotężny i nieśmiertelny! Kolejno musisz zrozumieć teraz, że władza jest panowaniem nad ludźmi. Panowaniem nad ich ciałem, a przede wszystkim nad ich mózgami. Władza nad materią, nad zewnętrzną rzeczywistością — nie jest istotna. Zresztą nad światem materialnym panujemy całkowicie.

Winston zapomniał na chwilę o aparacie. Uczynił gwałtowny wysiłek, by usiąść na łóżku lecz w rezultacie obtarł się tylko boleśnie.

— Jakże to panujecie nad materią? — wybuchnął — Nie panujecie nawet nad klimatem, czy nad prawem ciężkości, nie mówiąc o chorobach, bólu i śmierci . . .

O'Brien przerwał mu ruchem ręki.

— Panujemy nad materią, albowiem panujemy nad myślą, nad mózgami. Rzeczywistość mieści się wewnątrz ludzkiej czaszki. Nie ma rzeczy której nie bylibyśmy władni dokonać. Wszystko leży w naszej mocy — niewidzialność, lewitacja, dosłownie wszystko. Gdybym chciał, mógłbym oderwać się od ziemi i unosić się nad podłogą jak bańka mydlana. Nie pragnę tego, ponieważ Partia tego nie pragnie. Musisz już raz odrzucić te dziewiętnastowieczne idee o „prawach natury“. Prawa natury my dyktujemy!

— Niczego nie dyktujecie, nie panujecie nawet nad tą planetą. Cóż z Eurazją i Wschodnio-Azją? Nie zdołaliście podbić ani jednej, ani drugiej.

— To nie jest istotne. Podbijemy te kraje, kiedy będzie nam to dogadzało. A jeżeli nie — to cóż stąd? Oceania jest światem!

— Lecz sam świat jest tylko pyłkiem, a człowiek bezbronną drobiną. Od jak dawna istnieje człowiek? Cztery miliony lat temu ziemia była niezamieszkała,

— Głupstwa, Winstonie! Ziemia jest równie stara jak my. Nie jest starsza od nas. Nie może być starsza. Pamiętaj, że nie ma istnienia, jak tylko i wyłącznie poprzez ludzką świadomość.

— Lecz przecież skały i pokłady ziemi pełne są kości wymarłych gatunków zwierząt — mamutów, mastodontów, olbrzymich płazów, które żyły na ziemi wówczas, kiedy się jeszcze nikomu nie śniło o istnieniu człowieka.

— Czy widziałeś kiedy te kości, Winstonie? Na pewno ich nie widziałeś. Te kości są wynalazkiem biologów z XIX wieku. Przed człowiekiem nie było nikogo i niczego. Po człowieku — jeżeli kiedyś gatunek ludzki by wymarł — nie będzie również nikogo. Poza człowiekiem nie istnieje nic!

— Lecz przecież poza człowiekiem istnieje cały wszechświat. Popatrzcie na gwiazdy! Niektóre z nich oddalone są od nas o miliony lat świetlnych. Na wieki są dla nas nieosiągalne.

— Cóż są gwiazdy? — O'Brien wruszył ramionami — kule ognia, parę kilometrów od ziemi. Moglibyśmy i gwiazd dosięgnąć gdybyśmy chcieli. Moglibyśmy również wysadzić je i rozbić. Punktem centralnym wszechświata jest ziemia. Słońce i gwiazdy kołują wokół ziemi!

Winston, rzucił się jak w ataku konwulsji. Nie odezwał się jednak. O'Brien zaczął mówić ponownie jakby odpowiadał na jego niewypowiedzianą myśl.

— Oczywiście nie we wszystkich wypadkach jest to prawda. Gdy zeglujemy przez ocean, lub przepowiadamy zaćmienie słońca — uważamy wówczas za dogodne przyjąć, że ziemia krąży wokół słońca i że gwiazdy odległe są od nas o miliony kilometrów. Lecz cóż stąd? Czy myślisz, że jest ponad nasze siły zbudować podwójny system astronomii? Gwiazdy mogą być raz blisko, a raz daleko — zależnie od naszych potrzeb. Czy sądzisz, że operacja taka przerasta uzdolnienia naszych matematyków? Zapomniałeś już chyba o dwójmyśleniu?

Winston skurczył się na swym łóżku. Cokolwiek by nie powiedział — błyskawiczne odpowiedzi O'Briena miażdżyły go jak uderzenia maczugi. A jednak wiedział, wiedział, że słuszność jest po jego stronie! Musi istnieć sposób udowodnienia, że pogląd, który głosi, iż nie istnieje nic poza obrębem ludzkiego mózgu — jest fałszywy. Czyż już dawno nie udowodniono, że teoria ta jest szaleństwem? Istniała nawet specjalna nazwa dla tego szaleńczego poglądu, ale Winston nie mógł w tej chwili przypomnieć jej sobie.

O'Brien uśmiechnął się kącikami ust i pochylił się nad łóżkiem swej ofiary.

— Już ci raz powiedziałem, Winstonie, że metafizyka nie jest twoją mocną stroną. Termin, który usiłujesz sobie przypomnieć brzmi solipsyzm. Lecz jesteś w błędzie. To, o czym mówiłem nie jest solipsyzmem. Chyba, jeżeli chcesz, to ko-

lektywnym solipsyzmem. Lecz to byłoby zupełnie co innego. Kolektywny solipsyzm byłby odwrotnością solipsyzmu. — Wszystko to — dodał O'Brien innym już tonem — stanowiło dygresję. Wróćmy więc do zasadniczego tematu. Prawdziwa władza o którą walczyć musimy dniem i nocą — jest władzą nie nad materią, lecz nad ludźmi.

O'Brien zamilkł. Po chwili, przybrawszy znów pozę nauczyciela, który egzaminuje zdolnego ucznia — zapytał:

— Powiedz mi jak człowiek może zapewnić sobie władzę nad drugim człowiekiem?

Winston namyślał się przez chwilę.

— Zadając mu ból, cierpienie.

— Doskonale! Zadając mu ból lub powodując cierpienie. Posłuszeństwo nie wystarcza. Jak długo bowiem ów człowiek nie cierpi, nie możesz sprawdzić czy wykonuje on twoją wolę czy tylko swoją własną. Władza wyraża się w zadawaniu bólu i w upokarzaniu. Władza jest to darcie ludzkiej świadomości na strzępy i układanie z tych strzępów świadomości innego typu, według twojej woli. Czy dostrzegasz już zręby świata, który zamierzamy stworzyć? Znajdujemy się na przeciwnym biegunie w stosunku do głupiej hedonistycznej utopii, którą pragnęli urzeczywistnić dawniejsi reformatorzy. Pragniemy stworzyć świat strachu, zdrady, męczarni — świat tratujących i tratowanych, świat, który będzie nie coraz mniej, lecz coraz więcej bezlitosny, w miarę jak stawać się będzie doskonalszy. Postęp w naszym świecie będzie mierzony wzrostem cierpienia.

Dawna cywilizacja oparta była na miłości i sprawiedliwości. Naszą cywilizację oprzemy o nienawiść. W naszym świecie nie będzie innych uczuć tylko lęk — gniew — triumf zwycięstwa i upodlenie. Wszystko inne wytępiamy i zniszczymy. Już teraz przełamujemy przyzwyczajenia myślowe, które przetrwały z okresu przedrewolucyjnego. Przecieliśmy węzły, które łączyły dziecko z rodzicami, mężczyznę z kobietą, człowieka z człowiekiem. Nikt już dziś nie śmie ufać dziecku, żonie, czy przyjacielowi. Lecz w przyszłym świecie nie będzie ani żon, ani przyjaciół. Dzieci będzie się zabierało matkom natychmiast po urodzeniu, tak, jak zabiera się jajka kurze jak tylko je zniesie. Instykt seksualny zostanie wytrzebiony. Urodzenie dziecka będzie sprawą corocznej formalności, jak odnowienie książeczek żywnościowych. Rozkosz płciowa będzie wytępiona. Nasi neurologowie już nad tym pracują. Nie będzie innej wierności, tylko wierność w stosunku do Partii. Nie będzie innej miłości tylko miłość do Wielkiego Brata. Nie będzie śmiechu, prócz śmiechu triumfu z pokonanego wroga. Nie będzie sztuki — literatury — wiedzy. Z chwilą, gdy będziemy wszech-potęźni nauka stanie się zbędna. Nie będzie żadnego rozróżnienia pomiędzy pięknem a brzydotą. Człowiek nie będzie miał żadnych zainteresowań, ani nie

będzie odczuwał radości życia. Wszystkie przyjemności sprzeczne z tym programem zostaną wytępione. Lecz nie zapominaj o jednym, Winstonie! Zawsze będzie istniało zatrucie władzą! To zatrucie przybierać będzie coraz subtelniejsze formy. Nieodmienny będzie dreszcz zwycięstwa — emocja traktowania bezbronного, pokonanego wroga. Jeżeli chcesz mieć pełny obraz przyszłości, Winstonie — wyobraź sobie ciężki but, tratujący ludzką twarz, tratujący przez wieczność!

O'Brien zamilkł jakby oczekiwał odpowiedzi Winstona. Winston, najchętniej zapadłby się z łóżkiem pod ziemię. Nie miał nic do powiedzenia. Serce ścięło mu się w łód.

O'Brien mówił dalej:

— Pamiętaj, że tak będzie na zawsze. Zawsze będzie istnieć twarz, po której będziemy deptali. Zawsze będą heretycy i wrogowie ludu, by było kogo gnębić i upokarzać. Wszystko co ty przeszedłeś od chwili, gdy wpadłeś w nasze ręce — będzie kontynuowane w nieskończoność tylko w ostrzejszej formie. Szpiegostwo, zdrady, aresztowania, tortury, egzekucje, znikanie ludzi — nie ustaną nigdy. Świat, ku któremu zmierzamy będzie w równej mierze światem terroru, co triumfu. Im Partia będzie potężniejsza, tym mniej będzie tolerancyjna — im słabsza będzie opozycja, tym brutalniejszy będzie despotyzm. Goldstein i jego herezje trwać będą wiecznie. Każdego dnia i o każdej godzinie Goldstein będzie gnębiony, demaskowany, ośmieszany, opluwany, ale on to przeżyje. Ten dramat, który rozgrywałem z tobą na przestrzeni ostatnich siedmiu lat — będzie grany i powtarzany z pokolenia na pokolenie, tylko z większym jeszcze wyrafinowaniem. Tu w Ministerstwie Miłości będziemy mieli zawsze heretyków zdanych na naszą łaskę i niełaskę, wyjątych z bólu, złamanych, pogardzanych, a w końcu całkowicie skruszonych, uwolnionych od własnego „ja“ — czolgających się z własnej woli u naszych stóp. Oto jest świat, który budujemy, Winstonie! Świat zwycięstw i niekończących się nigdy triumfów. Jest to proces nacisku — coraz większego i większego nacisku na nerw Władzy!

Wydaje mi się, że zaczynasz pojmować obraz naszego świata. Lecz pod koniec uczynisz jeszcze coś więcej. Nie tylko zrozumiesz, ale pogodzisz się z tym światem, powitasz go całym sercem i staniesz się sam jego częścią.

Winston przyszedł już na tyle do siebie że mógł mówić.

— Nie zdołacie tego zrobić — odezwał się słabym głosem

— Co chcesz przez to powiedzieć, Winstonie?

— Nie zdołacie, nie potraficie stworzyć takiego świata.

To jest fantazja, to jest niepodobieństwo!

— Dlaczego?

— Jest niepodobieństwem tworzyć cywilizację w oparciu o terror, nienawiść i okrucieństwo. Taka cywilizacja nie może trwać.

— Dlaczegoż nie miałyby trwać?

— Braknie jej sił życiowych, rozpadnie się, skończy samobójstwem. . .

— Mówisz głupstwa. Winstonie! Wydaje ci się, że nienawiść jest uczuciem, które bardziej pochłania i więcej wyczerpuje niż miłość. Lecz dlaczego? A gdyby nawet tak było — to i cóż? Załóżmy, że zdecydowaliśmy zużyć się szybciej. Załóżmy, że przyspieszyliśmy tempo życia tak, że ludzie stają się starcami, przeżywszy 30 lat. Lecz i to nie wprowadziłoby żadnej zmiany w naszym programie. Czy nie możesz tego pojąć, że śmierć jednostki nie jest w ogóle śmiercią? Partia jest nieśmiertelna.

Jak zwykle głos O'Briena miażdżył Winstona. Był bezsilny. Poza tym bał się, że jeżeli będzie trwał przy swoim zdaniu O'Brien włączy aparat elektryczny. A jednak, nie mógł milczeć. Znużony, wyczerpany, bez gotowych argumentów podtrzymywany jedynie nieokreślonym przerażeniem, którym napełniły go słowa O'Briena — przystąpił do ataku.

— Nie wiem jak, i jest mi to obojętne, ale wiem, że upadniecie. Ktoś zniszczy was. Zniszczy was samo życie. . .

— My panujemy nad życiem, Winstonie. Panujemy nad życiem na wszystkich jego szczeblach rozwoju. Wydaje mi się, że wyobrażasz sobie, że istnieje coś, co zwie się „ludzka naturą“. Wyobrażasz sobie dalej, że owa „ludzka natura“ znieważana naszymi czynami — obróci się przeciwko nam. Lecz pamiętaj, że my tworzymy „naturę ludzką“. Ludzie są podatni jak wosk. A może powróciłeś do twojej dawnej idei, że proleci i niewolnicy powstaną by nas obalić? Oni są równie bezbronni jak zwierzęta. Ludzkość to jest Partia! Wszystko poza nią jest obce i bez znaczenia.

— Jest mi to obojętne, ale powtarzam, w końcu was pobiją. Wcześniej czy później ludzie przejrzą i zdadzą sobie sprawę z tego, kim wy jesteście. Wówczas rozedrą was w strzępy!

— Czy masz jakieś dowody na to, że tak się dzieje — względnie, czy możesz podać jakiś powód, który by usprawiedliwiał przypuszczenie, że tak stanie się w przyszłości?

— Nie, ale wierzę, że tak się stanie. Jest coś w wszechświecie, nie wiem, duch czy prawo — którego nigdy nie pokonacie.

— Czy ty wierzysz w Boga, Winstonie?

— Nie.

— Więc cóż jest tą zasadą, czy prawem, które ma nas pognębić?

— Nie wiem. Duch Człowieka . . .

— Czy ty uważasz się za Człowieka?

— Tak.

— Jeżeli jesteś człowiekiem Winstonie — jesteś ostatnim z twego rodu! Twój gatunek wymarł. My jesteśmy spadkobier-

cami. Czy zdajesz sobie z tego sprawę, że jesteś sam! Jesteś poza nawiasem Historii. Nie istniejesz.

Zamilkli. Po chwili O'Brien dodał zmienionym, opryskliwym tonem:

— Zapewne uważasz, że my z naszymi kłamstwami i okrucieństwami stoimy moralnie niżej od ciebie?

— Tak, uważam, że moralnie stoję wyżej od was.

O'Brien zamilkł. Odezwały się natomiast dwa inne głosy. Po chwili Winston rozpoznał w jednym z nich swój własny głos. To była płyta, nagrana w czasie jego rozmowy z O'Brienem, gdy przyjmowano go do Braterstwa. Słyszał swój głos — jak wówczas przyrzekał kłamać, kraść, fałszować, mordować, zachęcać do narkomanii i prostytucji, rozpowszechniać choroby weneryczne i oblewać witriolem twarz dzieci.

O'Brien uczynił ręką lekceważący gest, jakby chciał dać do zrozumienia, że demonstracja ta nie była nawet warta słuchania i uwagi. Przekręcił kontakt i głosy ucichły.

— Wstań z łóżka! — zwrócił się do Winstona.

Pasy rozluźniły się i Winston stanął chwiejnie na podłodze.

— Jesteś ostatnim Człowiekiem — odezwał się O'Brien — jesteś stróżem ducha ludzkości. Trzeba żebyś sam zobaczył jak wyglądasz. Rozbierz się!

Winston rozwiązał sznurek, którym przewiązany był jego kombinezon. Zatrząsk błyskawiczny dawno już był wyrwany. Nie pamiętał, czy od chwili gdy był aresztowany rozbierał się całkowicie. Gdy zdjął kombinezon okazało się, że jego ciało spętane jest brudnymi, żółto szarymi szmatami, które jeszcze przypominały resztki bielizny. Gdy zsunął z siebie te szmaty zauważył, że na drugim końcu pokoju stało trój-skrzydłowe lustro.

Podszedł bliżej i nagle stanął jak wryty. Z jego gardła wydobył się bezwiedny okrzyk.

— Podejdz bliżej — powiedział O'Brien. — Stań w pośrodku, między skrzydłami lustra, abyś mógł obejrzeć się również i z profilu.

Winston przystanął przerażony. Ku niemu z lustra wychylił się szary, pochylony kościotrup. Widok tego upiora był sam w sobie przerażający — niezależnie od faktu, że przecież wiedział, iż patrzy na własne odbicie.

Podszedł nieco bliżej. Głowa upiora w lustrze, robiła wrażenie silnie wysadzonej ku przodowi, na skutek przygiętego karku. Więzienna, skazańcza twarz z . . . myślącym czołem przechodzącym w łysinę, hakowaty nos, pogruchothane kości policzkowe a w oczodołach skupione, płonące oczy. Policzki ściągnięte bliznami — usta zapadnięte.

Niewątpliwie to była jego twarz. Wydawało mu się jednak że jego twarz uległa większym przemianom, niż jego psychika. Uczucia, które wyrażała jego twarz — nie były emocjami, które odczuwał. Rejestracja była fałszywa. Cześciowo

wyłysiał. W pierwszej chwili, myślał, że również posiwiiał, lecz przekonał się, że to tylko łysina tak przeświecała. Z wyjątkiem dłoni i samej twarzy, ciało jego było pokryte starym, wrośniętym brudem. Spod skorupy brudu przeświecały tu i ówdzie czerwone blizny ran. Wrzód żyłakowy nad kostką był rozogniony ze zwisającymi płatami łuszczącej się skóry. Lecz najbardziej przerażał go widok wyniszczenia i wychudzenia całego jego organizmu. Klatka piersiowa ze sterzącymi żebrami była tak wąska jak u kościotrupa. Nogi mu tak wychudły, że kolana w obwodzie były grubsze niż uda.

Teraz rozumiał co miał na myśli O'Brien, gdy mówił, żeby obejrzał się z profilu. Linia jego kręgosłupa wprawiła go w zdumienie. Chude ramiona pochylone ku przodowi, klatka piersiowa głęboko zapadnięta. Wychudzony, ptasi kark gwał się pod ciężarem czaszki. Na pierwszy rzut oka powiedziałby, że widzi przed sobą w lustrze odbicie sześćdziesięcioletniego mężczyzny, którego trawi jakaś niebezpieczna choroba.

— Byleś zdania — powiedział O'Brien — że moja twarz, twarz członka Partii Wewnętrznej, wygląda znużenie i staro. Co sądzisz o wyglądzie twojej własnej twarzy?

Ujął Winstona za ramiona i obrócił twarzą ku sobie.

— Patrz do czego się doprowadziłeś! Czy widzisz pokłady brudu na twoim ciele? Popatrz na twoje brudne nogi, popatrz na tę ropiejącą, wstrętną ranę żyłakową na nodze. Czy ty wiesz, że śmierdzisz jak cap? Być może nie zdajesz sobie już z tego sprawy. Przypatrz się twojemu wychudzonemu ciału. Spójrz — mogę dłonią objąć twój biceps! Mógłbym przełamać twój kark jak marchewkę! Czy wiesz, że straciłeś 25 kg na wadze od dnia w którym wpadłeś w nasze ręce? Nawet włosy wypadają ci garściami. Popatrz! — O'Brien chwycił kosmyk włosów Winstona i wyrwał. — Otwórz usta! Dziewięć, dziesięć, jedenastu zębów brak. Ile miałeś zębów jak tu przyszedłeś? Pozostałe wylatują same. Popatrz tylko . . .

O'Brien uchwycił mocno palcami jeden z przednich zębów Winstona. Skurcz bólu. O'Brien wyrwał chwiejający się ząb z korzeniem i rzucił na podłogę celi.

— Gnijesz, rozkładasz się! Co z ciebie zostało — brudny łachman! A teraz obróć się i spójrz jeszcze raz w lustro. Czy widzisz tego upiora co wychyla się z lustra ku tobie? To jest ostatni Człowiek! Jeżeli jesteś człowiekiem, tak oto wygląda człowieczeństwo! A teraz ubierz się.

Winston ubierał się wolno i niezdarnie. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy jak wychudł i jaki był słaby. Tylko jedna myśl kołowała mu w głowie: musiał tu być bezporównania dłużej niż przypuszczał. Nagle, gdy już odział się w swoje nędzne łachmany ogarnęło go uczucie litości nad samym sobą. Nie zdając sobie sprawy z tego co robi, osunął się na stół, stojący obok łóżka i wybuchnął płaczem. Był boleśnie świadomy własnej brzydoty i nędzy. Myślał, że oto w

jaskrawym świetle siedzi kościotrup zawinięty w brudne lachmany i płacze. Nie mógł się uspokoić.

O'Brien niemal przyjacielsko położył rękę na jego ramieniu.

— To nie na zawsze, Winstonie — odezwał się. — Możesz wydobyć się z tego kiedy tylko zechcesz. Wszystko zależy od ciebie.

— To jest wasze dzieło — lkał Winston — to wyście doprowadzili mnie do takiego stanu!

— Nie Winstonie, to ty sam doprowadziłeś się do tego stanu. To są konsekwencje, które przyjąłeś w chwili, gdy zbuntowałeś się przeciwko Partii. Pierwsza buntownicza myśl zawierła w sobie to wszystko, co przeżyłeś. Nie stało się nic takiego, czego byś nie przewidywał.

O'Brien zamilkł. Po chwili dodał:

— Biliśmy cię, Winstonie. Złamaliśmy cię. Sam widziałeś jak wygląda twoje ciało. W takim samym stanie jest twój umysł. Nie sądzę żebyś miał z czego jeszcze być dumny. Kopal cię, bili, lżyli — jęczałeś z bólu, tarzałeś się po ziemi we własnych wymiotach i krwi. Zebrałeś o łaskę — wydałeś i zdradziłeś wszystkich i wszystko. Czy możesz sobie wyobrazić, że istnieje jeszcze jakieś upokorzenie, którego byś nie przeżył?

Winston przestał lkać, choć lzy jeszcze ciągle płynęły mu z oczu. Podniósł wzrok na O'Briena i powiedział:

— Nie zdradziłem Julii.

O'Brien spojrział na niego z namysłem.

— To jest istotnie prawda. Nie zdradziłeś Julii.

Szczególny szacunek do O'Briena przepelnił znów serce Winstona. Wydawało się, że nic nie zdoła wypalić w nim tego uczucia.

Jaki on jest subtelny i inteligentny — myślał Winston. Zawsze wszystko pojmie i zrozumie. Każdy inny na miejscu O'Briena powiedziałby bez namysłu, że zdradził Julię. Bo czegoż on nie wyjawiał w czasie tortur? Powiedział im wszystko co wiedział o Julii, o jej przyzwyczajeniach, o jej charakterze i przeszłości. Wyznał co działo się w czasie ich spotkań, nie pomijając najbardziej drastycznych szczegółów. Zeznał treść każdej rozmowy — przyznał się do zakupów na czarnym rynku, do cudzołóstwa. Do spiskowania przeciw Partii — do wszystkiego. Lecz jednak w tym sensie w jakim on pojmował słowo „zdrada“ nie zdradził jej. Nie przestał jej kochać, jego uczucie pozostało nie zmienione.

O'Brien rozumiał co Winston miał na myśli i nie potrzebował żadnych wyjaśnień.

— Powiedźcie mi — podjął Winston po chwili milczenia — kiedy zostaną rozstrzelani?

— Możliwe, że nie prędko — odparł O'Brien. — Jesteś trudnym pacjentem, Winstonie! Lecz nie trać nadziei. Wcześniej czy później, każdy zostaje uzdrowiony. W końcu cię rozstrzelamy.

IV.

Winston czuł się lepiej. Wracał do sił i przybierał na wadze z każdym dniem — jeżeli można było użyć określenia „dnie“.

Białe, jaskrawe światło i monotony dźwięk wentylatorów towarzyszyły mu i tutaj, ale sama cela była wygodniejsza od poprzednich. Na łóżku była poduszka i materac, a oprócz tego miał teraz stółek na którym mógł siedzieć. Pozwalano mu myć się względnie często w blaszanej miednicy i dostawał ciepłą wodę. Raz nawet zaprowadzono go do kąpieli.

Oprócz tego dostał zmianę bielizny i czysty kombinezon. Lekarz opatrzył mu żyłak i przyłożył kojącą maść. Dentysta wyjął mu resztki zębów i po pewnym czasie dostał nowe sztuczne szczęki.

Musiały minąć tygodnie jeżeli nie miesiące. Gdyby go to jeszcze interesowało, mógłby obliczać mijający czas, ponieważ — wydawało mu się — otrzymywał posiłki w regularnych odstępach. Jedzenie przynoszono mu trzy razy na dobę. Czasem zastanawiał się, czy karmiono go w dzień, czy też w nocy. Wszystko smakowało mu nadzwyczajnie, a szczególnie mięso, które dostawał przy każdym trzecim z kolei posiłku. Raz otrzymał nawet paczkę papierosów. Nie miał oczywiście zapalek, ale milczący strażnik, który przynosił jedzenie dał mu odpalić. Gdy pierwszy raz spróbował zapalić papierosa zrobiło mu się niedobrze, ale nie dawał za wygraną i palił pół papierosa po każdym jedzeniu, tak, aby paczka wystarczyła mu na dłużej.

Przyniesiono mu białą tabliczkę do której był przywiązany krótki ołówek. Początkowo jednak nie używał jej zupełnie, bo nawet wtedy gdy nie spał, był w stanie odrętwienia.

Czas między posiłkami spędzał leżąc na łóżku — to śpiąc, to budząc się — snując jakieś błędne marzenia, nie będąc w stanie nawet otworzyć oczu. Od dawna przywycał się spać przy silnym świetle, które padało mu na twarz. Nie przeszkadzało mu to już, a może sny były bardziej wyraziste. Miał teraz wiele snów. Były to szczęśliwe sny; że jest w Złotym Kraju, albo, że siedzi u podnóża wielkich, wspaniałych, słońcem oblaných ruin — z matką, albo z Julią innym razem z O'Brienem. Nie robią nic — tak po prostu siedzą w słońcu i rozmawiają o pogodnych rzeczach.

Gdy się budził, myślał o tych snach. W momencie, gdy zabrakło bodźca — jakim był ból — Winston zdawał się tracić zdolność do jakiegokolwiek wysiłku umysłowego. Nie nudził się i nie tęsknił ani za rozmową, ani za jakąś zmianą. Po prostu pragnął być sam — nie być bitym, ani dręczonym

pytaniami, móc się umyć i mieć coś do jedzenia. To wszystko dawało mu pełne zadowolenie.

Stopniowo, spał coraz mniej, ale wciąż jeszcze nie chciało mu się wstawać z łóżka. Nic mu się nie chciało — tylko tak leżeć i czuć jak siły na powrót wstępują w jego ciało. Sprawdzał ręką, aby się przekonać, że to nie jest złudzenie, że rzeczywiście mięśnie zaokraglają się, a skóra jędrnieje.

Wreszcie przestał wątpić: tyl. Uda miał już zdecydowanie grubsze niż kolana. Od tego dnia — choć początkowo niechętnie — zaczął się jednak trochę poruszać. Po paru dniach robił już trzy kilometrów spacerów przemierzając celę tam i na powrót, a jego zgarbione plecy zaczęły się prostować. Spróbował trudniejszych ćwiczeń, ale przeraził się i spokorniał, gdy stwierdził, że nie może podolać nawet najprostszym ćwiczeniom. Nie mógł przyśpieszyć kroku ponad tempo spaceru, nie był w stanie unieść stolka jedną ręką, a gdy próbował stanąć na jednej nodze, natychmiast się przewracał. Największym wysiłkiem pokonując ból w udach i w goleniach, mógł dźwignąć się do góry z przysiadu. Kładł się płasko na brzuchu na ziemi, i usiłował unieść się na rękach, lecz nie był w stanie dźwignąć ciężaru ciała nawet na centymetr. Gdy minęło znów parę dni, gdy zjadł jeszcze kilka porcji mięsa więcej — ćwiczenie powiodło się. Wkrótce ćwiczył podnoszenie się na rękach, wykonując je z łatwością kolejno sześć razy. Wróciło mu uczucie dumy ze sprawności fizycznej własnego ciała. Z uczuciem tym wiązała się nadzieja, że może i jego twarz wróci do normalnego wyglądu. Ale, gdy przypadkiem przesunął ręką po lysej czaszce, przed oczami stała mu zniszczona, poorana bruzdami twarz, którą widział w lustrze.

Powoli i umysł Winstona ożywał się. Siadał na łóżku plecami oparty o ścianę — kładł tabliczkę na kolanach i zabierał się do nauki.

Winston dał za wygraną. Zdawał sobie z tego sprawę. W rzeczywistości — tak jak widział to obecnie — był w duszy gotów dać za wygraną znacznie wcześniej, choć dopiero później powziął taką decyzję. Właściwie od pierwszej chwili, kiedy znalazł się w Ministerstwie Miłości, a nawet wcześniej od momentu, kiedy stali oboje z Julią, bezradni, słuchając żelaznego głosu, od tego właściwie momentu zdawał sobie jasno sprawę z naiwnej głupoty swego buntu przeciwko potędze Partii. Obecnie wiedział, że przez 7 lat Policja Myśli miała go pod obserwacją — śledząc go dniem i nocą, jak chrabąszcza pod szkłem powiększającym. Przez tych 7 lat nie było takiego uczynku, głośno wypowiedzianego słowa czy toku myślowego, którego nie zauważyliby i nie zanotowali. Nawet taki drobny szczegół jak ów biały pyłek, który upuścił na okładkę pamiętnika — zaobserwowano i umieszczono

na okładce z powrotem. Obecnie, odgrywano mu płyty i pokazywano fotografie. Niektóre z nich przedstawiały jego i Julię w . . .

Winston nie mógł dłużej opierać się Partii. Poza tym Partia miała rację. Musiała ją mieć. Jakże mógłby się mylić ten nieśmiertelny, kolektywny mózg? Jakież wartości można było przeciwstawić sądowi Partii? Zdrowie duchowe podlega również statystyce. Chodziło wreszcie tylko o to, by myśleć tak, jak myśleli oni. Tylko. . .

Olówek który trzymał w palcach wydawał mu się gruby i nieporęczny. Zaczął pomalu spisywać myśli, które przychodziły mu do głowy stawiając duże, niezgrabne litery:

WOLNOŚĆ JEST NIEWOLNICTWEM

a potem, bezpośrednio poniżej:

DWA PLUS DWA RÓWNA SIĘ PIĘĆ

Zatrzymał się. Jego umysł, jakby wzdragał się od myślenia na ten temat. Nie mógł skupić myśli. Był świadom, że wie jaki jest następny slogan, ale mimo to, przez moment nie mógł go sobie przypomnieć. Gdy wreszcie doszedł do tego jaki powinien być następny slogan, było to wynikiem świadomego rozumowania, w oparciu o założenie: jaki powinien być następny slogan? Tekst nie przypominał mu się samorzutnie. Napisał:

WŁADZA JEST BOGIEM

Winston zgadzał się obecnie ze wszystkim. Przeszłość podlegała zmianom. Nikt nigdy nie zmieniał przeszłości. Oceania była w wojnie z Wschodnio-Azją. Oceania zawsze była w wojnie z Wschodnio-Azją. Jones, Aaronson i Rutherford popełnili zbrodnie o które ich oskarżono. Winston nigdy nie widział żadnej fotografii która mogłaby temu przeczyć. Taka fotografia w ogóle nie istniała. Winston sam ją wymyślił. Obecnie, przypominał sobie że niegdyś pamiętał i inne, przeczące temu fakty, ale były to wspomnienia fałszywe, wynikające z samozakłamania.

To wszystko było niezmiernie proste. Tylko się poddać, a reszta następowała automatycznie. . . Zupełnie jakbyś płynął w górę rzeki i prąd znosił cię pomimo twoich wysiłków. I jakbyś nagle zdecydował się zawrócić i poddać się prądowi, zamiast przeciw niemu walczyć. Zmienia się tylko nastawienie a to co się miało stać i tak się stanie. Nie wiedział dlaczego kiedykolwiek się buntował? Wszystko było jasne i proste z wyjątkiem . . .

Cokolwiek może być prawdą. Tak zwane prawa natury są niedorzecznością. Prawo ciężenia jest bzdurą. „Gdybym chciał“ — mówił O'Brien — „mógłbym unosić się nad podłogą jak bańka mydlana“. Winston zastanawiał się na tym.

Jeżeli on myśli, że unosi się nad podłogą i jeżeli równocześnie ja myślę, że widzę go unoszącego się nad podłogą — to — „to“ rzeczywiście się dzieje, staje się prawdą.

Nagle — jak sterzcący wrak zatopionego statku łamie gładkie lustro wody — tak uderzyła go myśl: To nieprawda, nic się nie dzieje, to tylko gra wyobraźni, halucynacja!

Natychmiast zepchnął tę myśl na dno. Taka myśl to oczywiste szaleństwo. Albowiem wynikało by z niej, że gdzieś, poza mózgiem człowieka istniał „prawdziwy“ świat, gdzie działy się „prawdziwe“ rzeczy. Ale jak taki świat mógł istnieć? Jak można było dowiedzieć się o jego istnieniu, jeżeli nie drogą rozumowania. Wszystko dzieje się tylko w głowie ludzkiej i tylko to co dzieje się w ludzkim umyśle dzieje się naprawdę.

Nie miał trudności z pozbyciem się fałszywej myśli o rzekomo realnym zewnętrznym świecie i nie groziło mu, aby tego rodzaju pomysły miały brać nad nim górę. Mimo to, zdawał sobie sprawę, że taka myśl nie powinna była w ogóle przyjść mu do głowy. Umysł jego powinien był zareagować martwością i przeciwstawić takim herezjom kompletną pustkę. Dziać się to winno instynktownie — automatycznie. Proces ten w nowowie nosił nazwę „zbrodniostopu“.

Winston zabrał się do ćwiczenia zbrodniostopu. Przyjmował sobie np. takie twierdzenie: „Partia mówi, że ziemia jest płaska“, „Partia mówi, że lód jest cięższy od wody“ — i ćwiczył się uparcie w niedostrzeganiu i niepojmowaniu argumentów, które by przeczyły tym twierdzeniom. Nie było to łatwe. Wymagało to zarówno wielkiej umiejętności rozumowania, jak i improwizowania. Problemy arytmetyczne, wynikające ze stwierdzenia, że dwa plus dwa równa się pięć — przekraczały jego zdolność pojmowania. Zbrodniostop wymagał również swoistej gimnastyki umysłu. Z jednej strony konieczna była zdolność subtelnego, logicznego rozumowania z drugiej zaś trzeba było umieć nie dostrzegać najelementarniejszych błędów logicznych. Głupota odgrywała w tej dyscyplinie równie ważną rolę jak inteligencja i była czasem równie trudna do osiągnięcia.

Przez cały czas nie opuszczała go uporczywa myśl: kiedy go rozstrzelają? — Wszystko zależy od ciebie samego — powiedział O'Brien — ale Winston wiedział, że nie może jakimś świadomym uczynkiem przybliżyć swojej śmierci ani o minutę. Mogli go zabić za 10 minut i równie dobrze za 10 lat. Mogli trzymać go latami w odosobnieniu celi więziennej, mogli wysłać go do obozu pracy przymusowej, czy też na jakiś czas wypuścić go na wolność — co czasem czynili. Było bardzo prawdopodobne, że zanim będzie mógł umrzeć, cały dramat aresztowania i śledztwa zostanie powtórzony od początku. Jedno w tym było tylko pewne: śmierć nie przychodziła nigdy wtedy, kiedy się jej oczekiwało. Tradycja

głosiła — i wszyscy w to wierzyli, jakkolwiek nikt nie odważyłby się tego głośno wypowiedzieć — że strzelali w tył czaszki, bez ostrzeżenia, gdy szło się korytarzem z celi do celi.

Przyjdzie taki dzień — ale „dzień“ nie był właściwym określeniem, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa stanie się to w środku nocy. Rozważając to wszystko Winston oddawał się marzeniom. Oto szedł korytarzem w oczekiwaniu na strzał. Wiedział, że za chwilę — stanie się to. Wszystko było załatwione, przebaczone, naprawione. Nie dręczyły go już sprzeczne teorie, ból i strach. Był jak dawniej zdrow i silny. Szedł lekko, radośnie z uczuciem, że idzie w słońce. Korytarz przemienił się nagle w szeroki rozsloneczniony pasaż, który widział raz w śnie narkotycznym. Oto był znów w Żółtym Kraju idąc wydeptaną znajomą ścieżką przez pastwisko pokryte jamami królików. Pod nogami czuł sprężystą darń i łagodne słońce świeciło mu w twarz. Na skraju pola widział chwiejące się wiązy w podmuchach wietrzyku, a gdzieś za drzewami musiał być strumień w którym pluskały się ryby w cieniu wierzb.

Nagle, wstrząsnął nim dreszcz przerażenia i poczuł zimny pot na plecach. Usłyszał swój własny głos — jakby to krzyczał ktoś inny: Julio! Julio! Najdroższa Julio!

Przez chwilę miał zdumiewająco żywe poczucie jej obecności. Wydawało mu się, że Julia jest nie tylko przy nim, ale i w nim samym, w każdym włóknie jego skóry. Kochał ją w tym momencie bardziej, niż kiedykolwiek przed tym, bardziej niż wówczas, gdy byli razem i na wolności. Wiedział również, że Julia żyje — gdzieś przebywa i potrzebuje jego pomocy.

Położył się na wznak na łóżku usiłując uspokoić się. Cóż on zrobił? Ile lat pokuty dodał sobie tą jedną chwilą słabości?

Za chwilę rozlegnie się ciężki tupot kroków na korytarzu. Tego rodzaju wybuch nie może przecież ująć bezkarnie. Jeżeli nawet nie wiedzieli tego do tej pory, to obecnie nabrali pewności, że nie dotrzymuje swojej umowy z nimi. Dowiedzą się, że choć był posłuszny Partii, na dnie serca jej nienawdził. Niegdyś w odległych czasach Winston ukrywał mózg heretyka pod zewnętrznymi pozorami prawomyślności. Obecnie, cofnął się jeszcze o krok dalej — poddał Partii swój mózg, ale ufał, że uda mu się ukryć i zachować dla siebie wnętrze serca. Wiedział, że czyni źle, ale wolał czynić źle. Oni to rozumieją — O'Brien zrozumie to niewątpliwie, teraz, kiedy wszystko wyznał w tym jednym szaleńczym okrzyku.

Będzie musiał wszystko zacząć na nowo. Jak długo to będzie trwało — lata? Przesunął ręką po twarzy, starając się zapamiętać dotykem zmienione rysy. Głębokie bruzdy na policzkach — ostro sterczące kości policzkowe — spłaszczony nos. Poza tym — odkąd ostatni raz oglądał się w lustrze, otrzymał sztuczne zęby. Nie jest rzeczą łatwą nie

zdradzić się wyrazem twarzy, gdy twarzy tej się nie zna. Kontrola samej twarzy nie wystarcza. Winston po raz pierwszy w życiu zrozumiał, że jeżeli pragnie się zachować przed światem jakąś tajemnicę — trzeba ją umieć ukryć przed samym sobą. Trzeba pamiętać o niej bez przerwy, lecz dopóki nie jest to celowe tajemnicy nie wolno nawet sobie uświadomić, bo nadanie jej jakiegokolwiek nazwy słownej — może ją wydać. Odtąd — musi nie tylko myśleć prawomyślnie, ale również czuć prawomyślnie i śnić prawomyślnie. Musi pokryć swą nienawiść głęboko w sobie, jak otorbiony wrzód pełen materii — tkwiący głęboko wewnątrz organizmu chociaż nie będący jego częścią.

Kiedyś wreszcie zdecydują się zastrzelić go. Nie można przewidzieć kiedy się to stanie, ale na parę sekund przed tym, powinien to wyczuć. Strzelą mu w tył głowy, gdy będzie szedł korytarzem. Dziesięć sekund wystarczy, by świat wewnątrz niego wywrócił się i zawałił. I nagle bez słowa, bez żadnego gestu czy zmiany w wyrazie twarzy — spadnie zasłona kamuflażu i wybuchnie ładunek nienawiści. Nienawiść obejmie go jak wielki płomień i w tej samej chwili — za późno, czy zawczasie — padnie strzał. Wystrzelą mu mózg z głowy i nie zdążą już przerobić go jeszcze raz na swoją modłę. Heretycka, buntownicza myśl uleci cało, nieukarana, nieodpokutowana, poza zasięgiem ich władzy na wieki. Strzałem tym podziurawią niepokalaną doskonałość Partii. Umierać nienawidząc ich — to jest prawdziwa wolność.

Winston zamknął oczy. To było trudniejsze, niż poddanie się umysłowej dyscyplinie. Była to sprawa moralnej degradacji — okaleczenie samego siebie. Musiał pogрузić się w najohydniejszy brud. Zastanawiał się — co było w tym wszystkim najwstrętniejsze? Pomyślał o Wielkim Bracie. Ta olbrzymia twarz (którą oglądał na afiszach tak długo, aż wreszcie uwierzył, że ma metr szerokości) z ciemnym związającym wąsem i te oczy, które szły za człowiekiem wszędzie przyszły mu teraz na myśl samorzutnie. Jaki był jego prawdziwy stosunek do Wielkiego Brata?

Ciężkie kroki podkutych butów rozległy się na korytarzu. Stalowe drzwi celi otwarły się z trzaskiem. Wszedł O'Brien. Za nim oficer o twarzy woskowej lalki i czarno umundurowani strażnicy.

— Wstawaj! — rzucił O'Brien — podejdź bliżej!

Winston stanął na przeciw O'Briena, który położył mu swe ciężkie ręce na ramionach i uważnie spojrzął w oczy.

— Myślałeś jak mnie oszukać. To było głupio z twojej strony! Wyprostuj się, patrz mi w oczy!

O'Brien zamilkł, a po chwili dodał łagodniej:

— Poprawiasz się. Umysłowo jesteś prawie całkowicie uzdrowiony. Ale uczuciowo, do tej pory nie zrobiłeś postępów. Powiedz mi Winstonie, tylko pamiętaj bez kłamstw

wiesz przecież, że potrafię zawsze wykryć twoje kłamstwa — jaki jest twój prawdziwy stosunek do Wielkiego Brata?

— Nienawidzę go!

— Nienawidzisz go? Dobrze. Nadszedł zatem czas, abyś uczynił krok ostateczny. Musisz pokochać Wielkiego Brata. Nie wystarczy go słuchać — trzeba go również kochać!

O'Brien popchnął lekko Winstona w stronę strażników.

— Pokój Nr 101 — rozkazał.

V.

W poszczególnych okresach pobytu w więzieniu, Winston wiedział, (lub zdawało mu się, że wiedział) w jakiej części „gmachu bez okien“ się znajduje. Być może, różnice w ciśnieniu dopomagały orientacji.

Cele w których bili go strażnicy znajdowały się pod powierzchnią ziemi. Pokój w którym odbywały się przesłuchania z O'Brienem był wysoko, pod samym dachem, a obecnie, znajdował się wiele metrów pod ziemią, na samym dnie.

Był to pokój większy od cel, które poznał dotychczas. Winston nie zwracał wielkiej uwagi na to, co go otaczało, dojrzał jednak, że na wprost niego stały dwa małe stoliki pokryte zielonym suknem. Jeden, może o metr od niego, drugi trochę dalej, w kierunku drzwi. Winston był przywiązany do krzesła, z wyprostowanymi plecami, tak ciasno, że nie mógł się zupełnie poruszyć. Nawet głowę miał unieruchomioną jakimś uchwytem, który zmuszał go do patrzenia wprost przed siebie. Przez chwilę był sam, ale oto, drzwi się otwarły i wszedł O'Brien.

— Zapytałeś mnie kiedyś — powiedział O'Brien — co mieści się w Pokoju Nr 101, a ja ci powiedziałem, że ty sam wiesz doskonale, co tam jest. Każdy to wie. To, co jest w pokoju 101 jest najstraszniejszą rzeczą na świecie!

Drzwi otworzyły się ponownie. Wszedł strażnik niosąc jakiś przedmiot zrobiony z drutu, jakby pudło, lub kosz, który postawił na drugim stoliku. O'Brien częściowo zasłaniał ten stolik i Winston nie mógł dojrzeć co to było.

— Najstraszniejsza rzecz na świecie, jest pojęciem względnym — ciągnął O'Brien — waha się, zależnie od indywidualności. Czasem jest to pogrzebanie żywcem, to znów śmierć w płomieniach, albo utopienie, wbiecie na pal, czy dziesiątki innych śmierci. Bywają wypadki, kiedy najstraszniejszą rzeczą na świecie jest jakiś drobiazg, nie koniecznie nawet śmiertelny.

O'Brien przesunął się w bok i Winston mógł się przyjrzeć przedmiotowi na stole. Była to podłużna klatka z drutu z rączką do noszenia umieszczoną na szczycie. Z przodu klatki przyczepione było coś, co przypominało siatkę używaną do szermierki, odwróconą wglębieniem na zewnątrz. Jakkolwiek odległość dzieląca go od klatki wynosiła trzy, lub cztery

metry, Winston dojrzał, że klatka była przedzielona wzdłuż na dwie przegrody i że w każdej z nich znajdowało się jakieś stworzenie. Były to szczury!

— W twoim wypadku — odezwał się O'Brien — najstraszniejszą rzeczą na świecie są szczury.

Dreszcz, jakby przecucie strachu przed czymś nieznanym, wstrząsnął Winstonem, gdy pierwszy raz rzucił okiem na klatkę, ale dopiero teraz, pełne zrozumienie celu, do którego służyła przyczepiona do klatki maska — nagle zapadło mu w świadomość. Zdawało mu się, że topnieją w nim wnętrzności.

— Nie, nie, nie możesz tego zrobić! Krzyknął piskliwym, starganym głosem. — Nie mógłbyś. nie mógł, to niemożliwe!

— Czy pamiętasz — mówił dalej O'Brien — uczucie paniki, które pojawiała się w twoich snach? Śniła ci się ściana ciemności loskot w uszach i uczucie, że za tą ścianą jest coś straszliwego, coś o czym wiesz, lecz nie masz odwagi wy dobyć tej prawdy na powierzchnię świadomości. Za tą ścianą były szczury!

— Słuchaj, O'Brien, — odezwał się Winston, największym wysiłkiem opanowując głos. — Wiesz przecież, że to nie jest potrzebne. Co chcesz abym uczynił?

O'Brien nie odpowiedział mu wprost. Wpatrzył się z zamysleniem w przestrzeń, jakby za chwilę miał przemówić do grona słuchaczy, gdzieś, za plecami Winstona i rozpoczął tonem mentorskim, który czasem przybierał.

— Ból, sam w sobie, nie zawsze wystarcza — powiedział. — Zdarza się, że człowiek wytrzymuje ból, aż po samą śmierć. Ale każdy ma coś, czego nie jest w stanie znieść. Coś, czego prawdopodobieństwa nie może nawet rozważyć. Odwaga, czy tchórzostwo nic z tym nie mają wspólnego. Jeśli lecisz w dół z wielkiej wysokości — nie jest tchórzostwem chwycić się ratowniczego sznura, a jeśli wypływasz na powierzchnię po długim przebywaniu pod wodą, nie jest tchórzostwem napędnąć płuca powietrzem. Jest to po prostu instynkt, któremu nie można się oprzeć.

Podobnie ze szczurami, które dla ciebie są najstraszniejszą rzeczą na świecie. Szczury stanowią formę nacisku, któremu nie zdołasz się oprzeć, żebyś nie wiem jak pragnął. Uczynisz wszystko, czego się od ciebie zażąda.

— Ale co to jest, czego ode mnie żądasz? Jak mogę zrobić coś, jeśli nie wiem co to jest?

O'Brien ujął klatkę, przeniósł ją na bliższy stolik i ustawił ostrożnie na zielonym suknie.

Winstonowi krew szumiała w uszach. Miał uczucie kompletnego osamotnienia, jakby był pośrodku olbrzymiej równiny, płaskiej pustyni, zalanej słońcem, poprzez którą dźwięki docierały do niego jakby z bezkresnej dali. Tylko klatka ze szczurami była blisko, o dwa metry. Były to ogromne szczury,

w tym okresie rozwoju, kiedy ich pyszczki stają się tępe i dzikie, a futro z szarego robi się brązowe.

— Szczur, jak zapewne wiesz — mówił O'Brien — chociaż należy do gryzoniów, jest również mięsożerny. Niewątpliwie słyszałeś co dzieje się w biednych dzielnicach miasta. Są ulice, gdzie matki boją się zostawiać swoje niemowlęta same, choćby na pięć minut. Szczury rzuciłyby się na nie natychmiast i w przeciągu bardzo krótkiego czasu obgryzłyby ciało do kości.

Szczury atakują również dorosłych, gdy są chorzy lub umierający. Wykazują one zastanawiającą inteligencję, gdy chodzi o ocenę, kiedy człowiek jest wobec nich bezbronny.

Z klatki wydobył się przeraźliwy pisk. Winstonowi zdało się, że usłyszał go z wielkiej odległości. To szczury walczyły próbując rzucić się na siebie poprzez druty przegrody, Winston usłyszał również głęboki jęk rozpaczyci docierający doń — jak mu się zdawało — z zewnątrz.

O'Brien ujął ponownie klatkę i gdy ją unosił, nacisnął jakąś sprężynę. Rozległ się trzask. Winston uczynił nadludzki wysiłek, aby zerwać się z krzesła. Na próżno. Nie zdołał się nawet poruszyć.

O'Brien przysunął klatkę bliżej. Stała teraz w odległości nie całego metra od głowy Winstona.

— Nacisnąłem pierwszą dźwignię — powiedział O'Brien. — Rozumiesz jak jest zbudowana ta klatka? Maskę drucianą będzie przylegać szczelnie do twojej głowy, nie zostawiając żadnego otworu. Gdy nacisnę drugą dźwignię, drzwiczki klatki odsuną się. Te głodomory wystrzelą z niej jak dwa pociski. Czy widziałeś kiedy jak szczur skacze w powietrze? Skoczą ci na twarz i wczepią się w ciało. Czasem, szczury atakują najpierw oczy, a czasem wgrzają się w policzki i pożerają język.

Klatka przybliżyła się znowu, już niemal go dotykała.

Winston słyszał coś, jakby gamę przeraźliwych pisków nad swoją głową. Walczył wściekle z pochłaniającą go paniką. Myśleć! Myśleć! Choćby ułamkami sekund. Myślenie było ostateczną nadzieją.

Nagle, wstrętny, stęchły odór uderzył go w nozdrza. Gwałtowna fala nudności wstrząsnęła wnętrzościami i o mało nie stracił przytomności. Dookoła zapadła ciemność. Na ułamek sekundy był obłąkany: dzikie, krzyczące zwierzę! Ale wydobył się z ciemności, uciepiony kurczowo jednej myśli. Był, był jeden, jedyny sposób uratowania się. Trzeba się zasłonić, zasłonić kimś innym. Rzucić inne ludzkie ciało między siebie i szczury. Obręcz maski drucianej przed nim przysłoniła wszystko inne. Drzwiczki klatki nie były dalej jak o dwie dłonie od głowy Winstona. Szczury wiedziały również co za chwilę nastąpi: jeden z nich skakał po klatce niecierpliwie, a drugi, okazały weteran kanałów wspinał się i

oparł różowe łapki o druty klatki, wężąc groźnie. Winston widział ruszające się wąsy i żółte zęby. Znowu czarny strach zamknął się nad nim. Był ślepy, bezradny, niezdolny do myślenia.

— To była pospolita kara w cesarstwie chińskim — powiedział O'Brien w swój zwykły, pouczający sposób.

Druciana maska zamykała się na twarzy Winstona. Czuł jak druty ocierały mu policzek. I nagle — nie, to nie była ulga, to dopiero nadzieja, krucha drobina nadziei. . . Późno, może za późno, ale nagle, Winston zrozumiał, że na całym świecie był tylko jeden człowiek, któremu mógł przekazać okropieństwo tej kaźni. Jedno ciało, które mógł rzucić między siebie i szczury. Zaczął krzyczeć nieprzytomnie:

— Uczyni to Julii, nie mnie! Uczyni to Julii! Zrób z nią co chcesz, rozedrzyjcie jej twarz, obnażcie do kości Julię, Julię, nie mnie!

Upadał w tył, spadał w jakąś bezdenną głąb, byle dalej od szczurów. Ciągle jeszcze był przywiązany do krzesła, ale przeleciał przez podłogę, przez mur budynku, przez ziemię i oceany, poprzez atmosferę, w przestrzeń międzyplanetarną, kędy płyną prądy międzygwiazdne, dalej i dalej od szczurów. Oddalił się o lata świetlne, ale O'Brien wciąż jeszcze był przy nim i ciągle jeszcze czuł zimny dotyk drutu na twarzy. Tyle tylko, że poprzez otaczającą go ciemność usłyszał znów metaliczny trzask i wiedział, że klatka zatrzasnęła się, a nie otwarła.

VI.

Kawiarnia „Pod Kasztanem“ była prawie zupełnie pusta. Promień słonecznego światła wpadający ukośnie przez okno kładł się żółtą plamą na zakurzonych blatach stolików. Była senna godzina piętnasta. Jakaś, metalicznie pobrzękująca, muzyczka sączyła się z tele-ekranu.

Winston siedział w swoim kącie, zapatrzony w pustą szklanę. Od czasu do czasu podnosił głowę i spozierał na ogromną twarz widniejącą na przeciwległej ścianie. WIELKI BRAT ŚLEDZI CIĘ — biegł pod nią napis.

Niewzywany, kelner podszedł i napełnił mu szklanę dziennem, do którego wlał parę kropli z innej butelki, zaopatrzonej w korek z osadzonym w nim kawałkiem gęsiego pióra, które służyło jako kropplomierz. Była w niej sacharyna z goździkami — specjalność kawiarni.

Winston słuchał tele-ekranu. Na razie nadawano muzykę, ale było możliwe, że każdej chwili nadany będzie specjalny komunikat Ministerstwa Pokoju. Wiadomości z frontu afrykańskiego były w najwyższym stopniu niepokojące. Trapiły one Winstona przez cały dzień. Armia Eurazjańska (Oceania była w wojnie z Eurazją. Oceania była zawsze w wojnie z Eurazją) posuwała się w kierunku południowym z przeraża-

jącą szybkością. Komunikat nadany w południe nie wymienił żadnych miejscowości, ale było prawdopodobne, że walki toczyły się już u ujścia Konga i że zarówno Brazzaville jak i Leopoldville były zagrożone. Nie trzeba było studiować mapy, aby widzieć co to oznacza. To był nie tylko problem utraty środkowej Afryki. Po raz pierwszy, od początku wojny, obszary samej Oceanii były w niebezpieczeństwie.

W piersi Winstona podniosła się gwałtowana fala uczucia — nie tyle strachu, co bliżej nieokreślonego podniecenia — i równie szybko opadła. Przestał myśleć o wojnie. W ostatnich czasach, nie był w stanie skupić myśli na jednym przedmiocie dłużej niż na krótką chwilę. Podniósł szklankę i jednym haustem wypił jej zawartość. Jak zwykle zatrzęsł się z obrzydzenia i na moment zrobiło mu się niedobrze. Dżin był okropny. Kombinacja sacharyny i goździków, sama w sobie mdła i obrzydliwa, nie mogła zabić zapachu źle rektyfikowanego alkoholu. Ale co najgorsze, ten wstrętny zapach dżinu, który nie opuszczał go ani w dzień, ani w nocy — kojarzył mu się w myślach, w jakiś niewytłumaczalny sposób z odorem . . .

Winston nigdy nie wymawiał tego słowa. Nawet w myślach jak mógł tak odpychał od siebie ten obraz. Szczury pozostały dla niego na wpół uświadomioną grozą, krążącą wokół twarzy, odorem, który przywarł mu do nozdrzy.

Dżin podjechał mu do gardła i odbiło mu się. Wargi miał sine. Odkąd go wypuścili, Winston utył i odzyskał swą dawną czerstwą cerę, a nawet obecnie twarz jego była więcej niż czerstwa. Rysy mu pogrubiały, skóra na nosie i policzkach była szorstka i czerwona i nawet łysa czaszka miała jakiś podejrzenie różowy kolor.

Kelner, nieproszony, przyniósł mu szachy i numer „Times’a“, ze stroną zagiętą na zadaniu szachowym. Widząc że szklanka Winstona jest pusta, napełnił ją ponownie. Nie trzeba było niczego zamawiać, ani o nic prosić. W kawiarni znano zwyczaj Winstona. Szachownica zawsze czekała na niego i jego stolik w rogu był zawsze zarezerwowany. Nawet, gdy w kawiarni było pełno, ten stolik był wolny i Winston siedział przy nim sam, gdyż nikt nie chciał by go widziano w jego towarzystwie.

Winston nie zadawał sobie nawet trudu liczenia tego, co wypił. W nieregularnych odstępach czasu, kelner przynosił mu brudny świstek papieru, twierdząc że jest to rachunek. Winston miał uczucie, że rachunek zawsze wynosił mniej, niż się należało. Nie zrobiłoby mu najmniejszej różnicy, gdyby było na odwrót. Miewał teraz zawsze pod dostatkiem pieniędzy. Miał nawet posadę, rodzaj synekury, znacznie lepiej płatną, niż ta, którą miał dawniej.

Muzyka w tele-ekranie urwała się i rozległ się głos spikera. Winston podniósł głowę i słuchał. Nie był to jednak komu-

nikat z frontu, a tylko krótka informacja, nadana przez Ministerstwo Obfitości. Jak się okazało, w ubiegłym kwartale, norma produkcji sznurowadeł, ustanowiona w dziesiątym Planie Trzyletnim — została przekroczona o 98 procent.

Winston przestudiował zadanie szachowe i rozstawił figury na szachownicy. Zadanie miało skomplikowane zakończenie operujące dwoma gońcami: „Białe grają i dają mata w dwóch posunięciach“.

Winston podniósł głowę i patrzył na portret Wielkiego Brata. — Białe zawsze wygrywają — myślał mętnie, z poczuciem niejasnego mistycyzmu. — Zawsze, bez wyjątku. Już tak to jest z góry ułożone. Jeszcze nigdy, od początku świata czarne figury nie wygrały partii szachów. Czyż nie ma w tym symbolu odwiecznego, niezachwianego triumfu dobra nad złem? Olbrzymia twarz patrzyła na Winstona, pełna spokoju i siły. Białe zawsze zwyciężają.

Głos w tele-ekranie zatrzymał się i dodał dużo poważniejszym i zmienionym tonem:

— O piętnastej trzydzieści, zostanie nadana niezmiernie ważna wiadomość. Oczekujcie jej o piętnastej trzydzieści. Będzie to wiadomość dotycząca spraw najwyższej wagi. Starajcie się więc słuchać tele-ekranu o piętnastej trzydzieści.

Pobrzękująca muzyczka rozbrzmiała na nowo. Serce Winstona zabiło żywiej. To na pewno biuletyn z frontu. Instykt mówił mu, że będą to złe wiadomości. Przez cały dzień z małymi przerwami, myśl o druzgocącej klęsce w Afryce nie opuszczała go.

Zdawało mu się że widzi wojska Eurazji rojące się na nigdy do tej pory nie pogwałconej granicy i walące w dół, ku południowym brzegom Afryki, jak kolumna mrówek. Dlaczego nie można było odciąć im drogi? Zarys konturów zachodniego wybrzeża Afryki, stanął mu w oczach. Pochwycił białego gońca i przesunął go na ukos po szachownicy. Tak! Tam było właściwe miejsce!

Oczyma wyobraźni widział czarną horde galopującą na południe, ale równocześnie widział inną potęgą, która pojawiła się niespodziewanie na tyłach nieprzyjaciela i odcięła mu drogę lądem i morzem. Czuł, że ta druga potęga zależna jest, w jakiś sposób, od wysiłku jego woli. Musi działać natychmiast! Jeśli nieprzyjaciel zagarnie całą Afrykę, jeśli wpadną mu w ręce bazy lotnicze i port łodzi podwodnych w Cape — będzie mógł wbić klin w sam środek Oceanii. Klęska w Afryce mogła oznaczać wszystko: nowy podział świata, ruinę Partii. . . Winston głęboko wciągnął powietrze. Klębiła się w nim dziwa mieszanina uczuć, a właściwie nie mieszanina — tylko następujące po sobie pokłady uczuć, w których trudno się było zorientować i określić co leży na ich dnie. Po chwili przeszło.

Winston postawił białego gońca z powrotem na szachownicy, ale na razie nie mógł się zabrać do rozwiązywania zadania szachowego. Myśli rozpiezchały się znowu. Bezwiednie kreślił palcem w kurzu, na blacie stolika:

$$2 + 2 = 5.$$

„Oni nie mogą dostać się do serca człowieka“ — Julia tak mówiła. Otóż, mogli! Dostali się.

„To, co się w Tobie dzieje tutaj — pozostanie na zawsze“ — mówił O'Brien. To była prawda! Istniały zmiany, własne, świadome czyny, od których nie było powrotu. Coś zabili w tobie, Wypalili, na zawsze. . .

Winston widział się z Julią. Nawet rozmawiał z nią. Nie było w tym żadnego niebezpieczeństwa. Instykt mówił mu, że teraz nikt się nie interesuje jego czynami. Mógłby nawet umówić się z Julią po raz drugi, gdyby on lub ona tego pragnęli.

Pierwsze ich spotkanie było zupełnie przypadkowe, w parku. Dzień był ohydny, przenikliwie zimny, w marcu, kiedy ziemia była jeszcze zmarznięta na kamień, trawa sucha i szara i nigdzie ani jednego pączka. Tylko tu i ówdzie wiatr smagał pierwsze, blade krokusy. Winston szedł szybko, ręce miał zmarznięte, oczy łzawiły mu się od wiatru. Nagle, ujrzał Julię o parę metrów przed sobą. Uderzył go natychmiast jej zmieniony wygląd. Już prawie mijali się bez słowa, gdy Winston zawrócił, pokonując w sobie jakąś niechęć i poszedł za nią. Wiedział, że w obecnej ich sytuacji, nie groziło to żadnym niebezpieczeństwem. — Nikt się nimi nie interesował.

Julia milczała. Szła trawnikiem, na przelaj, jakby chciała się pozbyć jego towarzystwa, ale po chwili zwołniła kroku zrezygnowana. Doszli do kępy krzewów, bezlistnej teraz i rągiej, w której nie można się było ukryć, ani też znaleźć osłony od wiatru. Zatrzymali się.

Zimno przenikało do szpiku kości. Wiatr świstał wśród nagich gałęzi i tłamsił brudnoszare, rzadko rosnące krokusy. Winston objął Julię ramieniem. Nie było tam wprawdzie teleekranów, ale niewątpliwie musiały być ukryte mikrofony, a do tego, nic nie przesłaniało ich widoku. Było to jednak — jak wszystko wówczas — bez znaczenia. Mogli nawet położyć się na ziemi i. . . Winstonem wstrząsnął dreszcz wstrętu na samą myśl.

Julia nie zareagowała nawet na dotyk jego ramienia. Nawet nie próbowała się odsunąć. Widział teraz, jak bardzo się zmieniła. Twarz jej nabrała ziemistego koloru, a przez jej czoło ku skroni, biegła długa blizna, częściowo przysłonięta włosami. Ale to nie było wszystko. Stała się jakby szersza w pasie i zupełnie sztywna. Winston przypomniał sobie, jak kiedyś, po wybuchu bomby raketowej, pomagał wywlekać

trupy z ruin domów i jak go wtedy uderzyła ich waga i sztywność. Trupy przypominały bardziej figury kamiennie, niż ludzkie ciała. Kibić Julii miała obecnie tę samą kamienną sztywność. Przyszło mu na myśl, że chyba nawet i gatunek jej skóry musiał ulec kompletnej zmianie. Nie próbował jej pocałować. Oboje nic nie mówili.

Gdy wracali trawnikami na przelaj, Julia po raz pierwszy spojrzała mu prosto w twarz. Było to tylko przelotne spojrzenie, pełne pogardy i niechęci. Zastanawiał się, czy niechęć ta miała swe źródło gdzieś, w przeszłości, czy też była wywołana widokiem jego obrzękłej twarzy i zażawionych od wiatru oczu.

Usiedli na żelaznych, składanych krzesłach, obok siebie, ale nie nazbyt blisko. Winston widział, że Julia zamierza coś powiedzieć. Wysunęła nogę, obutą w niezgrabny bucik i z rozmysłem nadeptała młodą gałązkę. Jej stopy wydały mu się szersze niż dawniej.

— Zdradziłam cię — powiedziała obojętnie.

— I ja cię zdradziłem — odparł Winston.

— Zdarza się — ciągnęła Julia, — że oni grożą ci czymś, czego nie jesteś w stanie znieść, o czym nawet pomyśleć nie możesz. . . — Wtedy mówisz: nie czyn mi tego! Zrób to komu innemu, zrób to temu i temu! I choćbyś potem udawał, że to był tylko wybieg, żeś to powiedział tak sobie, na odczepne, a w gruncie rzeczy tak nie myślałeś — to to nie jest prawda! Wtedy, kiedy ci groziło niebezpieczeństwo — myślałeś tak, czułeś że nie ma innego sposobu uratowania samego siebie i byłeś gotowy w ten sposób się uratować. Chciałeś, chciałeś naprawdę przerzucić cierpienie na kogoś innego i nic cię nie obchodziło, że on będzie się męczył. Chodziło ci tylko o siebie samego.

— Tak. Chodziło mi tylko o siebie samego — powtórzył Winston jak echo.

— No i potem — ten drugi człowiek — nie jest już dla ciebie tym, kim był przedtem.

— Nie, już nie jest.

Cóż więcej można było powiedzieć. Wiatr przewiewał na wskroś ich cienkie kombinezony. Czuli się nieswojo siedząc tak w milczeniu, a w dodatku było zbyt zimno, by siedzieć bez ruchu, Julia powiedziała że musi zdążyć na pociąg. Wstali.

— Musimy się znowu kiedyś spotkać!

— Tak, koniecznie!

Winston towarzyszył Julii przez chwilę, idąc pół kroku za nią. Nie rozmawiali. Julia nie usiłowała wyraźnie pozbyć się Winstona, ale szła naprzód tak szybko, że uniemożliwiała mu dotrzymanie kroku. Winston zamierzał odprowadzić ją do stacji kolejki podziemnej, ale nagle, to pośpieszne dreptanie za nią, na przejmującym chłdzie, wydało mu się

uciążliwe i bez sensu. Zapragnął gwałtownie, nie tyle rozstać się z Julią, ile znaleźć się na powrót w kawiarni „Pod Kasztanem“, która nigdy dotąd nie wydawała mu się tak ponętna. Przed oczyma stanęła mu wizja stolika w rogu, z leżącą na nim gazetą, roztawioną szachownicą i nieograniczoną ilością szklanek dżinu. Najponętniejsza jednak była myśl, że w kawiarni, będzie o tej porze przyjemnie ciepło.

W następnym momencie — nie zupełnie przypadkowo — Winston został odcięty od Julii przez grupę przechodniów. Niechętnie przyspieszył kroku, ale po chwili zwolnił, zawrócił i poszedł w przeciwnym kierunku. Gdy uszedł pięćdziesiąt metrów, stanął i obejrzał się. Ulica była pustawa, ale mimo to, nie mógł już rozpoznać jej sylwetki. Każda ze spieszących postaci kobiecych mogła być Julią. Może to jej zeszytniałe ciało utraciło cechy, po których dawniej byłby ją rozpoznał?

„Wtedy, kiedy ci groziło niebezpieczeństwo — myślałeś tak“, powiedziała. Tak, Winston istotnie tak myślał. Nie tylko myślał i dał temu wyraz — ale nawet pragnął, pragnął całą mocą, aby to Julia, zamiast niego, została wydana na pastwę.

Muzyka sącząca się z tele-ekranu zmieniła się nagle. Wdarł się w nią fałszywy, zgrzytliwy ton — to co Winston zwykł był nazywać „Żółtą Nutą“. A potem — być może nie działa się to naprawdę, a tylko wspomnienia i wyobrażenia przybrały kształty dźwięków i słów, ale ktoś najwyraźniej śpiewał:

„Pod rozłożystym kasztanem
Sprzedałem ciębie, a ty sprzedałeś mnie.“

Lzy zakręciły się w oczach Winstona. Przechodzący kelner zauważył, że szklanka na jego stoliku jest pusta i wrócił po chwili z butelką. Winston ujął szklankę i powąchał. Im więcej pił, tym okropniejszy wydawał mu się dżin z goździkami, ale alkohol stał się dla niego artykułem pierwszej potrzeby. W dżinie kryła się potęga życia, śmierci i zmartwychwstania. To dżin pogrążał go w ciężki, kamienny sen co noc, i budził go do życia co rano. Gdy się budził — rzadko kiedy przed 11-tą, ze sklejonymi powiekami, palącym gardłem i obolałym, jakby połamanym krzyżem — nie byłby w stanie w ogóle unieść się o własnych siłach, gdyby nie butelka dżinu i szklanka, przezornie ustawiona przy łóżku z wieczora.

Godziny przedpołudniowe spędzał siedząc beczynnym z twarzą wygładzoną w maskę bezmyślności, popijając dżin i słuchając tele-ekranu. Od piętnastej do późna w noc przesiadywał „Pod Kasztanem“. Nikogo nie obchodziło co robił. . . Z rana, nie budziła go pobudka, tele-ekran w niczym go nie upominał. Od czasu do czasu — może dwa razy w tygodniu chodził do biura. Biuro — był to pokryty kurzem

pokój w Ministerstwie Prawdy, który sprawiał wrażenie zapomnianego przez wszystkich. Tutaj Winston pracował, a raczej wykonywał jakieś czynności zwane pracą. Był przydzielony do pod-komisji jednego z licznych pod-komitetów, które wyrastały z niezliczonych komitetów, zajmujących się poszczególnymi problemami, wyłaniającymi się przy opracowywaniu jedenastego wydania Słownika nowo-mowy. Pod-komisja Winstona zajęta była redakcją czegoś, co nosiło nazwę Tymczasowego Sprawozdania, ale z czego zdawano sprawę — Winston nigdy jakoś nie zdołał się dowiedzieć. W przybliżeniu orientował się, że problem główny dotyczył przecinków i kwestia sporna toczyła się o to, czy należy je stawiać wewnątrz nawiasów, czy przed i po nawiasach.

Oprócz Winstona, w pod-komisji pracowało jeszcze czworo osób — wszyscy w tej samej co i on sytuacji. Bywały dni, kiedy pod-komisja zbierała się po to, aby jak najszybciej odroczyć posiedzenie, po uprzednim, szczerym przedstawieniu faktu, że w istocie nie było nic do roboty. Ale kiedy indziej — wszyscy pięcioro rzucali się do pracy z entuzjazmem, robili niebywale ważne notatki, projektowali niekończące się memoranda, dyskutowali z przejęciem, — zapalali się, komplikowali temat, gubili się w zawiłościach, spierali o subtelności poszczególnych definicji, tracili w dygresjach, przechodzili w kłótnię, grożąc nawet odwołaniem się o decyzję do przełożonych. I nagle — u szczytu zapału — życie ulatywało z nich, jak powietrze z baloników i siedzieli wokoło stołu niemi, patrząc na siebie zgaszonymi oczami, jak duchy rozpyływające się z pianiem kogutów.

Tele-ekran ucichł. Winston podniósł głowę. Komunikat! Ale nie, to tylko zmieniano płyty.

Mapa Afryki wróciła Winstonowi pod powieki. Ruchy armii kładły się na nią, jak prosty wykres: czarna strzała pręca pionowo w dół, ku południowi i biała strzała sunąca poziomo na wschód, przecinająca czarną u podstawy. Jakby szukał potwierdzenia swych domysłów, Winston uniósł wzrok na nieprzeniknione oblicze portretu. Czyż było do pomyślenia, że biała strzała nie istniała poza jego wyobraźnią?

Chwilowe podniecenie minęło. Wypił znów łyk dżinu, ujął białego gońca i z rozmysłem wykonał ruch.

— Szach!

Ale widocznie — nie był to właściwy ruch, bo. . . Nieproszone wspomnienia zaprzętały mu głowę. Oto ujrzał rozjaśniony płomykiem świeczki pokój, z wielkim łóżkiem, zaslanym białą kapą i siebie, dziewięć, lub dziesięcioletniego chłopca, siedzącego na podłodze. Przciskał do siebie pudełko z kostkami do gry i śmiał się na całe gardło. Matka siedziała naprzeciw niego na podłodze i także się śmiała.

Musiało to być na miesiąc przed jej zniknięciem, w okresie chwilowej zgody, kiedy zdołał zapomnieć o uprzykrzonym

uczuciu głodu i kiedy jego dawna miłość do matki ożyła na nowo.

Pamiętał ten dzień doskonale. Ulewa dzwoniła o dach i strumienie wody zalewały szyby. W pokoju było zbyt ciemno, aby można było czytać. Dwoje dzieci nudziło się w ciasnocie. Winston marudził i pojękiwał, zanudzał matkę żądaniem jedzenia, kręcił się po pokoju, wywlekał to to, to owo do zabawy i ze złości kopał boazerię, aż sąsiedzi zaczęli stuknąć w ścianę. Młodsze dziecko płakało bez przerwy. W końcu, matka powiedziała: Jak będziesz grzeczny to kupię ci zabawkę, śliczną zabawkę, zobaczysz!

Matka wyszła na deszcz do małego sklepiku, który czasem jeszcze bywał otwarty i za chwilę wróciła, niosąc tekturowe pudełko, w którym mieściła się gra w „Węże i Drabinki.“

Winston zapamiętał zapach mokrej tektury. Gra była wykonana bardzo tandetnie, tektura była popękana, a małe drewniane kostki tak krzywe, że trudno było nimi rzucać. Winston patrzył na zabawkę zawiedziony, ale matka zapaliła kawałek świeczki i usiedli na podłodze. Wkrótce pochłonęła go emocja gry i śmiał się uszczęśliwiony, gdy jego pionki pięły się po drabinkach, aby za chwilę zjeżdżać po grzbiecie wężów na dół, prawie do punktu startu.

Winston wygrał cztery razy i matka tyle samo. Jego mała siostrzyczka, za mała, aby rozumieć o co chodzi, siedziała przy nich, podparta poduszką i śmiała się razem z nimi. Było to pełne radości popołudnie, przypominające szczęśliwe chwile z jego wcześniejszego dzieciństwa.

Wysiłkiem woli, Winston odepchnął od siebie ten obraz. Było to fałszywe wspomnienie. Tego rodzaju fałszywe wspomnienia nachodziły go jeszcze od czasu do czasu, ale jak długo zdawał sobie z nich sprawę, było to bez znaczenia — po prostu jedne rzeczy działały się naprawdę, a inne nie zdarzyły się nigdy.

Wrócił do szachów. Ujął ponownie białego gońca i w tej samej chwili drgnął, jakby ukłuty szpilką, wypuszczając go z palców. Przerażliwy dźwięk trąbki rozległ się w powietrzu. Komunikat! Zwycięstwo! Trąbka przed komunikatem zawsze oznaczała zwycięstwo. Kawiarnia ożywiła się nagle, jakby przebiegła przez nią iskra elektryczna, nawet kelnerzy nasłuchiwali poruszeni. Dźwięk trąbki wywołał niesamowity hałas. Jakiś podniecony głos zaczął już mówić w tele-ekranie, ale od razu na początku utonął w powodzi okrzyków i wiwatów, dochodzących z zewnątrz.

Wiadomość o zwycięstwie rozeszła się po ulicach lotem ptaka. Urywki komunikatu, które zdołał posłyszeć, przekonały Winstona, że wszystko stało się właśnie tak, jak on to przewidywał: olbrzymia morska armada zebrana u wschodnich wybrzeży — nagły cios na tyłach armii nieprzyjacielskiej — biała strzała, sunąca poziomo i przecinająca czarną. Frag-

menty zdań opisujących triumf dolatywały doń poprzez gwar: „Gigantyczny manewr strategiczny — wspaniała koordynacja — zupełne rozhicie sił nieprzyjaciela — ponad pół miliona wziętych do niewoli — zupełna demoralizacja — władanie nad Afryką zbliżyło widocznie koniec wojny — zwycięstwo, największe w dziejach zwycięstwo! Zwycięstwo!

Nogi Winstona wykonywały rytmiczne ruchy pod stołem. Nie ruszył się z miejsca, ale w duszy połączył się z tłumami na zewnątrz kawiarni i biegł, biegł szybko, krzycząc i wiwając w ogłuszającym zgiełku.

Znowu utopił spojrzenie w portrecie Wielkiego Brata. — O Kolosie, stojący twardo nad światem! — O skało potężna, o którą rozbijają się hordy Azji!

Winston zdał sobie sprawę, że jeszcze dziesięć minut temu — tak, zaledwie dziesięć minut temu — serce jego było pełne wątpliwości i że myślał z niepokojem co przyniesie komunikat — zwycięstwo czy klęskę. Ach! Dla niego stało się coś więcej, coś znacznie więcej niż klęska wrogiej armii. Od tego pierwszego dnia w Ministerstwie Miłości zmieniło się w nim wiele, ale ostateczna, nieodzowna, uzdrawiająca zmiana — przyszła dopiero teraz.

Głos w tele-ekranie wciąż jeszcze rozwodził się nad ilością jeńców, bogactwem łupów i okropieństwem rzezi, ale wrzaski na ulicach przycichły. Kelnerzy wracali do swego zajęcia. Jeden z nich, zbliżył się znów z butelką dżinu. Winston, pogrążony w ekstatycznym śnie, nie zwrócił najmniejszej uwagi gdy mu napelniono szklanekę. Już nie biegł i nie krzyczał dłużej. Był teraz z powrotem w gmachu Ministerstwa Miłości, gdzie doznawał przebaczenia wszystkich swych win. Duszę miał białą jak śnieg. Był nareszcie przed sądem, gdzie wyznał wszystko i wszystkich wydał. Szedł znowu korytarzem, wyłożonym białymi kaflami, z uczuciem, jakby szedł w słońce. Gdzieś z tyłu, za nim, był strażnik z rewolwrem. Od dawna wyczekiwana kula zaryła się w mózg.

Patrzył na wielką twarz. Czterdzieści lat minęło, zanim pojął jaki to uśmiech kryje się za tym ciemnym wąsem. Cóż za okrutna, niepotrzebna pomyłka. — O nieszczęsny, uparty i własnowolny wygnańcze z miłującego łona!

Dwie pijackie lzy potoczyły mu się wzdłuż nosa. Ale teraz, było już dobrze. Wszystko już było dobrze! Walka była skończona; Winston odniósł zwycięstwo nad samym sobą: Kochał Wielkiego Brata!

K o n i e c .

ZASADY NOWO-MOWY.

Nowo-mowa, stanowiąca język urzędowy Oceanii, została stworzona dla zaspokojenia ideologicznych wymogów „Anglo-Soc“, czyli angielskiego socjalizmu. W roku 1984 nikt jeszcze nie używał jej jako jedyne go języka w mowie czy w piśmie. Artykuły wstępne „Times’a“ musiały być z reguły pisane w nowo-mowie, ale autorami ich byli wyłącznie specjaliści językowi.

Przypuszczano, że całkowite wyparcie staromowy i zastąpienie jej nowo-mową nastąpi nie wcześniej, jak w roku 2050. Postęp w tej dziedzinie, choć wolny, był jednak stały, gdyż członkowie Partii silili się na używanie słów i składni nowo-mowy, nie tylko w stosunkach urzędowych, ale i w życiu codziennym.

Forma nowo-mowy, będąca w użyciu w 1984 roku i sklasyfikowana w dziewiątym i dziesiątym wydaniu słownika miała charakter tymczasowy i zawierała wiele zbędnych słów i przestarzałych form gramatycznych, skazanych na wytępienie w przyszłości. Dopiero jedenaste wydanie słownika przyniosło ostateczną, poprawną wersję, którą zamierzamy tu omówić.

Zadaniem nowo-mowy było stworzenie języka zdolnego wyrazić światopogląd i oddać w pełni umysłowość właściwą wyznawcom „Anglo-Soc“, i równocześnie — zniweczyć kompletnie możliwość ekspresji, dla wszystkich innych sposobów myślenia. Spodziewano się, że gdy nowo-mowa zostanie przyjęta przez wszystkich i gdy zastąpi w całości dawną angielszczyznę, jakakolwiek myśl heretycka — to znaczy sprzeczna z zasadami „Anglo-Soc“ — będzie dosłownie „nie do pomyślenia“, gdyż nie będą istniały słowa, konieczne do sformułowania tego rodzaju myśli.

Słownik nowo-mowy stwarzał możliwość użycia bardzo dokładnych, a często i bardzo subtelnych wyrażen na określenie znaczeń wszystkiego, co członek Partii mógł swobodnie nazywać i określać. Równocześnie jednak, konstrukcja słownika wykluczała zeń jakiegokolwiek pozapartyjne określenia, oraz możność samodzielnego tworzenia nie sklasyfikowanych znaczeń.

Cel ten osiągało się częściowo z pomocą tworzenia nowych słów, w głównej mierze jednak, przez usuwanie słów niepożądanych i przez pozbawianie słów ich nieprawomyślnych znaczeń. Na przykład: słowo „wolny“ istniało w nowo-mowie, ale miało zastosowanie wyłącznie w takich określeniach jak: „pies jest wolny od pcheł“. „pole jest wolne od chwastów“. Nie wolno go było użyć natomiast w dawnym znaczeniu —

politycznie, lub intelektualnie wolny, ponieważ zarówno polityczna, jak intelektualna wolność przestały istnieć nawet jako abstrakcyjne pojęcia, i wskutek tego stały się z konieczności bezwzględne.

Niezależnie od trzebieenia nieprawomyślnych słów, zwężanie słownika było celem samo w sobie i stopniowo, twórcy nowo-mowy pozbywali się wszystkich słów, które nie były absolutnie niezbędne.

Celem urzędowego języka Oceanii było nie poszerzenie światopoglądu, lecz przeciwnie, zwężanie go do partyjnego minimum i cel ten osiągnano pośrednio przez zwężanie do minimum zapasu słów na użytek obywateli.

Nowo-mowa powstała w oparciu o język angielski, taki jakim go znamy dzisiaj, ale mimo to, wiele zdań zaczerpniętych z nowo-mowy, nawet nie zawierających nowo stworzonych słów — wydawałoby się nam kompletnie niezrozumiałymi.

Słownik nowo-mowy dzielił ją na trzy odrębne klasy, zwane: Słownik „A”, Słownik „B” i Słownik „C”. Prościej będzie omówić te trzy klasy kolejno, z tym, że właściwości gramatyczne języka (omówione w ramach Słownika „A”) dotyczą wszystkich trzech kategorii jednakowo.

SŁOWNIK „A”.

Słownik „A” składa się ze słów użytku codziennego, wyrażających takie czynności jak: jedzenie, picie, praca, ubieranie się, wchodzenie po schodach, jazda autobusem, uprawianie ogrodu, gotowanie itp. Niemal wszystkie te słowa wzięto w całości z dawnej angielszczyzny w ich dosłownym brzmieniu: uderzyć, biec, pies, drzewo, dom, pole, — ale zasób ich, w porównaniu z dzisiejszą angielszczyzną był niezmiernie mały, zaś ich znaczenie dużo bardziej ograniczone i sztywne. Wszystkie odcienie i znaczenia pokrewne zostały z nich usunięte. W rezultacie — słowo nowo-mowy, w klasie słownika „A”, było jednym, oderwanym dźwiękiem, wyrażającym jedno, jasno zdefiniowane i pojęte znaczenie. Słownika „A”, nie można było używać dla celów literackich, politycznych, czy filozoficznych. Zadaniem słów „A” było nazywać proste, docelowe zjawiska, dotyczące konkretnych rzeczy, lub czynności fizycznych.

Gramatyka nowo-mowy odznaczała się dwiema szczególnymi właściwościami. Jedną z nich była absolutna wymienność między częściami mowy. Każde słowo, a w teorii nawet tak abstrakcyjne słowa, jak „jeżeli” lub „kiedy”, mogło być użyte jako czasownik, rzeczownik, przymiotnik lub przysłówek. W słowach o tym samym rdzeniu, nie istniała w ogóle żadna różnica pomiędzy czasownikiem a jego formą rzeczownikową i ta zasada, w dużej mierze przyczyniała się do

ubożenia zapasu słów. Na przykład: nie istniało słowo „myśl“, — zastępowało je słowo „myśleć“, spełniające rolę czasownika i rzeczownika równocześnie.

O wyborze słów pozostawionych, nie decydowało żadne etymologiczne prawo, w jednych wypadkach pozostawiano przy życiu rzeczownik, w innych czasownik. Nawet w wypadkach, gdzie rzeczownik i czasownik o pokrewnych znaczeniach były etymologicznie związane z sobą, jedno znikало z rejestru słów, ustępując miejsca drugiemu.

Nie istniało, na przykład słowo „ciąć“, ponieważ jego znaczenie przejęło na siebie słowo „nóź“.

Przymiotniki tworzone przez dodanie określenia „pełny“ do rzeczownika, lub czasownika, zaś przysłówki przez doczepianie słówka „tryb“. W ten sposób „szybkopelny“ oznaczało „pośpieszny“, zaś „szybkotryb“ — „prędko“.

Niektóre z istniejących dziś przymiotników, takie jak: „dobry“, „mocny“, „duży“, „czarny“, „miękki“ używane były również i w nowo-mowie, ale w małej stosunkowo ilości, gdyż łatwość tworzenia przymiotników przez dodawanie końcówki „pełny“ nie sprzyjała zachowaniu tych form. Nie zachowano również żadnych, z dziś istniejących przysłówków, z wyjątkiem kilku, które miały końcówkę „tryb“ nieodzowną dla przysłówków w nowo-mowie. Słowo „dobrze“, na przykład, zastąpiono określeniem „dobrotryb“. W dalszym ciągu — każde słowo nowo-mowy mogło nabrać znaczenia negatywnego przez dodanie przedrostka „nie“, lub mogło być wzmocnione znaczeniowo przez dodanie przedrostka „plus“, a dla jeszcze większego efektu „dwójplus“. Na przykład: „niezimny“ oznaczało ciepły, zaś „pluszimny“, lub „dwójpluszimny“ oznaczało „bardzo zimny“ i „lodowaty“.

Istniała również możliwość, podobnie jak i dzisiaj, zmieniania znaczeń słów przy pomocy przedrostków takich jak „przed“, „po“, „pod“, „nad“ itp.

Stosując tę metodę można było bardzo wydatnie zmniejszyć ilość słów. Weźmy na przykład słowo „dobry“ — nie było potrzeby używania słowa „zły“, gdyż znaczenie to, równie dobrze, jeśli nie lepiej, oddawało słowo nowo-mowy „niedobry“.

W takich wypadkach, gdy istniały pary słów o przeciwnych sobie znaczeniach, należało jedynie wybrać, które z nich zatrzymać, a które usunąć. „Ciemny“ np. można było wyrazić przez „niejasny“, zaś „jasny“ przez „nieciemny“, zależnie od upodobania mówiącego.

Drugą ciekawą właściwością gramatyki nowo-mowy była jej regularność. Z wyłączeniem kilku wyjątków, omówionych poniżej, wszystkie czasowniki odmieniały się jednakowo i zarówno ich czas przeszły, jak i imiesłów czasu przeszłego brzmiał jednakowo i kończył się na „dl“. Czas przeszły od kraść był „kradł“, od myśleć „myśladł“ itd. jednakowo dla

wszystkich czasowników. Formy nieregularne, tak bogate w języku angielskim, zostały w całości zarzucone.

Liczbę mnogą tworzyło się przez dodanie „a“ — i tak liczba mnoga od „człowiek“, „wól“, „życie“ — brzmiała: „człowieka“, „woła“, „życia“.

Stopniowanie przymiotników było również regularne: „dobry“ — „dobrzejszy“ — „najdobrzejszy“. Jedyna swoboda w odmianie dotyczyła zaimków i słów posiłkowych, które zachowały swoje dawne formy.

Również słowotwórstwo dopuszczało się nieraz odstępstwa od zasad gramatyki tam, gdzie wymagała tego szybkość i łatwość wymowy, lub strona dźwiękowa danego słowa. Słowo trudne do wymówienia, lub takie, które mogło być wadliwie usłyszane uważało się z góry za złe słowo, od czasu do czasu zachodziła więc potrzeba wstawienia nowej litery w dane słowo, lub przywrócenia mu dawnego brzmienia. Lecz potrzebę zmiany słów w celu udoskonalenia ich wartości dźwiękowej odczuwało się głównie w związku ze słownikiem „B“. W dalszym ciągu tego wykładu wyjaśnimy przyczyny dla których tak wielki nacisk kładziono na łatwość wymowy przy budowie gramatyki nowo-mowy.

SŁOWNIK „B“.

Słownik „B“ składał się ze słów sztucznie stworzonych dla celów politycznych. Słowa te miały nie tylko znaczenie ściśle polityczne, ale również rolą ich było narzucić używającym je, formy myślenia uznawane przez Partię. Trzeba było być znawcą zasad Anglo-Soc, aby móc poprawnie posługiwać się tymi słowami.

W niektórych wypadkach, przykłady ze słownika „B“ dały się tłumaczyć na staromowę, lub znajdowały odpowiedniki w słowniku „A“, ale wymagało to z reguły długiego omówienia i przykład powodował utratę subtelných odcieni ich znaczenia.

Słowa „B“ miały charakter jakby skrótów stenograficznych, często ściągających cały szereg pojęć w jedno, kilkossilabowe słowo, którego precyzja i siła ekspresji przewyższała normalny język. Z reguły w rejestrze słownika „B“ znajdowały się wyrazy złożone z dwóch lub więcej słów, względnie części słów, stopionych w jedną, łatwo wymawialną formę. Powstały w ten sposób nowotwór spełniał rolę rzeczownika i czasownika równocześnie (rzeczownik) i odmieniał się regularnie. Na przykład słowo „dobromyśleć“, oznaczające w wielkim przybliżeniu prawomyślność, a w sensie czasownikowym „myśleć w sposób zgodny z zasadami „Anglo-Soc“.“ „Dobromyśleć“ odmienia się następująco: czas przeszły i imiesłów czasu przeszłego „dobromyślał“, imiesłów czasu teraźniejszego „dobromyśląc“. Przymiotnik:

„dobromyślpełny“ przysłówek — „dobromyśltryb“, forma rzeczownikowa „dobromyśleć“.

Wyrazy klasy „B“ nie powstały według jakiegoś etymologicznego planu. Tworzono je ze zlepków jakichkolwiek części mowy, ustawionych w przypadkowym szyku i dowolnie zniekształconych tak, że nieraz tylko ślad rdzenia wskazywał na ich pierwotne pochodzenie. W słowie „zbrodniomyśleć“ (zbrodnia myślowa), „myśleć“ następuje po „zbrodnio“, podczas, gdy w słowie nowo-mowy na określenie policji myśli „myślopol“, nie tylko porządek jest odwrócony, ale obydwie słowa są skrócone i zmienione. Zasadą główną przy tworzeniu tych wyrazów była wyłącznie łatwość ich wymawiania dla mówiącego, i precyzja brzmienia dla słuchacza, toteż w miarę stosowania tej zasady zachodziła częsta konieczność robienia wyjątków i odstępstw od sztywnych reguł. Na przykład formy przymiotnikowe od „Prawdomin“, „Mirmin“ i „Miłomin“ brzmiały: „Minprawdopełny“, „Minmiropelny“ i „Minmiłopełny“, gdyż „minmirpelny“ brzmiało by niezręcznie. W zasadzie jednak, słowa klasy „B“ podlegały tym samym prawom gramatycznym co klasy „A“.

Niektóre wyrazy „B“ miały wielce subtelne znaczenia, niemal zupełnie nie zrozumiałe dla kogoś, kto nie opanował całości języka. Weźmy za przykład takie typowe zdanie z artykułu wstępnego „Times'a“:

„Staromyśleca nie brzuchoczuć Anglo-Soc“.

Najkrótszym tłumaczeniem tego zdania byłoby: „Ci, których poglądy uformowały się przed rewolucją nie mogą mieć pełnego, emocjonalnego odczucia dla ideałów „Anglo-Soc.“ Ale to nie jest bynajmniej wystarczająco dobre tłumaczenie. Przede wszystkim, aby pojąć pełny sens wyżej przytoczonego zdania, należało by mieć jasne wyobrażenie o tym, co to jest Anglo-Soc. A następnie, tylko ktoś o ugruntowanej wiedzy na tematy Anglo-Soc będzie w stanie ocenić pełne ekspresji określenie „brzuchoczuć“, które ma przywozдить na myśl ślepe, przepojone entuzjazmem oddanie się i wewnętrzną zgodę — trudną do wyobrażenia sobie w dzisiejszych czasach.

Weźmy słowo „staromyśleć“, którego sens był najściślej związany z pojęciem zła i rozkładu. Słowo „staromyśleć“ należy do ciekawej grupy słów nowo-mowy, których zadaniem jest nie określać jakiegoś znaczenia, lecz przeciwnie, to znaczenie niszczyć. Treść takich słów poddawano ciąglemu poszerzaniu, podciągając pod nie całe szeregi wyrazów, które, gdy tylko je tym nowym słowem zastąpiono — stawały się niepotrzebne, a co za tym idzie — skreślone i zapomniane. Czynność ta nastęrczała twórcom słownika pewną, specjalną trudność. Łatwo było powoływać do życia te słowa zastępcze, ale niezmiernie trudno było mieć niezachwianą pewność co

one właściwie znaczą, to jest jak wygląda pełna lista wyrazów usuniętych z języka z chwilą wprowadzenia słowa zastępczego.

Jak to widzieliśmy na przykładzie słowa „wolny“, niektóre wyrazy o treści, niegdyś nieprawomyślnej, pozostawiono w użyciu ze względu na powszechną wygodę, ale dopiero po całkowitym usunięciu z nich wszelkich śladów herezji. Niezliczone inne wyrazy, takie jak „honor“, „sprawiedliwość“, „moralność“, „międzynarodowy“, „demokracja“, „nauka“ i „religia“ — po prostu przestały istnieć. Na ich miejsca wprowadzono słowa zastępcze, które raz na zawsze wyparły je ze słownika.

Wszystkie wyrazy spokrewnione z pojęciem wolności i równości, zawarto w jednym słowie „zbrodniomyśleć“, podczas gdy wszystkie inne, znaczeniowo związane z pojęciem obiektywizmu i racjonalizmu — zepchnięto pod jedną nazwę „staromyśleć“. Bardziej dokładne sformułowanie byłoby niebezpieczne. Od członka Partii wymagano, bowiem, nastawienia podobnego temu, jakie miał biblijny Żyd w stosunku do obcych religii: Wiedział on wyłącznie tyle, że wszystkie plemiona, poza jego własnym, oddają cześć fałszywym bogom. Nie musiał wiedzieć że imiona tych bogów brzmiały Baal, Ozyrys, Moloch itd., i prawdopodobnie im mniej wiedział na ich temat, tym lepiej dla jego religii. Znał wyłącznie Jehowę i jego przykazania, a tym samym wierzył, że bogowie o innych imionach czy innych zaletach muszą być fałszywymi bogami.

W pewnym sensie — podobnie — członek Partii wiedział co stanowiło właściwą drogę, a bardzo mgliście i nie jasno zdawał sobie sprawę jakie istniały możliwości zboczenia z właściwego kursu. Weźmy za przykład życie seksualne: dla członka Partii było ono w całości rządzone dwoma słowami nowo-mowy — „seksozbrodnia“ oznaczała niemoralność płciową, zaś „dobroseks“ — czystość.

Seksozbrodnia oznaczała wszelkie przestępstwa natury seksualnej, jak: cudzołóstwo, zdradę, homoseksualizm i wszelkie perwersje, a prócz tego normalny stosunek płciowy uprawiany dla przyjemności. Nie było potrzeby wyliczania tych przestępstw, gdyż wszystkie były jednakowo ciężkie i karane utratą życia. W słowniku „C“, który zawierał wyrażenia techniczne i naukowe, byłoby konieczne dokładniejsze sprecyzowanie nazw dla zboczeń seksualnych, ale zwykłemu obywatelowi wystarczyło, gdy znał znaczenie słowa „dobroseks“, które określało normalne stosunki płciowe między mężem a żoną, uprawiane wyłącznie w celu płodzenia dzieci i pozbawione uczucia rozkoszy. Wszystko inne było „seksozbrodnią“.

Nowo-mowa nastęrczała wielką trudność przy próbach zagłębienia się w herezję, ponieważ poza stwierdzeniem, że dana myśl wkraczała w dziedzinę herezji — nie istniały po prostu słowa konieczne dla bliższego jej określenia.

W słowniku „B“ nie było słów ideologicznie obojętnych. Wiele z nich stanowiło łagodne i miło brzmiące nazwy rzeczy, które samo w sobie były złe i budzące strach, jak na przykład „radościobóz“ na określenie obozu koncentracyjnego, lub „Mirmin“ jako nazwa Ministerstwa Wojny. Właściwe znaczenie tych słów stało w krańcowej sprzeczności z tym, co pozorowało ich miłe brzmienie.

Inne wreszcie słowa tej klasy, obnażały otwartą pogardę dla istoty społecznych różnic Oceanii. Przykładem tych słów jest „prolestrawa“ — nazwa ogarniająca zarówno rozrywki jak i prasę, czy wiadomości radiowe, preparowane przez Partię na użytek mas proletariackich.

Dalszą grupę słów klasy „B“ stanowiły słowa, niejako dwustronne, posiadające dwa, przeciwne sobie znaczenia: dobre, gdy w odniesieniu do Partii i złe, gdy w odniesieniu do jej wrogów.

Poza wyżej wymienionymi istniała jeszcze liczna grupa słów „B“, które na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie po prostu skrótów i których ideologiczne zabarwienie wynikało nie tyle z ich znaczenia, ile z samej budowy skrótu. W miarę możliwości wszystkie słowa, mające, lub mogące mieć znaczenia, które dałyby się podciągnąć pod jakikolwiek sens polityczny — mieściły się w rejestrze słownika „B“. Nazwy organizacji, stowarzyszeń, doktryn, miejscowości, instytucji, gmachów publicznych itp. ociosywano do prymitywnej formy skrótów, łatwych do wymówienia i składających się z jak najmniejszej ilości sylab, tak jednak, aby został jakiś ślad ich pierwotnego pochodzenia.

Na przykład: W Ministerstwie Prawdy, Wydział dokumentów, gdzie pracował Winston Smith, nazywał się „Dokdział“, Wydział Powieściowy — „Powdział“, wydział zaś opracowujący programy telewizyjne — „Teledział“. Tego rodzaju skróty nie tylko ułatwiały operowania nazwami. Maniera używania skrótów w prasie politycznej, datowała się już od wczesnych lat dwudziestego wieku, a nowotwory, zlepione z kilku słów, były w powszechnym użyciu w państwach totalitarnych jak i w organizacjach o charakterze faszystowskim. Za przykład mogą posłużyć takie słowa jak: „Nazi“, „Gestapo“, „Komintern“, „Agitprop“ itp. Jeśli się przypuści, że maniera ta została zapoczątkowana w sposób mniej lub więcej przypadkowy, to trzeba stwierdzić, że nowomowa przejęła ją i stosowała z rozmysłem i w ściśle określonym celu. Spostrzeżono bowiem, że procedura tworzenia skrótów zwęża i odrobinę zmienia znaczenie samego słowa, przez ogolnienie go z wielu pojęć, które są ściśle związane z jego pełnym brzmieniem. Na przykład:

Słowa „Międzynarodówka Komunistyczna“ przywołują na myśl hasła braterstwa ludów, czerwone sztandary, barykady, Marksa, i Komunę Paryską. Natomiast słowo „Komintern“

jest jakby nazwą techniczną dla ściśle określonej organizacji, o znanej doktrynie. Nie stwarza ono pola dla wyobraźni, podobnie jak nie stwarzają go słowa o tak codziennym i docelowym znaczeniu jak krzesło lub stół. W słowie „Komirtern“ nie ma niczego, co zatrzymywałoby myśl, natomiast „Międzynarodówka Komunistyczna“ nęci myśl bogactwem asocjacji. Zupełnie podobnie — wrażenia wywołane słowem „Prawdomin“ są ograniczone i mniej liczne, niż te, które przychodzą na myśl przy wymawianiu: „Ministerstwo Prawdy“. Te, z punktu widzenia Partii zalety skrótów, którym usiłowano zawsze nadać formę jak najbardziej uproszczoną zadecydowały o wprowadzeniu ich do słownika nowo-mowy.

Należy raz jeszcze podkreślić nacisk, jaki twórcy nowo-mowy kładli na walory dźwiękowe języka. Te walory, oraz jasność znaczenia słów stanowiły dwa podstawowe wymogi, do których naginano gramatykę ilekroć zachodziła potrzeba.

Jest to zrozumiałe jeśli się weźmie pod uwagę, że ideałem ze względów politycznych było posiadanie języka, którego krótkie, rąbane słowa o ograniczonym, lecz bezsprzecznym znaczeniu, dały się wypowiadać szybko i mechanicznie i co ważniejsze, nie budziły żadnych ech w mózgu mówiącego. Słowa te zyskiwały na sile także i przez to, że wszystkie były do siebie niezmiernie podobne: „dobromyśleć“, „miromin“, „prolestrawa“, „seksozbrodnia“, „radościobóz“, „Anglo-Soc“, „brzuchoczuć“, „myślopol“ i tysiące innych, przeważnie składających się z dwu lub trzech sylab, z akcentem rozłożonym równomiernie pomiędzy pierwszą a ostatnią sylabę. Używanie tych słów powodowało i to także, że mowa stawała się bezbarwnie monotonna przez ciągłe powtarzanie mechanicznie staccato brzmiących fraz.

Zjawisko to nie było przypadkowe. Zamierzeniem Partii było posiadać mowę, która by była, szczególnie gdy chodzi o zagadnienia ideologiczne — jak najbardziej mechaniczna i nie zależna od procesu myślenia.

W sprawach życia codziennego zachodziła często konieczność zastanowienia się zanim się coś powie, ale członek Partii mający wygłosić przemówienie polityczne, lub sąd na tematy związane z etyką — powinien być umieć wyrzucić z siebie potok właściwych osądów i przyjętych komunałów z taką łatwością z jaką karabin maszynowy wyrzuca serię pocisków. Wykształcenie partyjne dawało mu bowiem zasadnicze przygotowanie, a nowo-mowa była narzędziem, którego użycie zapewniało perfekcję wyników. Twarde brzmienie słów i ich zamierzona brzydota — tak zgodna z katońskimi wymogami Anglo-Soc — a także fakt, że mówca miał tych słów do wyboru, znikomą ilość — wszystko to, zapewniało sukces propagandowy w rozumieniu partyjnym.

W porównaniu z dzisiejszą angielszczyzną, zapas słów nowo-mowy był bardzo mały i podlegał nieustannemu zmniej-

szaniu. Był to rzeczywiście jedyny w swoim rodzaju język, którego bogactwo z czasem malało zamiast rosnąć. Każde słowo wyparte z użycia stanowiło zysk, bo zmniejszało pokusę myślenia.

Istniała nadzieja, że z czasem uda się przekształcić mowę na rodzaj czynności fizycznej, wykonywanej przez struny głosowe, bez współdziałania mózgu. Ten cel odbijał się wyraźnie w słowie nowo-mowy „kaczokwak“, oznaczającym „kwakać jak kaczka“. Podobnie jak liczne inne słowa nowo-mowy, klasy „B“, „kaczokwak“ miał znaczenie dwustronne: jeśli opinie wyrażane w „kaczokwak“ były prawomyślne, słowo to miało znaczenie dodatnie i gdy „Times“ nazywał któregoś z mówców Partii „dwojplusdobry kaczokwakier“ — było to oficjalnym wyrażeniem najwyższej pochwały.

SŁOWNIK „C“.

Słownik „C“ uzupełniał słowniki „A“ i „B“ i składał się w całości z wyrazów technicznych. Wyrazy te przypominały terminy techniczne będące i dzisiaj w użyciu, ale jak zawsze, tak i w tym wypadku, dołożono wszelkich starań, aby znaczenia ich były jak najbardziej ograniczone i sztywne i aby nie nasuwały skojarzeń z innymi wyrazami. Gramatyka słownika „C“ była identycznie ta sama, co „A“ i „B“. Słowa „C“ nie były używane w życiu codziennym, ani też w przemówieniach politycznych, stanowiąc zamkniętą grupę samą dla siebie. Pracownik naukowy, czy technik miał na swój użytek listę słów „C“ swojej specjalności, które mogłyby mu być potrzebne, ale lista to zawierała zaledwie parę słów przynależnych do słowników „A“ i „B“.

Istniało tylko kilka wyrazów, które wchodziły w skład słowników „A“, „B“ i „C“ równocześnie. Jeśli zaś chodzi o naukę to nie istniały słowa opisujące istotę wiedzy, jako zdobywczy umysłu, lub traktujące ogólnie o kwestiach naukowego myślenia poza technicyzmami, ściśle związanymi z poszczególnymi gałęziami nauki. Samo słowo „Nauka“ nie miało odpowiednika w nowo-mowie, uważano bowiem, że wszelkie pojęcia, dające się podciągnąć pod to słowo, znajdują dostateczny wyraz w określeniu „Anglo-Soc.“

Z przykładów przytoczonych w tym rozdziale widać jasno, że wyrażanie sądów niezgodnych z polityką Partii, było przy użyciu nowo-mowy niemal wykluczone. Istniała oczywiście możliwość klecenia prymitywnych wyrażań, które brzmiały ordynarnie i miały odpychający podźwięk bluźnierstwa. Na przykład, można było sformułować takie zdanie jak „Wielki Brat jest niedobry“, ale było to zdanie pozbawione jakiegokolwiek sensu, bowiem dla ucha wtrenowanego w chwytanie ideologicznej treści nowo-mowy — zdanie takie stanowiło

absurd i sprzeczność samo w sobie. Co więcej, nie było możliwości rozumowego rozwinięcia tego zdania, lub obrony zawartej w nim tezy, ponieważ nie istniały słowa, których należałoby użyć. Wszelkie teorie, sprzeczne z Anglo-Soc, można było określić zaledwie w przybliżeniu ogólną nazwą herezji.

Jakiegokolwiek próby używania nowo-mowy dla celów nieprawomyślnych sprowadzały się w praktyce do tłumaczenia jej na staromowę, z tym znowu, że przekład był wierny tylko w bardzo ograniczonym zakresie. Takie zdanie nowo-mowy, na przykład, jak „wszyscy człowieka równe“ — miało w tłumaczeniu na staro-mowę, równie wiele sensu jak twierdzenie, że „wszyscy ludzie są rudzi“. Nie było to zdanie błędne gramatycznie, ale nie miało sensu, ponieważ określenie „równe“, dało się tłumaczyć tylko na „jednakowi“, tzn. jednakowi wzrostem, wagą, czy jednakowej siły. Pojęcie równości w sensie politycznym nie istniało, a co za tym idzie słowo „równy“ przestało je oznaczać.

W roku 1984, kiedy staro-mowa była jeszcze w powszechnym użyciu, istniało — przynajmniej w teorii — niebezpieczeństwo że ludzie używający słów nowo-mowy będą pamiętali ich pierwotne znaczenie, choć w praktyce, dwójmyślenie sprawowało nad pamięcią ścisłą kontrolę. Natomiast, jeśli idzie o młodzież, to różnica jednego pokolenia wystarczała na wymazanie z pamięci związków nowo-mowy ze staroświecką angielszczyzną.

Ktoś, dla kogo nowo-mowa była jedynym środkiem porozumienia z otaczającym go światem, nie miał pojęcia o tym, że słowo „równy“ lub „wolny“, miało kiedykolwiek znaczenie „politycznie równy“ lub „intelektualnie wolny“, podobnie jak człowiek który nie zna gry w szachy, nie wie, że słowa „królowa“ czy „wieża“ mogą mieć jeszcze inne znaczenia.

Polityka partii przewidywała, że ludzie wychowani od dzieci w nowo-mowie, nie będą w stanie popęlić szeregu błędów, czy dopuścić się wielu zbrodni — po prostu dla tego, że błędy te i zbrodnie będą dla nich bezimiennie, a co za tym idzie nie będzie ich sobie można wyobrazić. Stałe ograniczanie ilości słów i usztywnianie ich znaczeń, z biegiem czasu paraliżowało działanie ludzkiej wyobraźni.

Gdy nowo-mowa w całości zastąpi staro-mowę, ostatnia więź z przeszłością zostanie zerwana. Historia była już w całości przerobiona, ale tu i ówdzie napotkać jeszcze można było urywki z dzieł literatury angielskiej, niedostatecznie spreparowane przez cenzurę i jak długo zachowała się znajomość staro-mowy, tak długo istniała możliwość ich lektury. W przyszłości — planowała Partia — nawet jeśli jakieś szczątki dawnej literatury zachowają się, nikt nie zdoła ich przeczytać ani domysleć się ich treści.

Możliwość tłumaczenia staro-mowy na nowo-mowę stanowiła osobny problem. W zasadzie — jeśli tekst pisany staro-mową nie dotyczył jakiegoś ściśle technicznego procesu, opisu zupełnie prymitywnych, codziennych czynności, lub nie był to tekst propagandowy — tłumaczenie w ogóle nie było możliwe. W praktyce oznaczało to, że dzieła które powstały przed rokiem 1960, nie nadawały się do przekładu. Jedyne sposoby w jaki można by je przełożyć polegały na dostosowaniu ich ideologii do wymogów nowo-mowy, co pociągało za sobą daleko idące zmiany w treści.

Weźmy za przykład znany fragment z Deklaracji Niepodległości:* „Uważamy za oczywistą prawdę, że ludzie rodzą się równi. Przynoszą ze sobą na świat pewne prawa, których nikt nie może im odebrać. Należą do nich: prawo do życia, prawo do wolności, prawo do szczęścia. Celem strzeżenia tych praw, ludzie powołują do życia rządy, czerpiące władzę ze zgody rządzonych. Uważamy również za prawdę, że jeśli dana forma rządu staje się źródłem ucisku, ludzie są w prawie taki rząd zmienić lub obalić i stworzyć rząd nowy . . .“

Tłumaczenie tego fragmentu na nowo-mowę, przy równoczesnym usiłowaniu zachowania sensu oryginału, jest nie do pomyślenia. Tłumaczeniem przybliżonym będzie, jeśli powyższy fragment zamieni się jednym słowem „myśl-zbrodnia“. Tłumaczenie dokładne, będzie wtedy, jeśli słowa Jeffersona zamienimy panegirikiem na cześć rządów absolutnych.

W ten sposób istotnie tłumaczono wybitne dzieła przeszłości. Ze względów prestiżowych Partii zależało na zachowaniu niektórych historycznych nazwisk, toteż dzieła pisarzy takich jak Szekspir, Milton, Swift, Byron, Dickens itp. poddawano skomplikowanemu procesowi tłumaczenia i uzgadniania z filozofią Anglo-Soc. Gdy tylko dany przekład został ukończony, oryginały ulegały zniszczeniu. Prace nad tłumaczeniem posuwały się jednak bardzo wolno i nie przewidywano, aby literatura w nowo-mowie ujrzała światło dzienne wcześniej niż w połowie 21 wieku. Oprócz zaś dzieł literatury pięknej i filozofii, należało również opracować przekłady niezliczonej ilości książek o treści technicznej, podręczników itp., toteż, jako najwcześniejszą datę zapanowania nowo-mowy w Oceanii stawiano rok 2050-ty.



* Stanów Zjednoczonych.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001013282583